

# *Plain Beva*

## *Obietnice*

*Obietnice... kochanków, małżonków, rodziców i dzieci, przyjaciół... Obietnice życia...*

*Margaret Crane ma udane małżeństwo, troje wspaniałych dzieci, wygodny dom, satysfakcjonującą pracę. Wraz z mężem Adamem wychowali osieroconą dziewczynkę Ninę, którą łączy z Margaret silna więź uczuciowa. Nina pracuje w Nowym Jorku i pogodnie patrzy w przyszłość, mając u boku błyskotliwego, przystojnego bankowca Keitha. Życie zdaje się spełniać swoje obietnice... Ale ostatnio Margaret zauważyła, że Adam za dużo pracuje, jest roztargniony i niepewny siebie. Coraz mniej czasu spędzają razem. Tłumaczy to sobie jego kłopotami zawodowymi; plotki o możliwej sprzedaży firmy zachwiały zapewne poczuciem bezpieczeństwa odpowiedzialnego męża i ojca rodziny. I wtedy Margaret poznaje Rundi, tę drugą... Nina także ma poważny problem: Keith, mężczyzna jej życia, okazał się niezupełnie tym, za kogo go brała. Obie muszą więc dokonać bolesnych wyborów. I wówczas również między nimi otwiera się przepaść.*

*"Obietnice" to historia o marzeniach, które legły w gruzach i zostały wskrzeszone siłą nadziei i miłości.*

***CZĘŚĆ PIERWSZA***

1973

### ***Rozdział 3***

- Obróć się - powiedziała Izabela ze szpilkami w ustach. Spoglądając w dół, Margaret widziała w lustrze zręczne palce, poruszające się po kaskadzie białego jedwabiu. Patrząc w górę, mogła dostrzec swoją głowę w aureoli potarganych kędzierzawych rudych włosów i obce w swej nagości ramiona wznoszące się nad plataniną przemysłnie ułożonych fałdek i falbanek.

Matka Margaret westchnęła.

- Naprawdę nie wiem, jak ty to robisz, Izabelo.

- Szycie to dla mnie rozrywka, Jean. A szyć ślubną suknię dla własnej synowej, którą się znało jeszcze przed jej urodzeniem... Ilu osobom trafia się w życiu taka gratka?

Z oczu Izabeli emanowało ciepło. Były opalizujące i szeroko rozstawione jak oczy jej syna. I, tak jak Adam, nosiła się prosto, z godnością. Odwrotnie jednak niż on - była rozmowna. Jego inteligentna twarz o prostych, symetrycznych rysach robiła wrażenie posepnej; posepnej i romantycznej. Tajemniczej. Heroicznej. Margaret zakochała się w niej, kiedy miała piętnaście lat.

„Jeśli mnie Adam kiedykolwiek rzuci, umrę” - pomyślała nagle.

Ostatni raz zadzwonił w poniedziałek, jak tylko przyjechała do domu na przerwę wiosenną. Przedtem nie dzwonił od czwartku. A przecież mieli zwyczaj rozmawiać ze sobą co wieczór po ósmej. Rozmowa nigdy nie przekraczała trzech minut, mimo to jednak - chociaż jej college od jego uniwersytetu dzieliły dwa stany - czuła się tak, jakby ją obejmował ramionami.

Kiedy zaczęło się to zmieniać? I czy się rzeczywiście zmieniło? No cóż, miał przed sobą ostatni odcinek trudnej drogi

do dyplomu. Może zresztą tylko jej się przywidziało? Jakieś nie wypowiedziane słowo, nie odwzajemnione spojrzenie, nie wykonany telefon... Kiedy się szuka znaków, można ich znaleźć wiele. A szczególnie łatwo zrobić z igły widły, gdy się jest przewrażliwionym. Tak, to z pewnością to. Jest przewrażliwiona.

Margaret rozejrzała się po znajomym pokoju, jakby w jego swojskości szukała pociechy. Było w nim jakieś niezwykle ciepło. Ciepło, którym tchnął cały dom, solidna wiktoriańska siedziba rodzinna, z frontowym gankiem i drewnianymi rzeźbieniami, którą zbudował przy tej szerokiej ulicy jej pradziadek, by trwała przez pokolenia. I dwie kobiety - proste, dobre i zwyczajne, owdowiałe podczas wojny koreańskiej, które pracowały, samotnie wychowując dzieci. A także radosne piski bawiących się na podwórku malców.

Ze swojego miejsca Margaret widziała grupkę dzieci bawiących się w jakąś starą grę w kółko, z Niną pośrodku, która zdecydowanie wiodła wśród nich prym. Jako sześciolatka wybiła się na bezsprzeczną przywódczynię okolicznej dziatwy. Cóż to była za wspaniała i powszechnie lubiana osóbka, ta mała siostrzeniczka Jean!

Adam miał zwyczaj żartować:

- Kiedy już się pobierzemy, ludzie będą myśleli, że to nasza córka, że ją do tej pory trzymaliśmy w ukryciu.

- Czy im się tam nic złego nie stanie? - zapytała Jean. -Zawsze się martwię, kiedy jej nie mam na oku.

- Niepotrzebnie się martwisz, mamo. Nina świetnie da sobie radę w życiu. Z tą swoją bystrą buźką i niespożytą energią - zobaczysz, będzie szła jak burza od sukcesu do sukcesu. A poza tym, kiedy Nina jest pod moją opieką, możesz być o nią spokojna, włos jej z głowy nie spadnie. - Po tych słowach Margaret nie mogła opanować śmiechu. - Ja ją dość krótko trzymam.

- Będzie z ciebie wspaniała matka - orzekła Izabela, wstając z kolan.

- Wspaniała matka! - Jean się roześmiała. - Owszem, ale przedtem ma jeszcze do załatwienia parę spraw. Przede wszystkim w maju ma skończyć college. Potem dyplom Adama, no i wreszcie dwudziestego czerwca - ślub! Ale, właśnie,

zapomniałam podać fotografowi datę! Mój Boże, zaraz zadzwonię.

- Chwileczkę, mamó - powstrzymała ją Margaret. - Ja... my nie jesteśmy jeszcze pewni tej daty...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - odpowiedziały jej dwa przerażone, wysokie głosy.

Uwalniając się z okowów białego jedwabiu, Margaret poczuła się nagle niebezpiecznie naga i bezbronna.

- Pomyśleliśmy... to znaczy Adam powiedział... że mamy za dużo różnych spraw naraz. Te wszystkie daty... On powinien mieć trochę czasu, by sobie kupić różne rzeczy...

- Kupić różne rzeczy! - przerwała jej Izabela. - Ależ on nie potrzebuje nic więcej poza nowym garniturem. A i na to będę go musiała namawiać, sądząc z tego, jak małą wagę przywiązuje do ubrania.

W miarę tego, jak zepchnięte w głąb myśli wydobywały się na powierzchnię, z pokoju uchodziło całe ciepło.

- Nie tylko o to chodzi. Jak się nad tym zastanowić, to jednak widać, że Adam powinien mieć powiedzmy ze dwa tygodnie na przyzwyczajenie się do nowej pracy. Po prostu trochę czasu dla siebie.

- A ty, żeby dojść do takich wniosków, czekałaś aż do kwietnia? - powiedziała Jean zirytowana.

Dwie starsze kobiety w oczywisty sposób poczuły się zaniepokojone. Nawet nie patrząc na nie, Margaret wiedziała, że wymieniają pytające spojrzenia. Jakżeż pragnęły tego małżeństwa! Oznaczało ono dla nich bezpieczeństwo.

Odpowiedzialnego zięcia dla jednej i odpowiedzialną synową dla drugiej. Eliminowało groźne niewiadome.

Margaret doskonale je rozumiała.

- Ale przecież on mi nigdy o niczym takim nawet nie wspomniał! - wykrzyknęła Izabela.

- No bo nie byliśmy pewni. Jakoś dopiero teraz nam to przyszło do głowy. Tak czy siak, w tym tygodniu będziemy musieli podjąć decyzję.

Obie kobiety patrzyły na nią badawczo. Margaret poczuła na sobie jak gdyby zimny podmuch. Wciągnęła dzinsy, zapięła bluzkę i powiedziała spieszenie:

- Boże, a co to za problem! Co za różnica, czy to będzie

czerwiec, czy lipiec? Przecież was w porę zawiadomimy. Możecie być spokojne. Jeszcze w tym tygodniu. Na pewno.

Izabela, która jakoś łatwiej dała się uspokoić, włożyła ślubną suknię do plastikowego worka.

- W porządku. Tylko żebyście dali znać. Zostało mi już niewiele roboty przy spódnicy - dodała wesoło. - Przyjdę jeszcze raz, żeby ostatecznie wyrównać zakład, i to wszystko.

Gdy tylko zostały same, Jean zadała oczekiwane przez córkę pytanie:

- Powiedz mi, Margaret, o co w tym wszystkim chodzi? Czy coś się stało?

- Nie. A co mogło się stać?

- No bo gdyby coś się stało, to przecież ja nie mogę wyjechać i tak cię zostawić.

- Z powodu tej drobnostki, jaką jest ewentualna zmiana daty ślubu?

- O ile rzeczywiście tylko o to chodzi.

- Tylko o to.

Na czole Jean pojawiły się dwie charakterystyczne pionowe bruzdy.

- Chwilami mam wrażenie, że w ogóle nie powinnam wyjeżdżać. Indie. To przecież szaleństwo.

- Jeżeli Henry'ego wzywają tam obowiązki dyplomatyczne, to musisz jechać. O co właściwie chodzi?

- Może w ogóle plany małżeńskie po tylu latach wdowieństwa to absurd.

- Tym bardziej,, powinnaś wyjść za mąż, mamó.

Jean robiła wrażenie znużonej. Jak gdyby lata pracy w bibliotece zniszczyły ją tak, jak niszczą się książki, niegdyś piękne i kolorowe, teraz poszarzałe i zużyte. Tak niewiele zostało jej czasu na to, by kochać męża i być kochaną.

Prawie całe życie dzień w dzień tylko praca i dziecko. Margaret ogarnął smutek i współczucie. Chwilami wydawało jej się, że zamieniły się rolami: że to Jean jest córką, a ona matką.

- Mamó - powiedziała stanowczym tonem. - Henry jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, a ty masz wiele szczęścia.

Bardzo się z tego cieszę. Przestań wreszcie myśleć o mnie. Nic mi się złego nie dzieje. Dam sobie radę.

- Tak, wiem, że jesteś silna. Ale zostawiam ci Ninę na

głowie. Rozpocząć małżeństwo, mając na głowie sześciolatkę, to naprawdę nie jest w porządku.

- Owszem, jest w najzupełniejszym porządku. Ja ją kocham, a Adamowi ona nie przeszkadza.

- On jest naprawdę aniołem. Ale ty też, Margaret, taka piękna i taka dobra. Chwilami mam wrażenie, że aż za dobra.

- Mówisz jak prawdziwa matka. Mamo, nie obraż się, ale zostało mi jeszcze sporo do przeczytania, egzaminy końcowe za pasem.

Popołudniowe słońce było wodniste, a stare nędzne bzy ciągle jeszcze nagie. Margaret, siedząc przy oknie, patrzyła na znajomy krajobraz, pozwalając błędzić niespokojnym myślom.

Jakie to cudowne, że przyszła na świat właśnie w tym domu i że teraz, kiedy matka jej go podarowała, kto wie, może nawet w nim umrze. Ale nie w tym pokoju, tylko w takim dużym, po drugiej stronie korytarza, z masywnym ciemnym łóżem i szafą, która w dzieciństwie przytłaczała ją swoim ogromem niby groźny olbrzym.

Wróciły jej na pamięć młodzieńcze marzenia o medycynie, widziała siebie na sali operacyjnej albo na statku-szpitalu, wiozącą cuda współczesnej medycyny w odległe miejsca kuli ziemskiej.

- Możesz być kim zechcesz - mówiono jej - masz wszechstronne uzdolnienia.

W miarę jak dorastała, w latach college'u, stawało się jasne, że musi dokonać wyboru. Adam, starszy z nich dwojga, teraz właśnie opuszczał sale wykładowe uczelni, by zacząć życie w normalnym świecie. A osiągnął naprawdę niemało. W college'u członek korporacji Fi Beta Kappa, miał wszelkie szanse, by zrobić dyplom z najwyższymi honorami, i już teraz dostał pracę tu w Elmsford w Zaawansowanych Systemach Danych, jednej z największych w całym stanie firm komputerowych. Rysowała się przed nim wspaniała przyszłość. Jednakże w sytuacji, w której uniwersytet stanowy znajdował się w odległości ponad trzystu kilometrów od domu, medycyna stała się dla Margaret niemożliwa.

Co do tej decyzji - ich decyzji - nie mogło być wątpliwości. Byli dla siebie wszystkim. Absolutnie wszystkim. Nagle ogarnęło ją jakieś szalone podniecenie. Zerwała się

z miejsca, zrzucając książkę na podłogę, i łapiąc po drodze sweter, zbiegła na dół.

Na podwórku Jean huštała Ninę.

- Myślałam, że masz się uczyć - powiedziała zdumiona.

- Tak, ale już skończyłam.

Jean się uśmiechnęła. Miała zwyczaj rozpędzać smutki uśmiechem.

- Zawsze mówię wszystkim, że jak już nie będziesz miała co czytać, zabierzesz się za książkę telefoniczną.

Była to prawda. Niestrudzona wyobraźnia Margaret nie cofała się przed niczym - zdobywała szczyty górskie, sięgała w przeszłość, docierała w najdalsze zakątki świata. Na przykład rano znalazła w książce telefonicznej zabawne nazwisko: Sokrates O'Brien. Może jakiś O'Brien był marynarzem floty śródziemnomorskiej i poznał grecką dziewczynę, którą przywiózł później do Ameryki? I może ten Sokrates to właśnie jego syn? A ci O'Brienowie byli biegli w sztuce antycznej i ich dzieci miały takie imiona, jak Psyche czy Kasandra...

Huštawka kołysała się - skrzyp, skrzyp - w przód i w tył, w górę i w dół. To powtarzające się zawsze w tym samym miejscu skrzypienie miało moc hipnotyczną. Psyche, Kasandra - skrzypiała huštawka.

Kiedy szła w górę, nogi dziecka były wyżej od głowy i cały czas rozbrzmiewał śmiech małej. W drodze powrotnej Nina piszczała w atakach udanego przerażenia. Po śmierci siostry Jean mała została przywieziona z Chicago, stając się dzieckiem Jean i Margaret, a ściślej, głównie Margaret. Uratowane dziecko; niewinny owoc lekkomyślnego seksu matki z anonimowym ojcem.

Nina, Nina - skrzypiały liny.

- Co się z tobą dzieje, Margaret? Jesteś o tysiąc kilometrów stąd.

Margaret, mrugając, powróciła do rzeczywistości.

- Potrzebuję świeżego powietrza i ruchu. Cały dzień siedziałam w domu.

- To wszystko sprawa napięcia nerwowego. Pamiętam, jaka ja byłam zdenerwowana przed ślubem. Idź, kochanie, na jakiś spacer.

Ulica była przyjemna, stare zadbane domy stały daleko jeden od drugiego. Większość ludzi miała w swoim obejściu



jakieś drzewa owocowe, a z tyłu obszerny ogródek warzywny. Prawie wszyscy trzymali psy, które buszowały po całym osiedlu, czując się jego właścicielami. Margaret i Jean też uprawiały całkiem przyzwoity ogródek, ale nie miały psa.

„Teraz, kiedy Nina jest już trochę starsza, trzeba będzie chyba wziąć psa” - pomyślała Margaret.

Jej myśli błędziły, próbując stawić czoło rzeczywistości. Szła ze spuszczoną głową i z zimnymi rękami w kieszeniach swetra.

Idąc uliczkami o małomiasteczkowym dziewiętnastowiecznym charakterze, znalazła się w mieście, jakim z upływem lat stało się Elmsford. Tu była główna biblioteka, obrosnięty bluszczem gotycki budynek, gdzie mama pracowała jako bibliotekarka. Tu znajdowała się też szkoła średnia, w której Margaret Keller, wówczas uczennica pierwszej klasy, jakimś cudem zwróciła na siebie uwagę kończącego szkołę Adama Crane'a. To prawda, że już od dawna o sobie wiedzieli, ale „wiedzieć o sobie” a „zwrócić na siebie czyjąś uwagę” to dwie różne rzeczy. I utrzymać tę uwagę tak długo, by doszło aż do ślubnej sukni i pary białych atłasowych czółenek, leżących na górnej półce w szafie.

Margaret ogarnęła nostalgia; poszła na szkolne boisko, skąd roztaczał się widok na płynącą w dole rzekę, nad którą, po tej stronie, stłoczyły się różne fabryki i która wartko toczyła wezbrane po długotrwałych wiosennych deszczach wody. Po drugiej stronie rzeki kilometrami ciągnęły się pola kukurydzy i pszenicy, tu i ówdzie urozmaicone niewielkimi kępami drzew, przypominającymi wyspy na spokojnym oceanie.

Elmsford - wygodne miejsce. Dobrze tu było dorastać i dobrze będzie wychowywać dzieci. Margaret nie należała do „latawic”, była domatorką, tak zresztą, jak Adam, tyle że on myślami wybiegał daleko. A ona stała teraz, zmarznięta na coraz gwałtowniejszym wietrze, i wspominała...

Jej wychowawczyni ze szkoły średniej, pani Hummel, powiedziała w ubiegłym roku w lecie:

- Mam nadzieję, Margaret, że nie zrobisz nic pochopnie. Cały czas przygotowywałaś się do studiów medycznych i teraz zamierzasz zrezygnować?! Naprawdę musisz?

- Znalazłam wyjście kompromisowe. Jeśli mnie tu zechcą, mogę uczyć biologii i chemii.

- I to nazywasz wyjściem kompromisowym?

- Tak. Ostatecznie będę uczyła przyszłych lekarzy.

- No cóż... - powiedziała pani Hummel. - Może i tak... Najprawdopodobniej uważała, że skoro jest znajomą matki, to jej rada spotka się ze zrozumieniem córki. Ale się myliła. Powiedziała jej o tym już mina Margaret i wobec tego pani Hummel dodała szybko:

- Chciałam tylko powiedzieć, że tak się świetnie zapowiadasz. No i że jesteś taka młoda...

Młoda! Przeciwnie, Margaret czuła się teraz stara. I to jeszcze jak! A poza tym tak bardzo, tak boleśnie tęskniła za Adamem! Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać, ale nie przez telefon, gdyby mogła spojrzeć w jego spokojną twarz. Adam, inaczej niż ona, był opanowany, nie poddawał się tak łatwo emocjom. Jeśli zrozumie jej rozterkę, z pewnością ją pocieszy.

A jednak nie pocieszył... Kiedy niejasno zasugerował odłożenie ślubu i Margaret zapytała, czy jest może coś, czego ona nie wie, równie niejasno odpowiedział, że nie.

- Nie ma żadnego powodu, poza ciężkimi egzaminami, które mnie czekają, i tym, że jestem wykończony. A zresztą parę tygodni zwłoki, co to za problem?

Ale Margaret wyczuła specyficzną atmosferę - jakby nagle podczas burzy zgasło światło i własny swojski dom, ze znanymi kątami i zamkniętymi drzwiami, stał się miejscem niebezpiecznym i obcym.

Czyżby był nią zmęczony? Czyżby znalazł sobie kogoś innego? Takie rzeczy się zdarzają. Ale przecież nie im? Nie Adamowi i Margaret?

Musi go zapytać. Ruszyła, niemal biegiem, w stronę domu i telefonu. Kiedy wspinała się pod górę, jej zbolące serce to waliło w piersi jak młot, to znów trzepotało jak ptak. Musiała się zatrzymać, żeby nabrać tchu, oprzeć się o stary kamienny mur.

Ale wiedziała, że nie zdobędzie się na to, by go zapytać. Że musi czekać, aż sytuacja sama się wyjaśni. To sprawa godności - kobieta nie prosi. W każdym razie ta kobieta. Niewątpliwie był to przestarzały model zachowania, nieuzasadniony w sytuacji, kiedy mężczyźni i kobiety mieli być tacy sami. Ale przecież nie byli. Równi, owszem, ale nie tacy sami.

A jednak pamiętał o jej urodzinach, które przypadały w ubiegłym tygodniu - uświadomiła sobie Margaret. Przysłał kwiaty, *Poezje zebrane* Audena i czekoladki. Zawsze narzekała, że jest „czekoholiczką”, a on odpowiadał, że z jej figurą może sobie na to pozwolić.

Szukasz dziury w całym, Margaret. Widzisz rzeczy, które nie istnieją.

Dosłownie spod jej nóg zerwała się ze snu zimowego wiewiórka ziemna i pobiegła wzdłuż muru. Patrząc, jak zwierzątko ucieka nierówno, zygzakiem, zaczęła się zastanawiać nad jego małym mózdzkiem - z jakiego powodu wiewiórka zmienia kierunek i co mogły dostrzec jej paciorkowate oczka, czego nie widziała ona, stojąc w tym miejscu.

Zygzak. Są rzeczy, które jedni widzą, a inni nie.

Margaret, teraz już wolno, skierowała się ku ulicy. Jej matka, osoba religijna, mawiała zwykle: „Bóg nie zsyła na człowieka więcej kłopotów, niż potrafi on unieść”. Może, ale Margaret już teraz, na podstawie swojego skromnego doświadczenia życiowego, zaczynała wątpić w tę prawdę.

„Jeśli Adam kiedykolwiek mnie porzuci - pomyślała znowu - to chyba umrę, niezależnie od tego, co sądzi mama. Czy może raczej nie, nie umrę, tylko będę chciała umrzeć. Będę żyła dalej, chcąc umrzeć, a to jest gorsze od śmierci”.

## ***Rozdział 2***

Ilekcję widział Randi albo przynajmniej wydawało mu się przez chwilę, że ją widzi, na kampusie czy w mieście na ulicy, czuł to sercem, oddechem, dosłownie całym sobą. Zawsze była obecna w jego myślach - gdy siedział na wykładzie, uczył się w swoim pokoju i nawet nie patrząc na zegarek wiedział, kiedy zadzwoni czy znajdzie się u jego drzwi. Czasami na twarzach nieznajomych widział nieśmiało uśmiechy, jakby go chcieli sprowadzić na ziemię, i wtedy docierało do niego, że to on sam się uśmiecha.

Adamowi nigdy nie przyszło do głowy, że można na czyimś punkcie dosłownie oszaleć. Tego, co przeżywał teraz, nie dawało się porównać z tym, co kiedykolwiek czuł dla Margaret.

Randi była małą okrągłą kobietką, nawet nie pulchną - miała po prostu taką pełną krągłości budowę. Była w niej też kobieca miękkość - zamięłowanie do falbanek, kwiecistych szali i koronek. Ciepły, łagodny głos dodatkowo podkreślał jej kobiecość. Słowem, miała wszystkie możliwe wdzięki i powaby, o jakich się czyta w książkach i podręcznikach. Ale także rodzaj skromności, o ile naturalnie można było o czymś takim mówić u osoby, której śmiech i paplanina działały na wszystkich zniewalająco. W każdym razie w jej zachowaniu było coś szczególnie tajemniczego, co można by spokojnie nazwać skromnością. A jednak mężczyźni nie dawali się na to nabrać. Adam często widział, jakim wzrokiem spoglądali na Randi, gdy szedł z nią za rękę, i dostrzegał zazdrość w ich oczach. Randi pracowała w jednym z biur w mieście, a mieszkała w małym schludnym mieszkanku niedaleko kampusu. Była czyjąś kuzynką - Adam nie pamiętał już czyją - w każdym razie widywano ją na wszystkich liczących się przyjęciach w towarzystwie najważniejszych ludzi z wydziału medycyny,

prawa i inżynierii. Nikt jednak nie mógł jej nazwać swoją dziewczyną; była wolna aż do chwili, kiedy spotkała Adama.

Po raz pierwszy naprawdę zwrócił na nią uwagę na przedstawieniu - siedziała w pierwszym rzędzie na wystawionym przez kółko dramatyczne musicalu, w którym Adam grał niewielką rolę. Kiedy zespół kłaniał się na zakończenie spektaklu, poczuł na sobie jej wzrok. Nawet nie wiedział, jak się nazywa; zachował jedynie jej mgliste wspomnienie z poprzednich spotkań. Gdy dostrzegł ją znowu pewnego wieczoru podczas przedstawienia i ich spojrzenia się spotkały, odszukał ją po spektaklu.

Powiedziała, że podobała jej się muzyka.

- Wychowałam się w domu dziadka. Grał w orkiestrze i znał się na muzyce. W ten sposób zdobyłam swoje skromne wiadomości w tym zakresie. Ale sama nie mam talentu, a prawdopodobnie nawet i słuchu.

Adam, sam muzycznie wykształcony, był urzeczony jej skromnością.

- Chciałbyś może przyjść do mnie i posłuchać płyt? -zapytała.

- Chciałbym przyjść, żeby z tobą porozmawiać - odparł. Wzajemne oczarowanie było błyskawiczne i bardzo silne.

Mniej więcej po pół roku Randi powiedziała nagle:

- Słyszałam, że masz dziewczynę...

Z poczuciem nadciągającej katastrofy odparł:

- Od kogo słyszałaś?

- Od ludzi. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zna kogoś, kto coś wie.

Właśnie jedli niedzielne śniadanie w jej kuchence. Adam miał na zawsze zapamiętać ten moment - jej różową sukienkę i włosy, które w słońcu przypominały czarną atlasową czapkę. I lekko wykrzywione usta - skutek złości albo wzbierającego płaczu.

- Jak ma na imię?

- Margaret - odpowiedział bardzo cicho.

- Czy to prawda, że latem macie się pobrać?

- Mieliśmy - mruknął.

- To znaczy, że z nią zerwałeś, tak?

- Jeszcze nie.

- A na co czekasz, jeśli wolno spytać?

W podnieceni wstał z krzesła, dlatego Randi, zadając mu to pytanie, musiała podnieść głowę; w jej oczach widział oskarżenie. Poczł się zbesztany, i słusnie.

- To... to jest bardzo trudne... - Wiedział, że jego słowa zabrzmiały niezręcznie i głupio.

Trudne! Szerokie czoło Margaret w aureoli krótkich rzeźbionych loków kamiennego cherubina. Linia okrągłych szarych oczu o białych powiekach. Spokój. Zdziwienie, niedowierzenie i cierpienie - jakie cierpienie! - kiedy zacznie - „Muszę ci coś powiedzieć, Margaret...”.

- Dlaczego to przede mną ukrywałeś? - zapytała ostro Randi.

- Wiem, że nie powinienem. Po prostu... po prostu uznałem, że nie było potrzeby ci o tym mówić, skoro zamierzałem... zamierzam z nią zerwać.

- A jaka ona jest?

Adam zdrętwiał. Jak mógł do czegoś takiego doprowadzić? Od miesięcy oszukiwał się, obiecując sobie, że już jutro albo najdalej w przyszłym tygodniu załatwi sprawę i wyjaśni wszystko Margaret. I swojej matce, i jej matce, i wszystkim w domu, dla których jego związek z Margaret był czymś tak oczywistym jak wschód słońca. Ale w swoim nowym opętaniu odkładał tę chwilę z dnia na dzień.

- Pytałam cię, jaka ona jest?

- Mądra. Chciała być lekarzem - odparł niezbyt sensownie.

- I jaka jeszcze?

- Miła. Tak, ma wielu przyjaciół.

- A jak wygląda?

- Randi, proszę cię.

- Powiedz mi tylko, czy jest ładna. Czy jest ładniejsza ode mnie?

- Jest... inna.

- W jaki sposób inna?

Zaczął się jąkać, szukając właściwych słów.

- Nie jest modna. Sprawy mody nie mają dla niej żadnego znaczenia.

- Dlaczego nie chcesz o niej mówić? - wykrzyknęła zapłakana i zirytowana. - Czy ty nie widzisz, jak bardzo mnie ranisz?! I do tego stoisz jak kukła i nic nie mówisz. No mówże wreszcie!

- Randi, Randi, kochanie. - Zaczął do niej przemawiać, jakby w nagłym przystępie strachu poczuł, że może ją stracić.  
- Wierz mi, że ostatnią rzeczą, do jakiej chciałbym się przyczynić, jest twoje zmartwienie. Nie płacz. Proszę cię. To prawda, że już we wrześniu powinienem zerwać z Margaret. Powinienem był ci o niej powiedzieć na samym początku. Ale ja się po prostu bałem tych kłopotów, tego cierpienia. Przyznaję, że zachowałem się jak ostatni tchórz. Wstydzę się sam przed sobą.

- I słusznie.

- Przysięgam ci, że w tym tygodniu wszystko załatwię. Przysięgam.

- Naprawdę nie masz zamiaru się z nią ożenić? Słyszałam, że jesteście zaręczeni od lat.

- Bez przesady, nie od lat. Ale od jakiegoś czasu. Posłuchaj mnie, Randi, cokolwiek do niej czułem, to już minęło.

- Mam nadzieję.

- Oczywiście, że minęło. Popatrz na mnie. Spójrz mi w oczy. Co tam widzisz?

- Nie wiem. Nie jestem pewna.

- Ale to jest prawdziwe. Wierz mi, Randi. Ty i ja. To jest dopiero prawdziwe uczucie.

I pocałował Randi. A po półgodzinie płaczów i pretensji poszli do łóżka.

Miało to miejsce przed trzema miesiącami. A teraz, idąc do Randi w ten chłodny wiosenny wieczór, Adam uświadomił sobie, że w dalszym ciągu „nie załatwił sprawy”, że podjął dopiero kilka nieśmiałych kroków, a i te wywołały dość zamieszania.

Nie dalej jak wczoraj jego matka dzwoniła po raz trzeci. Była osobą łagodną, więc jej wzburzenie i wymówki robiły na nim szczególne wrażenie.

- Powody odłożenia daty ślubu, jakie podajesz, są śmieszne. Gdybym nie wiedziała, jak bardzo kochasz Margaret, zaczęłabym cię o coś podejrzewać. Zachowujesz się jak człowiek leniwy, niedbały czy nieodpowiedzialny. Strach cię obleciał, boisz się, że nie sprostasz wyzwaniu, czy co?

Ręka, w której trzymał słuchawkę, zrobiła się mokra od potu.

- Mamo - powiedział z nadmierną cierpliwością - napraw-

dę nie ma w tym nic więcej ponad to, co powiedziałem Margaret.

W weekend pojedzie do domu i wyłoży kawę na ławę. I to wszystko. Ale z pewnością nie matce powie pierwszej.

- Mamo, za dziesięć minut zaczyna się wykład. Muszę już kończyć.

- Tyle zmartwienia przysparzasz tej uroczej dziewczynie! Co ona teraz powie ludziom? Jak to wygląda? Wszyscy myślą, że ślub będzie w czerwcu, a tymczasem...

- Mamo, muszę iść.

Ta urocza dziewczyna. Tak, Margaret była bez reszty uczciwa, nie stosowała żadnych sztuczek ani wybiegów. Ale on też jest uczciwy - przekonywał sam siebie. Jest czy może raczej był do tej pory.

Przed wyjazdem do Korei, na wojnę, ojciec zostawił list, który Adam miał otworzyć dopiero, kiedy będzie dostatecznie dorosły, żeby go zrozumieć. Wśród wielu przestróg była jedna dotycząca uczciwości - ojciec przykazywał synowi, by nigdy nie robił niczego za czyimiś plecami. Oczyma duszy Adam widział teraz proste pismo ojca i czuł się zdrajcą.

Margaret go kochała, a on odwzajemniał to uczucie i uważał się za szczęściarza. Przed nimi ścieliła się droga prosta, gładka i świetlista, dopóki nie przecięła jej Randi. Czy naprawdę był taki podły? Bóg świadkiem, że nie jest nieczuły; na samą myśl o tym, że miałby zrobić Margaret krzywdę czy choćby przykrość, ścisnęło mu się serce. Po prostu nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Ale przecież nie on pierwszy i nife, ostatni. Czyż cała poezja i muzyka świata nie obraca się wokół tego, co go łączy z Randi?

„Tyle tylko, że niezależnie od całej poezji i muzyki, gdy przychodzi do konkretnej sprawy, zawodzą wszelkie słowa” - pomyślał i uniósłszy kołnierz przed wiatrem, zrobił jeszcze jedną rundkę, jakby wysiłek fizyczny mógł mu rozjaśnić umysł.

Margaret ma różne inne możliwości - przekonywał sam siebie. Ostatecznie może przecież wyjść za Freda Davisa, który nigdy nie robił tajemnicy ze swoich uczuć do niej. Fred, człowiek prawy, pogodny i miły, ale bardzo zasadniczy, z pewnością potępiłby Adama Crane'a, nie ukrywając swego niesmaku, a jednocześnie z radością wykorzystując jego odej-



ście do własnych celów. Albo mogłaby studiować medycynę, jeśli się nią w dalszym ciągu interesuje. Adam nie był tego pewien; ostatnio interesowała się właściwie tylko nim. Tak więc znalazł się w punkcie wyjścia.

- Czy coś się stało? - zapytała Margaret, kiedy po przyjeździe na wiosenne ferie nieśmiało wspomniał, że może byłoby dobrze wstrzymać się trochę ze ślubem. Planował, że będzie przedłużał rozmowę, aż stopniowo, po godzinie czy dwóch, prawda sama wyjdzie na jaw. Ale pełen przerażenia niepokój, jaki zobaczył w oczach Margaret, odebrał mu wszelką odwagę i zaczął - jak mógł - pocieszać dziewczynę. Oczywiście robił to bez przekonania, a co za tym idzie, i bez skutku. Wiedział, że nie powinien był tego robić.

Zadzwoił do drzwi Randi. Z wnętrza słychać było muzykę do tańca i do słuchania. Kiedy podeszła do drzwi, zarzuciła mu ręce na szyję i wciągnęła do środka. Na stole stał bukiet żonkili i butelka wina, z kuchenki dochodziły smakowite zapachy.

- A cóż to za urozystość? - zapytał. - Czy to jakiś szczególny dzień?

- Co za pytanie? Każdy dzień jest na swój sposób szczególny. Robisz wrażenie zmęczonego.

- Bo jestem zmęczony. Kończyłem pracę i spałem tylko dwie godziny. - Usiadł na sofie. - Ale podobno prawdziwe życie właśnie na tym polega, więc im prędzej się do niego przyzwyczaję, tym lepiej.

- A myślisz, że się przyzwyczaisz? I że je polubisz?

- Pokocham je bez względu na wszystko. To jest przecież to, co zawsze chciałem robić.

- Cieszę się. Siadaj, a ja za chwilę przyniosę jedzenie. Wszystko jest gotowe.

Ciasne wnętrze było wypełnione znanymi przedmiotami -w przedpokoju oparty o ścianę rower, biurko zarzucone bieżącą korespondencją. Przez otwarte drzwi Adam widział łóżko, które zajmowało prawie cały pokój. W świetle lampki nocnej zauważył, że pościel jest różowa. Czasem bywała jasnoniebieska. Uśmiechnął się; swojskie otoczenie i bliska perspektywa rozkoszy napełniły go poczuciem bezpieczeństwa. A kiedy się pobiorą, stanie się ono jego codziennością.

Ale przedtem musi się wdrapać na wysoki szczyt i znaleźć

się po jego drugiej stronie. I znów z ciężkim sercem pomyślał

O gotowej już sukni ślubnej Margaret, o wszystkich pytaniach, na które będzie musiał odpowiedzieć w domu, i o odium, jakie na niego spadnie.

- O, tu jest dobre czerwone wino kalifornijskie. Napij się, to ci poprawi nastrój - powiedziała Randi.

Wypili butelkę wina i zjedli smaczną lekką kolację, jako że Randi była doskonałą gospodynią. Wkrótce poszli do łóżka

i po najcudowniejszej godzinie rozkoszy zasnęli.

Rano, po przebudzeniu, Adam spostrzegł, że Randi leży obok niego na wznak i szeroko otwartymi oczyma patrzy w sufit. Wydało mu się, że jest jakaś dziwnie poważna, więc zapytał czule:

- O czym myślisz?

- O tym, jaki jesteś słodki. Roześmiał się.

- Słodki? To określenie bardziej pasuje do ciebie niż do mnie.

Kiedy sennym ruchem sięgnął, żeby ją do siebie przygarnąć, wymknęła mu się, założyła różowy szlafroczek i usiadła na brzegu łóżka.

- Obudź się, Adamie. Muszę ci coś powiedzieć. Jej ton go zaniepokoił.

- Mianowicie?

- Jestem w ciąży.

- O Boże.

Randi obserwowała go pilnie. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało i Adam wiedział, że Randi go sprawdza. Może się bała, że niezbyt dobrze przyjmie tę wiadomość. Ale jeśli tak, to się myliła. Początkowo rzeczywiście był oszołomiony, ale bardzo szybko się opanował - nie ma się czego obawiać, od razu będzie bardzo przyzwoicie zarabiał, nie widzi problemu...

Na jego twarzy rozlał się uśmiech.

- Naprawdę nic złego się nie stało, nie ma się czym przejmować.

W oczach Randi pojawiły się łzy. Adam wyskoczył z łóżka i wziął ją w ramiona.

- Ciesz się! - zawołał. - Wiem, że to jest szok, ale przecież mamy sobie radę. Pobierzemy się nawet jeszcze przed zakoń-

czeniu roku, jeśli chcesz. Po górzystej stronie rzeki jest taki nowy dom, położony wysoko, z pięknym widokiem.

Ciesz się, kochanie - wyszeptał jej w policzek. - Będziemy młodymi rodzicami.

- Chcę usunąć tę ciążę - oświadczyła Randi. Adam wypuścił ją z objęć.

- Wykluczone. W żadnym wypadku.

- Owszem, nie rób takiej tragicznej miny.

Adam aż podskoczył ze zdumienia, i stał teraz, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Nie - powtórzył.

- Czy dla ciebie to sprawa zasad czy coś innego?

- Przecież nie zostałam zgwałcona! Żeby coś takiego niszczyć... to tak jakbyś chciała zniszczyć część mnie. Bo przecież to jest część mnie. Nas.

Randi nie odpowiedziała. Jej oczy w dalszym ciągu były wilgotne, a na krawędzi rzęs zawisła łza, gotowa w każdej chwili spłynąć po policzku. Objął ją ramieniem.

- Naprawdę nie ma powodu - powiedział łagodnie. - Tak nie można. Zastanów się. To nie byłoby w porządku.

- Owszem, jest powód - odparła równie łagodnie - ale trudno mi o nim mówić. Och, Adamie! To wszystko jest takie trudne.

- Mów.

- Nie wyjdę za ciebie. Nie mogę. A nie chcę dziecka bez ojca.

- Jak to nie możesz?! - Adamowi zaświtała straszna, nieprawdopodobna wprost myśl. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że jesteś mężatką czy coś w tym rodzaju?

- Nie, ale wychodzę za męża. Tylko że za kogo innego. W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. A potem poczuł się tak, jakby Randi zdzieliła go pięścią w dołek, i to go upewniło, że się nie mylił. Ogarnęła go fala wstydu, kiedy sobie uświadomił, że jest goły. Złapał pierwszą z brzegu sztukę garderoby, którą okazał się płaszcz, i okrył swoją nagość.

- Adam, to naprawdę nie jest takie straszne, jak się może wydawać. A przynajmniej ja tak uważam. Przekonasz się, że i dla ciebie tak będzie lepiej.

- O Boże. - W gardle Adama płonął ogień, ale jego głos

był zimny i wyraźnie się łamał. - No, mów dalej. Może mi wreszcie coś wyjaśnisz.

- Wpakowaliśmy się nawzajem w bardzo trudną sytuację. Do tej pory nie uregulowałeś swoich spraw z tą dziewczyną. Miałeś na to wiele miesięcy, a wiem, że tego nie zrobiłeś.

- A jaki to ma, u licha, związek z kimś innym? Chyba, że zupełnie zwariowałaś.

- Nigdy w życiu o niczym innym nie myślałam tak długo i tak poważnie jak o nas.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - wykrzyknął. - Co to za facet? Gdzie on jest? Kiedy to się stało?

Nie mógł na nią patrzeć, jak siedzi taka skulona, otulając się szlafrokiem, jakby się bała ataku z jego strony. A mimo to nie był w stanie odwrócić oczu. Wezbrała w nim dzika furia.

- Jeżeli wysłuchasz mnie spokojnie, to ci powiem. Zaczęłam od tego, że nawet nie zerwałeś z Margaret.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

- Gdybyś zerwał, na pewno byś mi o tym powiedział.

- Co za różnica? Czy to dlatego znalazłaś sobie innego faceta i jednocześnie spałaś ze mną? No, proszę, odpowiedz!

- Nie umiem ci powiedzieć, co było pierwsze. Wszystko jest takie poplątane.

Kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczył, jak zawieszona na rzęsach łza spływa wolno po policzku. Wstał, zrobił kilka kroków, uderzając pięścią w dłoń, a następnie usiadł na krześle i czekał z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Może gdybyś nie był tak mocno uwikłany... Kiedyś, kiedy przyszedłam do ciebie wieczorem, zadzwoniła akurat twoja matka, a ty poszedłeś do pokoju swojego przyjaciela, żeby rozmawiać przez jego telefon i zamknąłeś drzwi.

Ale ja i tak wszystko słyszałam. Zorientowałam się, w jakich okropnych jesteś tarapatach, i pomyślałam sobie, że to wszystko jest strasznie trudne. A ten człowiek, Chuck, nie będę wymieniała jego nazwiska, bo nie chcę mnożyć kłopotów, zwłaszcza że jesteś taki wściekły, no więc Chuck przyszedł do nas do biura coś załatwić, zobaczył mnie i zaprosił na kolację...

„Nie wątpię” - pomyślał Adam ponuro.

- I po paru spotkaniach zaproponował mi małżeństwo. Jest rozwiedziony, mieszka w Kalifornii, pokazał mi zdjęcie swo-

jego domu, naprawdę cudny, z palmami dokoła basenu, tyle słońca, taki spokój...

- Naprawdę cudny. Palmy i basen. Czy zdajesz sobie sprawę, że to jest niesmaczne? - Adam zastanawiał się, jak przeżyje ten horror.

- Wiem, że to tak wygląda. Ale naprawdę nie chodzi tylko

O pieniądze, możesz mi wierzyć. To jest bardzo przyzwoity

1 miły człowiek. I wcale nie żaden stary jeleń. Nie ma nawet czterdziestki. - Randi wytarła policzki rękawem. - Nie wyobrażasz sobie, ile nocy przepłakałam. Bo tak bardzo mi na tobie zależy, Adam. To zrozumiałe, że mi nie wierzysz, i nawet nie mam o to do ciebie pretensji. Ale przysięgam ci, że to jest prawda. I że mam serce rozdarte na strzępy.

- Sam bym cię chętnie rozdarł na strzępy. Czy ty nie widzisz, że każdy głupi by przejrzał twoją grę? Przeżyliśmy w łóżku wspańnięte chwile, ale widzę, że dla ciebie wszystko się do tego sprowadzało. Że to ci w zupełności wystarcza. Zjawił się facet z forszą i ciebie - fiut - już nie ma. I koniec. Kropka. Jesteś zwyczajną dziwką.

- Nie, nie jestem żadną dziwką. Jestem tylko osobą praktyczną. Czy ty sobie wyobrażasz, że moje życie było usłane różami?

- Mało kto ma życie usłane różami.

- Tak, ale tu chodzi o moje życie. Chcę z niego wyciągnąć, ile się da. Muszę zrozumieć siebie.

- To nie jest takie trudne. Blichtr, złoto i bogactwo.

- Owszem, coś w tym jest, nie przeczę. Ale chyba wszyscy lubią pieniądze. Zawsze ci mówiłam, że chcę stąd wyjechać i coś niecoś zobaczyć. Nigdy nie wytknęłam nosa z tego miasta. Ludzie przyjeżdżają na uniwersytet i opowiadają o swoich stronach i o miejscach, które odwiedzają, a ja ich słucham i zastanawiam się - kiedy wreszcie ja się gdzieś ruszę? Do Kalifornii, do Nowego Jorku, dokądkolwiek?

- I odkryłaś w sobie tę pasję, kiedy się pojawił ten przyzwoity i miły człowiek z Kalifornii, tak?

- Nigdy nie robiłam z tego tajemnicy.

Może i rzeczywiście wspominała o swoich marzeniach, ale Adam nie przywiązywał do tego wagi.

- Coś mi mówiło, że nie byłabym szczęśliwa, żyjąc w takim małym środkowozachodnim mieście jak twoje. Przy-

puszczam, że jest podobne do tego, co tu mamy, tylko większe. A gdybym była niezadowolona, mogłabym stać się dla ciebie niesprawiedliwa.

- Ach, jakie to z twojej strony wspaniałomyślne, jakie szlachetne!

- Przepraszam cię, Adamie. Bardzo mi przykro, że tak się to kończy. Ale musiałam się szybko zdecydować.

Jaka ona była delikatna! Czarne włosy, jasna cera, jedwabny szlafroczek, aksamitne klapki - wszystko takie delikatne. Adam miał ochotę złapać tę całą delikatność i zmiażdżyć, zdeptać; teraz zrozumiał, jak w jednej sekundzie potrafi dojść do najstraszliwszej zbrodni.

- Błagam cię, Adamie, spróbuj to chociaż zrozumieć. Proszę cię, zrób to dla mnie.

Wszystkie ich wspólne dni i noce... jakie to miało znaczenie?

- Przecież jeszcze tej nocy się kochaliśmy... czym to dla ciebie było? Dlaczego to robiłaś?

- Chciałam, żebyśmy na zakończenie mieli coś pięknego do wspominania.

Randi szlochała. Kiedy wyciągnęła do niego rękę, odtrącił ją szorstko i poszedł do łazienki się ubrać.

- Na dłuższą metę nie byłbyś ze mną szczęśliwy - powiedziała, kiedy wrócił.

Serce waliło mu jak młotem i ręce drżały, kiedy zapinał płaszcz. Odprowadziła go do drzwi. Butelka po winie w dalszym ciągu stała na stole.

- A jednaką była to uroczystość - powiedział, mijając ją po drodze.

- Kolacja pożegnalna, Adam. Mam nadzieję, że moja decyzja była właściwa, wierzę w to. Tak będzie dla ciebie lepiej. Zobaczysz. Uporasz się z tym prędzej, niż ci się wydaje.

- Niech cię szlag trafi! - zaklął i trzasnął drzwiami.

Serce, w którym kipiała wściekłość, w dalszym ciągu waliło tak mocno, że zanim ruszył dalej, musiał na chwilę oprzeć się o poręcz. Poszedł okrężną drogą przez park. Myśl o pokoju, książkach i niedzielnej ciszy napawała go rozpaczą. Ranek był pochmurny i szary, zaciął wiatr, ostry jak nóż, i cały świat wydawał się zwariowany, pozbawiony jakiegokolwiek logiki czy sensu.

„Przecież ona nie jest jedynie jeszcze jednym atrakcyjnym ciałem bez serca czy rozumu - pomyślał. - Ma wdzięk i dużo subtelności, o czym może świadczyć chociażby jej wrażliwość na muzykę. A mimo to tak lekkomyślnie igrała z jego miłością, której przecież była świadoma - czy nie mówił jej dostatecznie często, że ją kocha, i nie dawał wystarczających dowodów uczucia? Igrała z nim tak długo, aż dojrzała do tego, żeby go porzucić. Co znaczyły jej łzy, skoro mogła od niego odejść, zabierając ze sobą jego część, zresztą tylko po to, by ją spuścić z wodą? I jeszcze śmiała mówić, że go kocha”!

Czarna, spokojna powierzchnia stawu usiana była białymi wysepkami topniejącego lodu. Pomiedzy nimi pływały kaczki w kółko, bez celu. „Zupełnie jak ja” - pomyślał i zatrzymał się, żeby na nie popatrzeć. I co dalej? Przyszło mu do głowy, że Margaret mogłaby zadawać sobie to samo pytanie, gdyby ją spotkało od niego to, co jego spotkało od Randi... Długi czas stał na zimnie, obserwując kaczki.

„Nie byłabym szczęśliwa w takim małym mieście jak twoje. Na dłuższą metę nie byłbyś ze mną szczęśliwy”. To prawda, że teraz, kiedy się nad tym zastanowił, jakoś nie widział Randi grabiącej liście w ogródku w Elmsford. A Margaret grała.

Ale Adam stracił już swoją pierwszą miłość do niej. Tym bardziej było mu żal, żal i smutno.

Nie wiedział, jak długo tam stał. Ręce w kieszeniach, mimo grubych rękawiczek, miał skostniałe i nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do siebie.

Długo po północy Adam ciągle jeszcze nie spał, przeżywając gonitwę myśli.

Czy koniecznie musisz mieć miłość? - pytał sam siebie. - Czy nie wystarczy ci przyjaźń, zaufanie i szacunek? Czy to nie dość? Zobacz, co ci dała miłość!

Oczywiście nie ma najmniejszego powodu, żeby podejmował zobowiązania wobec kogokolwiek. Z pewnością w wieku lat dwudziestu pięciu nie musi się żenić. A zresztą w ogóle nie musi się żenić. Nie ma powodu, poza tym jednym, że już podjął zobowiązanie. Przed oczyma stanęła mu dramatyczna

wizja sukni nadaremnie wiszącej w garderobie. A także złamanej i upokorzonej Margaret, tak jak on teraz. Adam był racjonalistą i uważał, że na ogół człowiek jest kowalem własnego losu, mimo to cała ta sprawa z Randi wydawała mu się teraz czymś, co nie powinno się było wydarzyć. Jakby go sprowadzono z wyznaczonej mu drogi. Z dreszczem obrzydzenia przypominał sobie „cudny” dom, palmy i basen. Wielkie bogactwo go nie interesowało. Wystarczy mu, że zarobi na przyzwoite utrzymanie. Zadowolony się pracą, którą kocha, i da z siebie wszystko. Może nie będzie to tak kolorowe życie, jakie sobie wyobraził z Randi, ale w każdym razie godne i postara się, żeby było na swój sposób szczęśliwe.

Dobra pozycja i świetna dziewczyna - tyle dał mu los i za to powinien być mu wdzięczny.



***CZEŚĆ DRUGA***  
1988 do 1994

### **Rozdział 3**

W długi czerwcowy wieczór najdłuższego dnia w roku słońce kreśliło na trawie ostre łuki cytrynowego światła. W cieniu wiązków, gdzie siedziała niewielka grupka osób, trawa miała kolor ciemnoniebieski. Ogień zgasł pod roznem, a w pobliżu stołu buszowały dwie wiewiórki, szukając okruchów z rocznicowego tortu; pod stołem psy odsypiały kolację. Z najdalszego końca ogrodu, zza warzywnika, gdzie dojrzewały pomidory i groch piał się po tyczkach, dochodziło wesołe klikanie kul. To Nina, która przyjechała do domu na wakacje, grała z dziećmi i z Adamem w krykieta.

Margaret, czuwająca nad tym małym intymnym światkiem, jak zwykle szukała właściwego słowa na jego określenie i jak zwykle nie znalazła nic lepszego od „przytulny”.

- Adam bardzo dobrze wygląda - zauważyła kuzynka Luiza - ani odrobinę starszej niż w dniu waszego ślubu.

Była to prawda. Jego złotoblond włosy były tak samo gęste jak kiedyś, a pochylenie ramion równie nieznaczne jak piętnaście lat temu; w pojęciu Margaret słowo „elegancki” w dalszym ciągu pasowało do niego jak ulał.

- Ale co wobec tego powiedzieć o Margaret? - dodał kuzyn Gilbert. - Margaret w ogóle się nie starzeje.

Wraz z Luizą stanowili potwierdzenie dość głupiego zresztą powiedzenia, że pary małżeńskie na starość upodabniają się do siebie. Oboje byli pulchni, rumiani, życzliwi ludziom, rozmowni i sympatyczni.

- Margaret zachowa urodę do osiemdziesiątki - wtrącił Fred Davis, którego jasnoniebieskie oczy stały się poważne i pełne zadumy.

- Och, wtedy to już będę cała piegowata - powiedziała Margaret, patrząc na swoje białe ramiona obsypane drobnymi

piegami. - Jak do tej pory, dzięki Bogu i dużym kapeluszom, moja twarz została oszczędzona.

Miała uczucie czystego spokoju i lekkości. Był to jeden z tych szczęśliwych momentów, kiedy wszystkie włókna życia splatają się w jedno. Piętnaście lat! Patrząc teraz na stary dach, który ich chronił - ją, Adama, Megan, Julie i Dan-ny'ego - wyraziła nieprawdopodobne życzenie - oby życie było zawsze takie jak w tej chwili.

- Czy ty może chcesz się pozbyć tego szczeniaka? - zapytał Fred, który wziął właśnie na kolana małego kundelka i głaskał go po łebku.

- Wydaje mi się, że już znalazłam na niego chętnych - odparła Margaret. - Dlaczego pytasz? Chyba nie chcesz pieska?

- Wiesz co, właściwie to bym chciał. Od zeszłego roku, od śmierci Denise, dom wydaje mi się tak pusty, że słyszę echo. W pierwszej chwili byłem rad, że nie zostawiła małych dzieci, żeby się chowały bez matki, ale teraz żałuję. - I jak gdyby do siebie powtórzył: - Ja w tym domu słyszę echo. Nawet moje własne kroki wydają mi się za głośne.

Luiza wyraziła mu współczucie, a Margaret powiedziała:

- Ja ci znajdę psa. Od czasu kiedy nawiązałam kontakt ze schroniskiem dla zwierząt, wtedy, co to znalazłam na drodze porzuconego chorego collie, dzwonią do mnie ze dwa, trzy razy w tygodniu z prośbą, żeby im znaleźć jakichś ludzi, którzy by wzięli psa. Do tej pory miałam szczęśliwą rękę. Zobaczysz, niedługo trafi się jakieś przyzwoite, godne mężczyzny psisko.

- Nie, ten mi się bardzo podoba, jeśli naturalnie mogłabyś mi go darć-Jest dostatecznie mały, żeby mógł wszędzie ze mną jeździć i towarzyszyć mi w biurze.

Małe zwierzątko i wysoki, potężny mężczyzna zupełnie do siebie nie pasowali, ale zarówno ręce, jak i ciepłe oczy Freda były łagodne. Od czasu kiedy został wdowcem, miał w sobie coś wzruszającego. Był tylko o pięć lat starszy od Adama, ale wyglądał znacznie poważniej. Jego mocna, otwarta twarz przybierała czasem wyraz rozmarzenia.

Zawsze pełnił wobec Adama rolę starszego brata i teraz należał do tych nielicznych osób, których wizyty Adam tolerował.

- On jest samotny - mówiła nieraz Margaret. - Powinien się ożenić.

Na co Adam, będąc w żartobliwym nastroju, odpowiadał:

- On czeka na ciebie.

Kiedy Margaret była w żartobliwym nastroju, podejmowała grę:

- A co, zamierzasz się ze mną rozwieść czy popełnić samobójstwo? Jedno czy drugie?

Teraz powiedziała do Freda:

- Jest twój. Nazywa się Jimmy, chyba, że chcesz mu zmienić imię.

- Jimmy jest w porządku.

I znów jasne oczy Freda spoczęły na Margaret z wyrazem powagi i zamyślenia.

- Muszę zapytać Adama, jak się marynuje mięso - powiedziała szybko Luiza, zmieniając nastrój. - Rozejrzałam się po waszej półce z przyprawami i zobaczyłam tam rzeczy, o których nawet nie słyszałam.

Margaret się uśmiechnęła.

- Dokądkolwiek jedziemy, zawsze badamy lokalny rynek. W zeszłym roku odwiedziliśmy chyba wszystkie chińskie sklepy spożywcze w San Francisco. Adam zna owoce i warzywa, o jakich mnie się nawet nie śniło. Jego dwie miłości to komputer i egzotyczne przepisy kulinarne.

- O jakich dwóch miłościach mówicie? Ja mam trzy - odezwał się Adam. Właśnie nadeszli całą grupą po zakończonej grze w krykieta.

- Megan, Danny'ego i mnie. Przede wszystkim mnie! - wykrzyknęła Julie.

Miała dziesięć lat i podobnie jak jej starsza siostra stanowiła dokładną kopię Adama, włącznie z wąskim prostym nosem.

- Ale nasza drużyna wygrała - wtrącił Danny. - Ja i Nina zwyciężyliśmy. Pobiliśmy ich, prawda, Nina?

- Tak, i znów to powtórzemy - powiedziała Nina, burząc jego kędzierzawą rudą czuprynę, której Danny nie cierpiał. Dzieci uwielbiały Ninę nie tylko dlatego, że i ona je uwielbiała. Nina miała po prostu urok osobisty, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Z samowolnego dziecka wyrosła na pewną siebie młodą kobietę, pełną życia i entuzjazmu.

Margaret widziała w tym swoją zasługę - to ona przekonywała Adama, że należy pozwolić Ninie iść własną drogą i dokonywać własnych wyborów.

- Słyszałam - powiedziała Luiza - że odniosłaś w Nowym Jorku wielki sukces.
  - Wielki sukces? Tego bym nie powiedziała, ale mam nadzieję, że może kiedyś tak będzie. W każdym razie jestem bardziej z siebie zadowolona, niżbym była, gdybym nie rzuciła college'u po pierwszym roku. Skończyłabym studia w zeszłym miesiącu, zaledwie liznąwszy co nieco z historii i literatury angielskiej i praktycznie nie miałabym co ze sobą zrobić.
  - Strasznie ponuro to zabrzmiało - rzekł Adam. - Czy dyplom ukończenia dobrej uczelni nic dla ciebie nie znaczy?
  - Dla większości osób z pewnością znaczy, i to wiele. Ale ja nigdy nie miałam ochoty na studia, dobrze o tym wiesz. Chyba nie zamierzasz mnie porównywać z Margaret. Chwilami mam wrażenie, że musiałam cię bardzo rozczarować. -Nina nagle zwróciła się do Margaret. - Zwłaszcza jak sobie przypomnę te wszystkie wieczory, kiedy ślęczałaś nade mną, wbijając mi do głowy chemię i matematykę! O tam - dodała, wskazując okno na górze - przy moim biurku koło okna. I nigdy się nawet na mnie nie zezłościłaś, nigdy mnie nie zawstydziłaś.
  - Bo nie miałam powodu. Ani wtedy, ani teraz. Zawsze byłaś sobą i jestem szczęśliwa, że robisz to, na co masz ochotę.
- Ze szczególną czułością, inną niż ta, z jaką traktowała swoje dzieci - które miały i matkę, i ojca - spojrzała w czyste oczy Niny. Żywe jak iskra młode stworzenie i jakie urocze w tej krótkiej żółtej sukience.
- Szkoda, że Nowy Jork nie jest bliżej - mruknęła Margaret pod nosem. Nie chciała tego powiedzieć głośno, po prostu samo jej się wyrwało.
  - Wiem. Ale jest wspaniały! Codziennie masz do wyboru setki cudownych rzeczy do oglądania i słuchania. Ja się zupełnie nie nadaję do tego, żeby mieszkać w małym mieście -powiedziała Nina i szybko dodała: - Nie to, żebym uważała Elmsford za małe miasto...

Luiza nalegała:

- Ale powiedz nam, jak ci się wiedzie.
- No więc jak tylko skończyłam ten kurs projektowania, musiałam sobie oczywiście poszukać pracy...

- Ale powiedz, co się wydarzyło przedtem, jeszcze w szkole - podpowiedziała jej Margaret.
  - A tak. W szkole mieliśmy konkurs na zaprojektowanie pokoju. Mnie przypadł pokój dla ośmioletniego chłopca, więc zaraz sobie pomyślałam o tobie, Danny, a ponieważ dobrze cię znam, więc od razu byłam do przodu. I wygrałam - zakończyła skromnie Nina.
  - Nie bądź taka skromna - wtrącił Gilbert. - Jesteś w rodzinie. Mów.
  - Ktoś napisał artykuł o tych, co zwyciężają, więc kiedy szukałam pracy, wzięłam go ze sobą i za trzecim razem dostałam pracę. I to wszystko.
  - Ale zaczęłaś od razu z wysokiego pułapu - uświadomiła jej Margaret. - Crozier i Dexter. Ile razy jestem u fryzjera i sięgnę po jakieś pismo związane ze sztuką i dekoratorstwem, zawsze natykam się na nich.
  - No tak, Crozier i Dexter to rzeczywiście wysoki pułap - przyznała Nina. - Muszę powiedzieć, że to był niezwykle traf, bardzo zresztą dla mnie szczęśliwy. Ja się naprawdę u nich masę uczę! Choć jestem jeszcze zupełnie zielona, już mi pozwolili trochę pomóc przy projektowaniu pokoju we wzorcowym domu osiedla Farnsworth. To najważniejsza doroczna wystawa wewnątrz w mieście. Robota była bardzo przyjemna i wiele skorzystałam.
  - Crozier i Dexter - powtórzyła Luiza. - Muszę ich poszukać. Czy to mężczyźni, czy kobiety?
  - Dwaj faceci. Willie i Ernie.
  - Wszystko jasne! - wykrzyknął Gilbert. - Powiedz od razu, któremu z nich wpadłaś w oko?
- Nina się roześmiała.
- Żadnemu, możesz być spokojny. Willie i Ernie są w pewnym sensie no... żonaci.
  - Coraz lepiej - powiedziała Luiza z lekkim prychnięciem. Adam ryknął śmiechem.
  - Tak jest dla Niny bezpieczniej, nie rozumiecie?
  - Nic podobnego - odparowała Nina. - Świetnie sobie radzę bez Williego i Erniego.
  - Nie wątpię - rzekł Fred, który w dalszym ciągu trzymał szczeniaka na kolanach. Zrobił zmartwioną minę, co

kich bardzo rozśmieszyło, i dodał: - Gdybym był młodszy, panno Nino! Ale ja jeszcze pamiętam panią w wózek. Robiło się ciemno. Na zachodzie drgała różowawa mgiełka. A potem zerwał się wiatr i ptaki ucichły.

Adam wstał.

- Chodźmy do domu. Kto ma ochotę na prażoną kukurydżę?

„On zawsze wie, na co dzieci mają ochotę” - pomyślała Margaret, a Luiza wyrażając tę samą myśl, powiedziała:

- Czy zdajecie sobie sprawę, że Adam przez całe popołudnie zajmował się dziećmi? Ale mają dobrze - piłka, krykiet, japońskie origami, do koloru, do wyboru.

- Tak, i doceniają to - odparła Margaret z satysfakcją. Po zrobieniu prażonej kukurydzy mężczyźni, dzieci i psy, zostawiając za sobą popcornowe ślady na podłodze, przeszli do pokoju komputerowego, żeby obejrzeć najnowsze fantastyczne osiągnięcia Adama. Kobiety usiadły w salonie. Przed końcem wieczoru Julie zostanie poproszona o to, żeby zagrała na pianinie. Była to już w domu Crane'ów tradycja; wszyscy - zarówno rodzina, jak i bliscy przyjaciele - lubili to bardzo i zawsze z niecierpliwością czekali na tę chwilę.

Nina rozejrzała się po znajomym pokoju, zatrzymując wzrok na zegarze wbudowanym w banjo, na starych fotografiach w kolorze sepia i na biurku z żaluzjowym wierzchem, zarzuconym pracami egzaminacyjnymi z biologii i chemii, które czekały na ocenę.

- Mam takie uczucie, jakby minęły wieki, odkąd tu mieszkałam. Jak sądzisz, czy kiedykolwiek się stąd wyprowadzicie?

Margaret potrząsnęła głową.

- Po co? To jest nasz dom.

- Nie znudził ci się? Przecież to wszystko taka tandeta.

- Zbudował go mój pradziadek.

- Jesteś bardzo sentymentalna.

- Możliwe, ale mi to nie przeszkadza - powiedziała Margaret z uśmiechem. Nina zawsze waliła prosto z mostu. Ale to dobrze. Lepiej wiedzieć, co ludzie naprawdę myślą.

- Ale, poczekaj, bo mam pomysł na ten wasz dom. Jest tu bardzo dużo przestrzeni, wysokie okna i sufity. Aż się prosi, żeby coś z tym zrobić.

- Na przykład?

- Na początek pozbyć się starych, ciężkich sprzętów.
- Dlaczego? Są bardzo przyzwoite, dobrze utrzymane, często odświeżane, nic im nie brakuje. A poza tym to są stare meble.
- Ale nie chodzi o taką starość. Gdyby były osiemnastowieczne albo z okresu cesarstwa francuskiego, to zupełnie inna sprawa.
- Cesarstwa? Jakiego cesarstwa? - droczyła się z nią Margaret.
- No oczywiście napoleońskiego.
- Ale chodzi ci o Napoleona pierwszego czy trzeciego?
- Och, przecież wiesz, że nie mam zielonego pojęcia o historii. Wiem tylko, że był taki Napoleon, co miał w swoim godle orła i literę B, i dużo różnych elementów zaczerpniętych ze starożytnego Rzymu. Jakiś jeden ładny mebel, na przykład biurko, mógłby zmienić cały ten pokój. Ta jedna rzecz i trochę złocień tu i tam działałaby cuda. - Nina wstała i obeszła pokój dokoła. - No i jakiś mały stolik z drzewa owocowego koło tego fotela - rozmarzyła się. - Dwa świeczniki na kominku, wszystkie pokrycia zmienić na jasny błękit i ciemną czerwień, tutaj dwa proste nowoczesne krzesła -uwielbiam eklektyczne wnętrza. Aż mnie ręce świerzbią, żeby się za to wziąć.
- To niech cię dalej świerzbią, kochanie. Nas na to nie stać.
- Naprawdę?
- Tak, naprawdę. Nie mamy tysięcy na meble z drzewa owocowego czy złocenia. Adam nie jest właścicielem firmy komputerowej! A ty przecież wiesz, ile zarabiają nauczyciele. I ile kosztuje wykształcenie trójki dzieci. Tak czy siak, nigdy mi nie zależało na posiadaniu rzeczy. Nigdy.
- Jestem taka inna od ciebie, a tak bardzo cię kocham! -I Nina pocałowała Margaret w oba policzki.
- Jesienią jedziemy z Gilem do Europy - oznajmiła Luiza. - Pomyślałam sobie, że moglibyśmy się na parę dni zatrzymać w Nowym Jorku i odwiedzić cię w pracy, Nino. Nasz dom jest nie tknięty od czasu, kiedy Bobby i Tim się wynieśli, a chętnie bym zmieniła przynajmniej dół.
- Fantastycznie! Z przyjemnością przysporzę firmie klientów. Dam ci moją wizytówkę. Gilbert był właścicielem firmy zajmującej się ogrzewaniem



i klimatyzacją; Ferrisom dobrze się powodziło. Niemal dziecinną radość sprawiały im tak zwane przez Adama „dorosłe zabawki” - futra Luizy i jaguar Gila. Adam mówił o nich, że są przeinwestowani, a Margaret wiedziała, że ledwie ich toleruje - wyłącznie ze względu na nią. Było to przykre, ale zdawała sobie sprawę, że w sensie intelektualnym Ferrisowie nie są dla jej męża żadnymi partnerami. A przecież okazywali im tyle serca i życzliwości. Wprawdzie Gil był za młody, jak na ojca osoby w jej wieku, ale innego ojca Margaret nie znała...

- To bardzo nieładnie z waszej strony, żeście nas zostawili same! - zawołała Nina do mężczyzn. - Chodźcie tu do nas, dosyć już zabawy tym elektronicznym cackiem.

Pierwszy pojawił się rozchichotany Fred.

- Gdyby Adam mówił po chińsku, rozumiałbym go mniej więcej tak samo. Półprzewodniki, napęd dysku... ja wiem tylko, co to jest cement, cegły i dwuteowniki. Lepiej będę się już trzymał budownictwa. Ale poważnie, stanowczo powinienem się doksztąpić. Wkroczyliśmy w nowy wiek, wiek Adama.

Adam, mile połączony, zwrócił się do Julie:

- No, jak tam, pani Szopen, czy możemy dziś liczyć na mały wieczorny koncert?

Słyszając ten rodzinny dowcip, Julie stanęła w pałaszach, lekko speszona, ale i dumna. Margaret przyszyły na myśl różne teorie dotyczące problemów dziecka średniego; jak widać, Julie nie miała żadnych, może dzięki swojemu talentowi.

- A co to będzie? - nalegał Adam. - Nowy Erik Satie? Julie skinęła głową.

- Jeszcze go zbyt dobrze nie opanowałam. Moja nauczycielka dała mi go dopiero dwa tygodnie temu. Ale spróbuję. To jest walc - dodała tonem wyjaśnienia. - Pod tytułem *Migdały w czekoladzie*.

- To coś nowego? - zapytała Nina. - Nigdy o tym nie słyszałam.

- To bardzo stara rzecz - odparła Julie z powagą. - A kompozytor francuski.

Była to muzyka spokojna, w nastroju wieczornym, przywodząca na myśl światło lampy i szelest liści za oknem. Ze swojego miejsca Margaret widziała profil córki, pochylającej się w takt walca.

Ogarnęła wzrokiem siedzącą półkolem gromadkę słuchaczy; nikt się nie ruszał. Danny siedział bardzo spokojnie, prawdopodobnie jednak nie dlatego, że był taki zachwycony -jako ośmiolatek interesował się głównie bejsbolem - ale z szacunku dla ojca, dla którego muzyka miała ogromne znaczenie. „Ci dwaj są złączeni jak ręka z ramieniem” - pomyślała, przyglądając się okrągłej buzi chłopca, jego krótkiemu noskowi i sprężystym lokom, do złudzenia przypominającym jej własne włosy. Na koniec wzrok Margaret spoczął na Megan, która jako dwunastolatka buszowała teraz po różnych popularnych książkach medycznych, dostępnych w bibliotece. Może przynajmniej jej się uda...

Nina miała uśmiechniętą twarz. Siedziała z głową odchyloną na oparcie krzesła i zamkniętymi oczami i nawet w tej pozie kojarzyła się z iskrą. Ciężkie kasztanowate włosy miała upięte wysoko nad drobną wyzywającą buzią, a zmysłowe wargi umalowane tą samą czerwono-brązową kredką, jakiej używała od piętnastego roku życia, kiedy to zaczęła wydawać swoje kieszonkowe na profesjonalny makijaż.

- Niezły numer! - wzdychała mama. A przecież nawet nie dożyła czasów, kiedy Nina wyrosła na pannę. Znała ją tylko jako nieznośnego urwisa, który lubił ich straszyć; że ucieknie, by za godzinę wytknąć głowę z garażu sąsiada i śmiać się z nich do rozpuku. Trzeba przyznać, że wychowanie Niny nie należało do łatwych zadań!

Ale przyjemność patrzenia, jak wyrasta na dobrą przebojową dziewczynę, jak jej wyobraźnia się rozwija, warta była tych trudów. Kiedyś na przykład swoje skromne oszczędności oddała biednej koleżance z klasy. Innym razem kupiła reprodukcję *Śniadania na trawie* Maneta w kosztownej oprawie. „Trzeba mieć tupet” - powiedziała wtedy o nagiej kobiecie siedzącej wśród mężczyzn ubranych w ciemne eleganckie garnitury. A potem: „Nie uważacie, że te kolorowe plamy na ścianie robią mi właściwie cały pokój”?

Wspominając teraz to wszystko, Margaret śmiała się w duchu, ale i uroniła kilka łez. Przez lata uczyła setki nastolatków i sądziła, że całkiem nieźle ich rozumie. A jednak Nina okazała się jedyna w swoim rodzaju. Z pewnością okoliczności, w jakich przyszła na świat, nie pozostały bez wpływu na jej charakter; pytając o ojca, otrzymywała zawsze tę samą od-

powie: „Nie wiem”. Bo rzeczywiście nikt nie wiedział. Niewykluczone - choć to brzydkie posądzenie - że nie wiedziała tego nawet sama matka Niny. Jean w każdym razie uznała, że będzie lepiej, jeśli powie Ninie, że jej ojciec nie żyje, a teraz było już za późno na to, by cokolwiek zmieniać. Być może człowiek ten rzeczywiście już nie żył.

Z poczuciem wielkiej ulgi Margaret raz jeszcze pomyślała o swojej trójce - żadnej niepewności, żadnych pytań bez odpowiedzi, żadnych tajemnic. Ojciec i matka są razem i zawsze będą.

Piętnaście lat! Z punktu widzenia historii to zaledwie mgnienie oka, ale dla zebranej tu gromadki ileż się w tym mgnieniu oka wydarzyło. Pogodna matka Adama, która mieszkała z nimi długo, aż za długo, jeszcze po wystąpieniu objawów choroby Alzheimera, była teraz w domu opieki. Jean i jej nowy mąż wpadli w Hongkongu pod taksówkę; on zginął na miejscu, a Jean leżała przez trzy miesiące w szpitalu, zanim Margaret mogła ją przywieźć do domu, gdzie wkrótce też zmarła. Kiedy ludzie przyjeżdżający z Hongkongu opowiadali cuda o tym mieście, Margaret przechodził dreszcz. To osławione miasto kojarzyło jej się ze szpitalem i z tanim hotelem. Potem było poronienie, a po nim Danny...

Zresztą, jeżeli ludzie się naprawdę kochają, to kłopoty tylko cementują ich związek. Razem łatwiej dać sobie radę ze wszystkim. I dali sobie radę. A teraz żyli spokojnie, bliscy sobie, w dobrobycie i zdrowiu. Adam miał dobrą pracę, a ona była zastępczynią szefa wydziału nauk ścisłych. Dzieci dosłownie kwitły. Niną się usamodzielniała. Czego więcej wymagać od życia?

Tymczasem utwór się skończył. Fred Davis wyszedł z Jimmim i zapasem pożywienia dla szczeniąt. Kuzynostwo pożegnali się, chwając gospodarzy - „Wspaniałe jedzenie, urocza rodzina, przemiły dzień”. Nina też się już zbierała do jutrzejszego wyjazdu.

- A wy pamiętajcie, że obiecaliście odwiedzić mnie jesienią - przypomniała Crane'om.

- Odwiedzimy, odwiedzimy - zapewnił ją Adam. - Ostatni raz byliśmy w operze cztery lata temu, a przecież nam też się coś należy od życia. Naturalnie poza zobaczeniem się z tobą - dodał.

Dom szykował się do snu - powoli gaszono światła, zamknięto drzwi. Dopilnowała tego Margaret, która poszła wpuścić na noc psy. Niebo było zaciągnięte, spadło nawet kilka kropel deszczu; Margaret poczuła na twarzy chłód. „Przemiły dzień” - powiedziała Luiza i miała rację. Szczęśliwy. I my jesteśmy szczęśliwi.

Jedynym symptomem jesieni były suche liście spadające z wątłych drzew na ulicy, przy której mieszkała Nina. Gotowy już do wyjścia Adam czekał przy oknie, aż panie się nagadają przy herbacie i ciasteczkach. Z przyjemnością patrzył, jak im ze sobą dobrze i z jaką ciekawością słuchają o swoich sprawach - o szkole, dzieciach, narzeczonych i pracy. A co więcej, sam był w dobrym nastroju. Mieli bilety na *Kawalera srebrnej róży* (Der Rosenkavalier) do Metropolitan Opera na jutrzejszy wieczór, a tuż przed ich wyjazdem w firmie Adama zaczęły krążyć słuchy o tym, że być może spróbują się otworzyć na rynki europejskie. Gdyby rzeczywiście tak się stało, z pewnością oznaczałoby to dla Adama awans. Wiceprezydent firmy do spraw programowych najprawdopodobniej wyjechałby do Europy, a wtedy... Z zamyślenia wyrwały go słowa Margaret:

- Adam zasługuje na to, żeby zostać szefem działu technicznego. I to wcale nie jest takie zwykłe żonine gadanie. - A jaka była przy tym poważna, z tą swoją zmarszczką na czole! - Żony potrafią opowiadać niestworzone historie, ale ja słyszałam, jak się o Adamie wyrażali ludzie, którzy z nim pracują. Wiedzą, ile jest wart. Mam nadzieję, że wiedzą to i jego szefowie.

- Jak już będziecie bogaci, to pozwolicie mi urządzić sobie dom, zgoda? - powiedziała Nina. - Najpierw musicie zobaczyć to, co zamówili Luiza i Gil. Praktycznie zostawili mi wolną rękę. To było coś fantastycznego.

- Nigdy nie będę aż tak bogaty - odparł Adam. - Ludzie, którzy tworzą rzeczy czy je wymyślają, rzadko kiedy bywają tak bogaci jak ci, którzy je tylko sprzedają.

Jego słowa zabrzmiały bardzo gorzko. Zorientował się jednak natychmiast i był na siebie zły; nie chciał wyjść na człowieka zawistnego czy zgorzkniałego, dodał więc szybko:

- To niesłychane, co udało ci się zrobić z tego jednego pokoju.
- Naprawdę ci się podoba? Willie i Ernie pozwolili mi kupić meble po kosztach własnych. Fantastyczni faceci. I za to duże zamówienie Gila też dostałam premię. Miałam na tę ścianę kupić jakieś dwie ładne szafy, ale pomyślałam sobie, że przecież nie będę całe życie mieszkała w kawalerce, więc kupiłam ten pierścionek.
- Nina uniosła rękę, błyskając ładnym okrągłym kamieniem w odcieniu zielonobłękitnym.
- Ładny - pochwalił Adam. - To chyba akwamaryna?
- Chłodny jak morze - powiedziała Margaret. - To chyba miło móc codziennie patrzeć na coś takiego.
- Ta uwaga nie zdziwiła Adama specjalnie, ponieważ jego żona nigdy nie prosiła o biżuterię, a on jej nie dawał. Cały jej stan posiadania ograniczał się do naszyjnika z pereł i wąskiej bransoletki, chyba nawet nie złotej, które odziedziczyła po matce. A zresztą mieli za dużo wydatków, żeby myśleć o biżuterii. „Trzeba współczuć temu, który się ożeni z Niną” - pomyślał. - Najprawdopodobniej kręca się koło niej faceci, ale ten, którego ona wybierze, powinien się dobrze zastanowić, czy będzie go stać na ciągle nowe pierścionki i antyczne stoliki.
- Pracowałam ostatnio przy urządzaniu wspaniałej biblioteki - powiedziała Nina. - Od podłogi do sufitu boazeria w miodowym kolorze. I ciemnozielone jedwabne zasłony w oknach, a okna bardzo wysokie, z widokiem na Central Park. Wyobrażacie sobie? Ale najzabawniejsze były w tym książki! Sarnę dzieła zebrane, Dickens, Balzak i Bóg wie co jeszcze, a wszystkie oprawione w skórę pod kolor zasłon. Można skonać ze śmiechu.
- Książki, które nigdy nie były i nie będą czytane - zauważył Adam.
- Owszem, ale to wcale nie są głupi ludzie. Byłbyś zdziwiony. On jest kimś tam na Wall Street, a ona bardzo interesującą, bardzo błyskotliwą osobą.
- Śliska droga - powiedział Adam.
- Nina wzruszyła ramionami. „Musi to być jakaś nowa moda” - pomyślał. Jeszcze czegoś takiego nie widział.
- Spotykam się z ludźmi, o jakich istnieniu nawet nie miałam pojęcia. Słucham, jak mówią o restauracjach, o teatrze,

O kurortach i o transakcjach. Zabawne. - Roześmiała się. -  
i pouczające.

- Bardzo mi ciebie brak - powiedziała Margaret. - Zresztą wszyscy za tobą tęsknimy, zwłaszcza Megan. Zrobiła się taka dorosła jak na swoje dwanaście lat.

- A czy ty myślisz, że ja za wami nie tęsknię? O, proszę, już wyjeżdżacie, a ja wam nie powiedziałam nawet połowy tego, co chciałam powiedzieć.

- Zawsze jeszcze jest telefon - przypomniała jej Margaret wstając. - Niedziele i po ósmej. Pamiętasz, Adam, jak ja byłam w college'u, a ty na studiach, jakie płaciliśmy rachunki za telefon!

- Tak - powtórzył Adam, kiedy już znaleźli się na ulicy -ona jest na śliskiej drodze.

- Śliskiej? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić. Jest coś takiego... pewien rodzaj ludzi pazernych na wszelkiego rodzaju dobra, doznania, przeżycia seksualne, którzy ciągle by chcieli czegoś nowego... no, wiesz, o jakie słabości mi chodzi. Słyszałaś, co mówiła Nina. Znasz takich ludzi.

Margaret się roześmiała.

- I ty uważasz, że Nina zejdzie na złą- drogę?

- Nieświadomie. Ale spójrz na nią - ma dwadzieścia jeden lat, jest bardzo ładna i zupełnie sama. Naprawdę może się stać łatwym łupem.

- Ma dwadzieścia dwa lata, jest bardzo atrakcyjna i inteligentna. Da sobie radę. - I Margaret znów się roześmiała.

-Ale z ciebie stary purytanin. Poczekaj tylko, kiedy nasze dziewczyny pójda w świat. Obawiam się, że ta twoja piękna popielatoblond czupryna bardzo szybko posiwieje. Ale jeśli nawet, to nic się nie przejmuj, i tak będziesz najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Adam cieszył się na tę podróż, jakby się wybierali co najmniej za granicę. Pakując walizkę, a potem wsiadając do samolotu - z listą w kieszeni - filharmonia w piątek, wystawa impresjonistów w sobotę - dosłownie promieniał.

Margaret też promieniała, zwłaszcza w sensie fizycznym - jej bardzo biała skóra przy byle emocjach od razu się rumieniła. Teraz,

idąc ulicą śródmieścia i widząc w szybie wystawowej odbicie jej sprężystego kroku i radosnej twarzy, Adam nie mógł nie dostrzec, jaka ładna jest jego żona i jak doskonale się razem prezentują.

Panowało przenikliwe zimno; wychodząc ze sklepu na Piątej Alei, w pobliżu ich hotelu, Adam pochylił głowę przed nagłym porywem jesiennego wiatru. Kiedy ją podniósł, stała przed nim Randi.

Później, kiedy wracał myślą do tego epizodu, a miał do niego wracać setki razy, nasuwało mu się tylko jedno słowo na określenie tego, co się wydarzyło: Randi się po prostu zjawiła. Nie było tego co zwykle w takich przypadkach - świadomości, że się zbliżała, chwili niepewności, czy to rzeczywiście ona, czasu na drugie czy trzecie spojrzenie, które by mu pozwoliło przygotować się psychicznie na to spotkanie albo przybrać stosowny wyraz twarzy. Po prostu w kalejdoskopie zmieniających się na ulicy kolorów i anonimowych twarzy - nagle błysk światła na metalu i szkłe w samym środku tego migotania, i oto stała przed nim ona. Randi.

Jej głos, kiedy wykrzyknęła: „Adam, to ty?!”, przypominał strumyk cienkich nutek.

Adam ledwie ją musnął spojrzeniem, jakby w tym miejscu była, powiedzmy, latarnia uliczna, i powędrował wzrokiem w kierunku północnym, ponad jej głową, tam gdzie unosiło się nad nimi ołowiane niebo i trzepotała na wietrze markiza.

- Tak, to ja - odparł. - Jak się miewasz? A to moja żona, Margaret. A to jest...

- Randi Bunting, tak się teraz nazywam. Adam, nie mogę uwierzyć, że to już minęło piętnaście lat, a ty?

- Ja też nie.

- Zupełnie się nie zmieniłeś - powiedziała.

Teraz już Adam musiał na nią spojrzeć, choćby po to, by odwzajemnić ten banalny i oczekiwany komplement.

- Ty też nie.

Ale Randi się zmieniła. Wyglądała bardzo modnie. Przez te wszystkie lata Adam wystarczająco dużo się w tej dziedzinie nauczył - wprawdzie nie od Margaret, tylko od Niny - żeby się poznać chociażby na takim detalu, jak elegancka torebka z paskami i mosiężnymi klamerkami. Ktoś jej to musiał pokazać, ktoś za te rzeczy płacił.

Wszystko to w ułam-

ku sekundy przeszło mu przez myśl, i odczuł lekkie ukłucie gniewu, o który jeszcze przed chwilą by siebie nie posądził.

- Dopiero co przyjechałam z Kalifornii i tak się kręcę po mieście. Gdzie się zatrzymaliście?

- O tam, po tamtej stronie ulicy - odparł Adam.

- To tak jak ja. Wiecie co, schowajmy się przed tym wiatrem i chodźmy na herbatę. Robi się ciemno, chodźmy. Co za głupota z jego strony! Przecież powinien szybko powiedzieć, że są umówieni. Ale tego nie zrobił i już po upływie dwóch minut byli w hotelu po drugiej stronie ulicy. Randi zawsze potrafiła postawić na swoim. Powoli opanował gniew i, nagle zmieszany, znalazł się przy stoliku.

Margaret starała się grzecznie zagać rozmowę:

- Czy pani była z Adamem na studiach? - spytała.

- Ja? Broń Boże. Dobrze, że skończyłam szkołę średnią. -Przynajmniej jej śmiech się nie zmienił; wydobywał się jak dawniej gdzieś z gardła. - A tak poważnie - pracowałam w mieście, a mieszkałam w pobliżu uniwersytetu, dosłownie koło wydziału inżynierii. Chodziłam wtedy na wszystkie możliwe imprezy i doskonale się bawiłam.

Dyskretnie, jak to kobiety, Margaret i Randi mierzyły się spojrzeniem. Adam był rad, że Margaret jest tak efektowna w swojej prostocie. Miała niekwestionowaną klasę, co z pewnością nie uszło uwagi Randi. Ale dlaczego, na miłość boską, miałby się przejmować tym, co sobie Randi pomyśli o jego życiu bez niej? Czy tak bardzo go upokorzyła, że jeszcze ciągle zależy mu na jej opinii?

- Tak - mówiła właśnie - kiedy człowiek przekroczy dwudziestkę, już nigdy potem nie potrafi się tak bawić. Mam masę wspomnień! Czy miałeś może jakiś kontakt ze Smithym? Albo z Tommym Barnesem? To był fantastyczny facet, na trzeźwo, co się niestety rzadko zdarzało.

- Nie widziałem się z żadnym z nich, nie mam z nimi kontaktu - odparł, a następnie, czując, że powinien coś dodać, żeby złagodzić efekt tej lakonicznej odpowiedzi, czy może dlatego, że czuł się zmieszany, dokończył: - My się specjalnie nie udzielamy. Oboje jesteśmy bardzo zajęci. Margaret uczy chemii i biologii w szkole średniej w Elmsford.

- Och, to cudowne. W innym życiu też bym chciała robić coś tak pożytecznego. Zawsze lubiłam atmosferę nauki.



- Randi znów wybuchnęła śmiechem. - Może dlatego miałam słabość do studentów, łącznie z tobą, Adam. Och, nie masz pojęcia, jak twój mąż zawrócił mi w głowie - dodała pod adresem Margaret.

Margaret uśmiechnęła się, jak tego wymagała sytuacja, ale Adam bez trudu wyczytał w jej myślach - prymitywna idiotka.

Ale Randi nie była idiotką i rzadko kiedy bywała prymitywna. Po prostu miała zwyczaj mówić bez ogródek to, co jej akurat przyszło do głowy. Adam skręcał się, unikając spojrzenia Margaret, która wyraźnie szukała jego wzroku.

Jak gdyby nie dostrzegając tego, że Adam i Margaret przestali być nagle rozmowni, Randi paplała o wczorajszym przedstawieniu i o Kalifornii. Jej srebrzysty głosik był przyjemny, a uwagi zabawne. Jednak po upływie jakichś dziesięciu minut Adam uznał, że życie z takim słowotokiem byłoby nieznośne.

- Jestem w tej chwili w dość chwiejnym stanie ducha - zwierzyła się. - Wskutek pewnych okoliczności... zresztą nie ma sensu wchodzić w detale. Tak czy inaczej, muszę zdecydować, czy chcę zostać w Kalifornii, czy mam się stamtąd zwijać. I dlatego podróżuję po kraju w poszukiwaniu miejsca, które by do mnie przemówiło: „Zostań tutaj”.

Pomyślałam sobie, że mógłby to być właśnie Nowy Jork.

Ciekawe, co miała na myśli, mówiąc o „pewnych okolicznościach”. Musiała rzucić tego faceta. A co z dzieckiem?

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to - pomyślał bardzo zmieszany Adam, niespokojnie kręcąc się na krześle - że potrafił zapomnieć o jego istnieniu. To nic, że było zaledwie embrionem i że został usunięte - ale było żywe i było jego. A jednak, nawet w pamięci, aż do tej chwili dla niego nie istniało.

Kobiety jeszcze przez piętnaście minut rozmawiały o różnych błahostkach, aż wreszcie Randi powiedziała przytomnie:

- Co za niespodziewane spotkanie, prawda? Kto by pomyślał, w samym centrum Nowego Jorku! - Wszyscy się zgodzili co do tego, że nikt by nie pomyślał. - Gdybyście kiedykolwiek byli w Los Angeles, odezwijcie się do mnie koniecznie. Ja tam w dalszym ciągu mieszkam. Znajdziecie mnie w książce telefonicznej.

Czy ona rzeczywiście sobie wyobraża, że chcielibyśmy jej szukać? - zastanawiał się Adam. Margaret powiedziała grzecznie:

- Dziękujemy. Może kiedyś...
  - To ja już będę leciała. Miałam dzisiaj bardzo wypełniony dzień. Czy wiecie może o jakiejś księgarni tu w pobliżu? Muszę sobie kupić kilka tanich książek.
- Pytanie było skierowane do Margaret, która odpowiedziała, że księgarnia, czynna cały wieczór, znajduje się kilka ulic dalej.
- W porządku. Pójdę tam. Miło było was spotkać. Życzę udanego pobytu.
  - Randi miała do ciebie słabość - powiedziała Margaret.
  - Tak jak Fred do ciebie. - Adam rozumiał, że napomknienie przez Randi o tamtym zauroczeniu było w pojęciu Margaret czymś zupełnie absurdalnym. W jej tonie wyczuwał nutę pogardy, jakby fakt kojarzenia go z kimś tak odmiennym był dla niej niepojęty. I rzeczywiście, z perspektywy piętnastu lat i jemu tamten związek wydał się czymś niepojętym.
  - Jest w pewnym sensie efektowna, prawda?
  - Nie wiem. Być może. To chyba sposób ubierania się.
  - A ja myślałam, że ty nie zwracasz uwagi na sposób ubierania się kobiet...
- Adam wykrzyknął poirytowany:
- Na miłość boską, o co ci chodzi, Margaret?
  - Jestem tylko ciekawa, dlaczego ona cię tak wyprowadziła z równowagi?
  - Wyprowadziła z równowagi? O czym ty mówisz? Mnie z równowagi!
  - Byłeś taki sztywny, taki zmieszany i tak się kręciłeś na krześle, że nie mogłam tego nie zauważyć.
  - Kręciłem się, bo krzesło było bardzo niewygodne i miałem ochotę iść wreszcie na kolację.
- Po kolacji poszli na spacer. Wiatr ustał, miasto rozjarzyło się światłami, a w oknach wystawowych widać było chryzantemy.
- Zimno czy nie zimno, wieczór jest ładny - odezwała się Margaret. - Ale zrobiłam się bardzo śpiąca. Możemy już wracać?
  - Dla mnie jest jeszcze za wcześnie, ale ty możesz iść. Przejdę się trochę po parku i też wracam.
- Adam szedł wolno, starając się niczego nie uronić; Nowy Jork to najbardziej kipiący życiem bazar świata; w tym mie-

ście skupiły się wszystkie najefektowniejsze sztuki. Za żadne skarby nie chciałby tu mieszkać, w Elmsword jest mu najlepiej. Podobała mu się jednak ta chwilowa zmiana scenerii. I dzień był bardzo przyjemny aż do pewnego momentu, do chwili spotkania Randi. Na tyle milionów ludzi w tym mieście musiał spotkać akurat ją!

Szedł dalej - aż do księgarni. Była jasno oświetlona i kłębił się w niej pokaźny tłumek ludzi. Na wystawie leżała nowa biografia, którą zamierzał przeczytać, zdecydował się więc wejść i kupić książkę, żeby mieć lekturę na wieczór. Taka książka to jakby przeniesiona do hotelu część własnego domu.

Nagle uświadomił sobie, że w księgarni może być Randi, chociaż prawdopodobieństwo, że z całego długiego wieczoru oboje wybrali akurat te same kilka minut, było naprawdę niewielkie. A jednak istniała taka możliwość.

Niezdecydowany, stał przed wystawą, gapiąc się na książkę. Miała czerwoną obwolutę ze złotym liternictwem i nazwisko autora wypisane kursywą. Z księgarni wyszedł mężczyzna, zapalając papierosa. Ubrany był w płaszcz z wielbłądziej sierści i musiał ważyć ze sto kilkadziesiąt kilo. Z piskiem opon zatrzymała się przed nim taksówka.

Wejść czy nie wchodzić? - zadawał sobie pytanie Adam. Byłoby interesujące usłyszeć, co się z nią działo przez te wszystkie lata. Chociaż to nie moja sprawa. Tak, po prostu, z ciekawości, która jest chyba w tej sytuacji czymś naturalnym... A zresztą na pewno jej tam nie ma.

Wszedł. Randi stała przy pierwszym stoisku, twarzą do drzwi.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała. - Jestem tu już co najmniej godzinę, czekam na ciebie.

- Naprawdę myślisz, że przyszedłem tu zobaczyć się z tobą? - zapytał.

- A nie? Nie mów mi, że nie byłeś ani trochę ciekaw, bo i tak ci nie uwierzę.

- Dla twojej informacji - przyszedłem kupić o tę książkę. - Wskazał stertę książek na ladzie.

- No to ją kup.

Kiedy wręczał sprzedawcy kartę kredytową, Randi czekała, a gdy ruszył w stronę drzwi, poszła za nim.

- Przejdę się z tobą - oznajmiła. - Tak długo tam sterczałam, że chyba mnie wzięli za złodziejkę.

- Nie wiem, po co to robiłaś. Nie mamy sobie nic szczególnego do powiedzenia.

Żeby dotrzymać tempa Adamowi, który specjalnie stawiał długie, zamaszyste kroki, Randi musiała prawie biec, stukając obcasami po chodniku.

- Mógłbyś trochę zwolnić - powiedziała grzecznie - nawet jeśli mnie nienawidzisz.

Spojrzał na nią z góry. Była taka mała! Przyzwyczał się do chodzenia z Margaret, która miała twarz prawie równo z jego twarzą. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się niegrzecznie.

- Wcale cię nie nienawidzę - powiedział. - To mam już dawno za sobą. Po prostu nie chcę rozmawiać na żaden temat.

- To znaczy o tym, co się wydarzyło między nami, tak?

- Tak - odparł i gdyby to było możliwe, ostatnie parę metrów dzielące ich od hotelu najchętniej pokonałby biegiem.

- Dobrze, to nie będziemy. Ale chyba nie zabronisz mi powiedzieć, że słyszę o twoich sukcesach. Mówił mi o tym jeden z facetów, których jakoby nie widzisz i nie masz z nimi żadnego kontaktu.

- To bardzo ładnie z jego strony, ktokolwiek to był - odparł lakonicznie Adam.

- To był Tommy Barnes.

- Spotkałem go na lotnisku jakieś pięć lat temu. On o mnie nic nie wie.

Prawie sześć tysięcy kilometrów wszerz i dwieście sześćdziesiąt milionów ludzi w tym kraju - pomyślał - a człowiek nie może liczyć choćby na odrobinę prywatności.

- Powiedział mi, że masz ładną żonę, i to się zgadza.

- Dziękuję.

Tymczasem znaleźli się w hotelowym halu i właśnie zbliżali się do windy.

- No to dobranoc. Jadę na górę. - Randi złapała Adama za rękę.

- Nie możesz chwilę poczekać?

- Po co?

- Muszę z tobą porozmawiać. To nie potrwa długo. - Spojrzała na niego błagalnie.

- Wcale nie musisz. - Ton Adama nie był nieuprzejmy. -

Zupełnie nie rozumiem, po co czekałaś na mnie w księgarni, i teraz... czego ty się po mnie spodziewasz?

- Niczego się nie spodziewam. Chcę ci tylko coś powiedzieć.

- No to powiedz. - Stali w przejściu i ludzie popychali ich, zniecierpliwieni. - No, mów.

- Nie tutaj. Musimy usiąść. Będę się streszczała. - I znów spojrzała na niego błagalnie. - Możemy iść tam, gdzie po południu byliśmy na herbacie. Proszę cię.

Ruszyła w tamtą stronę, więc i on poszedł za nią. Zamówili kawę, a ponieważ siedzieli naprzeciwko siebie, przedzieleni tylko niewielkim stolikiem, nie mieli innego wyjścia, jak patrzeć sobie w oczy. Ogarnęło ich ciepło jak lekki pachnący szal. Jeśli wewnątrz nie było perfumowane, to znaczy, że zapach pochodził od Randi. Adam przypomniał sobie - ileż to drobnych szczegółów przechowujemy w zakamarkach pamięci - że Randi zawsze perfumowała się za uszami. Stwierdził, że przygląda się jej uszom, w których migotały pęczki drobnych brylancików.

Przez chwilę nic się nie działo. Adam był zły na siebie za to, że jest tutaj, że dał się zwieść.

Randi patrzyła mu prosto w oczy, starając się go „przygwoździć” - pomyślał - głębokim, przenikliwym spojrzeniem. Wzdrygnął się.

- Czy ciebie nawet nie interesuje, co stało się... potem?

- Powiedziałaś... - wyjąkał - powiedziałaś, że usuniesz ciążę i wyjdiesz za mąż...

- Ale nie<sup>1</sup> wyszłam za mąż za tamtego człowieka i ciąży nie usunęłam.

- Co takiego?

Adam uświadomił sobie, że trzyma w ręku filiżankę z kawą; kiedy ją postawił, kawa chlusnęła na spodek i ochlapała mu rękaw.

- Doszłam tylko do drzwi kliniki, ale już nie byłam w stanie wejść do środka. Myśl o tym, co się stanie, stanowiła dla mnie zbyt wielki wstrząs. Przypuszczalnie dlatego, że widziałam, jaki szok ty przeżyłeś, kiedy ci o tym powiedziałam. „Tak się nie robi, tak się nie robi” - powtarzałeś. A ja pamiętam dokładnie, jak wyglądała wtedy twoja twarz.

50

Był zbyt osłupiały na to, żeby powiedzieć cokolwiek innego, jak tylko:

- I co dalej?

- Wyjechałam do Kalifornii. Przyznałam mu się, że jestem w ciąży, ale jemu to nie przeszkadzało. Lubił dzieci. Tylko że potem poroniłam. I może to dobrze, bo byliśmy ze sobą tylko dwa lata i dziecko mimo wszystko zostałoby bez ojca. To nie był człowiek skory do małżeństwa. Nie nadawał się nawet do stałych związków, więc kiedy się rozstaliśmy, zaczęłam pracować u mojego brata, który przyjechał do Los Angeles i został agentem nieruchomości na dużą skalę. Po pewnym czasie poznałam człowieka, sporo starszego ode mnie, który mi zaproponował małżeństwo. Dlatego nazywam się Bunting. Mieszkaliśmy w ogromnym domu, z łazienkami z różowego marmuru, rzeźbami na trawnikach i dwoma kortami tenisowymi - nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Adam, który zdołał tymczasem odzyskać mowę, powiedział:

- To mi wygląda na dom raketiera.

- Może i był kimś takim. Ale był dla mnie bardzo dobry. Tylko że umarł. Zostawił mi trochę pieniędzy, ale niewiele, bo miał dziewięcioro wnucząt. Wróciłam więc do pracy u brata, tylko potem przystąpił do interesów jego syn i już nie układało się tak dobrze. I to mniej więcej wszystko.

- Ale po co mi to mówisz? Co mnie to może obchodzić?

- Pomyślałam sobie, że może przez te wszystkie lata zastanawiałaś się, czy przypadkiem gdzieś tam po świecie nie chodzi twoje dziecko. To był impuls. Tak jak w dniu, kiedy postanowiłam się z tobą rozstać.

- Impuls! - wykrzyknął Adam na tyle głośno, że siedzący w pobliżu ludzie odwrócili się do nich zdziwieni. - Ot, taki sobie impuls! I już.

- Nie „ot, taki sobie”, tylko bardzo bolesny.

- Dziwka - mruknął. - Ty dziwko.

- Gdybym cię nie spotkała, spałabym dziś spokojnie. A tak wiem, że nie będę spała.

- O co ci chodzi? Czego chcesz ode mnie? Powiedz otwarcie i przestań wreszcie bawić się ze mną w kotka i myszkę...

- Nic od ciebie nie chcę i nigdy nie będę chciała. Nie masz się czego obawiać. Po prostu jest mi bardzo przykro,

że cię kiedyś skrzywdziłam, i nic więcej. Przez te lata ciągle o tym myślałam i marzyłam, żeby mieć okazję ci o tym powiedzieć.

Zabawa w kotka i myszkę. Ona jest dla mnie zbyt skomplikowana - myślał Adam, patrząc teraz na Randi. Dla mnie, człowieka z zasady tak prostoliniowego. Ale czy rzeczywiście prostoliniowego? A może nie jestem tak inteligentny, za jakiego się uważam?

Kiedy wyciągnęła ręce, żeby go dotknąć, cofnął dłonie.

- Na czym polega twoja gra? Obojętne zresztą, na czym ona polega, nie zamierzam w nią grać. Jesteś przeszłością, zapomnianą przeszłością.

- Doprawdy, całkiem zapomnianą. Czy nie zdarzało ci się zastanawiać, co by było, gdybyśmy...

- Nie! - wykrzyknął.

- To niemożliwe. - Głos Randi brzmiał łagodnie. - Musiałeś mieć takie chwile. Bo ja je miewam. I to jest zupełnie naturalne. Zresztą to są zwykłe spekulacje, bo ja jestem szczęśliwa z tym, co mam. I ty, mam nadzieję, też.

- Bardzo - odparł Adam.

Najpierw mówi, że nie będzie mogła spać, a teraz, że jest szczęśliwa z tym, co ma.

Jedną ręką o różowych paznokciach bawiła się naszyjnikiem z pereł. „Zdaje sobie sprawę, jaki ten gest jest efektywny” - pomyślał Adam z pogardą. Unosząc filiżankę, napotkał jej oczy - łagodne, ciemne, migotliwe, oczy jak owoce tarniny, podobne do śliwek.

- A-jjresztą i tak nic by z tego nie wyszło. Nawet gdybym zgodziła się żyć tam gdzie ty, nawet gdybyś ty był gotów ze mną wyjechać, to i tak nic by z tego nie wyszło. Nawet mimo całej naszej miłości. Zanadto się od siebie różnimy.

- To po co o tym mówić?! - wybuchnął Adam. - Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Do niczego. Po prostu cię zobaczyłam i wróciły wspomnienia.

Ale Adam nie chciał wspominać tamtego szarego poranka, swojej rozpacz i samotnego powrotu przez park.

Na stawie był wtedy topniejący lód i kaczki. Nie myślał o tym przez te wszystkie lata. Lata... Teraz też nie zamierzał myśleć.

- No cóż... - powiedział. - To chyba wszystko. Dość materiału na książkę. Ale ponieważ nie zamierzam pisać, więc już pójdę.

Randi wstała.

- Tak. Do widzenia, Adam. Życzę ci wszystkiego najlepszego. \_

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. „Twarz jak kwiat” - pomyślał. Po czym podali sobie ręce i rozstali się.

Przez jakieś dziesięć minut Adam stał na zewnątrz, przed hotelem, w chłodzie nocy.

Przyszedł mu do głowy cytat z Szekspira o tym, że świat jest jedną wielką sceną, a ludzie aktorami. Idąc na skróty, odegrał swoją rolę z Randi, a potem sztuka się skończyła i aktorzy się rozeszli - każdy do swego domu, tam gdzie jest jego miejsce.

- Gdzie ty się podziewałeś? - wykrzyknęła Margaret, kiedy otworzył drzwi. - Zaczęłam się już o ciebie martwić. Tyle się mówi o napadach w Nowym Jorku...

- Pobuszowałem sobie w księgarni. Kupiłbym dużo więcej, gdybyśmy mieli miejsce w bagażu. A to co?

Na stole stały herbatniki i wiaderko z szampanem.

- Mamy małą uroczystość.

- Celebруем nasz urlop, tak? Wspaniały pomysł!

- Nie. To coś więcej. Dziś jest rocznica twoich oświadczeń. „Kobiety - pomyślał - pamiętają o wszystkim”.

- To był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Prawie taki jak dzień ślubu.

Twarz Margaret była rozpromieniona. Wzruszony, przytulił ją i ucałował.

- Och, Margaret - powiedział.

Następnie z tryumfalnym wystrzałem otworzył butelkę szampana, nalał dwa kieliszki musującego płynu i wznosił toast:

- Za miłość! - zawołał, unosząc kieliszek. - Niech żyje miłość i my też!



#### **Rozdział 4**

Pewnego ranka, w połowie stycznia, Adam podniósł głowę znad sterty leżących na jego biurku wykresów, żeby przyjąć telefon, i usłyszał niespodziewany głos:

- Halo, tu mówi Randi. Jesteś zaskoczony, prawda? Był zaskoczony, i to bardzo, ale odpowiedział spokojnie:
- Może nie zaskoczony, ale zdziwiony. Dzwonisz z Nowego Jorku czy z Kalifornii?
- Ani stąd, ani stąd. Jestem tu w Elmsford. Wynajęłam mieszkanie z ogródkiem w Randolph Crossing i przyjechałam na jeden dzień do Elmsford załatwiać sprawy.

Adam poczuł niepokój i irytację. Żałował, że nie może po prostu i bez ogródek powiedzieć Randi, żeby mu nie zwracała głowy.

- Mam ci tyle do opowiedzenia, Adam. Ale pewnie jesteś w tej chwili bardzo zajęty...
- Owszem, jestem - odparł.
- Pomyślałam, że może zjedlibyśmy razem coś małego. Obojętne o jakiej porze. Jestem w mieście przez cały dzień.
- Umówiłem się z kimś na lunch w interesach.
- A co byś wobec tego powiedział na szybkiego drinka około piątej? Przez wzgląd na starą przyjaźń?
- Randi, myśmy nigdy nie byli przyjaciółmi.
- Ale możemy być teraz, a w każdym razie mam nadzieję, że będziemy. Nic więcej, Adam, zapewniam cię. Kiedy się spotkaliśmy w Nowym Jorku, powiedziałam ci, że nie mam wobec ciebie żadnych planów. A ty robisz wrażenie, jakbyś się mnie bał.

Zapewne nie zamierzała prowokować go tą uwagą, ale poczuł się tak, jakby z niego kpiła, jakby go miała za coś w rodzaju męskiej starej panny.

- Zapewniam cię, że nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy - odparł.
- To dobrze. Bo już chciałam życzyć ci wszystkiego dobrego i odłożyć słuchawkę. Czy wobec tego może być barek kawowy w Hotelu Bradley? Pomyślałam, że pewnie wolałbyś nie wracać do domu w oparach alkoholu?
- Mogę wracać do domu w takim stanie, w jakim mi się podoba, Randi. Za kogo ty mnie masz?
- To wobec tego piąta trzydzieści?
- Piąta trzydzieści.

Zanim powrócił do swoich wykresów, przez kilka minut kontemplował grube płatki śniegu osiadające i topniejące na parapecie. Powolny ruch płatków i szarość za oknem podziały na niego demobilizująco; cały zapał do pracy, jaki jeszcze przed chwilą odczuwał, nagle gdzieś się ulotnił. Ki diabeł kazał mu się zgodzić na to bezsensowne spotkanie? Nie było najmniejszego powodu, żeby się z nią widywał, istniało natomiast wiele powodów, dla których nie powinien tego robić. Gdyby mógł się z nią porozumieć telefonicznie, zadzwoniłby i odwołał spotkanie. Stał tyłem do pokoju, obserwując śnieg za oknem.

Trudno powiedzieć, żeby jej się wiodło w życiu. Można oczywiście uznać, że sama sobie jest winna, ale co z tego? Całkowite odrzucenie jej byłoby zbyt okrutne. Adam zastanawiał się, jakie są jej dalsze plany życiowe. Mieszkanie w Randolph Crossing - to zupełnie do niej niepodobne. A zresztą co ona tutaj robi? Przecież miała wybierać między Kalifornią a Nowym Jorkiem. Może wychodzi za mąż?

„Jeśli tak - pomyślał - to rzeczywiście byłem dla niej bardzo nieprzyjemny”. Przypomniało mu się, jak sympatycznie Randi rozmawiała z nim w Nowym Jorku, jak komplementowała Margaret i interesowała się ich dziećmi. Nie, nie widzi w tym nic złego, by poświęcić jej po południu kilka minut.

- Kiedy się ostatnim razem widzieliśmy, musiałam cię zanudzić na śmierć swoimi koszmarnymi problemami - zaczęła. - Ale teraz mogę powiedzieć, że sprawy mają się lepiej.
- Miło mi to słyszeć.

Tym razem wydawała mu się jakaś bardziej swojska niż wtedy w Nowym Jorku. W grubej wełnianej czapce i ciepłej wiatrówce niczym nie różniła się od kobiet z małych miasteczek Środkowego Zachodu podczas śnieżnej zimy. Ale kiedy zdjęła wierzchnie okrycie, oczom Adama ukazał się naszyjnik z koralami i jedwabny szal w różę.

- Nie pamiętam, czy ci mówiłam, że kiedyś pracowałam w agencji nieruchomości w Kalifornii.

- Owszem, mówiłaś.

- Otóż wystąpiłam tutaj o licencję, ale dopóki jej nie dostanę, załatwiłam sobie pracę tymczasową. Jest to mała agencja prowadzona przez kilka kobiet, ale się rozwija i może to być dla mnie bardzo dobra okazja.

- A co cię sprowadziło w te strony? - zapytał.

- Jedna z kobiet z tej agencji zna mojego brata i w ten sposób się skontaktowałyśmy. Tak czy siak, Środkowy Zachód to rodzinne strony i pomyślałam sobie, że dobrze będzie tu wrócić. I to wszystko. Otwierają się dwa główne rynki - ciągnęła Randi z zapalem - jeden to duże domy, które będą mi przypominały Kalifornię. Ale jeśli o mnie chodzi, to wolę te drugie - urocze małe domki w zalesionych okolicach, z wielkimi działkami.

Podczas gdy Randi mówiła, Adam zastanawiał się, czego ona może od niego chcieć. W swoim kręgu zawodowym nie miał żadnych kontaktów, które mogłyby się przydać agentowi nieruchomości. Nudził go zresztą ten temat; zbyt często musiał wysłuchiwać opowieści Freda Davisa o centrach handlowych i zastawach hipotecznych. Mimo to słuchał uważnie i patrzył. Głos Randi, a także gra jej palców, kiedy mówiąc, bawiła się przedmiotami, miały hipnotyczne działanie. Nie nerwowo, jak wiele nadpobudliwych kobiet, tylko bardzo delikatnie - a to dotknęła palcami naszyjnika, a to odgarnęła z policzka kosmyk włosów.

- Randolph się naprawdę rozwija. Przypuszczam, że przyciąga ludzi dlatego, że jest jedną z nielicznych pagórkowatych miejscowości w całym stanie. No i leży zaledwie około trzydziestu kilometrów od Elmsford; to też jest zaleta. Dlatego myślę, że mi się tam powiedzie. A uważam się za dobrego agenta nieruchomości. Pewnie dlatego, że lubię poznawać nowych ludzi, najróżniejszych, i kojarzyć ich z właściwymi do-

mami. To zabawne, ale już po dziesięciu minutach rozmowy mogę powiedzieć, jaki kto ma gust. - Uśmiechnęła się.

- Na przykład ty. Ty mógłbyś mieszkać dosłownie wszędzie, bylebyś miał regały na książki i wygodną kuchnię. Czy w dalszym ciągu robisz swoje wspaniałe chili?

- O Boże, pamiętasz takie rzeczy?

- Pamiętam wszystko, Adam.

Odwrócił od niej wzrok i kątem oka obserwował dwóch Japończyków, zastanawiając się, co mogą w takim miejscu jak Elmsford robić Japończycy. Nagle poczuł się nieswojo.

- A teraz powiedz coś o sobie. Cały czas gadałam jak najęta, nie dając ci dojść do słowa.

- Nie szkodzi, mam niewiele do powiedzenia.

- Nie bądź głupi. Na pewno masz. Każdy coś ma.

- Naturalnie, że mam, pod warunkiem, że cię interesuje informatyka, układy scalone i tego rodzaju rzeczy.

Zdawał sobie sprawę, że w ten niezręczny sposób usiłuje ją zniechęcić do dalszych pytań i ocalić swoją prywatność. Ale Randi nie dawała za wygraną.

- Oczywiście, że chętnie tego wszystkiego wysłucham, jeśli chcesz o tym mówić, ale wież, że zawsze bardziej interesują mnie ludzie. Twoje dzieci muszą już być duże, prawda? Zapomniałam, w jakim są wieku.

- Trzyście, jednaście i dziewięć.

- Masz może przy sobie ich zdjęcia?

- Nie sędzę.

- Chcesz powiedzieć, że nie nosisz w portfelu żadnego zdjęcia? Nie wierzę.

Nagle coś się w nim odwróciło. Zapragnął pochwalić się przed nią swoimi udanymi dziećmi, pokazać jej radosne dowody na to, co udało mu się osiągnąć, mimo że nim wzgardziła. Wręczając jej fotografię całej rodziny, łącznie z nim, która im służyła do ozdabiania kart świątecznych, poczuł dreszczyk dumy z delikatnym, ledwie wyczuwalnym posmakiem zemsty.

- Piękne - powiedziała Randi rzewnie. - Musisz być bardzo szczęśliwy.

- I jestem.

- Wiesz, co myślę? Na pewno nie wiesz.

Wiedział, ale nie zamierzał dać się wciągnąć w pikantne wspominki.

- I tobie się ułoży, zobaczysz. Na pewno znajdziesz kogoś...

- Najwyższy czas. Mam trzydzieści siedem lat.

- W dzisiejszych czasach ludzie nawet później zakładają rodziny. To może i lepiej - powiedział bez przekonania.

Randi oparła łokcie na stole i ująwszy twarz w dłonie, nachyliła się do niego. W lekko rozchylonej bluzce mignął mu rowek między jej piersiami; stanęły mu przed oczami jak żywe, pamiętał je dokładnie - wielkość i dotyk.

Znow odwrócił się ku Japończykom, którzy właśnie zbierali się do wyjścia. Jeden z nich miał na szyi dwa aparaty fotograficzne.

- Dlaczego się odwracasz? - zapytała Randi.

- Odwróciłem się? To zupełnie nieświadomie.

- Ciągłe się odwracasz. Boisz się, że cię ugryzę czy co?

- Nie gadaj tak głupio - ofuknął ją, czując, jak krew uderza mu do twarzy.

- Masz rację. Gadam głupio. Przepraszam, nie powinnam cię prowokować.

Adam zmarszczył czoło.

- Nie powinnaś. Jestem na takie rzeczy za stary. I ty też.

- Zgadza się. Czasem po prostu wpadam w taki idiotyczny nastrój, i to wszystko. Wypijemy jeszcze po jednym?

- Nie. Muszę wracać do domu.

- Oczywiście.

Zaległa niezręczna cisza. Adam nie zamierzał zakończyć spotkania rutynowym: „Odezwę się do ciebie” czy „Zadzwoń, kiedy będziesz mogła”. „Szkoda - pomyślał z ironią - że matka nauczyła mnie uprzejmości. W przeciwnym razie złapałbym płaszcz i po prostu wyszedł”.

Zamiast tego grzecznie pomógł Randi włożyć kurtkę, żegnając ją słowami:

- Powodzenia, Randi. Jestem przekonany, że ci się uda. Obdarzyła go różanym uśmiechem. Twarz kwiat - przyszło mu na myśl. Niech ją wszyscy diabli.

- Chwileczkę. Dam ci wizytówkę; na razie jeszcze nie oficjalną, bo licencję dostanę dopiero w przyszłym miesiącu, ale jest na niej mój prywatny adres i telefon na wypadek,

gdybyś wiedział o kimś, kto poszukuje domu. Z góry dziękuję za pomoc w interesach.

- Będzie mi miło - powiedział Adam i tak się rozstali.

Był w rozterce. Wracając do domu, zastanawiał się, czy powinien powiedzieć Margaret o tym spotkaniu. Obracając ten problem w myślach, ostatecznie doszedł do wniosku, że nie; gdyby jej powiedział, nadałby sprawie rangę, której nie miała.

Złościł się, że jego umysł, do tej pory wolny od wszelkich myśli o Randi, był teraz zaprzątnięty jakimiś absurdalnymi spekulacjami. Co za bzdura - żeby się chociaż przez ułamek sekundy zastanawiać nad tym, jak wyglądałoby jego życie, gdyby się z nią ożenił. A jednak, mimo woli, zaczął o tym myśleć. Najprawdopodobniej nie podjąłby pracy w Elmsford, wolałby uciec od tych wszystkich kłopotów... A zatem Megan, Julie i Danny'ego nie byłoby na świecie. I Adam wrócił myślami do tych koszmarnych dni, kiedy walczył ze sobą, rozpaczliwie poszukując jakiegoś przyzwoitego sposobu, by powiedzieć Margaret, że musi od niej odejść. Ciekawe, czy posądzała go o to, że coś z nim jest nie w porządku, a może bała się, że stało się coś złego. Jeśli tak - choć miał nadzieję, że jednak nie - to przez te wspólne lata z nawiązką to wyrównał. Był przekonany, że wszyscy mężczyźni spekulują na temat swoich przygód sercowych, ale nikogo o to nie pytał. W sprawach intymnych był bardzo skryty.

Luźno zwiniętą pięścią zaczął uderzać w kierownicę. Co za idiotyczne myśli!

Skręcił za róg i teraz już prosto jechał do domu. W starej ciepłej kuchni Margaret szykuje kolację, a dziewczynki jej pomagają. Czasami, kiedy miała do poprawiania sterty prac, Megan i Julie same robiły kolację, która zawsze była bardzo dobra; matka je starannie wychowała. Na białym trawniku czekał na niego Danny ze swoim owczarkiem Rufusem. Oświetlony dom, chłopiec, otulony śniegiem wieczór, pierwsze gwiazdy - wszystko to napełniło Adama wdzięcznością, której nie potrafił wyrazić słowami. Był bliski łez.

## ***Rozdział 5***

Danny'emu potrzebne było nowe biurko. Miał dziewięć i pół roku i był bardzo wysoki, prawie tak wysoki, że mógł używać biurka Niny, które w dalszym ciągu stało w jej pokoju między oknami. Ale Margaret się sprzeciwiła:

- Nie chcę nic ruszać w jej pokoju.

I nic nie ruszyli. Krzykliwy dywan w kratę, wybrany przez Ninę jako prezent na jej czternaste urodziny - który przerażał Margaret aż do chwili, kiedy się przekonała, że jednak jest bardzo odpowiedni - wyglądał jak nowy. Na ścianach w dalszym ciągu wisiały reprodukcje Moneta, a na białym łóżku w dalszym ciągu siedział wypchany kangur.

- Jestem przekonany, że Nina nie miałaby nic przeciwko temu, by Danny używał jej biurka.

Nie o to chodzi. Po prostu dopóki Nina nie wyjdzie za mąż i nie założy własnego domu, to musi być jej pokój. Margaret wiedziała, że jest głupio sentymentalna, bo Nina nigdy do tego pokoju nie wróci, ich domu też nie uważa już za swój. Ale coś w jej sercu nie pozwalało tak na dobre rozstać się z Niną, mimo że zawsze zachęcała dziewczynę do obrania samodzielnej drogi życiowej. I wiedziała też, że to coś to niezatarty w jej pamięci obraz dziecka w brudnej sukience, wątlęgo podrzutka, którego matka osierociła, a ojciec był nie znany.

- Luiza mi powiedziała o stolarzu, który robi wspaniałe meble z sosny - wspomniała Margaret - solidne i niedrogie. Mieszka po tej stronie rzeki, w Santee. Może byśmy tam pojechali w sobotę rano? Moglibyśmy wziąć jedzenie, zrobić sobie tam piknik i przy okazji zwiedzić Muzeum Indiańskie. Podobno jest jakaś nowa wystawa.

Dzień okazał się bardzo udany; każdy znalazł coś dla siebie. Danny wybrał sobie biurko, na tyle duże, żeby mogło pomie-

ścić wszystkie jego tekturowe modele. W sklepiku w muzeum dziewczynki kupiły sobie mokasyny z białej skóry, ozdobione indiańskimi paciorkami. Przy wiejskiej drodze zjedli kanapki z pieczenią wołową, pomarańcze i czekoladowe ciasteczka Margaret. Południowe słońce przesączało się przez młode liście w kolorze delikatnej zieleni. Niezbyt wysoko nad nimi ciągnęły dzikie gęsi w szyku przypominającym literę V; z wyciągniętymi do przodu długimi szyjami leciały do swoich letnich siedzib; ich głośny krzyk mącił południową ciszę.

„Jakie rozkoszne są te moje dzieci” - myślała Margaret patrząc, jak zadzierają głowy do góry. Takie czyste, takie przyzwoite, tak zdumiewająco nie tknięte przez jakiegokolwiek zło czy ból. Zadziwiające, zważywszy, że były to lata dziewięćdziesiąte.

- Jakie ładne są te wzgórza - rozmarzyła się Megan.

- To nic wielkiego - powiedział Adam - to są zaledwie małe pagórki, dopiero początek. Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwe góry, musisz jechać dalej na północ. Na północ albo na zachód. Kawał drogi.

- Posłuchajcie wiatru - wtrąciła Julie, wrażliwsza z sióstr.

- Nie ma żadnego wiatru - burknął z pogardą Danny. - Spójrz na drzewa. Nawet się nie ruszają.

- A właśnie, że się ruszają. Sam spójrz.

- Ale mi ruch, ledwo widać. Wielki wiatr, nawet go nie słychać.

- A kto wie, jakie to są drzewa? - przerwał im Adam.

- Oczywiście sosny - odparła Megan.

- Tak, ale jakie?

Nikt nie wiedział, więc naturalnie Adam musiał im to wyjaśnić. „Ma niezwykłą zdolność łagodzenia sprzeczek” - pomyślała Margaret. - Byłby wspaniałym nauczycielem. I rzeczywiście nim był na użytek rodziny. Jak zwykle w takich okolicznościach zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że Adam, w różnych sytuacjach towarzyskich tak pełen rezerwy, tak niechętny, wobec dzieci, i to nie tylko swoich, był swobodny i pełen inicjatywy. Tak jakby wśród nich czuł się całkowicie bezpieczny. Ale dlaczego ktoś taki jak Adam miałby się gdziekolwiek czuć zagrożony?

- To są sosny czerwone, i to całkiem młode. Potrafią wyrosnąć znacznie wyżej, aż do osiemdziesięciu stóp.



- To już wtedy będą bardzo stare - zauważyła Megan, zawsze rzeczowa i dokładna.
- Nie tak znów bardzo. Może będą miały ze dwieście lat, może trochę więcej.
- Dwieście lat?
- Jak na drzewo to nie jest tak dużo. Świerki żyją ponad pięćset. A sekwoje... - ciągnął Adam, najwyraźniej doskonale się bawiąc - sekwoje w Kalifornii mogą żyć... kto wie coś o sekwojach?
- Dwa tysiące lat albo nawet więcej - odparła Megan.
- Dlaczego tam nie pojedziemy, żeby je zobaczyć? - zapytał Danny.
- Kalifornia jest bardzo daleko stąd - wyjaśnił mu ojciec.
- Ale przecież ciocia Luiza i wujek Gil tam byli - przekonywał go Danny.
- Wujek Gil jest zamożnym człowiekiem. Ma własną firmę.

Margaret wolałaby, żeby Adam nie używał takich argumentów. Robił wrażenie rozgoryczonego, chociaż z pewnością tego nie chciał. Nie było zresztą powodu po temu. Przecież nie pragnęli luksusów, na które nie mogli sobie pozwolić. Czyż Adam nie pogardzał Niną za jej „materializm“?

- Wcale nie musimy być bogaci, żeby wziąć dzipa i tam pojechać... - powiedziała. - Jest tyle różnych niedrogich moteli i domków. Myślę, że byłoby nie tylko bardzo przyjemne, ale i pożyteczne, gdybyśmy trochę zwiedzili swój kraj.
- Może w przyszłym roku w lecie - odparł Adam. - Zobaczymy.
- A dlaczego nie w tym? - nalegała łagodnie Margaret. -Rozpoczęlibyśmy od Badlands, potem Utah... byliśmy kiedyś z mamą w Salt Lake City, i okazało się to bardzo ciekawe... potem Park Narodowy Yosemite, no i może San Francisco, jeśli starczy czasu.
- Nie wiem. Zapominasz, że nie jestem panem swojego czasu.
- Nie, nie zapominam - odparła Margaret spokojnie. - No, kochani, zbieramy papiery i puszki po wodzie. Zostawiamy miejsce tak, jak je zastaliśmy, i ruszamy do domu.
- Danny chciał wiedzieć, kiedy dostanie swoje biurko.
- Tata przywiezie je w przyszłym tygodniu, jak będzie gotowe.

W drodze powrotnej dzieci zażądały coca-coli.

- Możemy się zatrzymać w Randolph Corners - zaproponowała Margaret. Chyba przejeżdżaliśmy przez nie, prawda? Nie zwróciłam uwagi.

- Randolph Crossing - sprostował Adam, który naturalnie zwrócił uwagę.

Wspominając teraz Randi, odczuwał wstyd z powodu swojej tak nietypowej opryskliwości. Co więcej, było to głupie zachowanie, jakby się bał tej kobiety.

Ale właściwie czego ona od niego chciała? Z drugiej strony jednak dobrze wiedział, czego Randi od niego chce. A zresztą może się mylić. Może jest tylko zarozumiałym głupcem, który ma o sobie wygórowane mniemanie.

Prawdopodobnie myli się całkowicie.

- To zupełnie ładne małe miasteczko - zauważyła Margaret. - Popatrzcie na drugą stronę ulicy. O, tam jest kwaciarnia, sklep z sukienkami i ładna księgarnia. Jeśli sobie dobrze przypominam, do niedawna nie było tu nic.

- I teraz jest niewiele - wtrącił Adam. - W ciągu ostatnich pięciu minut nie przejechało tędy więcej jak sześć samochodów. Coś mi się wydaje, że wybrali zły moment na podnoszenie rangi tego miejsca.

- O, „podnoszenie rangi” - wtrąciła się do rozmowy kelnerka. - Byłoby wspaniale, gdyby tak się stało, przydałby nam się tutaj jakiś biznes. Przydałby się z pewnością, w to nie wątpię, ale na razie na nic takiego się nie zanoszą. - Kelnerka, duża podstarzała kobieta, mówiła z pełnym przekonaniem. - O, tam w Lasku - tak nazywają to osiedle na wzgórzu - no więc w Lasku są bardzo ładne domy, chętnie sama bym w takim mieszkała... cha, cha! Ja! Akurat! Połowa z nich nie jest jeszcze sprzedana. I nic nie mogą z nimi zrobić. To jeszcze potrwa, jak sądzę. No, ale może się ruszy. Dolać wam jeszcze coca-coli, dzieciaki?

- Myślę, że już wystarczy... - zaczęła Margaret, ale Adam jej przerwał:

- Ruszyć to się ruszy. Zawsze się w końcu rusza, ale najgorzej mają chyba ci, co handlują nieruchomościami i muszą czekać.

- Na pewno. Te kobiety, co tu w sąsiedztwie prowadzą firmę, przychodzą do nas codziennie na lunch; nieraz słyszę,

jak rozmawiają. Nie głodują, ale kiepsko ciągną. Pan chciałby zapłacić, tak?

- Ale cię zagadała, co? - powiedział Adam, kiedy już siedzieli w samochodzie.

- Pewnie czuje się samotna.

Margaret była bardzo spostrzegawcza. W kontaktach z ludźmi błyskawicznie wszystko chwytiała. „Nie tak jak ja” -pomyślał.

- Odniosłam wrażenie, że ona jest wdową. Pewnie dzieci się już wyniosły z domu i rzadko je widuje. Mieszka sama i nie ma do kogo ust otworzyć. Smutna, opuszczona kobieta.

- I tego wszystkiego dowiedziałaś się podczas dwuminutowej rozmowy? Powinnaś pisać powieści. Smutne powieści.

Adam naturalnie sobie z niej żartował. A jednak za tymi żartami kryła się głęboka prawda: Margaret miała serce. W następną sobotę wszyscy w domu byli zajęci, więc Adam sam pojechał po biurko. Wracał przez Randolph Crossing. Była też i krótsza droga, ale w tak piękną pogodę wybrał przyjemny pagórkowaty teren po tej stronie rzeki, opadający stopniowo ku Elmsford.

Po chwili, zbliżając się do miasteczka, zgasił radio, żeby nic nie odwracało jego uwagi od wspaniałej scenerii.

Malownicza droga była z całą pewnością przyjemniejsza, i tak by ją wybrał, nawet gdyby nie miał po temu żadnych innych powodów. Tak czy siak, musiał przyznać, że element - można śmiało powiedzieć - ciekawości nie był bez znaczenia dla jego wyboru. Chętnie by się dowiedział, co Randi robi z tym swoim nieszczęsnym rozwichrzonym życiem. Gdyby ją naturalnie przypadkiem spotkał. Co oczywiście było bardzo mało prawdopodobne. I może lepiej. Niepotrzebnie robi wokół tej sprawy tyle szumu.

Było prawie południe, kiedy wjechał na główną ulicę. Poczul się głodny i z przyjemnością pomyślał o kanapce; kupi sobie gazetę i jedząc poczyta. Na ulicy panował spokój, zaparkował więc i czekał na przejawy jakiegoś ruchu, chociaż właściwie nie było najmniejszego powodu, żeby od razu nie wejść do kawiarni. Mimo to czekał tak długo, aż zmorzył go sen w nagrzanym przez słońce samochodzie. Widział, jak

drzwi lokalu się otwierają i wchodzi kilku mężczyzn. Wszedł więc i on i zajął stolik naprzeciwko drzwi. Kelnerka powitała go jak dobrego znajomego i przyjęła od niego zamówienie.

Kiedy weszła grupka paplających kobiet, udał, że jest pogrążony w lekturze gazety. Czuł dziwne napięcie w mięśniach - jakby w oczekiwaniu czegoś, co się za chwilę wydarzy. Pragnął tego i jednocześnie miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Adam! - wykrzyknęła. - Co ty tu, na miłość boską, robisz?

Natychmiast stanęło mu przed oczami spotkanie w księgarni przy Piątej Alei. Prosząc Boga, żeby się tylko nie zaczerwienić, czuł, jak mu krew uderza do twarzy, i usłyszał swoją własną niepewną odpowiedź:

- Miałem tu niedaleko sprawę do załatwienia... odbierałem mebel... i... wstąpiłem na mały lunch. A ty?

- A ja tu właśnie pracuję, obok. Pozwólcie, to jest Adam Crane, stary przyjaciel. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, jeśli was dziś opuszczę i przysiędę się do niego?

Wszystkie koleżanki wybaczyły Randi, więc po dokonaniu prezentacji usiadła z Adamem. Oparłszy swoim zwyczajem łokcie na stole, ujęła trzpiotowatą buzię w dłonie. Przyszło mu do głowy słowo „migotanie”; jej promienne oczy i błyszczące usta dosłownie migotały.

- Powiedz mi, jeśli możesz, dlaczego mnie tak tępisz?

- Ja cię tępię? To śmieszne.

Żeby uniknąć spojrzenia Randi, wpatrywał się w jej usta. Dolna warga była jak gdyby pełniejsza niż przed laty - to nie znaczy, żeby się przez te wszystkie lata nad tym zastanawiał... Różową górną wargę miała pięknie wykrojoną. W uchylonych ustach było widać równą białą linię zębów. Idealnych - uświadomił sobie nagle.

- Co mi się tak przyglądasz? Mam rozmazaną szminkę czy co?

Adam zająknął się:

- Nie. Nie, nie masz rozmazanej szminki.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Chodzi ci o telefony?

- Tak. Chodzi mi o telefony. Jestem przekonana, że matka nauczyła cię lepszych manier.

- Przepraszam. Powinienem być wtedy oddzwonić. Ale byliśmy bardzo zajęci. Szczerze mówiąc, przepracowani, i po prostu zapomniałem. Przepraszam.

- Wtedy! Dzwoniłam pięć razy! Z pewnością nie zapomniałeś. Po prostu mnie unikałeś.

- Przepraszam - powtórzył Adam i pomyślał - idiota. Jestem durniem, który zapomina języka w gębie.

Randi się roześmiała.

- Och, Adam! Kiedy ty wreszcie dorośniesz? Dzwoniłam, ponieważ chciałam cię prosić o fachową poradę na temat tej okolicy, tej części stanu. Przecież tyś się tu mimo wszystko wychował.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam, jest mi ogromnie przykro - powtórzył, uświadamiając sobie, że mówi to już po raz czwarty.

- Powinno ci być. Ale to nie ma znaczenia. Znalazłam innych ludzi, którzy mi pomogli. Dobra jest ta pizza?

- Co takiego? A, ta, którą jem?

- Nie. Ta, którą je tamten facet. Adam, co się z tobą dzieje?

- Przepraszam. Zamyśliłem się. Zamówiłem kanapkę, ale oni się pomylili i przynieśli mi pizzę. Wyglądała apetycznie, więc ją zatrzymałem.

- Daj spróbować. Jak mi zasmakuje to i ja sobie taką zamówię. I przestań powtarzać, że mnie przepraszasz.

Zanim zdążył wstać, żeby wziąć widelec z sąsiedniego stolika, Randi złapała jego widelec.

- Ale ja go używałem - zaprotestował.

- No to co z tego? Masz AIDS czy co? Nie, z takim stałym, wiernym żonkosiem jak ty nie ma żadnego ryzyka. Ja się w każdym razie nie boję.

Adam odniósł wrażenie, że Randi go prowokuje. W jej migotliwych oczach i śmiechu wyczuwał kpinę.

A on, który rzeczywiście nigdy nie zdradził żony, musiał zaprotestować i odpowiedzieć z pogardą:

- A ty co? Czytasz z ręki czy z kryształowej kuli? Przede wszystkim, Randi, co ty możesz o mnie wiedzieć? Po co te wygłupy?

Randi przez chwilę patrzyła na niego z namysłem, po czym powiedziała:

- Masz rację. Ale, poważnie - rzeczywiście znów potrze-

buję rady. Zamówię sobie małą pizzę i wyłuszcze ci mój problem - chyba że się spieszysz. Spieszysz się?

Adam spojrział na zegarek. Było wpół do pierwszej. Zamierzał jak najprędzej wrócić do domu; obiecał Danny'emu, że mu pomoże wykopać okropnie zaszarganego Rufusa. Miał też odebrać Julie od koleżanki, Margaret bowiem wzięła drugi samochód i pojechała z Megan po zakupy.

Kiedy się zawahał, Randi powiedziała:

- To nam zajmie dziesięć minut. Posłuchaj - wspominałam ci chyba, że wynajęłam mieszkanie. Jest dosyć ładne, tu zaraz /a rogiem, przy następnym skrzyżowaniu, bardzo wygodnie położone, ale umowa mi się skończyła, a innych mieszkań do wynajęcia tu nie ma.

Przerwała, żeby wziąć kęs pizzy. Podobało mu się u niej to, że nie mówiła z pełnymi ustami, był w tych sprawach bardzo zasadniczy. Pomyślał, że jest szalenie zadbana - od wypolerowanych paznokci u nóg do różowych paznokci u rąk. Ale Margaret też ma ładne ręce, chociaż w inny sposób. Bardziej użyteczny. Wyobraził sobie ręce swojej żony, które gotowały, pracowały w laboratorium chemicznym, sadyły warzywa. Jakież te dwie kobiety były różne. Nawet jadły inaczej. Margaret zaspokajała głód powściągliwie; Randi łapczywie -właściwie wszystko robiła łapczywie...

Myśli Adama kłębiły się w chaotycznej gonitwie.

Tymczasem Randi kończyła:

- Kiedy tylko usłyszałam, że ten dom jest wystawiony na sprzedaż, od razu pomyślałam, że to będzie świetny interes. Dom znajduje się niedaleko stąd, tak jakby w lesie.

- W lesie? Gdzie?

- Nie słuchałeś, co mówiłam? Właśnie ci opisywałam grupę domów w tym, co nazywamy Laskiem. My jesteśmy ich agentami, a ja się zastanawiam, czy samotna kobieta może zainwestować w dom i wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Potrzebna mi jest praktyczna rada praktycznego człowieka.

- Jeżeli ten dom ci się tak bardzo podoba i masz pieniądze, to zainwestuj w niego. Przecież nie zawsze będziesz sama.

- Skąd ty to możesz wiedzieć.

- Mogę. Jesteś ładną kobietą. Daruj sobie fałszywą skromność.

- Ostatnio moja skrzynka pocztowa nie jest wypełniona propozycjami matrymonialnymi. Przypominam ci raz jeszcze, że mam trzydzieści siedem lat.

Margaret miała trzydzieści osiem. Dlaczego jego umysł bez przerwy podsuwał mu takie porównania? To tak, jakby ktoś pionową kreską przedzielił kartkę na pół i po dwóch stronach wypisał te imiona. „To jest chore” - pomyślał, już teraz wściekły na siebie.

- Mniejsza z tym - powiedziała szybko Randi. - Naprawdę potrzebna mi jest bezstronna opinia na temat tego domu. Moja firma naturalnie domaga się prowizji i ja ją rozumiem, ale to znaczy, że nie mogę polegać na ich opinii. I tak sobie pomyślałam, że skoro już tu jesteś... to może byś obejrzał ze mną ten dom.

Znow spojrzał na zegarek. Angażowanie się w cokolwiek z Randi, nawet we wspólne oglądanie domu, było niewątpliwie idiotyczne. I chociaż wydawało się zupełnie niewinne, to mogło w przyszłości spowodować rozmowy telefoniczne, a jemu tylko tego brakowało. Nie życzył sobie żadnych rozmów.

- To jest dosłownie o rzut kamieniem stąd - nalegała, a kiedy się zawahał, wybuchnęła śmiechem: - Daję głowę, że się boisz, żebym cię nie uwiodła! Ależ ty jesteś beznadziejny, Adam. Tamte sprawy to prehistoria. I nie mają nic wspólnego ze zwykłą przyjacielską przysługą.

- No już dobrze, dobrze, jedźmy. Tam na ulicy zostawiłem samochód.

Ruszyli w kierunku, z którego niedawno przyjechał, a potem skręcili z autostrady w bok. Adam niespokojnie spoglądał na zegarek na tablicy rozdzielczej, cały czas obliczając, na którą zajędzie do domu. Nie powinien był dać się na to namówić! W żadnym wypadku!

- Czy to, co tam wiesz, to jest antyk? - spytała Randi.

- Nie, po prostu dobra kopia. Koło Santee jest taki facet, który robi te meble. Kupiłem biurko dla syna.

- Pamiętam zdjęcie, które mi pokazałeś. To ten z rudą kędzierzawą czupryną, tak? Rozkoszny.

- On nienawidzi tych swoich włosów.

- Ma włosy jak matka, prawda? Kiedy spotkaliśmy się

w Nowym Jorku, wydała mi się bardzo piękna. Taka oryginalna, wygląda jak dama.

Adam był niezadowolony, że Randi miesza do rozmowy Margaret, potęgowało to tylko jego poczucie winy. Ale jednocześnie fakt, że czuje się winny, nie robiąc nic złego, doprowadził go do wściekłości. Kto powiedział, że mężczyzna dlatego tylko, że jest żonaty, musi się wyliczać z każdej minuty swojego czasu i z każdej napotkanej osoby. Co za bzdura.

- Tak się cieszę, że jesteś szczęśliwy. Naprawdę na to zasługujesz. - Randi zawiesiła głos. - Bo jesteś szczęśliwy, prawda?

- Tak, bardzo. Jestem bardzo szczęśliwy.

- Cieszę się, naprawdę.

Rozmowa stawała się zbyt osobista i Adam znów poczuł się nieswojo. Mimo to pewna ciekawość dodawała sytuacji pikanterii. Niemal wbrew woli wyrwało mu się pytanie:

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Dlaczego co zrobiłam?

- Wiesz co.

- Dlaczego od ciebie odeszłam? - A kiedy się nie odzywał, powiedziała: - Bo byłam głupia. Byłam głupią, niedoświadczoną młodą kretynką, z głową nabitą idiotycznymi wizjami fantastycznego życia gdzieś po drugiej stronie tęczycy, w Kalifornii. A poza tym byłam zazdrosna. Za wolno działałaś.

Nie odezwał się. Nie powinien był w ogóle zadawać tego pytania, nie powinien był wskrzeszać tej martwej przeszłości.

- Chociaż - dodała wesoło - to wszystko należy już do prehistorii. Skręć tutaj w tę wiejską drogę. Mówiłam ci, że to nam nie zajmie wiele czasu.

„Niewiele - pomyślał, bez przerwy denerwując się swoim spóźnieniem - tylko dodatkowe trzy kwadransy”.

Wąska droga, biegnąc przez las sosnowy, wspinała się na łagodne zbocze, gdzie przycupnęło kilka ładnych niskich domków, oddzielonych jeden od drugiego starymi drzewami i gęstymi krzewami. Droga kończyła się ślepo i tu skręcili w podjazd.

Dom można by określić jako nowoczesny, ale też, mimo że nie był zbudowany z bali, miał w sobie coś z ducha historycznych amerykańskich chat pionierskich. Wysiedli z sa-



mochodu i Adam poszedł za Randi przez wysoką do kolan trawę aż do przerwy w linii drzew.

- Chodź tu do mnie! - zawołała Randi. - Stąd prawie widać płynącą tam w dole rzekę. Jestem przekonana, że przez lornetkę zobaczylibyśmy ją bardzo dokładnie.

W sosnach szumiał lekki wiatr. Wiosenne powietrze było łagodne i pachnące. Nagle ogarnęło go rozleniwienie. Mógłby się teraz położyć w rozgrzanej trawie i patrzeć na Randi, jak stoi w promieniach słońca, a wiatr wzdyma jej spódnicę. Zamiast tego skierował się do domu.

- Wejdzmy już może, mam niewiele czasu.

Wewnątrz panował charakterystyczny zapach pustego opuszczonego domu. Farba na ścianach spłowieła. Żaluzje były poobrywane; mała kuchnia zaniedbana, poręcz od kuchenki odłamana, linoleum podarte.

- Kuchnię trzeba naturalnie wymienić - powiedziała Randi.

- To bardzo duży wydatek.

- Jest w mieście facet, który w soboty i niedziele reperuje kuchnie i bierze całkiem niedrogo. Co za wspaniały duży pokój, nie uważasz? Tu we wnęce można by postawić okrągły stół, dwie kanapki przy kominku... ale widzę, że cię nudzę, Zawsze zapominam, że mężczyźni nie interesują się urządzaniem wnętrz.

- Chyba, że są dekoratorami. Moja młoda kuzynka Nina pracuje u dwóch takich dekoratorów w Nowym Jorku.

- Nina? Czy to może ta druga dziewczyna ze zdjęcia?

Z tego wynika, że jej pokazał cały album. Ale jaka bystra, nic nie uszło jej uwagi, wszystko pamięta.

- Ma bardzo oryginalną urodę. Nie taka ładna jak Margaret, ale ciekawa. Ona jest z Nowego Jorku?

- Nie, tylko tam mieszka.

„To zbyt osobiste, za dużo chce wiedzieć - pomyślał z irytacją. - Co ją obchodzi, gdzie mieszka Nina? Ale po co w ogóle wspominał o Ninie? Bo w beznadziejnie niezręczny sposób usiłuje nawiązać rozmowę - odpowiedział sobie natychmiast. - Bo nie wie, co ze sobą zrobić”.

- Chodź, obejrzymy sypialnię. Są dwie, aleja bym używała tej. Łóżko stałoby tutaj, naprzeciwko okien. Bardzo mi się one podobają. To miejsce gwarantuje całkowitą prywatność,

a jednocześnie leżąc człowiek widzi wierzchołki drzew.

gwiazdy i księżyc.

Adam odwrócił się od miejsca, w którym miało stać łóżko, i patrzył w drugą stronę. Łóżko niewątpliwie będzie miękkie, z różową kołdrą i puchowymi poduszkami. Wszedł do łazienki, obrzucił ją pobieżnym spojrzeniem i stwierdził, że glazura jest w dobrym stanie i nie wymaga fugowania. Nagle zaczął się spieszyć, ogarnęła go niemal panika, jakby w tym domu czaiła się jakaś groźba, bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo.

- Czy moglibyśmy się pospieszyć? - zapytał zniecierpliwiony. - Zrobiło się bardzo późno.

W drodze powrotnej zapadło tak niezręczne milczenie, że odczuł potrzebę przerwania ciszy.

- Powinnaś koniecznie wziąć jakiegoś inspektora budowlanego, żeby ci sprawdził dach, hydraulikę i w ogóle cały dom. Ja nie mam kwalifikacji, żeby wydawać takie opinie.

„Co więcej - pomyślał - zapraszając mnie tutaj, wiedziała, że "nie mam takich kwalifikacji, i ja też o tym doskonale wiedziałem".

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie podrzucił do domu - powiedziała, a kiedy podjechał do krawężnika, podziękowała mu oficjalnie i dodała: - Chętnie bym cię zaprosiła, gdybyś się tak nie spieszył. To bardzo ładnie z twojej strony, że zechciałeś tam ze mną pójść. Naprawdę to doceniam. Skorzystam z twojej rady i przekażę ci potem opinię specjalisty. Ale powiedz mi, czy dom ci się podobał? - uniosła wyczekująco swoją różową twarz.

- Tak - odparł, wrzucając bieg. - Jest uroczy. I bardzo do ciebie pasuje.

Twarz kwiat. Wiedźma o twarzy jak kwiat.

Wrócił późno, zły na siebie i jeszcze bardziej zły na widok zaparkowanego przed domem samochodu Freda Davisa. Miał nadzieję, że Margaret nie zaprosiła go na kolację. Fred pewnie będzie w zbyt radosnym humorze jak na obecny nastrój Adama.

- Hej, jest tam kto? - zapytał, idąc prosto do kuchni, gdzie Margaret rozpakowywała zakupy. - Przepraszam, że przyjechałem tak późno... A co robi tutaj Fred? Gdybyś mogła mi

pomóc wylądować z dzipa biurko - nie jest ciężkie, tylko niewygodne - to zaraz pojedę po Julie.

- Spokojnie, nie musisz się spieszyć. Julie już jest. Fred ją przywiózł. Właśnie za domem rozkłada krykieta; Danny już się nie mógł doczekać.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że specjalnie dzwoniłaś do Freda, żeby pojechał po Julie.

- Naturalnie, że nie. Akurat wpadł, bo miał nam coś do powiedzenia, i to bardzo miłego, a ponieważ cię nie było, ofiarował się, że przywiezie Julie. Co się stało, że jesteś tak późno?

- Złapałem gumę.

- O Boże, przecież masz nowe opony.

- Na szczęście nic poważnego. Stało się to w pobliżu stacji obsługi, więc szybko się z tym uporali.

Dlaczego, do diabła, nie powiedział prawdy? Dlaczego nie powiedział - Spotkałem Randi Bunting... pamiętasz ją?... i poszliśmy obejrzeć dom. Po prostu, uczciwie i otwarcie. Pogardzał kłamstwem tak samo jak kradzieżą. Dlaczego więc skłamał?

- A cóż to takiego miłego ma nam do powiedzenia Fred?

- O, właśnie idzie, sam ci powie.

Na miłej twarzy Freda malował się wesoły uśmiech. Usiadł, wyciągnął z kieszeni zmiętą mapę i rozłożył na stole kuchennym.

- O, widzicie, tutaj, sto mil na wschód od Banff? Pamiętacie szwagra Denise? Poznaliście go kiedyś, jak przyjechali z Kanady. Pamiętacie, jak wam mówiliśmy o ich letnim ośrodku? Ośrodek! To za skromna nazwa. Obiekt jest położony nad jeziorem, ma piękne domki i... bardzo obszerny główny budynek. A dobra wiadomość, o której wspominałem, jest taka, że jestem tam zaproszony w lecie na trzy tygodnie, razem z przyjaciółmi. Mogę przywieźć pięć czy nawet sześć osób, kogo tylko zechcę, szczególnie dzieci, bo będą też wnuki gospodarzy. Zapraszam więc was. Całą rodziną. Co wy na to?

Wszyscy w podnieceniu spojrzeli na Adama. Przypomniała mu się rozmowa z ubiegłego tygodnia, dotycząca wspólnej wycieczki, i poczuł ciężar w sercu - nie miał ochoty jechać, a oni oczekiwali po nim entuzjazmu.

- To bardzo miło z twojej strony, Fred - zaczął ostrożnie - ale naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Cała trójka, patrząc błagalnie na Adama, wykrzyknęła:

- Zgódź się, tato!

- To nie jest takie proste. Wiecie przecież, że pracuję.

- Oczywiście, ale należy ci się urlop. Zobaczysz, będzie wspaniale - zapewnił go Fred. - Narty wodne, canoe, żaglówka, nawet wyspa, na której można urządzać pikniki. Jezioro jest wielkie. Mają też korty tenisowe. Wszystko. „Raj milionera - pomyślał Adam, który słyszał dawno temu, że siostra Denise bogato wyszła za mąż za kanadyjskiego potentata węglowego. Po kolacji będą siedzieli i dyskutowali o tym, dokąd pojedą w zimie - do Maroka czy na Tahiti".

Margaret, która znała jego uprzedzenia, pochwyciła wzrok męża.

- To bardzo mili ludzie - powiedziała. - Doskonale ich pamiętam, jak tu byli z wizytą u Denise i Freda. Bardzo bezpośredni, sympatyczni.

Margaret marzyła o tym, żeby jechać. Może gdyby nie miał głowy nabitej innymi sprawami, zgodziłby się, mimo braku chęci, chociażby po to, by zrobić jej przyjemność. Ale miał głowę nabitą innymi sprawami. Chodziły słuchy, że Ramsey mimo wszystko nie pojedzie do Europy, co znaczyło, że Adam nie awansuje. A żadnych innych korzystnych dla siebie ruchów nie widział. Jeśli się nie jest usłużnym, nie ma się tak zwanej „osobowości" i przylepionego do twarzy lizusowskiego uśmiechu, to się daleko nie zajędzie...

Ponieważ wszyscy na niego czekali, odpowiedział:

- Przykro mi, że muszę was rozczarować, ale nie mogę jechać. Nie mogę sobie na to pozwolić, a harmonogram urlopów został sporządzony już wiele miesięcy temu.

- Ale dlaczego nie miałbyś zapytać? Przynajmniej spróbuj - nalegała Margaret.

- Nic się już nie da zmienić.

Co on opowiada. Harmonogram urlopów był zazwyczaj elastyczny, a Ramsey szedł ludziom na rękę i gdyby go Adam poprosił, prawdopodobnie by się zgodził.

Zaległa ciężka, przykra cisza. Żeby ją przerwać, Adam wykrzyknął, siląc się na beztroskę:

- Posłuchajcie, a dlaczego niby nie mielibyście jechać beze mnie? Ja się zgadzam. Mam tutaj tyle roboty, a poza tym...

- Ale, Adam - Margaret posmutniała. - Co to za wakacje bez ciebie? Do tej pory się nie rozłączaliśmy i nie chciałabym tego zmieniać.

- Mamo! - jęczała cała trójka. - Mamo!

- Dwa lata temu pojechałem sam na konferencję do Waszyngtonu i nie było mnie przez tydzień. I co się złego stało?

- To zupełnie co innego. Wyjazd był służbowy i musiałeś jechać.

. Adama ogarnął lęk, jakiś dziwny lęk przed czymś, czego nie chciał i nie mógł określić słowami. A chodziło po prostu

O to, że wolał nie wyjeżdżać z domu, nie być na niczyjej łasce, wśród obcych, nie opuszczać biura, gdzie w czasie jego nieobecności mogło się zdarzyć dosłownie wszystko. Poza tym dom nie miał alarmu anty włamaniowego. Były to zbyt kosztowne rzeczy... A gdyby tak wdarli się jacyś wandal

I zniszczyli mu wspaniały nowy komputer, pianino i wszystkie książki? No i co z psami. Rufusa nigdy nie trzymali w budzie...

Niektóre z tych argumentów, kłębiących mu się w głowie, a może nawet wszystkie, były idiotyczne. Może zresztą nie. Tak czy owak nie chciał jechać.

- To nie jest w porządku, tato - wybuchnął Danny - sam wiesz, że to nie w porządku.

Fred okazał się, jak zwykle, taktowny.

- Ja już będę szedł, a wy to sobie we własnym gronie przemyślcie^Nie musicie mi odpowiadać w tej chwili.

- Nie zostaniesz na kolacji? - spytała Margaret.

- Nie, dziękuję. Innym razem. Dajcie mi znać, jeśli się zdecydujecie.

I tak się rozpoczął wieczorny posiłek, całkiem naturalnie, dyskusją nad zaproszeniem, w tonacji zupełnie spokojnej, jako że w rodzinie panował taki styl. Ostatecznie przyjęto rozwiązanie Adama.

- Dzisiaj podczas twojej nieobecności rozmawiałam z Niną - powiedziała Margaret później, kiedy zostali sami. - Ona też jest zaproszona i bardzo się na to cieszy. Przyjedzie na dziesięć dni. W lecie nie ma takiego ruchu w interesach, więc bez problemu dostanie urlop. To naprawdę fantastycznie ze

strony Freda, nie uważasz? Mógł przecież zaprosić, kogo chciał.

- Najwyraźniej chciał ciebie. Ale to nic nowego, prawda? Chyba powinienem być o niego zazdrosny.

Temat dawnego uczucia Freda do Margaret dawno już został wyczerpany. Funkcjonował jak dowcip z brodą. Tym razem jednak Adam uznał, że powinien coś powiedzieć.

- Może jestem lekkomyślny, że stwarzam mu taką dogodną okazję.

- Nie gadaj głupstw.

Margaret czesała włosy, stojąc przy oknie. Wyłoczone wieczornym światłem, puszczone luźno loki, okalały jak aureola jej perłową twarz, z głęboko osadzonymi szarymi oczami i wydatnymi kośćmi policzkowymi. Do Adama ponownie dotarło, jak bardzo była szczęśliwa, mogąc wyjechać z dziećmi. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jest zaskoczona czy raczej zaniepokojona jego odmową. Ale próby postawienia na swoim nie leżały w jej charakterze. Czuła, że Adam martwi się problemami w pracy i że nie chce o nich mówić. Jakżeż dobrze go znała! A on ją! Jak przysłowiową własną kieszeń. Po szesnastu latach małżeństwa i poprzedzającym je okresie znajomości nie mogło być mowy o jakimkolwiek zaskoczeniu z jednej czy drugiej strony.

- Z Niną będziesz się dobrze bawiła. Ona potrafi rozruszać każde towarzystwo.

- Wolalabym ciebie - odparła Margaret, a następnie obejmując go ramionami i tuląc się do niego, dodała: - Czasami wydaje mi się, że nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię kocham.

Pocałował ją w odpowiedzi.

- Owszem, zdaję sobie sprawę. Jesteś cudowna. Naprawdę cudowna.

Ale Margaret nie tego oczekiwała. Chciała, żeby ją szybko, gwałtownie porwał do łóżka i czule się z nią kochał.

Trudno jednak wymagać od mężczyzny, żeby się włączył tak, jak się, powiedzmy, włącza radio. Cóż, ludzie są różni, a ona zawsze była bardziej pobudliwa od niego. Może zresztą Adam po prostu się starzał.

- Jesteś zmęczony - powiedziała, wypuszczając go z objęć. - Idź spać. Ja też już idę.

## **Rozdział 6**

Adam wsadził rodzinę do samolotu, przez chwilę patrzył, jak maszyna rozpędza się na pasie startowym i unosi w górę, po czym wrócił do domu, do licznych obowiązków. Należało opryskać róże środkiem przeciwko zarazie, wypielić ogródek warzywny, napełnić karmniki dla ptaków i dać jeść psom. Wywiązawszy się z tych wszystkich zadań, wszedł do domu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Margaret wyposażyła lodówkę w różne smakowite rzeczy, jak zupy, lazanie, pieczone kurczęta i strudel jabłkowy -a wszystko to w ilościach wystarczających dla trzech mężczyzn. Usiadł w kuchni przy stole, oparł sobie książkę o kubek z kawą i jedząc czytał. Po posiłku zmył naczynia

I wzięwszy oba psy, poszedł na szkolne boisko popatrzeć, jak piątoklasiści grają w piłkę, po czym odbył swój zwykły półgodzinny żwawy spacer.

- Ładny wieczór, co, chłopaki? - zwrócił się do Rufusa i Zacka, które, machając ogonami, dawały mu do zrozumienia, że dzielą jego dobry nastrój.

Po powrocie do domu zasiadł przy biurku i bez obawy, że mu ktoś przeszkodzi, podjął przerwana pracę nad nowym kodem programowym. Używało go już dziewięć firm, chodziło o to, czy weźmie go także Advanced Data Systems. Ocena Adama, uwzględniająca wszystkie za i przeciw, będzie z pewnością starannie analizowana. Od tego mogą też zależeć jego dalsze losy w firmie. Spędził więc nad tym problemem kilka pracowitych godzin, chwilami niemal słysząc klikanie własnego umysłu, nie mniej sprawnego i szybkiego niż komputer. Na koniec wysłuchał wiadomości i zadowolony poszedł spać.

Nazajutrz była niedziela. Dość wcześnie obudził go telefon Margaret, która dzwoniła, żeby mu powiedzieć, iż dojechali

szczęśliwie, droga przez góry była cudowna, miejsce wspaniałe, a dzieci są zachwycone, Nina przesyła mu pozdrowienia, a Danny prosi, żeby pamiętał o wieczornym przysmaku Rufusa.

- Robisz wrażenie rozspanego, chyba cię obudziłam -zaniepokoiła się Margaret.

- Ależ skąd. Już jestem prawie ubrany. Właśnie szedłem na dół zrobić sobie jajka na bekonie. Do diabła dziś z cholesterollem.

- Już teraz bardzo za tobą tęsknię i mam poczucie winy, że siedzę tu sobie w tych luksusach, a ty tam sam jesz śniadanie.

- Margaret, kochanie, naprawdę nic mi nie brakuje. Baw się dobrze i ucałuj ode mnie dzieciaki.

A tak naprawdę leżał jeszcze w łóżku gdzieś między snem a czuwaniem. Czuł się dziwnie, że nie ma obok siebie Margaret. Uświadomił sobie jednocześnie, że wcale mu nie przeszkadza to, że jego żona spędzi trzy tygodnie w towarzystwie mężczyzny, który w tak oczywisty sposób ją adoruje. Gdyby go ktoś o to zapytał, powiedziałby naturalnie, że Margaret jest ostatnią kobietą, która mogłaby, i w ogóle... ale i tak większość mężczyzn na jego miejscu byłaby zazdrosna. Nawet

o żonę tak wierną jak ona. Dlaczego więc on nie był?

Po chwili ocknął się z tych jałowych rozmyślań, zbiegł na dół, zjadł śniadanie i wyszedł z niedzielną gazetą. Upał wyraźnie się wzmagił. Do dziesiątej umilkły wszystkie ptaki

1 żaden liść nawet nie drgnął. Po powrocie do domu, gdzie było znacznie chłodniej, zasiadł znów do komputera.

Wczesnym popołudniem był już zlany potem. Położył się i włączył radio, właśnie podawali, że fala upałów, przetaczająca się przez Środkowy Zachód i sięgająca właśnie szczytu, miała potrwać jeszcze co najmniej tydzień.

Pomyślał, że miło byłoby mieć basen. Dwoje czy troje spośród ich przyjaciół miało baseny. Szkoda, że nikt go akurat nie zaprosił. Musiał jednak przyznać, że te znajomości zawdzięczał właściwie wyłącznie kontaktom Margaret; mężowie jej przyjaciółek nie byli jego przyjaciółmi. Nie to, żeby go nie lubili i dlatego nie zapraszali; po prostu nie przychodziło im to do głowy.

Uświadomił sobie, że nie jadł lunchu. Było wpół do piątej; za późno na lunch, za wcześnie na kolację. A zresztą co za



różnica? Zje, bo jest głodny, potem poogląda telewizję i pójdzie na górę do sypialni, żeby sobie poczytać.

I tak powoli dzień dobiegł końca. Adam nie mógł się doczekać poniedziałku.

- Mówiłam ci, że zadzwonię, kiedy już będę coś wiedziała o domu - usłyszał w telefonie głos Randi. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w pracy.

Tak się akurat złożyło, że był umówiony na lunch w bardzo ważnej sprawie, ale ostatecznie nic się wielkiego nie stanie, jeśli spóźni się kilka minut.

- Nie. Słucham, mów, o co chodzi.

- Inspektor powiedział, że dom jest w porządku, więc go kupiłam! Jestem niesamowicie podniecona i jednocześnie trochę się boję, bo oczywiście muszę wziąć spory kredyt. Ale raz się żyje, prawda?

- Prawda - odparł Adam.

- Poleciałam tam dzisiaj rano przed pracą. Nie mogę uwierzyć, że ten dom jest mój! Było tam bardzo chłodno. Pewnie dzięki tym drzewom, które rosną na stoku wzgórza. Tak samo chłodno jak u mnie w mieszkaniu przy włączonej klimatyzacji. A jak jest w Elmsford?

Nagle zobaczył stojącą na wietrze Randi, tak jak wtedy, tamtego dnia, z sukienką wzdętą jak żagiel. Zapamiętał, że sukienka była żółtego koloru.

- W biurze przyjemnie, ale na zewnątrz jak w piecu. I jak u mnie w domu - dodał nie wiadomo po co.

- A co, nie masz w domu klimatyzacji? - spytała.

- Dom ma sto lat i jest bardzo duży. Trzeba by go było dosłownie rozebrać, żeby poprowadzić w ścianach przewody. To by się nie opłacało.

- Taki upał musi być szczególnie trudny do wytrzymania dla dzieci. Ciągłe są w ruchu i łatwo się przegrzewają.

- Na szczęście nie ma ich w mieście. Wyjechały do Kanady nad jezioro.

Ale dlaczego w ogóle prowadzi tego typu rozmowy? Randi ma w nosie i jego dom, i dzieci.

- Musisz się czuć bardzo samotnie.

- Niespecjalnie. Przynoszę do domu góry pracy i to mi

wypełnia wieczory. - Zapadła niezręczna cisza i dopiero po chwili się zorientował, że należałoby coś powiedzieć. - To był z twojej strony bardzo poważny krok, ale myślę, że będziesz zadowolona. Gratulacje!

- Na pewno. Może kiedyś... gdybyś przejeżdżał tędy kiedyś z rodziną, moglibyście mnie odwiedzić, jak już się urzędę.

- Może. W każdym razie dziękuję za zaproszenie.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się czuł niezręcznie. Bo przecież wszystko, co między nami było, to przeszłość. Już ci to mówiłam i jeszcze raz powtarzam. Rozumiesz mnie, prawda?

- Tak, rozumiem.

- Dlatego chętnie bym się z tobą zobaczyła, Adam. Obojętnie kiedy.

Bill Jenks zajrzał do pokoju i bezgłośnie powiedział: lunch. Adam skinął głową, jednocześnie mówiąc do telefonu:

- Ktoś tu do mnie przyszedł. Już jestem spóźniony. Muszę iść. Później do ciebie zadzwonię.

„Nie zadzwonię do ciebie później - pomyślał - ponieważ to oznacza dla mnie kłopoty. A ja nie potrzebuję kłopotów. Nie chcę”.

Chętnie bym się z tobą zobaczyła", Adam. Obojętnie kiedy.

Pod pozorem bólu głowy wcześniej wyszedł z pracy. Był spięty. Szyję miał dosłownie sztywną.

Podczas lunchu Jenks, który przejrzał sprawozdanie Adama, wyraził wątpliwości co do tego, czy Ramsey będzie z niego zadowolony.

- Wydaje mi się, że szef oczekuje czegoś bardziej wyczerpującego.

Naciskany, żeby podał jakieś szczegóły, zaczął udzielać odpowiedzi wymijających i Adam odniósł wrażenie, że koledze sprawia przyjemność jego niepokój i że Jenks wręcz chciałby, by Ramsey był niezadowolony. Z drugiej strony to wrażenie mogło być całkowicie mylne; Adam często bywał nadmiernie podejrzliwy, nawet Margaret zwracała mu na to uwagę. Ale Margaret nie brała udziału w nieustającym twardym współzawodnictwie, gdy reputacja człowieka mogła zo-

stać zrujnowana w pierwszy lepszy niedzielny poranek na polu golfowym przez jakąś klikę.

W tym ponurym nastroju przyszedł do domu, wypuścił psy, wziął prysznic i przebrał się w szorty. Następnie napełnił pojemnik dla ptaków wodą, która szybko wyparowała w gorących promieniach słońca, po czym w nadziei na rozluźnienie napiętych mięśni wyjął ręczną kosiarkę i ścinał przed domem trawę. Upał był jednak nie do wytrzymania i po chwili musiał się schować z powrotem do domu. Psy leżały na gołej podłodze w tylnym korytarzu, a on wziął następny prysznic. Przez chwilę pomyślał, że może by wyjąć z lodówki kolację i wstawić do kuchenki mikrofalowej, ale ostatecznie uznał, że nie jest aż tak głodny. Zamiast tego zrobił sobie kanapkę i zjadł ją w salonie przed telewizorem. W wiadomościach o piątej nie znalazł dla siebie nic interesującego.

Chętnie bym się z tobą zobaczyła, Adam. Obojętnie kiedy.

Usiadł z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy podniósł wzrok, dokładnie na linii jego oczu znalazło się zeszłoroczne zdjęcie Margaret z dziećmi. Wstał, podszedł do okna, wrócił i zaczął się gapić na klawisze pianina. Przeciągnął ręką po klawiaturze, płosząc ciszę. W końcu położył się na sofie w nadziei na drzemkę, ale sen nie przychodził.

Wszystko jest w głowie - tak przynajmniej mówią.

„Niewątpliwie tam się to zaczęło” - pomyślał, kiedy wspomnienia nabrały realnych kształtów i poczuł, jak przepływają przez niego falą gorąca, której nie był w stanie powstrzymać. Serce zaciążyło mu jak kamień; przyszło mu do głowy, że stało się z nim coś bardzo złego i że najwyraźniej opuszcza go zdrowy rozsądek.

Nagle owładnęło nim dzikie pożądanie...

Zegarek wskazywał dwadzieścia po piątej. Na drodze biegnącej wzdłuż rzeki w kierunku północnym nigdy nie było dużego ruchu. Mógłby tam dotrzeć w ciągu kilku minut...

Gdyby jej nie zastał w domu, to przecież nic nie straci, a może nawet coś zyskać, może się na przykład przekonać, że w gruncie rzeczy wcale jej nie pragnie...

O szóstej był przed drzwiami mieszkania Randi. Ogarnął go strach: po co tu przyjeżdżał. Ale jeszcze nic straconego, jeszcze może zawrócić i odjechać. Tylko że tego nie robi.

Wysiadł, poszedł między rabatami petunii wykładaną ceglami drogą i zadzwonił do drzwi.

- Kto tam? - usłyszał głos Randi.

- Adam. Powiedziałaś, że mogę przyjść obojętnie kiedy.

- Jestem w szlafroku, ale jeśli ci to nie przeszkadza, to bardzo proszę, wejdz.

Nagle dziwnie zmieszany, zamiast patrzeć na nią, zaczął się rozglądać po pokoju. Przyszła mu do głowy zupełnie banalna uwaga.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale pamiętam ten obrazek. Nad sofą wisiał olejny pejzaż: biała willa w stylu włoskim pod nieprawdopodobnie błękitnym niebem, w otoczeniu bardzo jaskrawych kwiatów.

- Tak? Ogromnie lubię ten obrazek. Zabrałam go ze sobą do Kalifornii i przywiozłam tutaj. Ten obrazek, trochę porcelany po mamie i moje łóżko - z tymi rzeczami nigdy się nie rozstaję.

Drzwi do sypialni były uchylone. Uświadomił sobie, że Randi miała taki zwyczaj. W małym mieszkaniu, które kiedyś Adam zajmował z matką, nigdy się w ten sposób nie eksponowało sypialni. Margaret też by z pewnością trzymała drzwi zamknięte. Ale Randi... Randi po prostu żyła. Adam nawet nie wiedział, czy mu się to podoba, czy nie.

Usiadła w końcu sofy, blisko jego krzesła. Biały negliż z ciężkiego jedwabiu rozchylił się z jednej strony, ukazując jędrne udo. Patrzył na nie, zastanawiając się, co się stało z pożądanym, które go tu przywiodło. Nagle ogarnął go lęk. Randi przeciągnęła się i westchnęła.

- O, jak to dobrze być w domu. Miałam dość ciężki dzień, ale chyba owocny. A ty? Jak ci się wiodło od naszej rozmowy w południe?

- Byłem jakiś niespokojny. - Zdumiała go jego własna odpowiedź.

Randi powiodła po nim pełnym zadumy spojrzeniem, które zaczęło się od nóg, a następnie, idąc w górę, skończyło spotkaniem ich oczu.

- Co z tobą, Adam? Zapięty pod szyję, sztywny... musisz się rozluźnić.

- Dobrze ci mówić.

- Chodź, to ci trochę pomasuję szyję i kark. Pochyl się.

Jej palce były silne i twarde. Uciskając i masując, przynosiły ukojenie. Podobnie jak szept, który temu towarzyszył.

- O, proszę, cały jesteś w węzłach.

Zaczęła nucić. Dźwięk był bez melodii, monotony i pełen słodczy. Zamknął oczy, pozwalając, by odprężenie ogarnęło całe jego ciało. Po chwili powiedział:

- Musisz być już bardzo zmęczona.

- Nie, dla mnie to jest dobre ćwiczenie fizyczne. Randi uciskała go tak mocno, nachylając się jednocześnie tak nisko, że czuł na karku ciepło jej oddechu.

- Jak się tego nauczyłaś?

- W całkiem naturalny sposób. O tak. - I pocałowała go w kark.

Adam zerwał się, obrócił i stał wpatrzony w nią, w jej bezczelne spojrzenie i cyniczny uśmiezek.

- No i co? Zapomniałeś, po co tu przyszedłeś? Chyba nie, prawda? - powiedziała.

- Nie. Nie zapomniałem. - Ledwie mógł mówić.

- A więc?

- Chodź tu do mnie i zdejmij to...

Ale biały jedwabny negliż zdążył się już zsunąć z jej ramion i leżał teraz na podłodze. Pełna krągłości, szczupła, gładka i biała jak jedwab, wydała mu się zupełnie nie zmieniona. „Jakby to było wczoraj - pomyślał, biorąc ją na ręce i niosąc do łóżka. Tak, zupełnie jakby to było wczoraj...”.

Obudził się przed szóstą. Randi leżała do niego plecami; pasowali do siebie jak dwie łyżki. Nagle Adam z przerażeniem stwierdził, że stracił poczucie rzeczywistości: okno było nie na swoim miejscu, zniknęła gdzieś tapeta Margaret w motyle i ptaki. A potem rzeczywistość wróciła i serce zaczęło mu walić jak młotem. Ogarnęła go panika. Zanim padną jakiegokolwiek słowa, musi stąd uciekać...

Ostrożnie wysunął się z łóżka, spieszenie wrzucił na siebie ubranie i wyszedł na palcach. O siódmej był w domu.

Ludzie dokoła już się kręcili, instalowali spryskiwacze do trawników, zabierali gazety z frontowych stopni.

Pomachał do niego sąsiad. Facet będzie się pewnie zastanawiał, dlaczego Adam zamiast wychodzić o tej porze, wraca do domu.

Wypuścił psy, zrobił sobie filiżankę kawy rozpuszczalnej i poszedł na górę wziąć prysznic i ubrać się. Wyjmując garnitur z szafy stojącej w sypialni obok szafy Margaret i patrząc na jej poduszkę, poczuł się tak, jakby tonął w głębokiej wodzie.

Jak, do diabła, mogło do tego dojść?

To, co się stało w nocy, to jakaś aberacja czy mówiąc mniej elegancko, jednorazowy wyskok. Po prostu już nigdy więcej się z nią nie zobaczy, nawet w publicznym miejscu. Żadnych lunchów, żadnych drinków po pracy, kompletnie nic.

Z takim postanowieniem zszedł na dół i wsiadł do samochodu, ale w tym momencie przypomniał sobie o karmniku dla ptaków i wysiadł. Przecież obiecał, że będzie go napelniał. Margaret przywiązywała do tego wielką wagę.

Zawsze mówiła: „Jak już raz zaczniesz karmić ptaki, to nie możesz przestać, bo one na ciebie liczą”.

W biurze polecił sekretarce, żeby uważała, łącząc do niego telefony - szczególnie miała go nie łączyć z niejaką panią Bunting.

- Pracuje w agencji nieruchomości i jest bardzo natrętna - wyjaśnił.

Przed wyjściem z pracy dowiedział się, że pani Bunting dzwoniła trzy razy. W samochodzie, w lusterku wstecznym spostrzegł, że marszczy czoło. Najwyraźniej Randi nie miała zamiaru o nim zapomnieć. Naiwnością byłoby sądzić, że po takiej nocy jakakolwiek kobieta na jej miejscu zdołałaby zapomnieć, że przeszłaby nad tym do porządku dziennego. Ogarnęła go fala wstydu; wymknął się jak złodziej, jakby bał się spojrzeć jej w oczy.

No bo się bał. Wiedział, że to, co się stało raz, może stać się ponownie, wiedział, że będzie się przed tym bronił i przegra.

Zdawał sobie sprawę z tego, że musi zachować zdrowy rozsądek. Z tym postanowieniem wrócił do domu i zabrał się za swoje codzienne obowiązki, jakby to była terapia - dokończył koszenie trawy, zjadł na kolację kurczaka w curry, którego zostawiła mu Margaret, nakarmił psy i przeczytał pocztę.

Złożyły się na nią zwykle reklamy i rachunki, piękne pocztówki z widokami gór od dzieci i wzruszający list od Margaret.

„Powinłam cię była zmusić, żebyś tu z nami przyjechał. Jest tak pięknie, że z pewnością by ci się podobało. Ciągłe myślę o tym, ile tracisz, z twoją wiedzą na temat przyrody, drzew i w ogóle. Martwię się, że za ciężko pracujesz. I jeszcze do tego nigdy się nie skarżysz. Muszę dopilnować, żebyś bardziej o siebie dbał. Och, Adam, czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham?”.

Zadzwonił telefon.

- Ukrywasz się przede mną? - powiedziała wesoło Randi. Nie przypuszczał, że się ośmieli dzwonić do domu.

- Skąd wzięłaś mój numer telefonu? - zapytał.

- Z książki telefonicznej, głupolu - odparła, w dalszym ciągu wyraźnie rozbawiona.

- Proszę cię, żebyś tu nie dzwoniła.

- A to niby dlaczego? Przecież jesteś sam. W biurze też nie chcesz ze mną rozmawiać.

- Byłem bardzo zajęty. Przepraszam. Miałem zwariowany dzień.

- Daruj sobie, Adam. Jesteś naprawdę żałosny z tym poczuciem winy. Nie spałam dzisiaj rano. Słyszałam, jak się wymykasz.

- Nie chciałem cię budzić. To z delikatności. Roześmiała się.

- Wiesz, naprawdę jesteś zabawny. Ale nieważne. Dla mnie ważne jest tylko to, czy było ci przyjemnie.

- Na miłość boską, Randi.

- Bo mnie było. Zupełnie jak dawniej. Muszę z pewnym wstydem przyznać, że przez te wszystkie lata nie przeżyłam nic równie wspaniałego. A ty? Zresztą, nieważne. Wiem, że i tak mi nie odpowiesz. Jasne, że nie. Jesteś żonatym mężczyzną, żonatym dżentelmenem, chociaż oczywiście nie wszyscy żonaci mężczyźni są dżentelmenami. Ale ty jesteś.

- Na miłość boską - powtórzył.

- Nie masz już nic innego do powiedzenia? Posłuchaj, dzwonię tylko po to, żeby cię uspokoić, żebyś się nie martwił. Nie mam najmniejszego zamiaru komplikować ci życia, bo to jest ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić sobie samej. Mam dosyć komplikacji na dłuższy czas. Mnie jest potrzebny miły samotny mężczyzna bez żadnych zobowiązań.

Wyjdę za mąż tylko za kogoś takiego, zamieszkamy w moim nowym

domu i będziemy z łóżka wspólnie podziwiali gwiazdy. Możemy leżeć sobie nago w świetle księżyca i nikt nas nie zobaczy, chyba że wdrapałby się na drzewo.

Adam doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to z jej strony zwykła prowokacja, a mimo to nie potrafił się powstrzymać, by nie zadać pytania:

- Czy masz na myśli jakiegoś konkretnego mężczyznę?

- O, kręci się kilku. Ale jeszcze się nie zdecydowałam.

- Powiedziałaś, że nie przeżyłaś nic równie wspaniałego od czasu...

Randi mu przerwała:

- Nieraz, mój miły, trzeba się zadowolić czymś trochę gorszym.

Adam był wściekły na nią i na siebie za tę rozmowę, którą prowadzili w samym sercu jego domu. Czuł się tak, jakby kalał własne gniazdo, a jednocześnie przenikała go jakaś dziwna radość, dreszcz emocji.

- Dobranoc, Adamie. Miałeś męczący dzień i ja też. Koniec rozmów. Spij dobrze.

Jak to należy rozumieć? Czy koniec rozmów na teraz, czy w ogóle? Stał przez jakiś czas niepewny w zapadającym zmierzchu, po czym usiadł już w całkowitej ciemności przed domem, obserwując robaczki świętojańskie płasające na tle trawnika. Jeżeli rzeczywiście o to jej chodzi, to z pewnością znajdzie jakiegoś kandydata na męża i wtedy Adam pozbędzie się jej na dobre. Jednak obraz Randi ofiarowującej komuś swoje ponętne, gibkie ciało, to samo ciało, które jeszcze w nocy oddawała jemu, wzniecił w nim trudny do zniesienia płomień zazdrości i pożądania.

Ten obraz powracał przez cały następny dzień. Podczas lunchu, sam na sam z Jenksem, ostrożnie krążył wokół tematu zdrady małżeńskiej. Sprawa była delikatna - nigdy się nie wie, czy rozmówca skrzywi się z niesmakiem, jakbyś włąził z butami w jego sumienie, czy będzie się śmiał z twojej naiwności. Nie mając do tego powodów, Adam nigdy dotychczas nie próbował takich rozmów.

Jenks robił zręczne uniki.

- To zależy od tysiąca różnych czynników, nie sądzisz? Adam zmienił temat.



- Nie słyszałeś ostatnio nic o Ramseyu? Czy może ktoś jedzie za niego do Europy?

Gdyby działo się coś ważnego, Jenks z pewnością by o tym wiedział. Ciekawski i towarzyski, dostał się do ścisłego grona dobrze poinformowanych.

- Z tego, co wiem, Ramsey może stracić pracę - powiedział, rozkoszując się swoją pozycją. - Albo dostanie tak zwanego „kopa w górę” i zostanie przeniesiony do centrali. Jeśli połączymy się z CBW, to każde z tych rozwiązań jest możliwe. Ale nikt nie wie na pewno i obawiam się, że upłynie jeszcze kilka miesięcy, zanim się sprawa wyjaśni.

- Czyli że wszyscy wisimy na włosku, tak?

- Tak to można ująć. Jeśli fuzja dojdzie do skutku, to jedni pójdą w górę, inni w dół, a jeszcze inni wylecą. Taki jest los wyrobników.

Jenks wzruszył ramionami. Mógł sobie pozwolić na luz. Jeśli ktokolwiek miałby zostać w firmie, to przede wszystkim on. „Intelektualnie stoi oczko niżej ode mnie - pomyślał Adam - ale ma dziesięciokrotnie większą szansę na utrzymanie się niż ja”.

Ta perspektywa była przerażająca. A jeśli zostanie zwolniony i nie znajdzie innej pracy? Tysiące wysoko wykwalifikowanych ludzi zostawało na lodzie w wyniku reorganizacji przedsiębiorstw. A same zarobki Margaret im nie wystarczą.

Tego wieczora, przekręcając klucz w drzwiach własnego domu, był zarówno przerażony, jak i zły. Co takiego mieli w sobie Jenks, Fred Davis i ten głupi kuzyn Margaret, Gilbert, że mogli czuć się, przynajmniej względnie, bezpieczni w pracy? Davis odziedziczył chociaż jedną z najlepszych działek w samym sercu Elmsford, ale Gilbert nie miał nic, poza usposobieniem brata łąty. A co do jego ilorazu inteligencji, to lepiej nie mówić.

Psy, które cały dzień siedziały same, rzuciły się witać Adama, ale on jakoś nie miał do nich serca, więc tylko je wypuścił bez słowa czy choćby pogłaskania. Żaluzje ze względu na upał były opuszczone, więc dom wydawał się mroczny i ponury. Każdy ruch Adama - gdy wysunął szufladę, żeby wyjąć widelec, zamknął drzwi lodówki, czy wreszcie położył na stole talerzyk - odzywał się w pustce nieprzyjemnym echem.

Zjadł szybko, bez apetytu, po czym... nie wiedział, co ze sobą zrobić. Przed nim było widmo długiej nocy. Myślami wrócił do poprzedniej nocy. Dziś Randi nie zadzwoniła. Może mówiąc: „Koniec rozmów” myślała dosłownie o końcu rozmów w ogóle? Ale przecież właśnie o to mu chodziło, prawda? Tak, oczywiście, że o to. A dlaczego? Bo poczucie winy, jakie go przytłoczyło, było widoczne nawet dla niej. Powiedziała mu o tym wprost. Musiał jej się wydać kimś potwornie słabym, skoro bał się przyjemności, której tak bardzo pragnął, kimś zniewolonym i manipulowanym jak dziecko! Ale czy tamtej nocy kogoś skrzywdził? Jeśli wierzyć gazetom, połowa żonatych mężczyzn pociesza się na boku, a z tego połowa się rozwodzi. Ale to było zupełnie co innego, coś zbyt nierealnego, żeby się nad tym w ogóle zastanawiać. Porzucić Margaret, taką dobrą żonę, i trójkę ich dzieci? Nie, to nie do pomyślenia!

W frontowym przedpokoju było lustro nad małą komódką, na której stała lampa. Przechodząc tamtędy, zatrzymał się na chwilę. Mając niewiele ponad czterdziestkę, szczupły, z jasną cerą i bujnymi włosami, wyglądał naprawdę młodo. Nawet nie nosił okularów.

„Czy nie stanowimy ładnej pary?” - spytała Randi, kiedy stali razem przed jej dużym lustrem. Mężczyzna i kobieta, oboje nadzy i gotowi, rzeczywiście doskonale do siebie pasowali. A teraz Adam stał sam, pogrążony we wspomnieniach...

Była siódma. Zamknął dom, wsiadł do samochodu i ruszył. Szybkość, jaką wkrótce rozwinął, spowodowała, po stojącym upale, w jakim tkwił, miły przewiew. Częścią świadomości zdawał sobie sprawę, jak absurdalne jest to, że samo oczekiwanie przeżyć seksualnych w mgnieniu oka uspokoiło niedawne jeszcze dręczące lęki. Cóż, kiedy właśnie tak było. W ciągu ostatnich lat nigdy nie czuł się tak młody i tak wolny.

Kiedy zadzwonił do drzwi i powiedział, że to on, Randi otworzyła mu natychmiast. Była całkowicie naga i roześmiana.

- Wiedziałam, że przyjdiesz! - wykrzyknęła, padając mu w objęcia.

## ***Rozdział 7***

Dzielenie spontanicznego stylu życia Randi było dla Adama zupełnie nowym doświadczeniem. Dla niej wyskoczyć z łóżka zaraz po kochaniu i stanąć przy kuchni, żeby usmażyć hamburgery, nie stanowiło najmniejszego problemu. Do jedzenia hamburgerów o północy Adam też nie był przyzwyczajony. Na myśl o sobie i Margaret, w nocnych strojach, oblewających ketchupem frytki, uśmiechał się w duchu. Z Margaret zawsze po kochaniu szli spać.

W domu, nawet w weekendy, żyli z zegarkiem w rękę. Sobota była dla Margaret dniem załatwiania wszystkich spraw, jakie się nazbierały w ciągu tygodnia, jak: biblioteka, dentysta, lekcja gry na pianinie Julie, kupowanie nowych butów, zanoszenie starych do szewca, wizyta u fryzjera z Megan czy zbiórka zuhowa Danny'ego. Zawsze w sobotę dokądś szli, wypełniając godziną po godzinie najróżniejsze zobowiązania. Adam myślał czasem, że gdyby zepsuły im się wszystkie zegarki, rodzina uwolniłaby się wreszcie od tych męczących obowiązków.

Oczywiście, były to tylko pobożne życzenia, zupełnie śmieszne. Ale przecież w życiu też trzeba czasem pofantazjować.

Pewnego dnia, siedząc w biurze, Adam uświadomił sobie, że wpatruje się w stojącą na biurku fotografię Margaret. Studiując jej szczerą, spokojną twarz, poczuł taki wstyd, że musiał się odwrócić. Mimo to wiedział, że zaraz po pracy pojedzie do Randolph Crossing.

Następnej soboty przywiózł ze sobą psy. Wyjaśnił, że skoro ma być do niedzieli, to nie może zostawić ich samych.

- Przez cały tydzień je zaniedbywałem, biedactwa. Pomyślałem, że nie będą ci przeszkadzały.

- Nie. Ale to dobrze, że nie potrafią mówić.

Randi zaplanowała wycieczkę do nowego domu. Przy drzwiach leżały przygotowane śpiwory i turystyczna lodówka.

- Elektryczność jest włączona, więc możemy gotować, chociaż stan kuchenki pozostawia wiele do życzenia. Albo rozpalimy ognisko. Pomyślałam, że weekend w nowym domu będzie zabawny.

Pierwszy posiłek zrobili na ognisku. Były pieczone kartofle i grzanki.

- Człowiek czuje się jak dziecko - powiedział Adam, patrząc, jak grzanki się rumieniają.

- Kiedy ostatni raz czułeś się jak dziecko?

Ale on nie chciał teraz myśleć. Chciał tylko położyć się na trawie i leżeć z głową na jej kolanach. W miarę jak robiło się chłodniej i zrywał się wiatr, popołudniowe słońce stawało się coraz bardziej przyjazne. Wiatr niósł intensywny zapach sosen. Gdzieś z daleka słychać było charakterystyczny głos kardynała. Kiedy leżał tak wyciągnięty na trawie, nie myśląc o niczym, poddając się jedynie nastrojowi chwili?

- Biedny chłopak - szepnęła Randi. - Taki jesteś spięty. Za bardzo się martwisz. - Głaskała go po głowie isticie macierzyńskim ruchem.

Ale Adam wolał nie mówić o swoich zmartwieniach -o przyszłości dzieci, wydatkach, awansach, no i przede wszystkim o trapiącym go widmie bezrobocia.

- Biedaczysko. Rozluźnij się. Randi chce, żebyś był szczęśliwy. Bądź sobą. Jeśli czujesz się zmęczony, nie musisz się ze mną w nocy kochać. Po prostu od razu idź spać.

Adam zasnął. Kiedy się obudził, Randi dalej siedziała nieruchomo. Obrócił się na łokciach i spojrzał na nią.

- O czym myślałaś przez cały ten czas? - zapytał. Patrzyła między drzewami w kierunku rzeki.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Naprawdę. Spuściła oczy.

- Myślałam, jakie to smutne, żeśmy zmarnowali te wszystkie lata.

Adam wiedział, że oczekiwała od niego potwierdzenia, ale

jak mógł nazwać straconymi te lata, kiedy żył spokojnie z żoną, wychowując dwie córki, Ninę i Danny'ego?

A jednak uświadamiając sobie, że kiedyś Randi była dla niego wszystkim i że bardzo cierpiał, kiedy go porzuciła, zadumał się nad okrucieństwem losu. Uniósł jej rękę do ust i pocałował.

- Ten jeden rok, kiedy byliśmy razem, jest wart więcej niż cała reszta - powiedziała. - Bez przerwy wspominam różne zabawne epizody, jak tamto przyjęcie, na które przyszliśmy, myląc datę i jak zamieniliśmy płaszcze i znaleźliśmy w kieszeni notes z adresami. Pamiętasz, jak się wtedy fantastycznie bawiliśmy? Och! - wykrzyknęła nagle - wiem, że nie możesz zapomnieć koszmaru tamtego zerwania! Wiem. Zasłużyłam na wszystko, co mnie spotkało. Chuck okazał się kompletnym niewypałem. No i utrata dziecka była dla mnie bardzo dziwnym doświadczeniem - czułam smutek i jednocześnie ulgę, no bo jakież niepewny los czekał to biedne maleństwo... Buntingowi nie mogłam nic zarzucić, ale o żadnym kochaniu nie było tam mowy, po prostu spokojne życie przez jakiś czas. Zresztą dość szybko umarł... Ciekawe, co by się stało, gdyby żył dalej...

Randi zawiesiła głos. Adam szukał odpowiednich słów otuchy i pocieszenia, kiedy raptem zerwała się i wskazując leżące na progu domu psy, zawołała:

- Popatrz, one się tu czują jak u siebie! Chciałabym, żebyś i ty się tak czuł. Traktuj ten dom jak swój, miejsce, do którego zawsze możesz przyjść i wyjść, kiedy ci się spodoba.

- Ale ja nie będę mógł często przychodzić, Randi.

- Wiem, ale od czasu do czasu możesz przecież wymyślić jakąś konferencję poza miastem i urwać się w ten sposób na dzień czy nawet na tydzień. Możesz tu trzymać swoje ubranie i będziemy mieli bezpieczną kryjówkę. Kiedyś zrobię za domem basen. Jak mi wpadnie jakaś dobra prowizja i dom już będzie całkowicie urządzony, to się zajmę basenem, zobaczysz.

Adam się uśmiechnął.

- To brzmi bardzo luksusowo.

- Dlaczego. Oszczędziłam trochę pieniędzy, a poza tym nigdy nie wydaję, jeśli nie mam.

Późno w nocy leżeli podziwiając gwiazdy przez wysokie okna.

- Tak jak obiecałam, zanim zaśniesz, powiem ci, o czym myślałam. Pamiętasz te motele przy autostradzie na południe od Elmsford? Ja mogę tam czasem wyskoczyć, nawet i na noc. A ty mógłbyś rano wyjść z domu, powiedzieć, że masz w biurze bardzo dużo pracy, i przyjechać do mnie. W ten sposób zyskamy kilka godzin razem. „Jeszcze niecałe dwa tygodnie - pomyślał Adam. - Ale wtedy nie potrafił tego skończyć... tylko że będę musiał...”. Sama myśl o czekających go kłamstwach, o tym, jak będzie się kładł do łóżka z niczego nieświadomą Margaret, była przerażająca.

- Nienawidzę kłamstwa - wyszeptał.

- Zgadza się, że nie jest to najlepsza rzecz na świecie. Ale też i nie najgorsza, a czasem trzeba trochę skłamać. W gruncie rzeczy jest to nasza prywatna sprawa i nie robimy nikomu krzywdy.

Tak, rzeczywiście musiał przyznać, że nikomu nie robili krzywdy.

- No więc w porządku, mój drogi ponuraku, dość już tego dobrego. Mieliśmy wspaniały dzień. A następny przed nami.

W poniedziałek Margaret zadzwoniła do biura.

- Ja już zupełnie odchodzę od zmysłów - szlochała w telefon. - Byłam o krok od zawiadomienia policji, ale mi to wyperswadowali. Gdzieś ty się podziewał w nocy?

- Jak to gdzie? Byłem w domu. A gdzie mogłem być?

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież ja od ósmej wydzwaniałam bez przerwy. Nie słyszałeś telefonu?

- O ósmej byłem poza domem. Trochę pieliliśmy w ogródku, a potem poszedłem z psami na spacer, byłem na dworze, jak długo się dało. W domu gorąco jak w łaźni, poza sypialnią, a tam jakoś nie miałem ochoty siedzieć.

- Dzwoniłam jeszcze o jedenastej. A potem dałam spokój.

- O jedenastej spałem. Klimatyzator szumi, a poza tym śpię jak kamień. To chyba dla ciebie nic nowego.

- Owszem, jak wiem, że wszystko jest z tobą w porządku. Ale tak się denerwowałam. Całą noc nie zmrużyłam oka.

- O Boże, bardzo mi przykro, Marg. Czy dzwoniłaś w jakiejś szczególnej sprawie?

- Nie, tylko dlatego, że czułam się samotna i chciałam usłyszeć twój głos. Wysłałam do ciebie list, ale to mi nie wystarczyło. Prawdopodobnie dziś go dostaniesz.

- Przecież już niedługo będziesz w domu.

- Za dziesięć dni. Dla mnie to bardzo długo.

Słuchając Margaret, Adam przeżywał gonitwę myśli. Podwójne życie! On, Adam Crane. To nie w jego stylu. A w czym to jest stylu? Czy ktoś taki jest naznaczony tak, że można go poznać? Kiedy odłożył słuchawkę, był cały mokry.

Wieczorem znalazł w skrzynce list od Margaret. W załączeniu przysłała zdjęcie Danny'ego, prezentującego z uśmiechem wielkiego pstrąga, którego najwyraźniej sam złapał. Przez długą chwilę wpatrywał się w zdjęcie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół - uśmiech, rozdartą tenisówkę i rudą czuprynę, gładko ulizaną, ponieważ Danny nie znosił loków. Odniosł wrażenie, że w tym krótkim czasie chłopak bardzo urósł.

Następnie usiadł i przeczytał list, który był długi.

„Deszczowy dzień, właściwie regularny sztorm. Całe długie popołudnie w domu. Na dole grają w gry planszowe, a na górze wydaje mi się, że śpią. Nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie, nawet na czytanie. Mam chęć na rozmowę z tobą. Gdyby na lotnisko nie było tak potwornie daleko, natychmiast wróciłabym do domu. Ta rozłąka trwa zdecydowanie za długo, ale więcej się to już nie powtórzy. W moim pokoju jest ogromne łóżko, znacznie szersze od naszego, i bez ciebie czuję się w\*;nim niesamowicie osamotniona. Wiesz, co mam na myśli? Tak, jestem pewna, że wiesz, po tylu latach, kiedy co noc byliśmy tak blisko... Och, Adam, kochanie...

Ale nie powinnam narzekać. Krótko mówiąc, jest tutaj naprawdę cudownie. Krewni Freda są wspaniali i tacy bezpośredni, mimo że całe to bogactwo należy do nich. Dzieci bawią się fantastycznie. Julie chętnie gra na pianinie, ile razy się ją poprosi; Megan ma chłopaka, przystojnego starszego pana w wieku lat siedemnastu, i strasznie z tego powodu zadziera nosa, no a Julie jest naturalnie zazdrosna. Śmiałyś się, patrząc na te początki flirtu, seksu, a zresztą obojętne, jak to nazwiemy, w każdym razie tego, co jest takie cudowne. Ale nie martw się, wczoraj wyjechał, a poza tym mieszka

w Vancouverze. Co do Danny'ego, to jest, jak zwykle, pupilem wszystkich.

Właśnie wpadła na chwilę Nina i widząc, że do ciebie piszę, przesyła ci pozdrowienia. Ma chłopaka czy raczej, należałoby powiedzieć, mężczyznę, ponieważ jest starszy od niej o dwanaście lat. Tak czy inaczej, nazywa się Keith Anderson i ma na jej punkcie kompletnego bzika. Poznała go dość przypadkowo, w pracy. Nie wiem, czy to coś naprawdę poważnego, w każdym razie powiedziałam jej, żeby się nie spieszyła. Dopiero skończyła dwadzieścia dwa lata. Przypomniała mi, że kiedyśmy się pobierali, miałam dwadzieścia jeden. Na to ja, jak prawdziwa stara kwoka, że to zupełnie co innego, bo ty byłeś wyjątkowo odpowiedzialnym młodym człowiekiem. A ona, że Keith też jest taki. I że właściwie przypomina jej trochę ciebie. Twierdzi, że to jest dla niego najwyższy komplement.

Dała mi kilka zdjęć swojego nowego mieszkania, trzy pokoje w odrestaurowanej rezydencji. W budynku mieszka masę młodych ludzi robiących szybkie kariery. Nina jest chyba najmłodsza z nich. To zdumiewające, jak wysoko już zaszła. Szefowie dali jej kolejną znaczną podwyżkę, ponieważ ściągnęła do firmy zupełnie nowy rodzaj klientów - młodych, wykształconych nowojorczyków, wprawdzie ze skromnymi możliwościami finansowymi, ale za to z kosztownymi upodobaniami. Wygląda na to, że oszczędzają pieniądze i od czasu do czasu kupują jakąś jedną ładną rzecz. Tak jak Nina, mają dużo smaku i nosa do sztuki. Jestem bardzo szczęśliwa, że jej się dobrze wiedzie, i bardzo z niej dumna. Fred uważa, że jest rozkoszna. Cały czas się z nią przekomarza, wzdycha i mówi: „Och, gdybym tylko był młodszy!”. Ja też żałuję, że nie jest. Nina byłaby z nim bardzo szczęśliwa. Fred to sól ziemi, jak mawiała mama. Bardzo cię proszę, panie Adamie Crane, żebyś sobie więcej nie pozwalał na żarty z Freda".

Poruszony do żywego realnością tych słów, Adam wypuścił z ręki list, którego treść wprawiła go w przerażenie.

Poczuł się - niczym w koszmarnym śnie - jakby h\*ł zamknięty w ciemnym pomieszczeniu bez okien.



- Wracają późno w niedzielę - powiedział w piątek wieczorem.
- Z tego wynika, że mamy jeszcze dwa dni.
- Nie. Przez codzienne przychodzenie do ciebie zaniedbałem ogród. Doprowadzenie go do porządku zajmie mi prawie całą sobotę. Kukurydza wyrosła do kolan i jest dosłownie zagłuszona przez chwasty.
- Od otrzymania listu Adam dwukrotnie rozmawiał z Margaret. Dźwięk jej głosu - odwrotnie niż list - przepelnił go żalem i wstydem. Adam wstydził się, że przez niego znaleźli się oboje w pożałowania godnej sytuacji. Ale przede wszystkim z całą determinacją postanowił, że Margaret nigdy się o tym nie dowie. Nigdy! Po jego trupie!
- Randi - powiedział - ona... moja rodzina... nie może się nigdy, ale to nigdy o tym dowiedzieć.
- Uśmiechnęła się z lekkim wyrzutem.
- Czy ty sobie zdajesz sprawę, Adamie, ile razy mi to mówiłeś? Przecież to jasne, że nie mogą się dowiedzieć. I pamiętaj, jeśli kiedykolwiek się dowiedzą, to na pewno nie ode mnie.
- Moje dzieci - jęknął - i ona... nie, ja jej tego nie mogę zrobić.
- Rozumiem, kochanie. Naprawdę to rozumiem.
- Byli u Randi w mieszkaniu. Na parapecie okna wróble dziobały okruchy, co przypomniało mu, że nie nakarmił ptaków, tak jak to obiecał Margaret. Randi stała zapatrzona gdzieś przed siebie.
- Ale nie chcesz powiedzieć - odezwała się nagle - że to już koniec z nami, prawda? I jak długo jesteśmy razem, będziesz brał każdy dzień taki, jaki jest?...
- Skinął głową.
- Pamiętasz, jak to dalej ma być? Najpierw tutaj, a potem w domu, kiedy już zostanie urządzony? I od czasu do czasu jakiś wypad? Pamiętasz?
- Adam ponownie skinął głową.
- Nie będzie tak źle, Adam. A zresztą, nie mamy wyboru, prawda?
- Nie, nie mieli wyboru.
- Zupełnie nie rozumiem, co się ze mną stało. Byłem zadowolony. Wydawało mi się, że jestem szczęśliwy.

- Po prostu chodziłeś w jarzmie codziennej rutyny, kochanie, i sam o tym nie wiedziałeś.

Jak to możliwe? Skoro człowiek jest zadowolony, to czy można mówić o jarzmie? Nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Zdezorientowany i oszołomiony, wiedział tylko, że bez tego, co mu dało te parę tygodni, nie mógłby już dalej żyć.

- Och - powtórzył chyba po raz setny - ale to przecież nic złego? Nikomu nie robimy krzywdy.

Kiedy Randi wstała z krzesła, podniósł się także i wziął ją w ramiona. Była taka krucha, ze spuszczonej oczyma, z rzesami muskającymi okrągłe policzki, ze swoim magicznym ciałem, tak delikatnym...

Przejął go dreszcz jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa, jakby prowadził okręt podczas sztormu albo stał na skale smagany wichrem, mając u stóp ocean. Tak, przeprowadzi okręt przez sztorm i utrzyma się na skale.

Bo po prostu ta kobieta jest mu niezbędnie potrzebna.

## ***Rozdział 8***

Nina zrobiła parę kroków do tyłu, żeby ocenić efekt. Uznała, że jest dobry - wszystko było tak fantastycznie skomponowane i gustowne, że zasługiwało na zdjęcia w najlepszych magazynach. Nad kominkiem wisiało okrągłe lustro, w którego wypukłej powierzchni odbijało się zminiaturyzowane wnętrze, pełne uroczych melanzów - rózu ze zgaszoną zielenią. Okrągły stół był wytwornie nakryty dla dwóch osób starymi talerzami Coalport, pochodzącymi ze zdekompletowanego serwisu, znalezionego w sklepie z używanymi rzeczami, i starym spranym irlandzkim obrusem z koronki, kupionym w tym samym miejscu. Pośrodku stołu, w kryształowym wazonie, stanowiącym dość ekstrawagancki prezent od siebie samej, Nina postawiła delikatną kompozycję z frezji i paproci.

Wszystkie przedmioty, zdobiące teraz nowe mieszkanie, były jej drogie. Kończyły zmysły, tak zresztą, jak i sama natura jej pracy - zmysł dotyku, kiedy palce natrafiały na jedwab i polerowane, drewno; również wzroku, w miarę jak doświadczenie doskonaliło jej oko w ocenie koloru i proporcji. Nina była w pełni świadoma tego, że żyje w świecie zmysłów.

Jej przyjaciółki, z których kilka mieszkało w tym samym budynku, miały wiele wspólnego z produkcją i oceną przedmiotów sztuki. Były wśród nich: modelka, studentka architektury i dobrze zapowiadająca się aktorka, która żyła z tancerzem z baletu. Kobiety, które kupowały suknie z lat czterdziestych, które wiedziały, jak zawiązać szal i jak wybrać torebkę, żeby zrobić furorę. Lubowały się w pokazach mody, muzeach, salach koncertowych i filmach o sztuce; czasem, w przypływie gotówki, odwiedzały słynne restauracje.

Na wspomnienie jedzenia Nina po raz już chyba dziesiąty

tego wieczoru zajrzała za bambusową zasłonkę do maleńkiej kuchenki i dla uspokojenia policzyła na palcach: wino - musi sobie koniecznie kupić jakąś książkę i dowiedzieć się czegoś więcej o winach - białe do ryby, grzyby Portobello, półmisek gotowanych warzyw, sałatka z suszonymi na słońcu pomidorami i kozim serem i na deser tarte tatin, a do tego cappuccino albo kawa z ekspresu, co Keith będzie wolał. Spojrzała na zegarek. Za dziesięć minut powinna podgrzać dania. Żeby tylko nie zapomniała o francuskim pieczywie. Na szczęście były w Nowym Jorku fantastyczne firmy dostawcze. Kolacja zapowiadała się bez zarzutu.

Wieczór włókł się niemiłosiernie. Nina wzięła z półki książkę, żeby wypełnić czas, jaki pozostał do chwili, kiedy usłyszysz dzwonek. Keith był zawsze punktualny. „Margaret by to doceniła” - pomyślała, uśmiechając się do siebie. Wyobraziła sobie pierwsze spotkanie Keitha ze swoją rodziną. Wydawało się ono nieuchronne, skoro przez pół roku od chwili ich poznania sprawy zaszły aż tak daleko.

Nie przeczytawszy nawet jednego zdania, poszła do sypialni przejrzeć się w lustrze. To, co zobaczyła, zdecydowanie ją uspokoiło - czarne aksamitne spodnie i biały sweter na figurze bez choćby grama nadwagi; oczy rozszerzone od emocji oczekiwania i lśniące włosy, upięte, jak przed laty, wysoko, czego nie zamierzała zmieniać, to uczesanie bowiem stanowiło jej znak firmowy.

- Wiem, że to banał, tak okropny banał, że aż wstyd mówić kobiecie, że jest inna - powiedział kiedyś Keith. - Jednak w twoim przypadku jest to fakt i nie mogę go nie stwierdzić.

Siedzieli przy drinku w śródmiejskim przytulnym bistro i Keith zabawiał Ninę, klasyfikując ludzi przy sąsiednich stolikach.

- Idealne studium ludzkości - zaczął, po czym przerwał, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę i przyglądając się Ninie, jakby była rzeźbą.

- W Nowym Jorku są trzy albo cztery główne kategorie kobiet - elegantki z Upper East Side, na pół zagłodzone i od stóp do głów ubrane w drogie ciuchy z przyszłorocznej kolekcji; kobiety z Greenwich Village, subkultura, ale niezupełnie, czasami naturalne i ładne, a czasami zaniedbane, w dżinsach i niechlujnych swetrach. Następnie towarzystwo zwią-

zane z teatrem itd., itd. A ty się nie mieścisz w żadnej z tych kategorii.

- Może dlatego, że pochodzę ze Środkowego Zachodu.

- Nie. Ty byś wszędzie była niezwykła, Nino. Wiesz, co mnie w tobie uderzyło przede wszystkim? Głos. Rozmawiałem z jednym z mężczyzn u ciebie w pracy, kiedy...

- Rozmawiałeś z Erniem o starej chińskiej lampie swojej mamy, którą ktoś zepsuł.

- Pamiętasz to?

- Oczywiście, że pamiętam. Pomyślałam wtedy, że jesteś najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek w życiu widziałam, i zastanawiałam się, kim też jesteś.

Nie było to szczególnie dyplomatyczne wyznanie. Keith przyniósł lampę, która miała zostać naprawiona na urodziny jego matki. Nina rzeczywiście zainteresowała się spokojnym młodym człowiekiem, którego powaga i nienaganne maniery kojarzyły się z osobą znacznie starszą. Ta kombinacja młodości i wieku starszego wydała jej się dziwnie podniecająca.

Ernie nigdy przedtem nie widział Keitha.

- Podoba ci się, co? Arystokratyczny typ. Ma nawet nos z garbkiem, głęboki głos i świetną postawę. Jest bardzo atrakcyjny. I na pewno heteroseksualny. Gwarantuję ci.

- Czyś ty zwariował, Ernie?

Dystans, jaki dzieli pracodawcę i pracownika, dawno już mieli za sobą. Cała ta trójka, Ernie, Willie i Nina, czuła się ze sobą swobodnie, zarówno w poważnej rozmowie, jak i w sprzeczkach czy żartach.

- Nie zwariowałem. Widziałem, jak patrzyłaś na niego, kiedy rozmawialiśmy. A on na ciebie.

- I co to, na miłość boską, ma według ciebie znaczyć?

- Prawdopodobnie nic. Ale lampę musimy naprawić, więc jeśli nie każe jej sobie odesłać do domu, będziemy go tu mieli w przyszłym tygodniu. I jeśli akurat wtedy będziesz w sklepie, to otworzy się przed tobą szansa...

- Coraz głupiej gadasz, Ernie.

Ale, jak się okazało, nie było to wcale takie znów głupie gadanie. Bo najbardziej, zdawałoby się, nedorzeczne fantazje potrafią się czasem ziścić - zauważyła teraz Nina. - Kiedy przyszło zlecenie na dostarczenie lampy do domu klienta,

chłopak, który zwykle to robił, był zajęty. I to właśnie Nina pojechała taksówką odwieźć delikatny przedmiot. Wielkie apartamenty mieszczące się w piętnastopiętrowych budynkach z wapienia przy Piątej Alei w pobliżu muzeum nie miały przed nią tajemnic. Odwiedziła niezliczoną liczbę takich apartamentów jeszcze na samym początku jako skromna praktykantka u Croziera i Dextera, a także teraz, całkiem niedawno, już jako prawdziwy ekspert. Jej pozycja zawodowa też była jednym z jej marzeń, które się ziściły. Ze spokojem więc przeszła pod zieloną markizą, podała swoje nazwisko i wjechała windą aż pod drzwi mieszkania, które otworzył jej Keith we własnej osobie.

Przez kilka sekund stali oszołomieni; Nina zapamiętała biały kołnierzyk, oliwkową cerę i żywą reakcję gospodarza na swoją obecność. W tle widziała mahoń i nobliwe twarze na portretach w złożonych ramach.

- Wejdz, wejdz, bardzo proszę. Pozwól, wezmę to od ciebie. Mama będzie szczęśliwa. Jutro ma gości i strasznie się martwiła, że nie będzie lampy.

Delikatnie postawił lampę na stoliku koło kominka, poprawił abażur i włączył do sieci.

- Jak widzisz, wewnątrz bez niej byłoby zupełnie nagie. -I Keith mrugnął do Niny. - Naprawdę ładnie wygląda.

Do pokoju weszła krucha stara kobieta o siwych włosach, w sukience doskonale harmonizującej z ich kolorem.

- Ach, jak pięknie! - wykrzyknęła, klaszcząc w ręce w sposób, który można by uznać za uroczy albo równie dobrze afektowany, zależnie od punktu widzenia. - Jest chyba jeszcze ładniejsza niż ta stara... Ale zawsze miałeś dobry gust.

- Tym razem to nie ja, mamó. Komplement należy się pannie...

- Keller - odpowiedziała szybko Nina. - Mnie też nie. To pan Dexter państwu pomógł.

- Nieważne kto. Grunt, że mama jest zadowolona.

- Tak, to bardzo ładnie, że pani nam ją przywiozła, panno Keller.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedziała równie oficjalnie Nina. - Życzę pani udanego przyjęcia i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Zaczekaj - rzucił szybko Keith, widząc, że Nina zmierza

ku drzwiom. - Zjadę z tobą i dopilnuję, żeby portier wezwał taksówkę.

- Dziękuję bardzo. Dam sobie radę.

- W żadnym razie.

W milczeniu zjechali na dół. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było taksówek.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to moglibyśmy się przejść i wstąpić przed kolacją na drinka. Na Trzeciej Alei jest taki mały lokalik. Niedaleko stąd.

- Wiem. Mieszkam na zachód od Trzeciej.

- Rozumiem, że się zgadzasz? - I znów mrugnął do Niny pojednawczo i tak jakoś bardzo osobiście, z dziwnym światłem w oczach, budząc delikatny wachlarzyk zmarszczek w ich kącikach.

- Możesz tak to rozumieć. - Nina się roześmiała.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Uświadomiłam sobie, jak bardzo jesteś podobny do matki.

- Wszyscy mi to mówią. Ale ja tego nie widzę.

- Mam tylko wrażenie, że się więcej śmiejesz niż ona.

- Rzeczywiście. Mam to po ojcu. W każdej sytuacji potrafił znaleźć coś zabawnego. Nawet w swojej ostatniej, śmiertelnej, chorobie. Ja, niestety, nie jestem aż takim wesołkiem.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Keith spojrzał na Ninę o pół głowy niższą, z góry, i zapytał, dlaczego koniecznie muszą mówić o nim.

- Ja bym chciał się czegoś dowiedzieć o tobie. Na przykład skąd pochodzisz? Bo na pewno nie z Nowego Jorku.

- Nie, ze Środkowego Zachodu. Jestem małomiasteczkową dziewczyną. A skąd to wiedziałeś?

- Coś nieuchwytnego. Jakoś dziwnie byłem świadom twojej obecności. A ty mojej, wtedy w sklepie, prawda?

Patrząc prosto w jego twarz, która nagle stała się bardzo poważna, odpowiedziała szczerze:

- Tak, ja twojej też.

- Dobrze, przynajmniej każde z nas wie, na czym stoi. W tym momencie przeszedł Ninę dziwny nieznaną dreszcz, niejasne przecucie czekającego ją szczęścia. „Niech będzie, co ma być” - pomyślała, starając się dotrzymać mu kroku.

W „małym lokaliku na Trzeciej” Keith był najwyraźniej częstym bywalcem. Właściciel pozdrowił go wesoło i wskazał stolik w przytulnej wnęce. Rozmawiali, Keith popijając whisky, a Nina aperitif. Po chwili Keith zamówił kolację.

- Nic nadzwyczajnego. Zwykła włoska domowa kuchnia. Z pewnością przypadnie ci do gustu. Ja tu dość często przychodzę.

- A w domu? Nie jadasz w domu? Nie mieszkasz z matką?

- Została dziś zaproszona. Ostatnio bardzo chorowała. Niedawno miała cztery bypassy, a dwa lata wcześniej złamała nogę w stawie biodrowym. Dlatego tak mi zależało na tym, żeby lampa na czas wróciła do domu. Dla niej to było bardzo ważne, chociaż innym może wydawać się śmieszne.

- Nie mnie. Kiedy jest się częścią zżytej rodziny, człowiek traktuje z pobłażaniem różne drobne dziwactwa. U mnie w domu na przykład najważniejsze są nie lampy czy inne przedmioty, tylko psy i ptaki. Biada temu, kto nie nakarmi i nie napoi ich na czas. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Opowiedz mi o swoim domu, Nino.

Tak więc na jego wyraźne życzenie zaczęła mówić o sobie. Następnie mówił o sobie Keith. Przy drugiej filiżance kawy wiedziała już, że jest inwestorem, że przez jakiś czas mieszkał we Francji, że wie sporo o sztuce, aktywnie sponsoruje badania nad rakiem i jest o dwanaście lat starszy od niej.

Kiedy się rozstawali pod jej drzwiami, Keith poprosił ją o następne spotkanie i delikatnie pocałował. Nie próbował żadnych obmacywanek i to dodało całej sprawie wagi. W domu Nina przejrzała się w lustrze; zobaczyła w swojej twarzy coś zupełnie nowego - dziwną przemianę, rodzaj cudu. Z pewnością tak musi wyglądać zakochanie.

Wiedziała jednak, że jest zbyt inteligentna na to, by kpić sobie z „miłości od pierwszego wejrzenia”; takie rzeczy niewątpliwie się zdarzały. Jak choćby teraz. Kiedy spotkali się po raz drugi, zabrał ją do śródmieścia na chiński film. Keith był w Chinach i przy kolacji w chińskiej restauracji Nina zarzuciła go pytaniami. Jego odpowiedzi były jasne i proste. Większość mężczyzn, których znała, brak wiedzy i doświadczenia nadrabiała zadowoleniem z siebie; prostota Keitha wywarła więc na niej szczególne wrażenie.

Inni w porównaniu z nim wydawali się chłopcami. I to nie



tylko małolaty, których znała jeszcze w domu, ale też znacznie starsi mężczyźni. Keith był prawdziwym mężczyzną i budził respekt. Tego dnia poszli do łóżka.

Nazajutrz Nina dostała kremową gardenię w pełnym rozkwicie. Towarzyszyła jej wyraźna instrukcja: „Ta roślina wymaga bardzo czulej, pełnej miłości pielęgnacji”. Kiedy podlewała gardenię i wycierała jej błyszczące liście, uświadomiła sobie, że to zalecenie odnosi się także do miłości między ludźmi. To prawda, że jej doświadczenia seksualne były skromne - oczywiście na skutek przezorności i rozwagi - ale jednak wystarczające, by Nina dostrzegła różnice. Noc spędzona z Keithem wydała jej się pokazem czułości i kunsztu. Była oczarowana i wdzięczna losowi za przypadek, który ich zetknął. A to wszystko dzięki potłuczonej porcelanowej lampie! Nie do wiary!

I tak zaczęły się urocze, łagodne tygodnie wczesnego lata. Wspólnie włóczyli się po najodleglejszych zakątkach miasta, od galerii sztuki i sal koncertowych w odnowionych fabrykach po tajskie i rosyjskie restauracje i irlandzkie puby.

- Lubię zbaczać z wytyczonych ścieżek - powiedział Keith. - Ciągłe chodzenie w te same znane miejsca to brak wyobraźni. Wszyscy oglądaliśmy je już dostatecznie wiele razy.

Sąsiadka Niny, mieszkająca po drugiej stronie korytarza, widząc pewnego wieczoru, jak Keith wychodził o dziesiątej, tak to skomentowała:

- Nie powiem, żeby twój przyjaciel zbyt długo u ciebie przesiadywał

- On mieszka z matką, niedaleko stąd, przy Piątej Alei.

- Czyżby z matką?

- Tak, bardzo chorowała i dlatego przeprowadził się do niej na jakiś czas. To bardzo dobry człowiek.

- I chyba bardzo bogaty.

Kobieta była wprawdzie zbyt wścibska, ale bez złośliwości, więc Nina poczuła się rozbawiona.

- A po czym to poznajesz?

- No cóż... Piąta Aleja to Piąta Aleja...

- Może rzeczywiście jest bogaty, tak mi się w każdym razie wydaje.

- Czy to coś poważnego?

- Mam nadzieję.
- Byłoby nieźle. Pomyśl, Nino, mieszkać przy Piątej Alei...
- Dla mnie to nie ma znaczenia - odparła szorstko. -Najmniejszego znaczenia.

Była to prawda. Jakakolwiek aluzja, że jej uczucia mogłyby być zależne od pieniędzy, wywoływała u niej gwałtowną reakcję. Osiągnęła niezależność, którą w sobie pielęgnowała i z której była dumna. Wszystko, do czego w życiu doszła, zawdzięczała sobie.

W niecałe dwa miesiące po poznaniu Keitha Nina przeprowadziła się z kawalerki do swojego obecnego mieszkania.

- To mieszkanie jest nawet całkiem ładne - powiedział pewnego dnia - ale uważam, że zasługujesz na coś lepszego.

Wolałbym, żebyś mieszkała w budynku z windą i portierem.

- Ale mnie na to nie stać - odparła Nina.
- Ja ci pomogę.
- Nie, Keith. Dziękuję ci bardzo, wykluczone.
- No to chociaż częściowo. Na zasadzie joint venture.
- Nie mogę.

Wtedy Keith spytał dlaczego. Dokładnie wiedziała, dlaczego. Dlatego, że byłoby to - w braku lepszego słowa - po prostu tanie. Miłości nigdy nie należy mieszać z pieniędzmi. Zdawała sobie sprawę, co by na to powiedzieli Margaret i Adam.

Ograniczyła się jednak tylko do stwierdzenia:

- Jestem osobą bardzo niezależną. Widzę, że jeszcze tego nie zauważyłeś.
- Owszem, zauważyłem. Nie chciałaś ode mnie przyjąć nawet tamtej małej srebrnej bransoletki, którą razem widzieliśmy na wystawie sklepu z wyrobami artystycznymi.
- Kwiaty i czekoladki będą bardzo mile widziane - odparła ze śmiechem.
- To brzmi jak wyjęte ze starego podręcznika etykiety.
- Bo, jeśli chodzi o ścisłość, tak właśnie jest. Lubiałam czytać Emily Post mojej babki\*.
- Jesteś prawdziwą damą. Poza łóżkiem naturalnie. Tam

**\* Emily Post, 1872-1960 - amerykańska pisarka i dziennikarka, specjalizująca się w problemach manier i etykiety (Przyp. tłum.).**

nie zachowujesz się jak dama - powiedział Keith z tak dobrze już teraz znanym jej mrugnięciem.

- To zupełnie inna sprawa.

- A czy dama może przyjmować książki?

- Ach, tak, zapomniałam o książkach.

W wyniku tej rozmowy półki Niny zaczęły się szybko zapełniać. Ciekawe, że kiedy skończyła z formalną edukacją i obowiązkowymi lekturami, stała się gorliwą czytelniczką. Teraz w jej pokojach pełno było książek, które tak bardzo lubiła Margaret, zarówno powieści, jak i poezji. Przed nią na stoliku leżał otwarty *Ojciec Goriot* Balzaka, którego zniecierpliwiona oczekiwaniami odłożyła.

Kiedy zadzwonił telefon, zerwała się gwałtownie, przestraszona, że to może Keith chce ją zawiadomić, że coś mu wypadło i nie przyjdzie. Ale była to Margaret.

- Pomyślałam sobie, że złapię cię w domu, po długim i ciężkim dniu pracy, z nogami w górze.

- Owszem, był to długi dzień, ale nie ciężki, bo kocham to, co robię. I nie mam nóg w górze. Tylko w nowych pantoflach. I lada chwila oczekuję Keitha na kolacji.

- To nie będę cię długo trzymać. Zresztą i tak nie mam nic specjalnego do powiedzenia, po prostu chciałam tylko pogadać. Co przygotowałeś na kolację? Stek i kartofle, czy Keith unika cholesterolu i tłuszczu jak prawie wszyscy?

- Co przygotowałam na kolację? Dziś właściwie już nikt nie gotuje, przynajmniej w tym mieście. Jest tu masę fantastycznych punktów z jedzeniem na wynos. Mam rybę, warzywa i nieprawdopodobny obrus. Koniecznie musisz zobaczyć moje nowe mieszkanie. Dwa duże pokoje i kuchnia. Jest naprawdę urocze. Kiedy przyjedziesz do mnie na weekend?

- Ja bym przyjechała w jednej chwili. Adam też, zwłaszcza że przy okazji poszedłby ze dwa razy do opery, ale teraz nie zdoła się wyrwać. - Czysty sopran Margaret nabrał mrocznych tonów. - Twierdzi, że w biurze źle się dzieje.

Wszyscy się boją, co będzie. A tymczasem orzą w tych ludzi niesamowicie. Adam ciągle zostaje po godzinach.

Nieraz wraca do domu o wpół do dwunastej albo i później, a rano zrywa się o szóstej i gna do roboty. To jest po prostu nieludzkie. Rzadko kiedy udaje nam się teraz zjeść razem kolację, nad czym szczególnie boleje Danny.

Obojętne, jak daleko się jest od domu, jak dawno się go opuściło, człowiek zawsze czuje łączącą go z rodziną więź, zwłaszcza kiedy są jakieś kłopoty. Z ciężkim sercem i z góry znając odpowiedź, Nina zapytała, czy mogłaby w czymś pomóc.

- W niczym, kochanie, w niczym. Jestem pewna, że wszystko dobrze się skończy. Już przeżywaliśmy różne kryzysy. Pamiętasz Hongkong? To było zdecydowanie najgorsze.

Margaret miała w sobie wyjątkową siłę. Gdyby to od niej zależało, z pewnością wszystko by się dobrze skończyło. Ale jednocześnie Ninie zaświtała inna myśl - każdy instynktownie szuka otuchy u Margaret, a nie u Adama. Może to dlatego, że jest od niej wrażliwszy...

- Zbliżają się urodziny Danny'ego. Co by mu sprawiło przyjemność?

- Dowiem się i dam ci znać. Tylko błagam cię, nie rujnuj się.

- Nie wydam więcej, niż mogę.

- Czasami masz zbyt szeroki gest, Nina. Myśl więcej o sobie.

- Nie martw się o mnie, kochanie. O, dzwonek, idzie Keith. Odezwę się do ciebie jutro. Albo w sobotę. Pa.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytał Keith. - Słyszałem, jak mówiłaś „kochanie”, czyżbym miał rywala?

- Osioł. Rozmawiałam z Margaret.

Pocałował ją. Poczula na twarzy jego zimne usta i policzki.

- Au! Ale jesteś zimny!

- Bo się zrobiło bardzo zimno na dworze, spadło nawet kilka płatków śniegu.

- Nie przejmuj się, ogrzeję cię. Jak ci minął dzień?

- Nie najgorzej, poza tym, że umieram z głodu. Co jest na kolację? Powinniśmy gdzieś iść, ale uparłaś się, że zjemy w domu. Lubię te twoje aksamitne spodnie. Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję, wszystko jest gotowe. Możesz otworzyć wino, jeśli chcesz. Dopiero próbuję nauczyć się czegoś o winach, chociaż powinnam wiedzieć więcej. Adam zawsze ma dobre wina.

- Może być Sancerre. Powiedziałbym, że już się sporo nauczyłaś.

Było przytulnie; między nimi suto zastawiony stół, pod oknem śpiący kot, metaliczny dźwięk starego zegara wybijającego siódmą. „Mężczyzna i kobieta pod koniec dnia - pomyślała Nina. - Mąż i żona”. - Ale zaraz zawstydzila się, że jest taka zachłanna, i udzieliła sobie żartobliwej reprimendy: „Spokojnie. Trochę więcej kobiecej skromności, poczekaj, aż cię poproszą”.

- Czy na Boże Narodzenie jedziesz do domu? - zapytał Keith.

Nie znając jego planów, zawahała się.

- Ja będę na Florydzie. Mój brat ma tam dom, w którym mieszka przez cały rok.

- Tak, ja też wezmę kilka dni wolnego - odpowiedziała skwapliwie. - Bardzo tęsknię za rodziną, szczególnie za dziećmi.

- Kiedy o nich mówisz, mam wrażenie, że to nadzwyczajni ludzie.

- Bo są nadzwyczajni. I nasze wzajemne stosunki też są nadzwyczajne. Margaret jest o piętnaście lat ode mnie starsza i zawsze była dla mnie kimś między matką a siostrą. Może bardziej matką. To osoba całkowicie pozbawiona egoizmu, skłonna oddać dosłownie wszystko. Na przykład z miłości zrezygnowała ze studiowania medycyny. Opiekowała się swoją matką, teściową, uczy w szkole, wychowała trójkę udanych dzieci plus mnie, a to nie jest tak mało...

- To aż zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Ale jest. Przy tym Margaret to bynajmniej nie typ męczennicy, iriożesz mi wierzyć. Ma w sobie tyle siły i entuzjazmu. I uwielbia Adama. W ogień by za nim skoczyła.

- A on też ją uwielbia?

- Och, absolutnie. Przypuszczam, że dlatego stworzyli nam wszystkim taki wspaniały dom. To był fundament.

Ludzie zawsze mówią, że Crane'owie stanowią idealną parę.

Keith sięgnął przez stół i ujął Ninę za rękę.

- Jesteś najśłodszą dziewczyną na świecie, Nino.

- Nie chcę się czepiać, ale chyba powinieneś już powiedzieć „kobietą”.

- Do diabła z tym. Czasem wydaje mi się, że w dalszym ciągu jesteś dzieckiem, naiwnym i ufnym. A kiedy indziej robisz na mnie wrażenie osoby dojrzałej, ambitnej, bystrej

i pełnej seksapilu. Młoda kobieta lat dziewięćdziesiątych. Jestem kompletnie zdezorientowany.

- Szkoda, że nie widziałeś mnie dzisiaj rano. Przepraszam, że się chwalebę, ale muszę to komuś powiedzieć - dzisiaj podpisałam kontrakt na dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów - będziemy urządzić luksusową nadbudówkę. I wszystko ma być w art deco. Nawet biżuteria pani domu jest art deco. Wyobrażasz sobie te filigrany w platynie? Myślałam, że Ernie i Willie wyskoczą ze skóry, bo uważali, że ta pani tylko chodzi, pyta o ceny i traci czas, a tymczasem okazała się bardzo twardą klientką.

- Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce zostaniesz ich partnerką. Nina westchnęła.

- Mam nadzieję. Oni lubią mnie, a ja ich. Są krytyczni, drażliwi, zabawni i bardzo mili. Kiedy miałam gripę - jeszcze zanim się poznaliśmy - co wieczór przysyłali mi do domu kolację. Szkoda, że nie widziałeś, jak mieszkają. Cały budynek do nich należy. Mają nad sklepem dwupoziomowe mieszkanie, z marmurowymi schodami. Biały marmur. Wszystko jest fantastyczne - francuskie antyki, stare portrety, sztuka nowoczesna, kwitnące krzewy, wszystko. Wydają wspaniałe przyjęcia. Może zabiorę cię ze sobą, jak mnie następnym razem zaproszą. O ile zechcesz pójść - dodała szybko.

- Ale teraz chciałbym z tobą pójść tam - powiedział Keith, wskazując sypialnię.

Potem leżeli w całkowitym spokoju, jaki zwykle następuje po zbliżeniu. Keith przysłał drugą gardenię, którą Nina postawiła w pobliżu okna, koło łóżka. Jej słodki zapach unosił się teraz w powietrzu. Światło lampy odbijało się w szybie, skąd w nieregularnych odstępach dochodziło ciche bębnienie.

- Deszcz ze śniegiem. Muszę iść. Tak mi przykro cię zostawiać... - powiedział z ociąganiem. - Żałuję, że nie mogę zostać na noc...

- A nie możesz?

- Ubranie. Muszę wracać. Jest wpół do dziesiątej, a wygląda na to, że się szykuje regularna burza.

- Na szczęście masz blisko, tylko parę przecznic.

- Jeszcze pięć minut. - Keith spojrział na świecące cyfry stojącego przy łóżku zegara. - A potem wyskakuję jednym

susem. - Umilkł. - Wiesz co, Nino, tak sobie pomyślałem... sądzisz, że po świętach daliby ci jeszcze parę dni wolnego?

- Zaraz po powrocie z urlopu? Dlaczego pytasz?

- Mam coś do załatwienia w Pradze. Może zechcesz ze mną pojechać?

Nina usiadła.

- Czy chcesz? Do Europy? Jak mogłabym nie chcieć!

- To ich zapytaj. Jestem pewien, że Willie i Ernie ci nie odmówią.

Przez chwilę zastanawiała się, wreszcie, rozpromieniona, powiedziała wolno:

- Szczerze mówiąc, ja też tak sądzę. Już moja w tym głowa, żeby się zgodzili.

- Jesteś kochana...

Lecąc na wysokości trzydziestu siedmiu tysięcy stóp, pozostawili zimę daleko w dole.

- Dziś rano czytałam międzynarodową prognozę pogody - powiedziała Nina. - W Pradze jest jeszcze zimniej niż tutaj.

- Co za problem. Z pewnością jesteś przygotowana na wszystko.

- Ernie powiedział mi, że bym sobie kupiła futro ze strzyżonych baranów. Zawsze marzyłam o takim, ale jakoś nigdy nie miałam okazji sobie kupić.

- Nie wyobrażam sobie, po co jechać do Europy w styczniu, jeśli nie na narty - powiedział Ernie. - Ale jak już jedziesz, to jaip sobie przynajmniej to futro. Najstosowniejsze byłoby chyba czarne, z jakąś twarżową czapką do kompletu.

Futro i twarżowa czapka wisiały teraz w schowku, a nowa skórzana torba leżała wetknięta pod siedzenie. Stewardesa przyniosła koktajle, z kabiny pilota przebrzmiał ostatni komunikat i zapanowała miła atmosfera bezpiecznej przygody.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptała Nina.

- W co nie możesz uwierzyć, kochanie?

- Że naprawdę wyjechaliśmy w podróż. Zaraz, chwileczkę, jesteśmy w powietrzu od pół godziny. A on powiedział, że lecimy z szybkością dziewięciuset kilometrów na godzinę, prawda? Czy może więcej? To znaczy, że zrobiliśmy co najmniej sześćset kilometrów i lecimy nad oceanem?

108

Keith się uśmiechnął.

- Największą przyjemność sprawia mi obserwowanie twoich min - od poważnego zdumienia i podziwu do pełnego zachwytu uśmiechu. Czuję się, jakbym zabrał dziecko do sklepu z zabawkami.

„Nie - pomyślała Nina - to znacznie więcej, niż myślisz albo niż ja bym się przed tobą przyznała”.

Bo tak naprawdę, kiedy płynęli wśród ciemności, w przytulnym cieple pierwszej klasy, dotykając się ramionami, Nina czuła się poślubiona. Bo tak to chyba właśnie musiało być. Coś podobnego z pewnością odczuwała Margaret, kiedy wieczorem spoglądała na Adama, jak z zamkniętymi oczami, pólżąc w swoim fotelu, słucha muzyki.

Uśmiechała się wtedy, lekko, z zadowoleniem.

Nina położyła rękę na dłoni Keitha. Stewardesa, która to dostrzegła, pewnie pomyślała, że spędzają miesiąc miodowy.

- Jestem bardzo szczęśliwa - szepnęła Nina.

- Ja też, moja mała. Ja też.

Kiedy w kilka godzin później wylądowali w Pradze, ziemia była pokryta grubą warstwą białego puchu, a w powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu.

Keith wynajął samochód. Jadąc wolno i omijając śliskie miejsca, zabrał Ninę na krótką wycieczkę z przewodnikiem.

- Ten potężny budynek na wzgórzu to Hradczany. A dokoła niemal całe miasto, z pałacami, katedrą, ratuszem, muzeum, klasztorem... zresztą wszystko to zobaczysz. Spędzimy tu prawie cały dzień. Jest też rzeka, Wełtawa. A zimna! Spójrz na te dryfujące kawały lodu. Musisz koniecznie zobaczyć Most Karola w lecie - artystów malujących portrety turystom, muzyków, radosne dzieciaki - jest na co popatrzeć. Będiesz chciała tu wrócić - zapewniam cię. Ja jestem w Pradze trzeci raz.

Nic nigdy nie uszło uwagi Keitha. Napawał się wszystkim, co widział, zapamiętywał to, analizował, smakował. Jego ciekawość była zaraźliwa.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że od wczoraj rana nie zmrużyliśmy oka? - powiedział. - Proponuję, żebyśmy poszli na górę i porządnie się wyspali.



Mówiąc „na górę”, miał na myśli dwupokojowy apartament, z ogromnym łóżem, wyściełanymi krzesłami i sofami, bardzo wygodnymi i niewiarygodnie burymi.

Keith roześmiał się.

- Typowo środkowoeuropejskie. Crozier i Dexter nie byliby chyba zachwyceni, jak sądzisz?

Nina wybuchnęła śmiechem na samą myśl, jak też Ernie i Willie zareagowałiby na widok ogromnej zwalistej szafy.

Ale miękkie łóżę po trzydziestu godzinach bez snu wydało jej się wspaniałe. A poza tym mieli po raz pierwszy spędzić razem całą noc.

I po raz pierwszy kochali się rano, przed śniadaniem.

- Rano jest inaczej - zauważyła Nina.

- Jak to inaczej?

- No... nie wiem, ale inaczej.

Po namyśle jednak stwierdziła, że wie, i to bardzo dobrze. Chodziło o poczucie ciągłości, przeświadczenie, że są stale razem i mogą robić, co chcą i kiedy chcą.

- Dzisiejszy dzień przeznaczamy na Hradczany. Cały. Możemy jechać autobusem albo wejść na piechotę.

Uprzedzam cię, że wzgórze jest strome jak drabina.

- Wdrapiemy się - oświadczyła Nina, jak zwykle pełna zapału i radości. - Chcę zobaczyć wszystko. - I wyciągnęła ramiona. - Wszystko. Cały świat.

Widok ze szczytu wzgórza był wspaniały. Katedra ubrana w koronki z kamienia. Ogrody, otaczające letni pałac królewski, chociaż teraz przykryte śniegiem, też robiły fantastyczne wrażenie. \*PQ muzeum Keith oprowadził Ninę sam, zatrzymując się przed portretem kobiety, która trzymała w ręce pasmo długich, lśniących włosów.

- To słynny Tycjan - wyjaśnił. - Ta kobieta żyła kilka wieków temu, ale z powodzeniem mogłaby być tobą.

- Ja tego bynajmniej nie dostrzegam.

- To się jej przyjrzyj. Nawet zarys brwi ma ten sam co ty. Keith stał i w mrocznym świetle starego muzeum z satysfakcją spoglądał to na portret, to na żywą kobietę.

Kiedy wieczorem wrócili do hotelu, w pokoju były kwiaty.

- Powinny się tu znaleźć już pierwszego wieczoru - powiedział, marszcząc czoło. - Ale ktoś zapomniał. A to jest niewybaczalne.

Był szalenie pedantyczny, nigdy się nie spóźniał, nigdy nie zapominał choćby o najbliższej obietnicy. Nina już dawno się zorientowała, że spóźnialscy i ludzie niesolidni nie mogli liczyć na jego wyrozumiałość. Świadomość tego drobnego uchybienia z jego strony sprawiła jej cichą radość, nadawała mu bowiem ludzki wymiar, czyniąc go człowiekiem z krwi i kości, a nie romantyczną mrzonką zakochanej dziewczyny.

I tak upłynął im pierwszy dzień; nieliczne pozostałe minęły jak z bicza strzelił. Zwiedzili stary ratusz, byli na koncercie, w małych zadymionych restauracyjkach jedli gulasz i strudel. W galerii Keith kupił jej akwarelę, przedstawiającą Wełtawę w rześnistym wiosennym deszczu.

- Obojętne, kto to namalował - powiedział - musi być artystą, a nie amatorem. - Po oprawieniu w dobrą ramkę będziesz miała miłą pamiątkę naszych wspólnych dni w Pradze. W ten sposób o nich nie zapomnisz.

- Sądzisz, że mogłabym zapomnieć? - Spojrzała na niego i przypomniał jej się banał o sercu na dłoni.

- Nino, kochanie, jesteś wspaniała. Chciałbym się wybrać z tobą w podróż dookoła świata.

- To mnie zaprosz - odparła wesoło.

- Co byś powiedziała o Mongolii na początek?

Z udaną powagą zastanawiała się chwilę, po czym już całkiem serio odpowiedziała:

- Na początek wolałabym Paryż.

- W porządku. Nic prostszego.

Mając na względzie tę śmiałą perspektywę, zapytała, czy zobaczyli już wszystko, co było tutaj do zobaczenia.

- Wszystko? Naturalnie, że nie. Ale rzuciliśmy okiem na to, co najważniejsze.

- Bo pomyślałam, że... że moglibyśmy wyjechać stąd troszkę wcześniej i wpaść na jeden dzień do Paryża? Gdybym mogła zobaczyć Paryż, choćby przez jeden dzień, byłabym taka szczęśliwa! Wciąż bym to wspominała i ciągle marzyła, żeby pojechać tam jeszcze raz. Dobrze, Keith?

Kończyli właśnie kolację w hotelu i Keith wyjmował z portfela kartę kredytową. Popatrzył na nią przez chwilę, schował z powrotem, wyjął czek podróżny, schował czek i ponownie wyjął kartę. Prośba Niny pozostała bez odpowiedzi. Keith nagle stał się jakiś roztargniony, ponury.

- To nie jest miejsce na takie rozmowy - mruknął. - Chodźmy na górę. Zresztą i tak jest coś, co chciałem ci powiedzieć.

Oddech Niny stał się przyspieszony, ale nie ze strachu, tylko z radosnego podniecenia: może chodzi o To Pytanie? Kiedy Keith zasiadł w jednym z ciężkich, nadmiernie wypchanych foteli, zajęła miejsce naprzeciwko niego, niecierpliwie oczekując niespodzianki. Po chwili milczenia Keith wstał, podszedł do okna i wpatrzył się w noc. Czas włókł się niemiłosiernie.

Wreszcie odwrócił się, wyraźnie zatroskany.

- Będziemy musieli na jakiś czas odłożyć Paryż - oznajmił. - To jedno z miejsc, w którym nie możemy być widziani razem.

Ninę dosłownie zatkało.

- Nie rozumiem! Jak to nie możemy być widziani razem? Co za bzdura!

- Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale jak mnie wysłuchasz, z pewnością zrozumiesz.

- Słucham, mów.

Przemierzył wzdłuż pokój i dopiero wracając, zaczął:

- Czy kiedykolwiek w życiu zrobiłaś coś głupiego i absolutnie niewybaczalnego? I wiedząc, że tak postąpiłaś, odwlekałaś wyznanie tego ze wstydu i strachu, że nie uzyskasz przebaczenia?

- Nie - odparła zgodnie z prawdą. Serce waliło jej jak młotem, a całe ciało ogarnęło drzenie. Instynktownie, jak gdyby w geście obrony, skrzyżowała na piersi ramiona.

Bardzo wolno, bardzo cicho Keith powiedział:

- Jestem żonaty, Nino.

Zdrętwiała. Żonaty. Gdyby powiedział: „Właśnie obrabowałem bank” albo „Właśnie zabiłem człowieka”, nie byłaby bardziej wstrząśnięta.

- Powiniennem być powiedzieć ci to wtedy, kiedy przywiozłaś nam lampę i poszliśmy na drinka. Ale już wtedy wiedziałem, że muszę się z tobą znowu zobaczyć, a bałem się, że nie będziesz chciała. Dziś dla wielu kobiet, zwłaszcza tych, z którymi się stykam, takie sprawy są bez znaczenia, ale czułem, że z tobą jest inaczej. - Jego głos nabrał błagalnych tonów. - A nie chciałem cię stracić. I nadal nie chcę.

Jak on śmiał! Jak mógł!

- Ale ja się rozwodzę, Nino. Dlatego moje oszukaństwo nie jest aż tak karygodne, jakby się mogło wydawać. Problem polega na tym, że ta cholerna sprawa tak długo się wlecze. Gdybyś tylko ze mną wytrzymała... - i Keith załamał ręce.

Nina wpatrywała się w niego i myślała - właściwie jesteś kimś obcym. Przecież nic o tobie nie wiem.

- To dlatego nie możemy jechać razem do Paryża - podjął Keith - bo tam niemal zawsze spotykam kogoś znajomego. Tutaj ryzyko jest znacznie mniejsze, zwłaszcza zimą. Kiedyś zabiorę cię do Paryża, ale...

- Ryzyko?! - wykrzyknęła. - Czy myślisz, że po tym, co mi powiedziałeś, jeszcze obchodzi mnie Paryż? A zresztą, skoro się rozwodzisz, na czym polega to ryzyko?

- To sprawa znacznie bardziej skomplikowana, niż sądzisz. Nie podaliśmy tego jeszcze do publicznej wiadomości i nadal uchodzimy za normalną rodzinę.

- „Normalną rodzinę!” Ty draniu! Okłamałeś mnie, wciągnąłeś w pułapkę, postawiłeś w sytuacji, w której musisz się ze mną kryć, jakbym... jakbym była prostytutką, której się wstydzisz!

Wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w dłoniach. Co za ból! Jak strasznie została zraniona!

Kłęcząc przed nią, Keith próbował oderwać jej ręce od twarzy, obetrzeć łzy.

- Nino, kochanie, proszę cię, nie płacz. Okaż mi cierpliwość, błagam. Wiem, że jesteś wściekła, i masz do tego prawo. Ale czuję, że ty też mnie kochasz. Wiem, że tak jest. Kiedy się nad tym zastanowisz, z pewnością mi przebaczysz.

Żonaty. Ninę ogarnęła fala zazdrości. Przez cały czas, kiedy z nią był, kiedy z nim sypiała, słysząc bicie jego serca przy swoim, wdychając czysty, ciepły zapach jego skóry - otóż przez cały ten czas sypiał z inną kobietą, która nosi jego nazwisko, jego obrączkę i ma schowany gdzieś w szufladzie czy skarbonku legalny dokument... Żonaty. Poczula chłód, nie mogła wydobyć słowa, niemy krzyk uwiązał jej w gardle.

- Nino, powiedz coś, na miłość boską.

Ludzie przechodzili korytarzem; w pewnej chwili dotarł do nich męski głos:

- Ty chyba jeszcze nie znasz mojej żony, prawda? Annie, pozwól, to jest...

Przez palce Nina wyszeptwała:

- Jak ma na imię?

- Cynthia.

- A dzieci?

- Kochanie, naprawdę nie musimy wchodzić w szczegóły. Po co rozdrapywać rany. Ważne, że się rozwodzę. I nic więcej nie potrzebujesz wiedzieć. Bo nic więcej się nie liczy.

Ale Nina miała potrzebę sięgnięcia aż do granic swojej męki.

- Nie - odparła. - Muszę wiedzieć wszystko. Masz dzieci, prawda? Tylko nie chcesz mi o tym powiedzieć. - Wytarła twarz. - Ile?

Keith wstał z klęczek i odparł zmęczonym głosem:

- Dwoje. Chłopca i dziewczynkę.

Dzieci. Żona. Dom. W jakżeż innym świetle go teraz zobaczyła. Nagle przestał być tym atrakcyjnym młodym mężczyzną, u którego boku jeszcze kilka godzin temu szła ufnie i z lekkim sercem. Zerwała się z miejsca, złapała futro i pobiegła do drzwi.

- Nino, poczekaj! Co robisz, Nino...

Drzwi zatrzasnęły się Keithowi przed nosem. Niemal naprzeciwko otworzyły się drzwi windy, ale zanim zdążył je dopaść, Nina jechała już w dół, a po chwili biegła ulicą. Zachowała się jak szalona, zdawała sobie z tego sprawę -biec nocą ulicami obcego miasta! Nie wiedziała, dokąd zmierza. Za sobą zostawiła katastrofę - zranioną dumę, a, co gorsza, zawiedzione zaufanie. Jak mógł! O Boże, jak ja go nienawidzę!

Ludzie, których mijala, z pewnością myśleli, że ktoś ją goni albo że zwariowała. Zdyszana, zatrzymała się przed wystawą, by złapać oddech. Przed sobą dostrzegła otwartą przestrzeń, z pewnością plac, na którym oglądali stary zegar i gdzie wstąpili do kościoła. Tak, tam właśnie musi teraz iść -do kościoła.

Gdy byli tu po południu, ktoś ćwiczył na organach; słyszeli majestatyczne dźwięki muzyki ulatujące ku wieży starożytnego budynku. „Bach - powiedział Keith. - Kiedy muzyka jest taka wzniosła i tak bardzo cię porusza, to prawie zawsze

okazuje się, że jest to Bach". Teraz kościół był niemal pusty. Na wprost ołtarza siedziało tylko kilkoro starych ludzi, a jedna z kobiet klęczała, pogrążona w modlitwie. Panował wilgotny chłód. Otulając się szczerzej pięknym i tak niedawno jeszcze upragnionym futrem, Nina miała poczucie nieodwracalnej straty.

Marzyła o tym, żeby być teraz w domu. Gdyby mogła w czarodziejski sposób znaleźć się teraz we własnym łóżku i wtuliwszy głowę w poduszkę, zasnąć... Po prostu zasnąć i już! Ale nie miała ani pieniędzy, ani biletu, nic. Była bezradna i całkowicie od niego zależna. Siedziała więc, wpatrzona w świece wotywnie i w rozmodloną kobietę. Bóg jeden wie, co jej, biedaczce, leży na sercu!

Po długiej chwili, kiedy kościół stopniowo opustoszał, została sama w granatowym mroku wielkiej świątyni. Ile tysięcy mężczyzn i kobiet, zdradzonych i oszukanych tak jak ona, zastanawiało się w ciągu wieków tu, pod tym sklepieniem, co dalej począć, by, podjąwszy decyzję, wyjść i stawić czoło temu, co nieuniknione. Przecież nie będzie siedziała tu całą noc, złościąc się i zamartwiając.

Dać się ponieść emocjom, zamiast zawierzyć zdrowemu rozsądkowi, to tak jakby w panice biec przez nieznany las. Nie ma innej drogi, musi wracać do hotelu.

Z odległości niespełna dwóch przecznic zobaczyła Keitha stojącego w drzwiach, na zimnie, i rozglądającego się niespokojnie. Kiedy ją dostrzegł, natychmiast puścił się biegiem w jej stronę.

- Nino! Szukam cię bez przerwy od ósmej! Odchodzę od zmysłów. Byłem przekonany, że stało ci się coś złego, że mogłaś...

- Co? Popęlić samobójstwo, tak?!

Keith miał poluzowany krawat i był bez płaszcza. Z jednej strony te dowody zdenerwowania sprawiły jej satysfakcję; z drugiej wzbudziły niechciane współczucie.

- Wejź do środka! - powiedziała szorstko. - Bo dostaniesz zapalenia płuc.

Kiedy, już w pokoju, próbował jej pomóc zdjąć futro, ofuknęła go ostro:

- Nie dotykaj mnie!

- W porządku. Nie będę cię dotykał. Ale musisz mnie wysłuchać. Musisz wysłuchać całej historii.
  - Historii twojej „normalnej rodziny”?
  - Ona nie jest normalna. Już ci mówiłem - tylko uchodzi za taką w oczach innych.
  - Z tego wynika, że w dalszym ciągu mieszkanie razem.
  - Tak. W jednym domu. Ale nie sypiamy razem, możesz mi wierzyć. - Keith przerwał i dokończył z trudem: - Mój mały jest chory. Może nie tyle chory, ile wraca do zdrowia po operacji. Urodził się ze szpotawą nóżką i pierwsza operacja nie przyniosła spodziewanych wyników. Powstały komplikacje, w wyniku których musi mieć następny zabieg, ale dopiero w przyszłym roku. Nie mogę jeszcze pogarszać i tak już trudnej sytuacji. On ma dopiero osiem lat. Jest jeszcze bardzo mały. Chyba to rozumiesz, prawda? - powiedział błagalnym tonem.
  - Chyba tak.
  - Proszę cię, zdejmij futro i usiądź. Wysłuchaj mnie, a potem osądź.
- Nina milczała.
- Za rok, jak tylko Eryk z tego wszystkiego wyjdzie, sytuacja się zmieni. Nie będzie problemów finansowych i nie będzie problemu dziecka. Cynthia może się nimi zająć. Jest dobrą matką.
- Czy powinnam mu uwierzyć? - zadręczała się Nina.
- Keith przypomniał sobie o krawacie i stał teraz przed nią, zatroskany, wiążąc go od nowa. Było to tak typowe dla niego, ta podświadoma pedanteria, czy może słabość, jak kto woli, że Nina poczuła się dziwnie wzruszona.
- Naprawdę nie wiem, co mógłbym ci więcej powiedzieć, poza tym, że jest mi bardzo przykro. I że cię proszę o przebaczenie.
- Czy powinna mu przebaczyć? - zadawała sobie pytanie. -Czy moje zachowanie jest nierozsądne?
- Nie, nie sędzę. - Nadal czuła w piersi twardy węzeł gniewu, ale niewiele już brakowało, żeby zmiękła. Jednakże duma i chęć zyskania pewności sprawiły, że naciskała dalej.
  - Tak wygląda ta cała historia z twojego punktu widzenia. Ale ciekawe, co o tym sądzi... ona?
  - Zgodziliśmy się co do tego, że nie będziemy na razie

mówili o rozwodzie, ze względu na dzieci, a szczególnie na Eryka. Ale obiecuję ci, że wszystko zostanie załatwione.

- Twarz Keitha wykrzywił smutny uśmiech. - A na razie moglibyśmy być ze sobą tak jak do tej pory. Widywalibyśmy się tak samo jak dotychczas. Od czasu do czasu wybralibyśmy się nawet w jakąś dyskretną podróż... Na szczęście mam taką pracę, że często muszę wyjeżdżać i do późna zostawać w mieście.

- To znaczy, że mieszkasz poza miastem?

- Tak. Około godziny jazdy pociągiem czy może trochę dłużej.

- Myślałam, że mieszkasz z matką.

- O Boże, nie. Ale przecież nic takiego ci nie mówiłem. Była to prawda. To ona sama snuła takie przypuszczenia.

- Czy twoja matka się domyśla?

- Ależ skąd. Powiem jej, jak już będzie po wszystkim. Nie wcześniej. Ona w dalszym ciągu uważa, że rozwód to tragedia.

- Ja może tak nie uważam, ale z pewnością nie chciałabym, żeby mnie to spotkało.

- I nic dziwnego. Ale gdybyś była nieszczęśliwa, z pewnością myślałabyś inaczej.

- A ty jesteś nieszczęśliwy?

- Byłem. Dopóki ciebie nie poznałem.

Zaległa cisza, podczas której Nina zastanawiała się, czy rzeczywiście chce wiedzieć pewne rzeczy, czy lepiej, jeśli się ich nie dowie. Ale pytanie nasunęło się samo.

- A jak ona wygląda?

- Trudno powiedzieć...

- Wcale nietrudno. Po prostu mi ją opisz.

- Nino, czy my naprawdę musimy? Przecież to jest niesmaczne.

- Chodzi ci o lojalność? Keith potrząsnął głową.

- Nie. Zresztą dobrze. Będę się streszczał. Jest inteligentna. Skończyła psychologię. Jest zwariowana.

- Dalej.

- Nie układa nam się. I koniec. Nie chcę nawet o tym myśleć. Co mam ci jeszcze na ten temat powiedzieć? Czy to nie wystarczy?

117



- Ale żyjecie ze sobą.

- Co masz na myśli? Seks? Już ci mówiłem, że ze sobą nie sypiamy, bo chyba głównie o to ci chodzi? Nie robiliśmy tego, odkąd urodziła się Susan, a Susan ma sześć lat.

A więc ta kobieta, pomimo wspólnego nazwiska, dzieci i domu, pomimo obrączki i dokumentu tak naprawdę go nie posiada. Ta kobieta tak naprawdę go nie posiada. Nina wydała głębokie westchnienie ulgi, jakby nagle ustąpił nękający ją dotkliwy ból. Pozostało jednak jeszcze coś, co koniecznie chciała wiedzieć.

- Powiedz mi, jak ona wygląda.

- Jak wygląda? Nic specjalnego. W każdym razie nie tak, żeby się za nią mężczyźni oglądali. A co do wieku, to jest mniej więcej tak stara jak świat.

Nina nie zdołała powstrzymać lekkiego uśmiechu. Widząc to, Keith roześmiał się swobodnie.

- Zawieszenie broni, Nino? Możemy zacząć wszystko od nowa?

A kiedy ze ściśniętym gardłem odpowiedziała: - Chyba tak... - wziął ją w objęcia, by w poczuciu wielkiej ulgi mogła się do woli wypłakać na jego ramieniu.

## **Rozdział 9**

- To Nina dzwoniła - powiedziała Margaret, wracając do stołowego. - W weekend przyjeżdża na naszą rocznicę. Czy to nie jest ładnie z jej strony? Taki kosztowny lot, a my przecież nic specjalnego nie urządzamy. Po prostu chce być z nami.

- I Gil, i Luiza, i Fred - wtrąciła Megan. - Zwłaszcza Fred. Byliby wspaniałą parą, prawda?

- Nie, nieprawda. Fred jest dla niej o wiele za stary.

- Jej chłopak jest starszy od niej o dwanaście lat - zachnęła się Megan. - Powinna wyjść za Freda. Wtedy by mieszkała niedaleko nas. Fred zbudowałby dla nich dom, a ona by go urządziła. Mogłaby kupować, co by tylko chciała, bo Freda na to stać.

- Pieniądze - odezwał się Adam. - Mam już dość ciągłego mówienia o pieniądzach Freda. Dziwię się, że i ty o tym gadasz.

- To nie fair, tato! - wykrzyknęła Megan, obrażona. - Nie miałam na myśli nic złego. Ja tylko powiedziałam... a zresztą, nie przypominam sobie, żeby ktoś z naszej rodziny „ciągle mówił” o pieniądzach Freda.

- Może po prostu sam Fred tyle o tym mówi, że już nikt inny nie ma okazji.

Margaret spojrzała na Adama z wyraźną dezaprobatą. Ostatnio był zbyt krytyczny i drażliwy. Co prawda nie zdarzało się to często, raczej sporadycznie, w chwilach złego nastroju, tyle że te humory były niczym nie uzasadnione, jak na przykład teraz - ot, zupełnie niewinna uwaga Megan wyprowadziła go z równowagi. Oczywiście, biedny Fred od dawna jest celem złośliwych uwag Adama.

Megan ciskała wzrokiem błyskawice pod adresem ojca; jako piętnastolatka była w trudnym okresie.

Margaret postanowiła żartem rozładować napięcie:

- Jeżeli ktokolwiek z was ma ochotę zabawić się w swaty, to w najbliższy weekend będzie miał okazję. Jedna z dziewcząt może porozmawiać z Fredem, a druga z Niną.

- Rzygać mi się chce, mamó - wtrącił Danny z niesmakiem - jak baby zaczynają gadać o ślubach.

- A kiedy będzie ślub Niny? - zapytała Julie.

- Mam takie przeczucie - powiedziała Margaret - że tak naprawdę to Nina przyjeżdża, aby omówić z nami tę sprawę. Przyszło jej nawet do głowy, że Nina może przywieźć ze sobą Keitha w charakterze niespodzianki. Przez ostatnie półtora roku jego osoba przewijała się w każdej rozmowie telefonicznej i w każdym jej liście. Jeśli Keith jest rzeczywiście tak wspaniały, jak jej się wydaje, to na co czekają? Margaret nie była zwolenniczką opóźniania naturalnego biegu wypadków. Ona, jak wiadomo, nie zwlekała nadmiernie z tym, co i tak miało się zdarzyć! Powiodła wzrokiem dokoła stołu, jak to miała zwyczaj robić, kiedy zebrały się przy nim wszystkie dzieci - Megan ze swoim poważnym wyrazem twarzy, czujnym spojrzeniem i trochę zbyt zaciętymi ustami; Julie, ma-rzycielka, równie skłonna do śmiechu, co do płaczu; Danny trzy czwarte mężczyzny i jedna czwarta dziecka.

- Jeśli Nina będzie miała prawdziwy ślub, to może poprosi Megan i mnie na drużny - rozmarzyła się Julie. - Chciałabym mieć długą suknię. Różową. Długą różową suknię i bukiet czerwonych róż.

- Ona może nie chcieć uroczystego ślubu - oświadczyła Megan z nutą pogardy w głosie. - Nina jest bardzo praktyczna, a ślub to wielki wydatek. Jedna chwila i po wszystkim, a kosztuje majątek.

- Ja na to patrzę zupełnie inaczej - zaproponowała Margaret. - Tak naprawdę to nigdy nie jest po wszystkim. Takie rzeczy pamięta się do końca życia. Myśmy na przykład mieli bardzo uroczy ślub. A ja szłam do ołtarza w najwspanialszej sukni, jaką sobie można wyobrazić. Ręczna robota. Twoja mama, Adamie, włożyła w nią tyle serca...

- Aha - mruknął Adam.

Był rozdrażniony. „Może to dlatego - pomyślała Margaret - że zaprosiłam na nasze rocznicowe barbecue Freda i moje kuzynostwo. Oni go irytują, choć z pewnością nie zdają sobie z tego sprawy". Ale te spotkania stały się już tradycją i gdy-

bym ich nie zaprosiła, byliby bardzo zdziwieni. Poza tym są mi bardzo bliscy i chcę mieć ich z tej okazji przy sobie. Ostatecznie nie przychodzą tak znów często. Margaret poczuła uzasadniony gniew.

Adam trzymał w obu dłoniach filiżankę kawy. Roztargniony wzrok utkwiał ponad jej krawędzią w przeciwległej ścianie. Patrząc na niego, Margaret poczuła, jak na jej czole powoli formuje się zmarszczka, jednak Adam wydawał się jej nie widzieć; nawet nie spojrział w stronę żony. I znów, jak się to już wcześniej zdarzało, Margaret odniosła wrażenie, że Adam jest nieobecny, jakby go wśród nich nie było. Czasem nawet, kiedy rozmawiali o tym, co dzieje się w Waszyngtonie czy w Bośni, albo o czymś zupełnie błahym, jak teraz, Adama po prostu nie było.

Nina przyjechała w południe samochodem, który wynajęła na lotnisku. Z walizką w jednej i dużym kwadratowym pudłem w drugiej ręce, spieszyła chodnikiem w stronę domu. Posypały się wykrzykniki:

- Co za wspaniała pogoda! Wy zawsze potraficie sobie załatwić na rocznicę ślubu taką piękną pogodę. Ach, jak tu jest uroczo! Mam takie uczucie, jakbym was całe lata nie widziała. Ile to czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? Od tej zawiei śnieżnej, którą tu mieliście. Danny, jak nie przestaniesz rosnać, to niedługo będziesz miał dwa metry. Weźcie ode mnie ten pakunek, bo mi się ręka urwie. To prezent na wasze osiemnastolecie! Nie chce mi się wierzyć!

„Jej pojawienie się jest jak świeży powiew wiatru - pomyślała Margaret. - Oni wszyscy są naprawdę szczęśliwi. Po ich twarzach widać, że w tym powitaniu nie ma nic zdawkowego. Po prostu kochają Ninę”.

- Ale zobaczcie, co jest w tym pudle. Mam nadzieję, że wam się spodoba. Keith był tego pewien. To zresztą jego pomysł. Twierdzi, że tyle o was słyszał, że prawie was zna. Ostrożnie z nożyczkami, Danny. To jest bardzo delikatny przedmiot.

Delikatnym przedmiotem okazał się duży japoński ogród w ciemnozielonym pojemniku, wielkości połowy stolika do kart. Piękne drzewka bonsai otaczały tradycyjny dom i gładki

wygrabiony teren z niską, pomalowaną na czerwono świątynią w rogu. Nad upozorowanym stawkiem wznosił się łukiem delikatny mostek. Całość stwarzała wrażenie niebiańskiego spokoju.

- Zabierzcie ten wazon ze stołu między oknami - zarządziła Nina. - On tu nie pasuje. Jest za mały. W tym miejscu postawimy to. - Cofnęła się o parę kroków. - No, jak się prezentuje?

- Ty masz gust, Nina! - wykrzyknęła Luiza. - To zupełnie zmienia wygląd całego pokoju.

- Ale tym razem to był naprawdę wybór Keitha.

- Ten twój Keith musi być interesującym człowiekiem - zauważył Gilbert. - Kiedy będziemy mieli okazję go poznać?

- Ach, któregoś dnia...

Margaret pomyślała: „Kiedy ona się uśmiecha, wygląda, jakby w niej rozbłysło różowoperłowe światło”.

A potem rozbłysł cały dzień i było tak jak co roku - turniej krykiety, niewinne lokalne ploteczki Luizy, pogaduszki dziewcząt z Niną, stare dowcipy Gilberta, prywatny przepis Freda na poncz, sos barbecue według własnej receptury Adama, no i naturalnie tort rocznicowy. Po rozgrywkach w krykieta, późnym popołudniem, przyjechał po Megan jej chłopak, który świeżo zrobił prawo jazdy, by, wyraźnie dumny, zabrać ją na prywatkę. Danny poszedł grać w piłkę, kuzynostwo też się pożegnali. Adam zatrzymał jeszcze Freda w geście pojednania wobec Margaret, która uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kobiety poszły na górę, gdzie Nina wyciągnęła się w dużym fotelu z nogami opartymi na otomanie.

- Oczyma duszy ciągle cię widzę, jak odrabiasz lekcje - odezwała się Margaret. — Mam takie uczucie, jakbyś nigdy stąd nie wyjeżdżała.

- Wiem. Ja miałam podobne odczucie, gdy tylko skręciłam za róg i zobaczyłam dom. - Nina ziewnęła. - Przepraszam cię, ale po prostu poczułam się rozluźniona. W Nowym Jorku jakoś nigdy nie mogę sobie na to pozwolić. Zawsze dokądś się spieszę. Ale ja to lubię.

Wyciągając nogi, zrzuciła beżowe sandały na wysokich obcasach, idealnie pasujące do krótkiej lnianej sukienki.

- Jakim cudem możesz w tym chodzić? - zdziwiła się Margaret.

- Ja w tym nie chodzę. Jeśli mam zamiar gdzieś iść, zakładam tenisówki. Wszyscy tak robią.

Margaret, przyglądając się tej młodej, eleganckiej kobiecie, zastanawiała się zawsze, czy łączy je stosunek matka-córka, czy raczej siostrzany. Zależnie jednak od okoliczności i - co nie bez znaczenia - nastrojów Niny, stosunki te jakoś zawsze znajdowały stosowną formułę; obecnie przypominały relację matka-córka.

- Masz bardzo ładną sukienkę - zauważyła Margaret. Tylko że len okropnie się gniece. Może bym ci ją uprasowała. Jeśli dobrze pamiętam, prasowanie nigdy nie było twoją mocną stroną. - Pozwoliła sobie na małą złośliwość. - Chyba że się od tamtej pory coś zmieniło.

- Nie, nic się nie zmieniło. Ale ja oddaję rzeczy do prasowania. Nie przejmuj się, len ma prawo się gnieceć. Nikt nie zwraca na to uwagi. Keith lubi len, więc często noszę lniane rzeczy, zwłaszcza czarne i bez rękawów.

- Ubierasz się tak, żeby mu zrobić przyjemność. To miłe. I miłe, że on się tym interesuje.

Na twarzy Niny pojawił się uśmiech. Margaret, nie bez czułości, rozpoznała w nim delikatny uśmieszek, jaki u kobiet wywołują bardzo osobiste intymne wspomnienia.

- Uwielbia czarny kolor. Kiedy zimą byliśmy w Europie, wzięłam piękne nowe czarne futro.

Margaret, która sama była córką, a teraz jeszcze i matką dwóch córek, wiedziała, że należy unikać nadmiernego wścibstwa. Mimo to nie była w stanie powstrzymać się przed mimowolną uwagą:

- Skoro byliście razem w Europie, to chyba sprawa wygląda poważnie.

- Owszem, nawet bardzo poważnie.

- To znaczy, że jesteście zaręczeni...

Margaret machinalnie spojrzała na rękę Niny, ale dostrzegła tylko pęk bransoletek, choć spodziewała się pierścionka. Nic jednak nie uszło uwagi Niny.

- Nie, pierścionka nie mam.

- To bez znaczenia. Ja też nie miałam. Adama wtedy nie było stać na pierścioneł, a ja nie przywiązywałam do tego wagi.

- Och, Keitha byłoby stać. Nie na tym polega problem.

Zapadło milczenie. Margaret najwyraźniej czekała na wyjaśnienia, na czym polega problem, Nina zaś czekała na pytanie. Nina odezwała się pierwsza: - No więc?

- No więc co?

- Nie chcesz wiedzieć prawdy?

Margaret poczuła dziwny niepokój, był to zwiastun strachu.

- Jeśli zechcesz mi powiedzieć...

- Keith jest żonaty.

- O!

Nina uniosła brwi zdziwiona tak lakoniczną reakcją. Margaret, potrząsając głową, powiedziała cicho:

- Przepraszam cię bardzo, ale sama rozumiesz, że nie jestem tym zachwycona.

- Dlaczego? On się rozwodzi.

Tym razem Margaret poczuła gład na piersi. Westchnęła ciężko, ale spytała bardzo spokojnie:

- Czy to ty jesteś przyczyną rozwodu? Nina parsknęła śmiechem.

- Ależ skąd! Oni to planują już od lat.

- Planują? Nie rozumiem. To skąd ta zwłoka?

- Ich syn ma problemy ze zdrowiem. Nie chcą go dodatkowo stresować, dopóki nie przejdzie pewnej operacji.

- To znaczy, że w dalszym ciągu mieszkają razem?

- Niestety tak.

- To mi się nie podoba, Nino. Naprawdę mi się nie podoba.

- Dlaczego? Przecież to nie ma ze mną nic wspólnego.

- Jesteś z nim już drugi rok.

- Uważasz, że ja tego nie wiem, Margaret?

Skoro Nina stała się taka agresywna, ona, Margaret, musi być bardzo spokojna, bardzo łagodna.

- Rozwód, jeśli chcą go obie strony, nie trwa tak długo, jak sądzę.

- I o tym też wiem. W przyszłym roku o tej porze będziemy już po ślubie.

- To czy nie lepiej poczekać, aż Keith będzie wolny, z... Nina wyprostowała się na fotelu.

- Z widywaniem się? Mam z nim zerwać? O to ci chodzi?

- Nie. Nie powiedziałam, że masz z nim zerwać w ogóle.

Tylko na jakiś czas, dopóki nie będzie wolny. Skoro jest w dalszym ciągu z żoną... A... dzieci?

- Dwoje.

- No nie, Nina. Tak nie można. Myślałam, że ty na to nie przystaniesz. Podróżować z mężczyzną, który ma żonę i dzieci... to niegodne ciebie.

Nina patrzyła na Margaret z niedowierzaniem.

- Czy ja dobrze słyszę? Nigdy nie przypuszczałam, że możesz być taką świętoszką! Myślałam raczej, że świadomość tego, że jestem kochana i szczęśliwa, sprawi ci przyjemność.

- Cieszę się, że jesteś kochana, i chciałabym bardzo, żebyś była szczęśliwa. Czy możesz w to wątpić? Mnie nie ufasz?

- Nie powiem, żebyś okazywała szczególne zadowolenie. Margaret napotkała gniewny wzrok Niny, który zmusił ją do

spuszczenia oczu. Nie sądziła, że sprawa jest aż tak poważna.

- Nie chciałabym, żebyś musiała się ukrywać, to wszystko - powiedziała łagodnie. - Uważać, by nikt was razem nie zobaczył... To nie jest w porządku, Nino. Jeżeli się rzeczywiście kochacie, możecie poczekać do czasu, kiedy nie będziecie zmuszeni się kryć i kiedy w tym, co robicie, nie będzie niczyjej krzywdy.

- Krzywdy! O czym ty mówisz?

- Mówię o cudzołóstwie.

- Margaret, jest rok 1992! Takie rzeczy liczyły się dobre sto lat temu.

- Nawet więcej, ponad dwa tysiące.

Z udanym jękiem i dzwonieniem bransoletek Nina uderzyła się w czoło.

- Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś taka święta.

- Nie potrzeba być świętym, żeby odróżniać dobro od zła.

- Nie przyjechałam do domu wysłuchiwać kazań. Czując potrzebę naprawienia tego, co się nagle zerwało,

Margaret zaczęła przeproszać Ninę:

- Nie złość się na mnie. Przecież nie chcę ci prawić kazań. Ale bądź sprawiedliwa. Chyba mam prawo do własnego zdania, nie uważasz?

- W porządku, wcale się nie złościę. A ty zmienisz zdanie, jak poznasz Keitha. Bo to jest twój typ mężczyzny

-inteligentny, rozsądny, czarujący... zobaczysz, będziesz oczarowana, zapewniam cię.



Obdarzając Margaret promiennym, przebaczącym uśmiechem, Nina wstała z fotela i podeszła do lustra. Pochyliła się, przyjrzała się sobie dokładnie, uczesała brwi, przygładziła włosy, które nie wymagały przygładzania, po czym cofnęła się, zmarszczyła brwi i poprawiła kołnierzyk, który nie wymagał poprawiania. Margaret odniosła wrażenie, że wszystkie te gwałtowne i zbędne ruchy miały podłoże nerwowe...

Nagle dostrzegła w Ninie coś, czego dotychczas nie widziała. Nina była inna. Zmiana wydawała się subtelna, trudna do ujęcia w słowach, ale niewątpliwa, a jej przyczyną był ten mężczyzna. Margaret nie miała co do tego wątpliwości. Usłyszała swój wewnętrzny oskarżycielski głos - Coś ty zrobił z naszą Niną, z naszą dziewczynką? Może jednak mimo wszystko Adam nie był taki staroświecki, gdy mówił o „pójściu na skróty”.

- Tak - powtórzyła Nina - będziesz oczarowana.

Nie, nie będzie oczarowana. Kimkolwiek jest ten Keith, już teraz przysparza jej kłopotów. Kimkolwiek jesteś, z góry cię nie lubię - odezwał się wewnętrzny głos Margaret.

- Wiesz, co ci powiem. Jeszcze tego lata w któryś z weekendów, kiedy Keith będzie mógł się urwać, przywiozę go tutaj, żebyście się poznali.

„Kiedy Keith będzie mógł się urwać - pomyślała Margaret. - Urwać komu? Żonie i dwójce dzieci?” A następnie powiedziała to głośno.

- Urwać się żonie i dwójce dzieci?

Nina roześmiała się głośno, z niedowierzaniem.

- Widzę, że zwierając ci się, popełniłam drobny błąd, nie uważasz?

- No cóż, jeśli w ten sposób na to patrzysz... ale nie, nie uważam. A tak nawiasem mówiąc, czy twoi szefowie o tym wiedzą?

- Są jedynymi ludźmi, poza tobą, którzy wiedzą, ale im to zupełnie nie przeszkadza.

- To zrozumiałe. Oni cię nie kochają tak jak ja. Bo i dlaczego mieliby cię tak kochać?

- Owszem, zależy im na mnie, ale nie są tacy ograniczeni jak ty, zresztą mało kto jest...

- Nino, kochanie, posłuchaj mnie, proszę cię. Powinnaś być bardzo ostrożna, zanim obdarzysz kogoś zaufaniem.

Męż-

czynna musi sobie na takie zaufanie zasłużyć. Nigdy nie wiadomo, czy...

- O Boże, nie przypuszczałam, że będziesz taka sztywna, taka... taka nieczuła!

- A ja nie przypuszczałam, że ty się okażesz nieuczciwa.

- Nazywasz mnie nieuczciwą?

- Tak. Mam nadzieję, że żona Keitha nic o tobie nie wie. Chyba się nie mylę, prawda?

- Nie, nie mylisz się. Nie ma sensu w ten sposób komplikować sprawę. On się stara grać czysto. A poza tym, Margaret, nie życzę sobie, żebyś nazywała mnie nieuczciwą.

- Mnie też nie jest przyjemnie tak o tobie mówić, ale cała ta historia ma dla mnie wydźwięk złodziejski.

- Złodziejski! My się z Keithem kochamy. Już zapomniałaś, co to jest miłość? Nie mogę pojąć, że jedna kobieta potrafi w ten sposób mówić do drugiej. To nie do wiary.

- Posłuchaj mnie, Nino. Uważasz się za feministkę. Opowiadasz o braterstwie kobiet, o tym, że powinnyśmy się nawzajem wspierać, by stawić czoło męskiej dominacji, wspólnemu męskiemu wrogowi. Ileż razy słyszałam takie rzeczy!

Serce Margaret waliło jak młotem. Wstała, żeby spojrzeć Ninie w twarz.

- Gdzie jest twoja kobieca lojalność? Przecież nawet nie wiesz, czy jego żona chce tego rozwodu, a może bardzo cierpi, może się martwi o dzieci i... w ogóle. Braterstwo! Bzdura! Wzajemne bezpardonowe zabieranie sobie mężów. Rozbijanie rodzin.

- To nieprawda! - wykrzyknęła Nina. - Keith jest bardzo nieszczęśliwy, był nieszczęśliwy na długo, zanim mnie poznał. To jej wina, że nie potrafi utrzymać przy sobie męża i dać mu szczęścia. Jej wina!

- Bardzo cię proszę, nie podnoś głosu. Bo tam na dole z pewnością wszystko słycać.

- Robi mi się niedobrze, kiedy tego słucham - powiedziała Nina i schyliła się, żeby włożyć buty.

- Nie mogę w to uwierzyć. Ty, która wyjechałaś do Nowego Jorku i samodzielnie utorowałaś sobie drogę w tej dżungli, ty, która byłaś niezależna dosłownie od chwili, kiedy zaczęłaś chodzić i mówić, jesteś dziś tak słaba, że pozwalasz

pierwszemu lepszemu facetowi ciągnąć się w dół jak bezwolne ciele...

- Może... może nigdy nie byłaś zakochana. Odnoszę wrażenie, że nie masz o tym zielonego pojęcia.
  - Jak możesz wygadywać takie rzeczy o mnie i o Adamie? Wychowałam się w tym domu i w tej rodzinie. I przez cały czas nie widziałam nic innego poza miłością. I wszystko to, co teraz mówię, też jest podyktowane miłością. Gdyby Adam tu był, powiedziałaby dokładnie to samo. Chcemy cię tylko ostrzec przed popełnieniem błędu. Ten człowiek...
  - Ten człowiek to miłość mojego życia. I nie ma mowy o żadnym błędzie.
  - Kobiety często popełniają błędy z miłości. Możesz mi wierzyć. Naprawdę popełniają. Nawet teraz nie masz pewności, czy coś z tego wyjdzie i czy nie zostaniesz ze złamanym sercem.
  - O tym tylko ja mogę decydować, Margaret. Chcę ci powiedzieć, że zepsułaś mi całą przyjemność z tego dnia. Co ja mówię? Całą przyjemność z najszcześniejszego roku w moim życiu. - Nina zatrzasnęła walizkę i z impetem postawiła ją na podłodze. - Dużo wody upłynie, zanim zapomnę, co mi powiedziałaś. Jeśli w ogóle kiedykolwiek zapomnę.
  - Nie bądź śmieszna, Nino. Obie powiedziałyśmy szczerze, co nam leży na sercu, i to jest bardzo zdrowe. A złość nam przejdzie.
  - Tak sądzisz? Bo ja nie.
  - Chyba nie mówisz poważnie.
  - Jak to- nie? Powiem ci jedno - jak długo nie zmienisz zdania na temat Keitha, nie przywiozę go tu, gdzie jest najwyraźniej niepożądanym gościem. Nie zasłużył sobie na coś takiego. Sama też czuję się tu niechciana. I wobec tego wyjeżdżam. Jest jeszcze jeden samolot, a jak się na niego spóźnię, to przesiedzę noc na lotnisku i poczekam do rana. Margaret wyciągnęła rękę, ale Nina ominęła ją i ruszyła do drzwi.
  - Możesz się nie obawiać. Wyjdę dyskretnie, oszczędzę wam scen.
- Margaret słyszała z góry, jak Nina rażnym głosem wyjaśnia, że od początku zamierzała przyjechać tylko na jeden dzień, bo musi wracać do pracy, potem jak Julie protestuje,

Fred wyraża zdziwienie, a Adam żal. I wreszcie odgłosy samochodu - trzaśnięcie drzwiami, zapalenie silnika i cichnąca w oddali warkot.

Drżąca i zrozpaczona, stała pośrodku sypialni, jakby na gruzach własnego domu, w który właśnie uderzył piorun. Czasem w wiadomościach pokazywali ludzi kręcących się wśród ruin, usiłujących ratować resztki dobytku. Tak było ze szczątkami żalosego życia matki Niny, z pytaniami jej córki, kiedy była dzieckiem, z wyważonymi odpowiedziami, obliczonymi na oszczędzenie małej trosk i przykrości i wreszcie z zaakceptowaniem przez dorosłą już Ninę tych sensownych wyjaśnień. Nieuchronnie jednak gdzieś w świadomości - wtedy Jean, a teraz i Margaret - zrodziła się obawa, że Nina mogłaby pójść w ślady matki. Dlatego postać tego mężczyzny, tego Keitha, kładła się złowrogim cieniem na jej przyszłości...

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę uwierzyłeś w tę jej historię, że od razu zamierzała wracać tego samego dnia?

Adam leżał już w łóżku i czytał czy raczej usiłował czytać, co w atmosferze niepokoju, jaką wywołała nerwowo spacerująca po sypialni Margaret, nie było łatwe.

- Odniosłem wrażenie, że się znudziła i chciała już wracać do swojego chłopaka, faceta, kochanka, obojętnie jak go nazwiesz.

- No więc teraz już wiesz, jak było naprawdę. Możesz mi wierzyć, Adam, że to było straszne. Jestem dosłownie chora, tak jakby to Megan czy Julie zrobiły mi tę scenę.

Adam wzruszył ramionami.

- Megan i Julie mają jeszcze czas. Nina jest dorosła i może robić, co chce.

- Ale to przecież ty mówiłeś o beztroskim życiu i o pójściu na łatwiznę, i w ogóle. A ja byłem za tym, żeby jej zostawić swobodę i pozwolić, by sama dokonywała wyborów. A teraz robisz wrażenie, jakby cię to w ogóle nie interesowało.

- Interesuje mnie, słucham. Ale jednocześnie widzę, że nic na to nie poradzimy.

Margaret przeżywała emocjonalną burzę - rozczarowanie, żal, irytacja - wszystko to razem tworzyło tornado sprzecznych uczuć.

- Czy naprawdę nic nie możemy zrobić? - powtarzała z rozpaczą. - Naprawdę?

Adam odłożył książkę.

- Czasy się zmieniają i my musimy się zmieniać razem z nimi, czy tego chcemy, czy nie - odpowiedział cierpliwie.

-Bo inaczej...

- Bo inaczej co?

- Bo inaczej przepadniemy.

Była to dość dziwna odpowiedź. Przepadniemy? Niby w jaki sposób? Margaret, stojąc koło łóżka i przyglądając się mężowi, dostrzegła, że jest bardzo zmęczony.

Z zamkniętymi oczami, wsparty na poduszkach, nagle wydał jej się - szukała właściwego słowa - jakiś daleki. Nieobecny, jak wtedy, kiedy patrzył przed siebie znad krawędzi filizanki. Były sprawy, które przed nią ukrywał. Jako dobry mąż nie chciał jej obciążać dodatkowymi kłopotami.

„Orzą w niego nieprzyzwoicie - pomyślała jak zwykle. -To już naprawdę przekracza granice przyzwoitości. W dobrze zorganizowanej firmie wieczorne konferencje trzy czy cztery razy w tygodniu byłyby nie do pomyślenia. Zajeżdżą go na śmierć". Słuszny gniew, lęk o męża i miłość odsunęły na bok sprawę Niny.

- Są jakieś sprawy, o których mi nie mówisz - powiedziała cicho. - Tak nie wolno. Rozmawiaj ze mną, kochanie. Pozwól sobie pomóc.

- Dobrze. No więc Jenks dostał podwyżkę, a ja nie. Miałem o tym nie wiedzieć, ale dowiedziałem się z przecieków.

- To bardzo przykre! - wykrzyknęła Margaret. Usiadła na brzegu łóżka, głaszcząc Adama po głowie i uspokajając.

-Tak, to ogromnie przykre i niesprawiedliwe, zwłaszcza że zasługujesz na to znacznie bardziej niż on. Doskonale cię rozumiem.

Adam podniósł na nią wzrok.

- Jaka ty jesteś dobra - powiedział.

- Dobra? Co ty mówisz? Jestem twoją żoną. Kocham cię. Ścisnął ją za rękę.

- Nie przejmuj się tym. Do licha z Jenksem i z nimi wszystkimi. Niczego nam do szczęścia nie potrzeba. Mamy tak wiele. Mamy siebie.

Uśmiechając się z wdzięcznością, zamknął oczy.

## ***Rozdział 10***

- Ładny, prawda? - powiedziała Randi.

Po wyjściu ostatniego z gości stali wśród wesołego pobjowiska, jakie zostało po wydanym w ogrodzie lunchu, i spoglądali na nowy basen, który był przyczyną tej uroczystości. W ukośnych promieniach słońca, bezwietrznego popołudnia, spokojna powierzchnia wody lśniła jak pozłacana moneta, którą ktoś przez nieuwagę upuścił na trawę.

- Gdybyśmy dołożyli jeszcze parę dolarów, mogliśmy mieć znacznie większy basen, prawie rozmiarów olimpijskich, tak w każdym razie powiedział ten facet.

- Nie parę dolarów, Randi, tylko trzy tysiące.

- Nie bądź taki skąpy, Adamie.

- Nie zapominaj, że muszę.

Ale Randi zapomniała i Adam uznał, że nie ma w tym nic dziwnego. Ostatecznie, co ona może wiedzieć o rachunkach od ortodontów i funduszach na college. Wprawdzie nie musiał dzielić kosztów budowy basenu po połowie, ale przecież tyle czasu spędzał w domu Randi, że się do tego poczuwał.

Tak czy owak, basen był gotowy. Taras też został wyłożony nową kostką, zawisły markizy, kupili nowe krzesła i stoły, a wrześniowe kwiaty w doniczkach - chryzantemy i astry - ozdobiły go kolorowym kręgiem.

- Koniec lata - westchnęła Randi w zadumie. - A niebawem też koniec roku.

Spojrzał na zegarek.

- I koniec dnia. Pomogę ci posprzątać i jądę.

- Gdzie się tak spieszysz? Przecież mówiłeś, że wszyscy poszli na wystawę psów.

- Tak, ale boję się, że ktoś może wstąpić do biura i wszystko się wyda.

- Adam, kiedy ty się wreszcie przestaniesz zamartwiać?

Ale zawsze taki byłeś. Martwiłeś się, że nie zdążysz z pracą na czas albo że nie zrobisz dyplomu z wyróżnieniem. I co, zawsze martwiłeś się bez potrzeby.

- Ale to jest zupełnie inna sprawa - odparł.

Musieli odbyć kilka kursów tam i z powrotem, żeby wszystko powynosić do kuchni. Randi ruszała się powoli, Adam nie ukrywał pośpiechu. Odczuwał wielki ciężar podwójnego życia. Dzień był uroczy; dni spędzane tutaj zawsze były urocze, dopóki nie nadchodził czas pożegnania, a presja konieczności powrotu do domu nie stawała się zbyt wielka. Kiedy wchodził w nie podejrzewający niczego krąg rodzinny, przeżywał wielki stres - bał się zdradzić jakąś nieopatrznie wypowiedzianą uwagę, umierał ze strachu, że w czasie jego nieobecności wydarzyło się coś, co mogło wzbudzić podejrzenia. Dzisiaj miał sprawdzać dokumenty związane z podatkiem dochodowym.

- Kuchnia dobrze wypadła, nie uważasz? - zagadnęła go Randi. - Poszły na nią resztki pieniędzy Buntinga. Nie było tego tak znów wiele, zresztą lepiej wydać na coś pożytecznego, niż trzymać gotówkę w banku.

Kupiła najlepszą. Miała to być kuchnia europejska. Adam nie miał o tym zielonego pojęcia. Piekarnik taki czy siaki, co za różnica. Podejrzał, że kuchnia u nich w domu była ta sama od zawsze, chociaż w trakcie ich małżeństwa wymieniali różne rzeczy, zawsze wtedy, kiedy taniej było kupić coś nowego niż reperować stare.

Ale ten nowy wspaniały połysk był dla Randi taki ważny. Rozczulała go niemal dziecinna radość, z jaką bawiła się swoim nowym domem - koronkowymi zwiewnymi firankami, obszytymi frędzlami abażurami i gigantycznym telewizorem. Wszystko to było takie pozbawione gustu, takie niewinne. I takie wzruszające.

- Muszę wziąć prysznic i włożyć garnitur - powiedział, zdejmując szorty.

- Wystawa psów kończy się o piątej, sprawdziłam w gazecie.

- Widzę, że nic nie ujdzie twojej uwagi. Ale i tak muszę już iść.

Zrobiła smutną minę.

- Zawsze odchodzisz ode mnie. Tak mało cię widzę.

- Kochanie, wiesz, że to nieprawda.

- Wiem. I wiem, że robisz, co możesz. Ale pomyśl, czyby nie było cudownie, gdybyś mógł tu po prostu mieszkać? Nie odpowiedział. Skoro ich sytuacja była trudna, a ściślej mówiąc, niemożliwa do utrzymania na dłuższą metę, najprościej byłoby odpowiedzieć, że to, czego chce Randi, jest równie niemożliwe. Tam w Elmsford była bowiem czwórka ludzi...

Randi, jak gdyby w tej ciszy czytała każdą jego myśl, powiedziała szybko:

- Dobrze, dość tego. Proponuję, żebyś zamiast prysznic skoczył do basenu. Ja ci potowarzyszę. Szybka kąpiel na pożegnanie sezonu. Woda i tak jest już właściwie za zimna. -Mówiąc to, ściągnęła szybko szorty i stanik. - No, biegiem! -krzyknęła. - Biegiem do basenu!

Jeden głośny plusk i tuż za nim drugi. Słońce paliło im ramiona, a woda mroziła nogi.

- Czuję się jak przypiekana „Alaska"! - Randi się roześmiała. - Chodź i mnie rozgrzej, jeśli potrafisz. Możemy udawać, że jesteśmy w łóżku. Nie próbowałeś jeszcze czegoś takiego? Bardzo przyjemna zabawa. Istne szaleństwo. Mogę ci pokazać.

„To prawda myślał Adam, jadąc z Randolph Crossing do Elmsford - że wszystkie te potoczne powiedzenia są głęboko uzasadnione: «Mamy fioła na swoim punkcie» i «Nie możemy bez siebie żyć». Tak, to była prawda". Boże, ona musiała się nauczyć wszystkich sztuczek seksualnych, jakie istnieją na świecie! Musiała przeczytać wszystkie podręczniki miłości w języku angielskim i jeszcze parę po hindusku.

Ale to mało. Będąc z nią, po prostu czuł się dobrze. W samej atmosferze jej domu było coś, co go uwalniało od trosk. Zapominał o biurze, o Jenksie i Ramseyu, o podwyżce, która należała się przecież jemu. To właśnie na atmosferze polegała ta różnica. W ciągu tych dwóch lat, kiedy byli razem, oddychał inną atmosferą.

Czuł się dobrze wśród jej przyjaciół, lubił ich. Jako nowy przybysz w tych stronach, Randi zgromadziła wokół siebie ciekawą gromadkę ludzi - całą grupę koleżanek i kolegów



z biura, właściciela drogerii z rodziną i miejscowego ogrodnika zajmującego się zagospodarowywaniem terenów zielonych. Wszyscy oni byli na takim luzie, tacy życzliwi w porównaniu z ludźmi, wśród których się obracał w tamtej innej sferze swojego życia - kolegami z pracy, sąsiadami, a nawet głupim kuzynostwem Margaret, Luizą i Gilem...

Przyszła mu do głowy pewna refleksja - każde społeczeństwo składa się z klas; nie jest, ale też i nie powinno być demokratyczne. Profesor łaciny nie spędza wolnego czasu w towarzystwie taksówkarza. Obcowanie z ludźmi, których Adam nie spotykał na co dzień, działało na niego odświeżająco, czuł się dowartościowany. Uśmiechnął się do siebie. To może zabawne, ale niektórzy z nich odnosili się do niego z nabożną czcią, a o jego pracy wyrażali się z najwyższym uznaniem.

Zastanawiał się, co wiedzą czy myślą o jego życiu osobistym. Randi zapewniała go, że wiedzą bardzo niewiele, a gdyby nawet wiedzieli więcej, to i tak nie miałyoby to dla nich najmniejszego znaczenia. Zresztą, co za różnica, skoro i tak żadne z nich nie ma szansy zetknąć się z nikim z otoczenia Adama.

To prawda, że nie mieli na to szansy, ale z drugiej strony, nigdy nie wiadomo. Człowiek niczego nie może być pewien na sto procent. Wdał się w bardzo niebezpieczną grę. Przypomnił mu się rano, kiedy wstał wcześnie, żeby zjeść z Randi śniadanie, i kiedy nieopatrznie został u niej na noc i spóźnił się na ważne zebranie w pracy. Tak, była to bardzo niebezpieczna gra. A jednak w dziwny sposób ożywiająca...

- Wystawa była fantastyczna - powiedziała Margaret - może nie aż tak, jak Westminster Show, na której byliśmy w Nowym Jorku... zaraz, ile to lat temu, Adam?... Ale muszę ci powiedzieć, że właściwie bardziej mi się podobała. Musieliśmy porozmawiać z różnymi ludźmi, zwłaszcza z właścicielami owczarków, żeby porównać Rufusa z ich psami, ale... Adam, ty chyba umierasz z głodu. Za pięć minut będzie kolacja. Twoja ulubiona zupa kukurydziana.

- Nie jestem specjalnie głodny.

- Ale będziesz, jak tylko usiądziesz do stołu. Nic dziwnego-

go, że czujesz się ociężały, skoro taką piękną sobotę przesiedziałeś w dusznym biurze. - Mówiąc, Margaret cały czas zajęta była kubkami i talerzami. - Danny nie może się doczekać, żeby ci coś powiedzieć.

- Wiesz co, tato, tak sobie pomyślałem... Zack jest już taki stary. Więc pomyślałem... - Danny miał bardzo poważną minę. - Pomyślałem, że jak on zdechnie, to Rufus będzie się czuł bardzo samotny...

- Dobrze, ale nie uśmiercaj Zacka zawczasu. Biedny Zack.

- Ja go wcale nie uśmiercam, tato. Niech sobie żyje jeszcze wiele lat, ale to jest mało prawdopodobne.

- Masz rację.

- No więc chodzi mi o to, czy moglibyśmy już niedługo wziąć psa?

- Co to znaczy „niedługo”? Jeszcze za życia Zacka? Wyrażaj się jasno.

„Chłopak robi się coraz bardziej podobny do matki” -pomyślał. Tym razem chodziło mu o coś więcej niż tylko rude włosy - przede wszystkim o myślące czoło i szczere spojrzenie, stanowiące zapowiedź mężczyzny, którym Danny miał się kiedyś stać. Te refleksje poruszyły w Adamie serce, a jednocześnie poczuł, jak ogarnia go fala-wstydu.

Danny przyznał, że najchętniej widziałby szczeniaka w domu już teraz, ale ojciec odesłał go do matki.

- Mnie to nie przeszkadza - odparła Margaret - dla mnie jeden pies więcej oznacza przygotowanie dodatkowego^ posłania i kupienie jeszcze jednej miski.

- Mamo, naprawdę, mam? Mamo, dziękuję!

- Ale warunek - szczeniaka możemy wziąć tylko w lecie. Ja wtedy nie pracuję i mogę się zająć domem. Gdybyśmy wzięli pieska teraz, byłby cały dzień sam i nie miałby kto nauczyć go podstawowych rzeczy.

- Czyli w lecie przyszłego roku. Zgoda?

- Zgoda - obiecała uroczyście Margaret.

Była to jeszcze jedna cecha, jaką Danny odziedziczył po matce - łatwe godzenie się z rzeczywistością. Nigdy się nie sprzecali ani nie targowali. Adam zdał sobie nagle sprawę, że ostatnio ma jak gdyby wyostrzone spojrzenie na własne dzieci, że patrzy na nie z dystansu.

To poczucie dystansu nie opuszczało go przez całą kolację;

przy stole obserwował pilnie całą trójkę i przysłuchiwał się ich paplaninie - Megan wyglądała poważnie jak na swoje piętnaście lat; Julie z delikatną, małą buzią, na której różne nastroje przechodziły płynnie z jednego w drugi - od niepokoju do radości i zapału, i wreszcie Danny, superchłopak, jakim Adam sam nigdy nie był.

Spojrzał na obrus, który jego matka wyszywała krzyżykami czerwoną i granatową nitką, a potem na Margaret nakładającą sałatkę. Stary Zack drzemał w kącie, a wpatrzony w Adama Rufus walił ogonem najwyraźniej w oczekiwaniu na wieczorny spacer. Wszystko tutaj, zarówno ludzie, jak i przedmioty, należało do niego. Wszystko znał na wylot. A mimo to czuł się jak intruz! Jakby nie było to jego miejsce albo jakby się nagle znalazł w obcym otoczeniu, rozebrany i zawstydzony swoją nagością.

- Nic nie jesz - zwróciła mu uwagę Margaret.

- Jestem chyba zbyt zmęczony na to, żeby jeść.

- To się nie zmuszaj. Idź, usiądź sobie w fotelu i posłuchaj, jak Julie ćwiczy. Może potem zgłodniejesz.

Słuchanie, jak ćwiczy Julie, nigdy go nie nużyło, nawet wtedy, kiedy powtarzała po dwadzieścia razy jeden pasaż.

Tego wieczora ćwiczyła walca *Mefisto* Liszta, którego tony idealnie odpowiadały jej młodemu sentymentalnemu usposobieniu. Z miejsca, w którym siedział, widział, jak ciało córki porusza się w rytmie walca. Julie uśmiechała się. „Żeby cię nigdy nikt nie zranił - pomyślał. - Nikt i nic”. - Oparłszy się wygodnie w fotelu, poddał się kojącemu działaniu tajemniczego czaru i smutku muzyki.

Z drzemki obudził go głos Megan.

- Nie chcesz, żeby Nina przysyłała nam prezenty?

- Oczywiście, że chcę - wybuchnęła Margaret. - Bardzo się cieszę, że jesteście jej bliscy.

- Jak możemy być bliscy Ninie, skoro mamy jej już nigdy nie zobaczyć? Czy ona tu jeszcze kiedyś przyjedzie?

- To - jak wam już wiele razy mówiłam - zależy tylko od niej.

Adam wolał się nie mieszać w tę bolesną sprawę.

W ciągu trzech miesięcy, jakie upłynęły od pospiesznego wyjazdu Niny, starał się otrząsnąć z tamtego przykrego wspomnienia. Było to jednak niemożliwe. Nastąpiła bowiem

pierwsza wymiana listów - Nina oskarżała Margaret o mówienie „niewybaczalnych rzeczy”, na co Margaret odpowiedziała jej, że „niewybaczalne” to bardzo mocne słowo. „Chciałam ci jedynie udzielić rady, ponieważ czułam, tak jak i teraz, że popełniasz poważny błąd”. Na zajmowaniu się tą sprawą strawili już zbyt wiele godzin. Ale jak mogło być inaczej w tak kochającej się rodzinie po takim trzęsieniu ziemi?

A tymczasem Margaret cierpliwie wyjaśniała dzieciom przyczyny, dla których Nina trzymała się od nich z daleka.

- Serce mnie boli z powodu Niny i nas wszystkich, którzy za nią tęsknimy.

Pewnego dnia, kiedy byli sami, wyznała, że ostatnio odnosi wrażenie, iż mąż się z nią nie zgadza.

- Nie wiem, dlaczego tak uważasz. Może dlatego, że na ogół nie rozmawiam o faktach dokonanych - odparł, zdając sobie sprawę, że jego odpowiedź nie może być satysfakcjonująca. Po chwili dodał: - W każdym razie nie powinniśmy tak wiele o tym rozmawiać przy dzieciach.

- Dlaczego nie, skoro same o to pytają? Nigdy nie ukrywaliśmy przed nimi prawdy. Chciałabym umknąć mentorstwa, ale uważam, że dzieci w ich wieku powinny wiedzieć, co się dzieje.

Teraz, odpoczywając w fotelu, jakby w dalszym ciągu pogrążony w drzemce, Adam myślał - mogę nie mówić o Ninie, ale i tak cały czas mam ją w podświadomości. I nic dziwnego. Chodzi o podwójne życie czy życie wywrócone na lewą stronę albo jeszcze lepiej żadne życie, skoro jest takie okaleczone i rozdarte. I to ja sam je rozdarłem. Kiedy jestem u Randi, to mimo wielkiego pragnienia, by z nią być, ani na chwilę nie zapominam, że nie mam do tego prawa. A kiedy jestem w domu, marzę o tym, żeby się znaleźć przy niej...

- O, widzę, że się obudziłeś - powiedziała Margaret. - Najwyraźniej drzemka była ci bardzo potrzebna. Czy teraz masz ochotę coś zjeść? Odgrzeję ci zupę. A może wolisz sałatkę i jajka, powiedz, to ci przygotuję.

Jaka ona była dla niego dobra. Mimo że po dniu spędzonym na obżarstwie w dalszym ciągu nie mógł myśleć o jedzeniu, to jednak nie miał serca odmówić tej łagodnej pełnej troski prośbie.

- To niech już będzie zupa - powiedział.

- Dobrze, dotrzymam ci towarzystwa.

Zjadł przy stole kuchennym, pod czułym wzrokiem żony, dobrą, gęstą zupę; czuł się podle.

Później, na górze, Margaret wyszła z łazienki w nowej szyfonowej koszuli nocnej w kolorze strażackiej czerwieni, z gołymi plecami i falbaną u dołu. Stała w drzwiach, czekając na jego komentarz.

- Idziesz na tańce? - zapytał.

- Podoba ci się?

- Jest bardzo, bardzo ładna.

Margaret też była ładna, ze swoją białą cerą i płomiennie rudymi włosami.

- Pozwoliłam sobie na taką ekstrawagancję, bo u Danfor-tha była wyprzedaż.

Rozpoczęła swój wieczorny rytuał - jedną ręką szczotkowała włosy, a drugą zbierała rzeczy i utykała je po szufladach i szafach.

- W zasadzie nie noszę czerwieni. Mówią, że czerwień gryzie się z rudym. Ale uważam, że to nonsens, jak sądzisz?

Zastanawiając się, dlaczego robi tyle szumu wokół nocnej koszuli, zgodził się, że jest to istotnie nonsens.

- Chyba nie gryzie się z moimi włosami, prawda?

- Absolutnie - odparł, mając dziwne przeczucie, ale właśnie... czego?

- No cóż - odłożyła szczotkę. - Miałeś dziś męczący dzień i ja też. Wobec tego najlepiej zgaśmy światło i kładźmy się spać, zgoda? - I ku zdumieniu Adama zsunęła ramiączka i wyslizgnęła się z koszuli.

W tym momencie dotarło do niego, że powinien był okazać więcej zainteresowania jej osobą, kiedy tak stała spowita w czerwone jedwabie. To on powinien rozebrać ją z koszuli i wziąć w ramiona. Ku swemu żalowi jednak tego nie zrobił, a, co gorsza, mimo całego uroku Margaret, nie miał na to ochoty.

Ochota ochotą, uznał jednak, że musi spróbować się przełamać; przesłanie bowiem zawarte w jej spojrzeniu było zupełnie jednoznaczne. Kiedy więc znalazła się w łóżku obok niego, otworzył ramiona, żeby ją przygarnąć. Szepcząc czule w jego szyję, wtuliła się w niego całym ciałem.

Nic się jednak nie działo.

Od dłuższego już czasu, w miarę jak ich zbliżenia stawały się rzadsze i mniej żarliwe, Adam obawiał się chwili, w której mógłby się okazać wobec żony impotentem. W pełni zdawał sobie sprawę, jakie byłyby tego konsekwencje. Ale w ciągu tygodnia miał tyle seksu, ile ma przeciętny mężczyzna w jego wieku, i więcej nie pragnął.

Ogarnęła go obezwładniająca słabość i jednocześnie wstyd.

- Nie mogę. Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogę. Usiłowała go pocałować. Usiłowała...

A jeszcze kilka godzin temu w tamtym basenie i później na podłodze przed kominkiem, na tyle go było stać...

- Przepraszam, ale jestem taki zmęczony - wyszeptał. Margaret odsunęła się i leżąc na wznak, wzięła go za rękę.

- W porządku. Rozumiem - powiedziała cicho.

Żadne z nich się nie poruszyło. Leżeli sztywno w absolutnej ciszy.

- Powinieneś sprawdzić, dlaczego jesteś ciągle taki zmęczony - odezwała się po chwili.

- Nie jestem aż tak zmęczony, żeby iść do lekarza. Wszystko będzie w porządku.

- Ale ja cię bardzo proszę - nalegała - tak dawno się nie badałeś.

- Nic mi nie jest. To po prostu tylko piekło w biurze. Wszyscy narzekają, nie ja jeden.

- Naprawdę bardzo mi zależy na tym, żebyś poszedł do doktora Farleya. Obiecujesz?

- Dobrze. Obiecuję.

- Kiedy?

- Niedługo.

- Proszę cię, żebyś poszedł w tym tygodniu. Będziesz to odkładał w nieskończoność. Już ja cię znam.

„Nie - pomyślał Adam. - Nie znasz mnie. Och, Margaret ty mnie już naprawdę nie znasz”.

- Proszę cię, Adamie, obiecuj mi.

- Zgoda. Obiecuję.

„Teraz to już nawet ja sam siebie nie znam” - pomyślał.

## ***Rozdział 11***

Przez następny tydzień albo dłużej Margaret leżała nocami z głową na ramieniu Adama, który od tamtej pory nie próbował się do niej zbliżyć. Uważając, że głęboko przeżywa lęk przed impotencją, ze wszystkich sił starała się go pocieszyć i zapewnić o swojej miłości. Seks nie jest głównym i jedynym celem życia, mimo satysfakcji, jakich dostarcza. Najważniejsze to być kochanym, mieć czyjeś zaufanie i nie czuć się samotnym. Jeśli te warunki w ich wzajemnej relacji zostaną spełnione, to chociaż są jeszcze młodzi, reszta się jakoś ułoży. Niech tylko Adam stanie na nogi. Jest po prostu ostatnio ciągle spięty i przepracowany. W końcu nigdy nie był wylewny. Wiedziała o tym właściwie od samego początku już od miesiąca miodowego, ale zaakceptowała go takim, jaki był. Ludzie mają różne potrzeby i to jest sprawa podstawowa. Adam jest inteligentnym, wrażliwym człowiekiem, bardziej skomplikowanym niż inni. I o tym też zawsze wiedziała. Byle tylko był zdrowy.

Kiedy dziesiątego dnia zapytała go, co powiedział doktor Farley, odparł, że doktor nie stwierdził nic złego.

- W sensie fizycznym?

- W sensie fizycznym.

- To znaczy, że problem musi być natury psychicznej. Nie powiedział ci tego?

- Nie.

- To co, nic ci nie powiedział, na miłość boską?

- Właściwie nic.

Ta odpowiedź ją zaskoczyła; doktor Farley był człowiekiem szczególnie wnikliwym i solidnym, a przy tym dość rozmownym i spokojnym.

- Nie powiedział ci, że należałoby coś z tym zrobić? Nie poradził, jak masz się dalej zachowywać?

140

Wydawało jej się, że Adam był bardzo speszony. Pomyślała, że może lekarz zalecił mu wizytę u psychiatry. No bo czy nie taki jest właśnie tryb postępowania, gdy nie ma wyraźnych przyczyn fizycznych? Znając Adama, była przekonana, że musiało mu się właśnie coś takiego przydarzyć i że ma typowe w tej sytuacji opory.

- Zalecił ci wizytę u psychiatry, tak? Przyznaj się. Adam, przyparty do muru skinął głową, po czym nastąpiła nowa seria pytań, ponagleń i obiekcji, aż wreszcie złożył żadaną obietnicę.

- Pójdę! Pójdę! - wykrzyknął - chociaż nie wiem, kiedy znajdę czas, nie mówiąc już o pieniądzach.

- Czas się znajdzie, a i pieniędzy wystarczy.

- W porządku. Tylko daj mi już spokój. Pójdę na pewno. Minęły dwa tygodnie, ale w łóżku nic się nie zmieniło i Adam więcej do tego tematu nie wracał, dlatego pewnego popołudnia Margaret sama się wybrała do doktora Farleya. Gdy znalazła się w gabinecie, była zdenerwowana. Jako osoba zdrowa, niewiele miała okazji do tego, by odwiedzać lekarzy. Dlatego wizyty te kojarzyły jej się zawsze ze złymi nowinami.

- Przyszłam, bo martwię się o Adama - zaczęła. - Tak bardzo się ostatnio zmienił... zresztą, po *GO* ja to wszystko mówię, przecież pan wie...

- Ja? A skąd miałbym wiedzieć? - zapytał wyraźnie zaskoczony doktor.

- To znaczy, że mąż nic panu nie mówił?

- Nie. Dawno go nie widziałem.

- Nie widział go pan? A on mi powiedział, że był tu dwa tygodnie temu. I że pan stwierdził, iż jego problemy mają podłoże psychiczne, więc dlatego przyszłam, żeby pana poprosić...

- Pani mąż nie był u mnie od jakichś dwóch lat, pani Crane...

Oszołomiona Margaret wyjąkała:

- Ja... ja nie wiem, co się dzieje. Naprawdę nie wiem.

- To proszę mi powiedzieć, o co chodzi. Powiedziała więc doktorowi wszystko, najsensowniej jak potrafiła, od czasu do czasu energicznie mrugając, żeby strząśnąć z powiek piekące łzy.

- I co ja mam teraz robić? - zapytała na koniec. - Nie



chodzi o to, że tak bardzo mi tego brak... to znaczy, nie tyle brak mi samej tej naturalnej zresztą przyjemności, ile tego wszystkiego, co ona symbolizuje. Wydaje mi się, że Adam musi być bardzo nieszczęśliwy, ale nie mam pojęcia dlaczego. Zawsze byliśmy taką udaną rodziną. Nie chcę się chwalić, byłoby to z mojej strony głupie, ale często stawiają nas w sąsiedztwie za przykład; mamy wspaniałe dzieci, dobrze nam się wiedzie i jestem wdzięczna losowi, ale... ale z Adamem dzieje się coś złego, panie doktorze. Zupełnie nie wiem, co mam w tej sytuacji robić...

- Z tego, co mi pani mówi, wynika, że przede wszystkim powinna się pani uspokoić i przestać denerwować. Z pewnością nie dzieje się z pani mężem nic aż tak złego, żeby nie można było sobie z tym poradzić. Na początek niech pani wraca do domu, powie mu, że pani tu była, i poprosi, żeby wyłożył karty na stół. Przecież pani wie, jak to zrobić. A potem może byłoby dobrze, gdybyście przyszli do mnie razem. Doktor Farley był dobrym człowiekiem, jego rada wydawała się rozsądna, ale Margaret już dziękując mu za życzliwość, a potem wychodząc, wiedziała, że sytuacja nie da się rozwiązać w tak prosty sposób.

Idąc ruchliwą ulicą i mijając wystawy pełne jesiennych rzeczy, przeżywała burzę sprzecznych uczuć - upokorzenie, litość i złość. Tak, przede wszystkim złość.

A tymczasem w odległości niespełna pół mili wracający z lunchu Adam spotkał Freda Davisa. Fred właśnie wsiadał do samochodu, kiedy zobaczył Adama i go pozdrowił. Adam miał nadzieję, że Fred go nie zauważy; idąc z jakimś wyraźnym celem, nie lubił zatrzymywać się na pogawędkę, choćby nawet bardzo krótką.

- Co u ciebie, Adam? Cieszę się, że cię widzę. Teraz, kiedy pracujesz i w soboty, trudno cię zastać.

- Nie we wszystkie soboty - sprostował spieszenie Adam.

- No, ale w niektóre. Wracasz do biura? Może cię podwieźć?

- Na pierwsze pytanie odpowiadam tak, na drugie - dziękuję. - Za przykładem Freda uśmiechnął się szeroko. Fred

zawsze był uśmiechnięty i taki cholernie sympatyczny. - Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Świeżym powietrzem. Ja mam go w pracy zwykle aż w nadmiarze, zwłaszcza gdy temperatura jest poniżej zera. Zresztą nie ma co narzekać.

Pewnie, że nie ma! Nowy van, tweedowa marynarka, drogie buty, czerstwy, zdrowy wygląd - można sobie w pogodny jesienny ranek oglądać własne posiadłości. Nie ma co narzekać!

W samochodzie zaszczekał pies. Na szybie pojawiły się czubki jego małych brązowych łapek.

- Jimmy - powiedział Fred - uwielbia samochód. - Zabrałem go dzisiaj, jadąc do Randolph Crossing, to bardzo piękna okolica. Zaczynają tam stawiać domy w malowniczym pagórkowatym terenie na północ od miasteczka. Pewien facet wybudował tam kilka lat temu osiedle, ale wyrwał się z tym trochę za wcześnie i przedsięwzięcie okazało się niezbyt udane. Nazywa się Lasek.

Gdyby Adamowi mówiono, nigdy by nie uwierzył, jak szybko człowiek może się spocić. W ciągu kilku sekund był cały mokry, jakby miał na sobie kauczukowy kombinezon. Mruknął coś niezrozumiałego, żeby się nie nazywało, że nie odpowiedział.

- Byłeś tam kiedyś? - zapytał Fred.

Jasne oczy Freda i jego spokojna twarz wyglądały niewinnie. Pytanie zostało rzucone od niechcienia. I Adam od niechcienia odpowiedział:

- Przejeżdżałem tamtędy. To bardzo ładna okolica. Fred skinął głową.

- Zabawne, ale wydało mi się, że widziałem cię parę tygodni temu, jak wychodziłeś właśnie stamtąd, z Lasku.

Adam potrząsnął głową.

- Mnie? To niemożliwe.

- Ciekawe, facet do złudzenia ciebie przypominał. Jasne włosy, zupełnie jak twoje. I nawet zielony ford, taki sam jak twój. - I nagle w niewinnym spojrzeniu Freda pojawił się jakiś błysk.

Adamowi zrobiło się zimno w mokrym gumowym kombinezonie; znów potrząsnął głową.

- To przypadek. Podobno każdy ma sobowtóra i rzeczy-

wiecie, jak się nad tym zastanowić, wygląda na to, że tak właśnie jest.

Zdecydowanie za dużo mówi. Takie skwapliwe zapewnienia są zawsze podejrzane. Mimo to ciągnął dalej:

- Niewątpliwie każdy z nas ma nawet więcej niż jednego sobowtóra. Na świecie istnieje pewnie z kilkaset osób, które wyglądają jak ty. Albo jak ja.

- Masz rację - zgodził się z nim Fred. - Tylko że ten samochód... Rzadko się zdarza taki odcień zieleni. Ale kiedy zobaczyłem w samochodzie kobietę, wiedziałem z całą pewnością, że to nie możesz być ty.

- Bo rzeczywiście nie byłem.

Wie. Miły, wesolutki sukinyś wie i chce mnie ostrzec. Ze względu na mnie? Gdzie tam. Ze względu na nią.

Pies zaczął piszczeć, odwracając uwagę Freda od Adama. „Pocziwa psina” - pomyślał Adam.

- Pocziwa psina - powiedział głośno - a jaka cierpliwa. I to moja Margaret go uratowała. Czasem wydaje mi się, że cały świat przytuliłaby do serca.

- Tak, to prawda.

Na chwilę spojrzenia dwóch mężczyzn się spotkały. Margaret powiedziała kiedyś, że oczy Freda są myślące. Nie trzeba się było specjalnie zastanawiać, żeby zgadnąć, o czym myślały teraz...

- No cóż - powiedział Adam. - Muszę już iść. Miło było cię spotkać, Fred. I ciebie, Jimmy.

„Do diabła - pomyślał, oddalając się spiesźnie. - Mam nadzieję, - że moja twarz mnie nie zdradziła. Co on tam do cholery robił? Randolph Crossing. Lasek. Nikt tam nie jeździ, poza cholernymi sukinyśmi od nieruchomości.

Chryste. Akurat Fred. Oczywiście nigdy nie powie Margaret, żeby jej nie zrobić przykrości. Ale trzeba uprzedzić Randi. Będziemy musieli kryć się w domu niczym bandyci po skoku na bank. Do jasnej cholery, człowiek nie może mieć w życiu nawet odrobiny spokoju i swobody. Czy ja kogoś krzywdzę? Ależ skąd! Dbam o rodzinę, stworzyłem im dobry, spokojny dom, bez kłótni, bez awantur, trudno sobie wyobrazić lepsze warunki dla dzieci. I nie zamierzam tego zmieniać. Żeby tylko dali mnie i Randi święty spokój. Cholera!”

Znalazłszy się z powrotem przy biurku, Adam usiłował

sobie to wszystko poukładać w głowie. Może powinien się przyznać, że to on był w samochodzie. Mógł powiedzieć, że... no, że na przykład odwoził do domu jedną z pracownic, która zachorowała w biurze. Gdyby człowiek miał trochę więcej czasu, mógłby wymyślić całkiem prawdopodobną historyjkę. Problem w tym, że w sytuacjach zaskakujących, jak ta, nigdy nie ma się dość czasu. No cóż... teraz i tak już za późno.

Bez przekonania próbował uporać się z popołudniową porcją pracy, ale nie bardzo mu to wyszło, z czego zdawał sobie sprawę, wrócił więc do domu sfrustrowany i wściekły.

Margaret była akurat w kuchni. Stojąc przy oknie, widziała nadchodzącego od strony garażu Adama z powiewającym krawatem i przewieszoną przez ramię marynarką. Zrozumiała, że szykuje się coś nieprzyjemnego. Cokolwiek to było, jej nastrój doskonale z tym współgrał.

Natychmiast przeszła do ofensywy. Cukierkowym głosem spytała:

- Byłeś u doktora Farleya, prawda?

- O co ci chodzi? - odpowiedział pytaniem.

- Daj spokój! Przestań robić uniki. Nie byłeś u doktora. Okłamałeś mnie. Dlaczego?

- Nie muszę się z niczego tłumaczyć. I nie zamierzam.

- Jestem twoją żoną, Adamie. I należą mi się jakieś wyjaśnienia.

- Ale ja nie jestem twoim uczniem, żebyś mi mówiła, co mam robić, a czego nie.

- Moi uczniowie byliby ubawieni, widząc dorosłego mężczyznę, który się zachowuje jak skończony dureń. Jeżeli nie miałeś zamiaru iść do lekarza, to mogłeś mi to powiedzieć. Nie musiałeś kłamać.

- Skłamałem, żebyś przestała mnie dręczyć. Po prostu.

- A czy nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że cię dręcę dlatego, że się o ciebie niepokoję? Co przede mną ukrywasz? Masz raka czy może coś innego, o czym boisz się rozmawiać nawet ze mną?

- Nie, nie mam raka ani nic innego.

W dalszym ciągu stał z marynarką na ramieniu. Mimo że Margaret była zła, Adam wydał jej się patetyczny jak ktoś,

kto stoi na ulicy obcego miasta i wygląda pomocy. To przelotne wrażenie złagodziło nieco jej gniew.

- Usiądź na chwilę - powiedziała już spokojnie - zanim zwał się tu dzieci. Muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje. To jest nie fair wobec mnie.

Jego odpowiedź była równie spokojna:

- Taki okres, Margaret, taka faza życia, to się naprawdę nie da wytłumaczyć. Mam napięcia w pracy, co się naturalnie odbija na domu. Przecież wiesz, jak to jest.

Oczywiście miał na myśli seks. Biedaczysko. Kiedy te rzeczy szwankują, dla mężczyzny to znacznie większy problem niż dla kobiety. Margaret rozumiała, dlaczego Adam nie chce

o tym rozmawiać, dlaczego nie chce tej sprawy rozgrze-bywać. Bo to mogłoby jeszcze sytuację pogorszyć. Przypomniała sobie, że nawet coś na ten temat czytała; w dzisiejszych czasach pisma są pełne pseudopsychologii.

- Dobrze - powiedziała. - Rozumiem. Dajmy temu na razie spokój. Lepiej się zrelaksujmy i zjedźmy kolację; potem możemy posłuchać muzyki. Twoje problemy odkładamy do lamusa. Zgoda? Ja się nie będę złościć, ale i ty się nie złość, w porządku?

- W porządku. - I Adam obdarzył ją słabym, pełnym wdzięczności uśmiechem, jakim obdarzał ją ostatnio, kiedy starała się być dla niego szczególnie czuła.

Margaret się bała - skurcz żołądka dobitnie o tym świadczył - nie byłaby jednak w stanie sprecyzować, czego się boi. Kupiła książki o seksie - pseudonaukową i popularny ilustrowany poradnik, ale po ich przeczytaniu stwierdziła, że nie ma tam nic, czego by dotychczas nie wiedziała. Efektem tej lektury było zniechęcenie, nie dlatego jednak, żeby zawarte w tych książkach rady i przestrogi nie były cenne i użyteczne, tylko dlatego, że przy braku dobrej woli nie mogły odnieść pożądanego skutku. Położyła więc książki tak, by Adam miał do nich łatwy dostęp, ale czy je przejrzał, tego nie wiedziała

I nawet nie chciała pytać. Żeby tylko nie nabawił się urazu psychicznego. Dlatego musi być bardzo cierpliwa.

Kiedy się to wszystko zaczęło? - zadawała sobie pytanie. Najprostsza odpowiedź brzmiała - tej nocy, kiedy ją tak wy-

rażnie odrzucił. Gdy się jednak nad tym zastanowiła, stało się dla niej jasne, że zaczęło się to dziać znacznie wcześniej - zmiana dokonywała się stopniowo, a składały się na nią różne drobne incydenty, które, gdyby nie obecny kryzys, poszłyby w niepamięć, wtapiając się w szare tło codzienności.

Ale kilka tygodni temu doszło do zupełnie nietypowego starcia między Adamem a Megan.

- Za trochę więcej niż rok będę miała siedemnaście lat - powiedziała Megan wesoło. - Jakie mam szanse, tato, na własny samochód?

Adam, który przez cały wieczór był dość milczący, spojrzął znad gazety i odpowiedział szorstko:

- Żadnych. Absolutnie żadnych.

- Dlaczego, tato?

- Dlatego, że nie jestem milionerem. Po prostu.

- Ale ja miałam na myśli samochód używany, do tego nie trzeba być milionerem - nalegała Megan. - Dołożę swoje oszczędności z tego, co zarobiłam jako opiekunka do dzieci.

- Powiedziałem: nie - powtórzył ostro Adam. - Nie i już. Całe sąsiedztwo jest pełne rozpieszczonych dzieciaków, którym się wydaje, że świat jest jednym wielkim sklepem z zabawkami.

- Skoro jestem rozpieszczona, w co nie wierzę - próbowała dyskutować Megan - to ciekawe, kto mnie tak rozpieścił.

- Dość tego - uciął Adam. - Nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat. Uważam sprawę za zamkniętą.

Było to zupełnie nie w stylu tego domu i Megan, zdumiona i urażona, zwróciła się do matki z niemym pytaniem.

Margaret uznała, że powinna się włączyć.

- Megan, nie masz jeszcze nawet szesnastu lat. Zaczekaj, aż skończysz siedemnaście, wtedy porozmawiamy. Ja ze swojej strony uważam, że przydałby ci się wtedy jakiś niewielki samochódzik.

Adam wstał i wyszedł z pokoju.

Margaret spojrzała na trzy zdumione, zwrócone ku niej twarze. Naturalnie wiedziała, że w wielu rodzinach zdarzają się sprzeczki, że się opryskliwie do siebie odzywają i że niejeden ojciec na co dzień odnosi się do dzieci tak, jak przed chwilą Adam do Megan. „Ale przecież myśmy nigdy nie byli taką rodziną - pomyślała - ani Adam takim ojcem”. Nagle

pokój wydał jej się wrogim, obcym miejscem, jakby to nie był jej dom.

- Tata jest zmęczony - wyjaśniła dzieciom.
- Tata jest zawsze zmęczony - odparła Megan.
- To nieprawda.

Miała rację. Zawsze to za dużo powiedziane. Na ogół był taki jak dawniej. Ale to zmęczenie zdarzało się stanowczo za często.

Adam doskonale zdawał sobie sprawę ze zmiany, jaka w nim zaszła. Ta świadomość prześladowała go w dzień i w noc. Wiedział, że jest drażliwy, roztargniony, spięty i przestraszony.

Dlaczego tak nieprzyjemnie potraktował Megan za to tylko, że jak większość nastolatków marzyła o własnym samochodzie? To prawda, że potem, już w jej pokoju, usiłował się jakoś tłumaczyć i przepraszać...

A dlaczego w sobotę krzyczał na Danny'ego? Poszedł do Randi na lunch i zapomniał, że mieli iść z Rufusem do weterynarza. Pies cierpiał na bolesną infekcję ucha i potem przez cały dzień chłopak był rozżalony. I wtedy Adam też przepraszał...

Czuł bolesne ukłucia narastającego zdenerwowania. Przypomniało mu się średniowieczne malowidło przedstawiające gromadę małych diabłów, dźgających widłami człowieka dziesięciokrotnie od nich większego. Zadręczał się Fredem. Przy każdym spotkaniu - jak wtedy, kiedy nieoczekiwanie natknęli się na niego z Margaret w restauracji aibot kiedy Fred wpadał do nich w niedzielne popołudnia - drżał ze strachu, że Fred powie coś niewłaściwego. Chociaż zapewne nic takiego nie wiedział... A już zwłaszcza nic ważnego! Mimo to bał się Freda. Nigdy nie miał pewności, czy ten, naumyślnie albo niechcący, czegoś nie chłapnie. Uświadomił sobie, że pilnie obserwuje Freda, czy przypadkiem nie zaszła w jego zachowaniu jakaś subtelna zmiana. Martwił się, kiedy Fred przychodził i kiedy nie przychodził - czyżby jego nieobecność znaczyła, że po raz drugi zobaczył zielony samochód z siedzącą wewnątrz Randi?

W biurze też działy się niepokojące rzeczy. Aż huczało od najróżniejszych plotek. W centrali w Nowym Jorku jakoby negocjowano transakcję z Magnum, aby sprzedać ich naj-

nowsze oprogramowanie dosłownie za bezcen, tak bardzo potrzebowali pieniędzy. To znów chodziły słuchy, że w każdym kwartale tego roku firma przynosiła zyski. Ale jednocześnie oddział w Elmsford dopiero co zwolnił trzech młodych, zdolnych pracowników. Naturalnie byli to pracownicy nowi, jeszcze bez doświadczenia, więc nie można powiedzieć, by zwalniali ludzi na poziomie Adama.

A jeśli pogłoski się potwierdzą i rzeczywiście zaczną się redukcje? I pewnego pięknego poranka wezwą go, żeby bardzo grzecznie, naturalnie z wielkim żalem, zakomunikować mu... na samą myśl o tym, że siedzi naprzeciwko speszonego, ale zadowolonego z siebie, bo bezpiecznego szefa, zrobiło mu się zimno. Rachunki domowe były ogromne. „Czy może tylko wydają się ogromne takiemu wyrobnikowi jak ja - pomyślał z goryczą. - Będę tak musiał tyrać i się zamartwiać aż do śmierci”.

I to wcale nie z powodu wygórowanych wymagań. Nie ma mowy o żadnych ekstrawagancjach, chyba że posyłanie dzieci do dobrej szkoły jest ekstrawagancją. Moja mama mogła sobie na coś takiego pozwolić, ale miała tylko mnie jednego. A ja mam ich troje. I każdemu trzeba było prostować zęby. Gdybym był Fredem Davisem, postawiłbym jeszcze ze dwa domy i problem z głowy. Albo gdybym był doktorem Farleyem. Albo tym debilem Gilbertem, kuzynem Margaret. Przyjaciele Randi nie mają takich wymagań. Nawet nie marzą o Ivy League<sup>1</sup>. A jeśli nawet ich zęby nie są idealnie równe, to nie robią z tego tragedii.

Związek z Randi też wymagał od Adama świadczeń finansowych. Poczował się do nich zwłaszcza teraz, kiedy, po natknięciu się na Freda, prawie przestali gdziekolwiek wychodzić i jadali wyłącznie w domu. Raz czy drugi spędzili weekend w Chicago i Houston, gdzie Adam brał udział w jakichś konferencjach. Były to cudowne świąteczne dni, ale jakże kosztowne. Czasami, kiedy posługiwał się dwiema odrębnymi kartami kredytowymi, miał wrażenie, że utrzymuje dwa domy.

144

---

<sup>1</sup>Ivy League - grupa ośmiu starych prestiżowych uniwersytetów wschodnich Stanów Zjednoczonych, łącznie z Harvardem, Yale i Princeton (przyp. tłum.).



No i oczywiście cierpiał na coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Tamtego ranka, dwa lata temu, kiedy spędził noc u Randi obudził się kompletnie zdezorientowany - nie rozumiał, co się stało z tapetą, jaką mieli w sypialni. Teraz z kolei bywało że budząc się koło żony, oczami szukał nieba, widocznego w wysokim oknie domu Randi. I wtedy leżał nieruchomo przez chwilę, pełen poczucia winy, przeżywając męki wątpliwości Patrzył na głowę Margaret, spoczywającą na sąsiedniej poduszce, i widział na jej gładkim zwykle czole niewielką zmarszczkę; znak, że troski dopadały ją nawet we śnie. A przecież nie zasługiwała na to. Zasługiwała na to, żeby być pożądaną coż jednak Adam był winien temu, że nie potrafił jej pożądać-' od chwili, kiedy wróciła Randi, nie pragnął Margaret ani razu' Największy wstyd i przykrość przeżył wtedy, kiedy w ostatnim akcie rozpaczy próbowała go sprowokować, a on nie sprostał zadaniu. Jej upokorzenie odczuł tak, jakby to on został odrzucony.

I co dalej? Do czego to wszystko zmierzało? Pewnego ranka leżał nieco dłużej w łóżku: wsłuchując się w odgłosy domu - trzaśnięcie drzwi - raz i drugi - ktoś wypuścił Zacka i Rufusa; potem drzwi frontowe - ktoś poszedł wziąć gazetę z trawnika. Krótka sprzeczka w przedpokoju -to z pewnością dziewczynki kłóć się o sweter czy szalik Przystępie strachu wyskoczył z łóżka jak oparzony Musi natychmiast skończyć z tą schizofrenią, zanim całkowicie zrujnuje życie swojej rodzinie. Przecież to jego najbliżsi, jak może robić im taką krzywdę!

- Uważam - powiedział do Randi mniej więcej po godzinie rozmowy - że najwyższy czas z tym skończyć.

- Z czym, z rozmową? - Randi wytarła czerwone, zapuch-męte oczy. - To miałeś na myśli czy...?

- Jedno i drugie.

Głos mu się załamał. „Kobiety płaczą - pomyślał. - A mężczyźni powstrzymują łzy i cierpią w milczeniu".

- To niemożliwe, Adamie. Czy rzeczywiście po tych dwóch latach potrafiłbyś tak po prostu odejść? Przecież przecież od dwóch lat jesteśmy właściwie małżeństwem a to jest twój dom!

„Dom - pomyślał Adam. - Dom to moje dzieci. Gdybym tylko mógł mieć dzieci i Randi razem, w jednym domu, na co dzień. No cóż... sam pomysł jest absurdalny. Idiotyczny. Chory”.

Randi wstała i podeszła do kominka, wpatrzona w tańczące płomienie. W ten szary jesienny dzień rozpałała ogień specjalnie dla niego, żeby mu zrobić przyjemność. Przygotowała gorący grog, a na stole postawiła wazon z suchymi liśćmi. Tak się zachowują żony, które dbają o dom i o swojego mężczyznę. Adam siedział, patrząc na jej mękę; na pochyloną głowę i drżące ramiona.

Nie mogąc tego dłużej znieść, podszedł do niej, obrócił ją do siebie i łamiącym się głosem po raz już chyba dziesiąty tego dnia powiedział:

- Posłuchaj mnie, Randi. Mówię to wbrew sobie, ale co ja mam zrobić? Jeśli tak dłużej potrwa, to wkrótce wszyscy będziemy rozdarci. Ta droga, na której się znaleźliśmy, prowadzi donikąd.

- Wszystko mi jedno, Adamie. Lepsze to niż nic.

Ale on wiedział - nie usłyszy jego uwagi ani aluzje Randi, ani jej drobne, delikatne sugestie. Chciała czegoś stałego, chciała małżeństwa. To jasne.

Powiedział bardzo łagodnie:

- Nie mam ci nic do zaoferowania na przyszłość.

- Ty jesteś moją przyszłością - wybuchnęła. - Jedyne przyszłością, jakiej naprawdę pragnę. Tak bardzo cię kocham. Nie możesz mnie zostawić. Nie pozwolę ci na to. Ty zresztą też tego nie chcesz.

Nie, nie chciał. Randi, wtulona w niego, serce przy sercu, usta przy ustach, szeptała gorącymi wargami:

- Damy sobie radę. Jeżeli tylko będziemy mogli spędzać razem trochę czasu, tak jak teraz, to wszystko będzie dobrze. Nie mogę myśleć o rozstaniu. To by była śmierć. Kochany, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

„Tak, śmierć - pomyślał - ale nam jeszcze nie czas umierać”. Jej śliczne zapłakane oczy błagały:

- Powiedz, że będziemy żyli. Powiedz to. Smutek Adama rozplywał się powoli jak dym.

- Och, kochanie, będziemy żyli, będziemy - powiedział.

Wieczorami, kiedy Julie kończyła ćwiczyć, Adam prosił ją często, żeby mu coś zagrała. Zwykle wybierał muzykę romantyczną, Schuberta albo Brahmsa - coś jesiennego. Kiedy zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie krzesła, Margaret widziała na jego twarzy lekki uśmiech. Był to jednak uśmiech dziwny, trochę obcy, jakby Adam coś ukrywał. Nie, to głupie z jej strony, że próbuje interpretować nawet jego uśmiech? Z tą refleksją wróciła do sprawdzania prac swoich uczniów.

Po chwili znów spojrzała na Adama. Czy zawsze miał takie mało jędrne, słabe usta? Zawstydziała się swoich myśli. Próbowwała je wyjaśnić w drodze autoanalizy. Jestem urażona i przestraszona swoją bezradnością. Wobec tego złoścę się i w śmieszny sposób staram się zwalić winę na biednego przepracowanego i przygnębionego różnymi troskami męża, zamiast go wesprzeć i pocieszyć.

Problem polegał jednak na tym, że Adam nie dawał się pocieszyć. Przebywał gdzieś daleko, w sobie tylko znanym miejscu. Nawet wtedy, kiedy brał udział w normalnym życiu rodzinnym - kiedy jadł z nimi kolację, szedł na spacer czy pomagał dzieciom w lekcjach - zawsze jakaś jego część była nieobecna. Ona, Margaret, kiedy przeżywała stres, potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć i kto by ją podtrzymał na duchu. Ale nie miała nikogo takiego. Nie było nawet Niny.

I tu Margaret dotknęła drugiej rany w swoim sercu. Jak mogło dojść do tak całkowitego zerwania między Niną a nią! I między Niną a dziećmi! Biedne dzieci. Jak one to wszystko mogą ogarnąć?

Bez żadnej zapowiedzi pogoda się zmieniła - jak to pogoda; wiatry i prądy miały małą łódką ich rodziny, a oni - bez mapy czy busoli - po prostu dryfowali.

## **Rozdział 148**

Był to jeden z tych łagodnych dni, jakie zdarzają się czasem w grudniu - ledwie skończyła się jesień, a już czuje się w powietrzu wiosnę. Przez nagie drzewa przeciekało srebrzyste światło słoneczne, a w nadal zielonej trawie hałasowały wróble.

Patrząc z niepokojem w stronę okna i pleców Randi, Adam błagał:

- Chodźmy się przejść. Mały spacer pomoże ci się otrząsnąć z przygnębienia.

Nie odwracając się, Randi powiedziała głucho:

- To za mało, żebym się mogła otrząsnąć z przygnębienia. Za dużo jestem sama i na tym polega mój problem.

Owszem, w pracy przebywam wśród ludzi, ale kiedy wracam wieczorem do pustego domu, do tej ciszy i całej tej przestrzeni dokoła, jest mi strasznie. Nawet nie umiem tego opisać, nie umiem ci powiedzieć, co czuję.

- Wiem. Wyobrażam sobie. Przepraszam. - Było to wszystko, na co się zdobył.

- W Święto Dziękczynienia poszłam do znajomych i czułam się przy stole jak piąte koło u wozu. Cały czas myślałam tylko o tym, jakby to było, gdybyśmy mogli zjeść razem świąteczną kolację, przygotowaną przeze mnie, przy naszym własnym stole.

Wtedy po raz pierwszy Randi przestała bawić się w aluzje czy inne zawoalowane uwagi, co wyraźnie przestraszyło Adama. Przyszłość przesłonił groźny cień nadchodzącego kryzysu. Na twarzy Randi, kiedy się do niego odwróciła, zobaczył wyraz żalostnego oskarżenia.

- To samo czeka mnie w Boże Narodzenie. Nie mówiąc o sylwestrze, kiedy to wszystkie moje przyjaciółki całują się

O północy ze swoimi chłopakami albo mężami, a ja stoję i robię dobrą minę do złej gry. To jest dla mnie naprawdę straszne. Powiem ci więcej - popadam w depresję.

- Nie, nie, na to jesteś za silna, zbyt zdrowa psychicznie.

- Ale nie jestem z żelaza.

Na widok łez wzbierających w jej oczach niepokój Adama wzrósł. Randi, tak zwykle pogodna i łatwa w kontaktach, potrafiła podejmować nagle emocjonalne decyzje, nie licząc się z ich konsekwencjami. Przecież już raz - ku swojemu żalowi - go porzuciła.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne - powiedział spiesznie. - Obiecuję ci, że na początku stycznia zorganizuję jakiś wspólny trzydniowy wypad na konferencję. Ale na razie są święta i nie mogę się od nich wykręcić. Dzieci, kuzyni, którzy przyjeżdżają aż z Denver, uroczystości w pracy... wiesz, jak to jest.

- Ale czy nie moglibyśmy chociaż raz pobyć ze sobą, choćby krótko? Urwij się wcześniej któregoś dnia...

Powiedzmy o czwartej? Powiesz, że masz coś ważnego do załatwienia, i przyjedziesz tutaj na kolację. A ja kupię jedzenie i zrobię ucztę na dwoje. Będiesz tak długo, jak zechcesz. No, powiedz, nie moglibyśmy?

- Ale... ale ostatnio robiłem tak bardzo często.

- Adam, zgódź się. To będzie nasze tajne Boże Narodzenie.

- Oj, tobie naprawdę nie można się oprzeć. - Potrząsnął głową, dziwiąc się samemu sobie.

- Wiem, wiem - odpowiedziała już teraz ze śmiechem.

Wkrótce po czwartej, kiedy Adam wychodził z biura, zaczął padać śnieg. Mniej więcej w połowie drogi do Randi rozpętała się regularna śnieżycy. Adam miał przeczucie, że powinien zawrócić, póki to jeszcze możliwe, ale nie zawrócił.

W domu u Randi panował wesoły świąteczny nastrój. Zjadł smakowitą kolację, spełnił toast szampanem, a potem kochał się z Randi, cały czas świadom bębniącej o szyby śnieżycy. Kiedy zegar zaczął wybijać godzinę, Randi podkręciła muzykę, żeby zagłuszyć liczbę uderzeń.

- Nic nie pomoże, kochanie - powiedział. - Będę musiał jechać.

Otworzyli drzwi frontowe - prosto w szalejącą zamieć śnieżną. Randi zaprotestowała:

- To niemożliwe, żebyś w takich warunkach jechał do Elmsford.
- Ale tym bardziej nie mogę zostać tu na noc - powiedział, zapinając płaszcz.
- A jeśli utkniesz po drodze? Jak to będzie wyglądało? Przecież miałeś być w biurze na zebraniu.
- Muszę spróbować.
- Twierdzisz, że musisz spróbować, a to chyba jasne, że ta sytuacja jest beznadziejna.

Nie miał żadnych wątpliwości, że ona nie mówi o pogodzie, tylko o przyszłości ich związku. Patrzyli na siebie w milczeniu, a w powietrzu wisiało pytanie: Co dalej?

Adam pocałował ją, pobiegł do samochodu i zjechał ze wzgórza.

Szczęśliwie droga cały czas biegła albo po równym, albo z górki. Samochodów prawie nie było, a te, które się odważyły wyruszyć, pełzły ostrożnie, trzymając się z dala od poboczy, gdzie w razie utknięcia czekała kierowcę długa, zimna noc pod gołym niebem. Podobna eskapada zakrawała na szaleństwo, ale potrzeba zobaczenia się z Randi była znacznie silniejsza niż ostrożność i zdrowy rozsądek. Dlatego przeklinając wprawdzie oblodzoną nawierzchnię i rozpaczliwie starając się trzymać drogi, Adam uśmiechał się na samo wspomnienie Randi w czerwonym szlafrocisku i złotych kłapkach. Kusicielka, słodka kusicielka w aksamitnym szlafrocisku.

Na przedmieściu Elmsford znalazł się po niemal dwóch godzinach podróży i wtedy opuściło go szczęście. Skręcając z szosy w wąską ulicę, wpadł w poślizg, obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni i wylądował w ponad półmetrowej zaspie.

Reszta była już tylko męczarnią. Wsiadł i próbował się odkopać. Potem wsiadł z powrotem i starał się wyjechać. Silnik ryczał, koła obracały się w miejscu, więc kiedy poczuł swąd palonej gumy, dał za wygraną. Przez chwilę stał na wyludnionej ulicy, pełnej zamkniętych sklepów i magazynów, i zastanawiał się, co dalej. Uważając to za zbędny wydatek, nie kupił sobie telefonu komórkowego, ale nawet gdyby go miał, to do kogo by o tej porze mógł zadzwonić? Już

zamierzał zostawić samochód i iść kilka kilometrów na piechotę, kiedy zza rogu wyłonili się dwaj faceci i wskazali mu bar w pobliżu.

Pomysł okazał się fortunny - właściciel lokalu zadzwonił po brata, który miał wóz holowniczy i który za opłatą zgodził się wyciągnąć Adama z zasy.

- Ale to będzie pana kosztowało - powiedział mężczyzna.

- Wszystko mi jedno - odparł Adam.

Było wpół do drugiej w nocy, kiedy znalazł się na swoim podjeździe. W domu paliły się światła i Margaret z pewnością czekała na wyjaśnienia, których Adam nie był w stanie jej udzielić.

W chwili, kiedy włożył klucz w zamek, usłyszał, jak zbiega z góry i woła:

- Odchodziłam od zmysłów! Gdzie, na miłość boską, byłeś tyle czasu! Zadzwoniłam do biura, myśląc, że was tam wszystkich zatrzymali, ale odpowiedziała mi tylko elektroniczna sekretarka. A potem Megan się obudziła i już we dwie wyobrażałyśmy sobie wszystko co najgorsze - jakiś karambol na pięć samochodów... ale powiedz mi w końcu, gdzie byłeś?

- Zebranie trwało i trwało bez końca, a potem, muszę się przyznać ze wstydem, poszliśmy w kilku do baru hotelu Bradley.

Margaret westchnęła.

- No cóż, najważniejsze, że jesteś cały i w domu. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że mogłeś potem jeszcze gdzieś pójść... - Roześmiała się z wysiłkiem. - Nigdy nie byłeś typem ftceta, który by chodził z kumplami. W każdym razie mam do ciebie prośbę - żebyś następnym razem znalazł chwilkę na to, by zadzwonić do domu.

- Wiem. Powinienem zadzwonić. To głupio, że nie pomyślałem.

- No cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jesteś cały mokry. Lepiej idź i weź od razu ciepły prysznic. Biedna Megan. Kazałam jej się położyć. Była tak zdenerwowana, że nawet zadzwoniła do Freda.

- Do Freda?! - wykrzyknął. - A kto jej, na miłość boską, pozwolił?

- Nie ja. Była na dole, zadzwoniła sama z siebie i dopiero

potem mi o tym powiedziała. Zatelefonowała do wujka Freda, żeby zapytać, czy mamy dzwonić na policję.

- Na policję?! I co on powiedział?

- Żeby nie dzwonić i się nie martwić. Powiedział, że jest całkowicie pewien, że nic ci się nie stało. Nie wiem, skąd miał taką pewność. Ale ostatecznie znasz Freda. Zawsze jest dobrej myśli.

„Dobrej myśli... no tak... dobrej jak dla kogo” - pomyślał. Drżał nawet po wypiciu gorącej herbaty i po wzięciu ciepłego prysznica.

Następnego wieczora przypadają uroczystości świąteczne u Adama w pracy. Zwykle odbywały się w biurze, tym razem jednak postanowiono je urządzić w jadalni hotelu Bradley.

- To dobry znak - powiedziała Margaret, kiedy się ubierali.

- Dlaczego dobry?

- Widocznie kondycja firmy nie jest zła, skoro mogą wydać tyle pieniędzy.

- Niekoniecznie. Może być całkiem odwrotnie. Spodziewają się złych wiadomości i chcą złagodzić cios, szczególnie w święta Bożego Narodzenia. To typowe dla naszych bossów. Margaret nie odpowiedziała. Różnica w ich stosunku do życia miała charakter fundamentalny. Ona była optymistką, może czasem nawet niepoprawną; on - pesymistą, chwilami bliższym rzeczywistości niż ona. Ostatnio jednak zauważyła w jego uwagach pewien cynizm, i to ją bolało. To spotkanie towarzyskie postanowiła wykorzystać, by poprawić sobie nastrój, czego ostatnio bardzo potrzebowała. W tym celu kupiła nową sukienkę, która kosztowała więcej, niż kiedykolwiek na siebie wydała, ale suknia miała jej ulubiony kolor w rzadkim i wyjątkowo pięknym odcieniu - coś między fioletem a błękitem. Nie była w stanie mu się oprzeć. Teraz, poprawiając w lustrze kolczyki z imitacją szafirów, była z siebie zadowolona.

Megan i Julie wpadły w zachwyt. Z zadartymi do góry głowami czekały na Margaret i Adama na dole przy schodach.

- Wyglądacie jak druhnny, które mają łapać bukiet panny młodej.

- Mamo, nigdy cię nie widziałyśmy takiej jak teraz. Wyglądasz wspaniale! Prawda, tato, że mama wygląda wspaniale?



Adam spojrział na Margaret.

- Tak, to bardzo piękna suknia.

- Mamo, codziennie powinnaś się tak ubierać - powiedziała Julie.

- Do szkoły? Zwariowałaś? - ofuknęła ją Megan.

- Chodźmy, bo się spóźnimy - powiedział Adam. Początkowo jechali w milczeniu. „Gdybym miała chociaż blade pojęcie o psychologii - pomyślała Margaret - dokonałabym autoanalizy, by zrozumieć, czy ciężar, jaki odczuwam, to. ciężar smutku, lęku, współczucia, złości czy wszystkiego naraz”.

Nagle wybuchnęła:

- Czy rzeczywiście podoba ci się ta sukienka, bo odniosłam wrażenie, że nie bardzo...

- Nie... dlaczego... oczywiście, że mi się podoba. O co chodzi? Przecież powiedziałem, że mi się podoba. Jest bardzo ładna. Bardzo.

Mówiąc to, odwrócił się do niej, a jego głos nabrał nieco cieplejszych tonów. Ale żeby chociaż położył dłoń na jej ramieniu! Żeby jej coś dał. Cokolwiek.

W końcu Margaret musi wyłożyć kawę na ławę i powiedzieć wprost - To wszystko twoja wina. Nie chcę cię potępiać, bo cię kocham, ale już dostatecznie długo czekam, nie jestem w stanie tego dłużej znosić, to twoja wina, że nie chcesz mi nic powiedzieć, że nie chcesz z tym nic zrobić. Jeśli jesteś chory, to ci naturalnie pomogę, bo cię kocham, czy nie rozumiesz, że pomimo wszystko cię kocham...

W jej oczach wezbrały łzy. Głupie łzy. I głupie myśli, które ją czasami nawiedzały, jak na przykład ta, że w grę może wchodzić inna kobieta. Co za bzdura... W ciemności zaczęła szukać chusteczki. Z największym trudem zdołała się jednak opanować.

Nie bądź idiotką, Margaret. Zachowuj się, jak przystało na kobietę w twoim wieku. Znow zapadło milczenie.

Powoli zebrała siły. Poprawiła złotą bransoletkę po matce, wygładziła jedwabną spódnicę. Materiał był miły w dotyku i mięsisty. Przecież to ma być rozrywka, a tak niewiele ich mieli we wspólnym życiu. Niech ją licho, jeżeli nie będzie się dobrze bawiła!

Adam zapytał uprzejmie:

- Czy Megan mówiła coś, że w przyszłym roku chce wybrać historię europejską jako przedmiot dodatkowy?
- Tak. Jej prowadzący uważa, że powinna. Nie jest specjalnie zainteresowana przedmiotami humanistycznymi, ale sobie poradzi. Zawsze sobie radzi.
- Trudno uwierzyć, że w przyszłym roku zacznie dopiero siedemnasty rok, prawda?
- Megan zawsze sprawiała wrażenie przynajmniej o pięć lat starszej.

Resztę drogi spędzili na miłej rozmowie o dzieciach.

Zawsze po załamaniu potrafiła się szybko pozbierać. Kiedy wchodzili na salę w hotelu Bradley, trzymała już dzielnie głowę do góry. Była nawet lekko rozbawiona na myśl o tym, że cieszy się z tego przyjęcia jak dziecko. Piękne widoki, muzyka, kolorowe stroje, kandelabry i kwiaty - wszystko to uderzyło w nią potężną falą, w którą rzuciła się na oślep.

Crane'owie nie nawiązali przyjaźni wśród ludzi z firmy. Adam wyznawał zasadę - której Margaret nie podzielała - że należy ściśle rozgraniczać życie prywatne od służbowego. Sama jednak miała tu znajomych - były to głównie rodziny dzieci, które uczyła dawniej lub nawet obecnie. Dlatego ledwie zdążyła przekroczyć próg, a już posypały się pozdrowienia i zaraz potem porwał ją wir ludzi kręcących się wokół baru. Tu przedstawiano jej coraz to kogoś nowego, tutaj podchodzili do niej ludzie, których znała niemal całe życie.

Adam stał koło niej w milczeniu ze szklaneczką w ręce. Była przyzwyczajona do tego, że to ona, tak jak i teraz, wciąga go do towarzystwa.

- Który to jest ten nowy facet z centrali? - spytała szeptem.
- Kto? Ten nowy?
- Ten, o którym wspominałeś przed chwilą. Nazywa się chyba Hudson.
- A, ten. O tam, ten siwy, z kobietą w czarnej sukni.
- Myślę, że byłoby dobrze nawiązać z nim jakiś miły kontakt. On jest zaraz po Ramseyu, prawda? Bezpośrednio nad Jenksem?
- Ale ja nie jestem dla niego niemiły, Margaret.

- Nie o to chodzi. Zaprowadź mnie tam i przedstaw.
  - Cała ta sytuacja jest okropnie trudna. Dobrze, chodźmy. Zarówno Rudy Hudson, jak i jego żona okazali się bardzo serdeczni. Było to starsze małżeństwo, ludzie wyraźnie z pozycją, ale skromni, bez odrobiny arogancji.
  - Od chwili, kiedyśmy się tu przenieśli, dużo o pani słyszałam - zwróciła się do Margaret Ruth Hudson.
  - O mnie?
  - Tak, o pani.
  - Dwoje spośród naszych sąsiadów zna panią ze szkoły. Sądząc z tego, jak chwalili pani sposób nauczania, odniosłam wrażenie, że musi być pani osobą dużo starszą, wręcz wete-ranką. A kiedy wstąpiłam do Czerwonego Krzyża, dowiedziałam się, że i pani tam działa.
  - Nie tyle, ile bym chciała. Nigdy nie ma się dość czasu na wszystko, co chciałoby się robić.
- Rudy Hudson, który - jak Margaret zauważyła - przyglądał się jej z zainteresowaniem, zwrócił się w pewnym momencie do Adama:
- Nigdy nie wspomniałeś słowem o swojej pięknej żonie. Trudno się dziwić, że trzymasz ją w ukryciu.
- Zawstydzona Margaret zauważyła, że właśnie otwarto drzwi do jadalni. Kiedy się rozstali z Hudsonami, Adam mruknął, że Rudy to dureń.
- Dlaczego? - obruszyła się Margaret. - Bo powiedział, że jestem piękna?
  - To było w złym guście.
- Nagle Margaret zapragnęła go przyszpilić.
- No, może rzeczywiście „piękna” to przesada. Ale „ładna”? Uważasz, że to też za dużo?
  - Teraz ty zachowujesz się głupio. Przecież dobrze wiesz, że jesteś ładna.
  - Nie zaszkodziłoby, gdybyś mi to od czasu do czasu powiedział, nie uważasz?
  - W porządku. Jesteś bardzo ładną kobietą.
- Margaret ogarnęła wściekłość. Co za idiotyzm, żeby tak co chwila zmieniała nastrój! Wysiłkiem woli odwróciła myśli od swojej zranionej dumy.
- Przy stole, gdzie mężczyźni rozmawiali głównie o intere-

sach, kobiety zajmowały się sobą. Margaret posadzono między Madeline Jenks i Ruth Hudson.

- O, znów się spotykamy - powiedziała Madeline. - Jakoś nigdy nie widzimy się między świętami, chyba że przypadkiem w supermarkecie.

Margaret skinęła głową.

- Wiem. Ale tacy jesteśmy wszyscy zajęci. Czasami wydaje mi się, że doba powinna trwać o jakieś cztery czy pięć godzin dłużej.

- Tak, przynajmniej dla nas, kobiet. Mężczyźni mają znacznie łatwiej. Codziennie punktualnie obiad w domu i odpoczynek, a my harujemy do północy.

- Może niektórzy mężczyźni, ale chyba nie ci z ADS, to już na pewno.

- Dlaczego? - zapytała zaskoczona Ruth Hudson.

- A praca po godzinach! A ciągle wieczorne zebrania! Ja uważam, że oni tam bardzo ciężko pracują.

- Ale przecież nie ma tak wiele zebrań - odezwała się Madeline Jenks.

Tym razem Margaret wyraziła zdumienie.

- Niewiele? Dwa albo trzy razy w tygodniu to niewiele? Naturalnie - dodała, uświadamiając sobie; że nie powinna narzekać - praca musi być wykonana. No i rzeczywiście robią wspaniałą robotę. Och, ale na przykład wczoraj! Adam wrócił o wpół do drugiej w nocy. I to w taką zamieć. Myślałam, że nigdy nie dotrze do domu. To było straszne.

Ruth i Madeline nie odezwały się ani słowem. Po chwili ich uwagę przykuła rozmowa mężczyzn. Ktoś wstał, żeby wygłosić krótkie powitalne przemówienie, po czym orkiestra zaczęła grać do tańca.

Adam, który nie lubił tańczyć, sztywno poruszał się po parkiecie. Potem Margaret zatańczyła trzy czy cztery razy z różnymi partnerami. Był wśród nich starszy pan, którego żona chodziła o kulach, i paru młodych, którzy przyszli bez partnerek. Margaret tańczyła dobrze i zbierała komplementy.

Kiedy nadszedł czas pożegnania, podsumowała wieczór w myślach - był satysfakcjonujący jak jej życie - z wyjątkiem tej jednej wielkiej dominującej troski.

Adam siedział w biurze, nie mogąc się skoncentrować na pracy, która się przed nim piętrzyła. W głowie czuł pulsowanie, które przyprawiało go o mdłości. Problemy stanowiące przyczynę tych cierpień domagały się rozwiązania. Czy powinien zerwać z Randi? Z jednej strony - tak. W ogóle nie powinien być z nią zaczynać. Z drugiej strony - nie. Przecież się kochają. Ale Margaret jest wyraźnie nieszczęśliwa. Adam wiedział, że jej zranione serce pęknie, gdy sprawa wyjdzie na jaw. A co do dzieci - drżał na samą myśl o tym, jakby przyjęły taką wiadomość. Czy jednak mogą żyć tak jak teraz? Nastrój w domu był ponury i przykry. A ilekroć nawet zabłysło jakieś światełko, było ono z reguły sztuczne i wszyscy to czuli... Poza tym jak długo może oszukiwać bez obawy, że wpadnie? Pomyślał o Fredzie i czającym się zagrożeniu z jego strony, a także o ubiegłej nocy, która - jakże niewiele brakowało, by się skończyła katastrofą.

Sytuacja była naprawdę straszna. Wstał i podszedł do okna, jak zwykle, kiedy miał coś ważnego do przemyślenia, jakby gdzieś w powietrzu, na ulicy, upatrywał rozwiązania swoich problemów. Ale ulica była pusta, z zaspami brudnego śniegu wzdłuż krawężników.

W pewnej chwili weszła sekretarka.

- Pan Jenks prosi pana do swojego gabinetu. Arogancki gnojek! Przed awansem sam by się pofatygował do Adama, by powiedzieć, o co chodzi. A tymczasem nagle stał się jego szefem.

W sekretariacie czekało dwóch mężczyzn. Jenks miał teraz większy gabinet i dodatkowy pokój dla sekretarki, oddzielony szklanym przepierzeniem.

- Słyszałem, że nie jesteś zadowolony z pracy w ADS - zaczął.

- Nie wiem, co masz na myśli - wyjąkał zdumiony Adam.

- Narzekasz, że jesteś przepracowany.

- Ja... nigdy, to absurd. Kto ci to powiedział? Jenks spojrzał mu w oczy.

- No, te wszystkie wieczorne zebrania... Powroty po pierwszej w nocy w zamieć śnieżną... jak mówiła twoja żona...

- Moja żona?

Przeklinał swoją skłonność do pocenia się. Był teraz mokry,

tak samo jak wtedy, kiedy spotkał na ulicy Freda Davisa. Patrzył Jenksowi w twarz.

- Tylko nie miej pretensji do swojej żony, Crane. Ona nie chciała nic złego. To była zwykła towarzyska pogawędka. Czy może powinienem powiedzieć „niewinna pogawędka”?

- Nie wiem, co Margaret mogła mieć na myśli. Nigdy w domu nie rozmawiam na temat firmy ani pracy. - Bardziej to wybełkotał, niż powiedział. - Lubię pracę w ADS. Powinieneś o tym wiedzieć. Jestem lojalny.

- Tak czy siak, opowieści o pracy po godzinach i o późnych zebraniach stawiają nas w nie najlepszym świetle - albo szwankuje u nas organizacja, albo firma jest w złej kondycji, a zarówno jedno, jak i drugie jest nieprawdą. O czym wiesz czy powinienś wiedzieć najlepiej, Crane. - Jenks mówił na tyle głośno, że z pewnością słyhać go było poza gabinetem. - Dlatego radziłbym, abyś dopilnował, żeby nikt z twojej rodziny więcej takich rzeczy nie opowiadał.

- Oczywiście, oczywiście. To była zwykła pomyłka, bez żadnych złych intencji. Całkowite nieporozumienie.

- A co do twoich problemów osobistych, to już nie nasza sprawa. Dopóki nie kolidują z twoją pracą. Czy to jest jasne, Crane?

„Pogardza mną - pomyślał Adam. - Kiepski student, założę się, z byle jakiej uczelni w Squeedunk”.

- Jasne - odparł w dalszym ciągu bełkotliwie.

- To dobrze - zakończył Jenks.

Czekający w sekretariacie dwaj mężczyźni spojrzeli na Adama, po czym szybko odwrócili wzrok. Słyszeli całą rozmowę. Został upokorzony jak sztubak, wezwany na dywanik. Szedł korytarzem do swego pokoju, jakby był nagi, po czym usiadł, cały w wypiekach, i ukrył twarz w dłoniach.

Kipiał ze złości. Co robić - myślał. - Iść do niego i mu wygarnąć: „Powinieneś mi to wszystko powiedzieć w cztery oczy, jak przystało na dzentelmena, albo jeszcze lepiej, całe to babskie paplanie pominąć milczeniem. A co do mojego życia prywatnego...” - ale oczywiście nigdzie nie pójdzie i nic takiego nie powie.

Gdyby tylko mógł w jakiś sposób uciec od tego skomplikowanego życia! Życia, które szarpie go we wszystkie strony! Wyjechać w jakieś spokojne miejsce z Randi, w jakieś spo-

kojne, ciche miejsce, siedzieć sobie w słońcu, spacerować w cieniu sosnowych lasów, i nie musieć myśleć. Bo on zawsze tylko myśli!

Doznał dziwnego uczucia - jakby stracił równowagę i spadał w przepaść, nie mając się czego uchwycić. Jeżeli ich wzajemna niechęć zamieni się w nienawiść i będzie miał w Jenksie wroga, to nie wiadomo, czym to się skończy. Wśród innych plotek, które brzęczały jak pszczoły w ulu, była i taka, że jest na uniwersytecie stanowym jakiś młody dwudziestoczteroletni geniusz, specjalizujący się w oprogramowaniu, którego różne firmy, w tym ADS, usiłują do siebie ściągnąć. Taki facet może się tu pojawić ze swoją grupą i przewrócić firmę do góry nogami.

Kiedy dojechał do domu, Margaret właśnie podawała obiad. Zrobił ze trzy okrażenia, zanim wściekłość trochę się w nim wypaliła, a serce przestało łomotać.

- Myślałam, że znów się spóźnisz - powiedziała. - Już zamierzaliśmy zaczynać bez ciebie. Dzieci mają dziś bardzo dużo lekcji.

- To niech jedzą beze mnie. Ja i tak nie mam apetytu. A zresztą chciałbym z tobą porozmawiać na gorze.

Margaret poszła za nim do sypialni i pełna jak najgorszych przeczuć usiadła na kanapce przed toaletką.

Nie zdejmując płaszcza i podzwaniając monetami i kluczami, stał przed nią z marszem na czole. Musiał być czymś bardzo zdenerwowany, bo nie wiedział, jak zacząć.

- Posłuchaj - powiedział szorstko. - Słuchaj, co mam ci do powiedzenia. Wezwał mnie dzisiaj do siebie Jenks. I potraktował jak skończonego gówniarza. Powiedziałaś jego żonie, że jestem niezadowolony z pracy w ADS.

- Co takiego? Chyba oszalałaś. Nigdy nic takiego nie mówiłam. Czy uważasz mnie za kompletną idiotkę?

- Coś musiałaś powiedzieć. Przecież nie wyssali tego z palca.

Co ona takiego mogła powiedzieć? Ale jeżeli już, to chyba nic ważnego, skoro nie może sobie nawet przypomnieć.

Adam spoglądał na nią spode łba, utrudniając zebranie myśli.

- No, czekam, Margaret.

- Co ja takiego powiedziałałam?... Mogłam powiedzieć tylko, że ludzie w ADS bardzo ciężko pracują. Uważałam, że to komplement. Poza tym mówiłam o tych wszystkich zebraniach i o tym, jak utknąłeś wtedy nocą w śnieżycy. I to wszystko.

- To wszystko? Naprawdę? - Wydawało się, że policzki Adama, jego brwi, w ogóle cała twarz podjechała aż do linii włosów. - Ty idiotko. Ty skończona idiotko. Może i nadajesz się do tego, żeby w laboratorium chemicznym uczyć bandę nastolatków, ale o prawdziwym życiu nie masz zielonego pojęcia. Żeby mleć ozorem przed tymi... tymi kobietami.

- Ja nie miele ozorem, Adam. Nigdy tego nie robię. Nic na to nie poradzę, że wyolbrzymiają drobne, nic nie znaczące uwagi...

- A na dodatek wygadywać takie rzeczy do żony Jenksa! Jeżeli mnie stąd przeniosą do jakiejś dziury albo nawet zwolnią, będzie to wyłącznie twoja zasługa. Czy przynajmniej zdajesz sobie z tego sprawę? Co?!

Margaret wstała. Jeszcze nigdy w ciągu ich wspólnego życia nie mówił do niej z taką wściekłością, tak jadownicie. W dalszym ciągu dyszał ciężko i patrzył na nią spode łba. Odniosła wrażenie, że widzi w jego oczach nienawiść. W tym momencie dostała mocny zastrzyk adrenaliny, która ją uniosła prawie do poziomu jego nienawiści.

- A teraz ty mnie posłuchaj! - wykrzyknęła, łapiąc go za klapy płaszcza. - Mam już tego wszystkiego dość. Jeżeli jesteś chory, a uważam, że jesteś, to się lecz, jak cię o to prosiłam ze dwadzieścia razy. Ale niezależnie od tego, czy jesteś chory, czy nie, nie mam zamiaru tego dłużej znosić. Wypraszam sobie takie traktowanie! O co w tym wszystkim chodzi? Kim ty właściwie jesteś? Ciebie tu z nami nie ma, przebywasz w jakimś miejscu zupełnie dla mnie niedostępnym. Gdzie się ukrywasz? Mam już dość walki z cieniami. Próbowалам być cierpliwa, rozumieć twoje kłopoty, ale są jakieś granice...

- No tak, ty masz rzeczywiście powody do narzekania. Idź, zapytaj inne kobiety, jak to jest. Jak ich mężowie wracają do domu i o byle głupstwo robią piekło. A ja albo spokojnie coś dłubię w ogrodzie, albo uczę dzieci pracy na komputerze. Czy ja się kłóczę? Czy kiedykolwiek podnoszę głos?



- Może byłoby lepiej, gdybyś od czasu do czasu podniósł. Bo byłoby to bardziej ludzkie. Przynajmniej byśmy wiedzieli, że jesteś z nami. Ciekawe, jaką tajemnicę ukrywasz? I dlaczego nie chcesz nic o sobie powiedzieć? Jak długo mogę tak żyć? Staram się... staram się... - Margaret wybuchnęła płaczem. - Dlaczego traktujesz mnie w ten sposób? Dlaczego zarzucasz mi coś, czego nie zrobiłam i nigdy bym nie zrobiła? Dlaczego mnie nienawidzisz, Adam... bo wiem, że mnie nienawidzisz. Widzę to w twoich zimnych oczach.

- Wcale cię nie nienawidzę. Nie bądź śmieszna.

- Śmieszna? Od dłuższego czasu nie ma w tym domu mowy o żadnym śmiechu. Kiedy porównuję nasze życie z tym, co było kiedyś... - zamilkła i otarła łzy.

To, co dotychczas wydawało się niemożliwe, zaczęło nabierać konkretnego kształtu, domagając się wyartykułowania. Margaret rozejrzała się po pokoju, jakby swojskość tapety w żółte motyle, zdjęcia rodziców w podwójnych ramkach czy książki na nocnym stoliku mogły potwierdzić albo zaprzeczyć jej niewiarygodnym podejrzeniom.

Nie doczekawszy się zaprzeczenia, powiedziała podniesionym, ostrym głosem:

- Ty kogoś masz!

Adam wyrzucił ręce w dramatycznym geście, jakby się zwracał do niewidzialnej widowni:

- Ja jej mówię, że z powodu głupiej paplaniny mogę mieć kłopoty w pracy, a ona mi na to, że „mam kogoś”. Czy jest w tym jakiś sens? No, powiedz sama.

Rzeczywiście, nie było w tym żadnej logiki, ale ta myśl na dobre zadomowiła się w jej świadomości.

- Tak! To prawda - powtórzyła. - Takie rzeczy są na porządku dziennym, zdarzają się innym kobietom, więc dlaczego niby nie mnie?

- To nieprawda, Margaret - powiedział spokojnie. - Nieprawda, możesz mi wierzyć.

- Upłynęło osiemnaście lat. Najwyższy czas na nową kobietę, chyba się nie mylę, co? Kim jest ta kobieta, Adamie? Kim jest kobieta, która chce zająć moje miejsce?

- Nie histeryzuj. Nie rób z siebie idiotki.

Zobaczyła, że Adam patrzy gdzieś ponad jej głową, odwróciła się i dostrzegła, że w korytarzu stoi w niemym osłupieniu

gromadka - dziewczynki i Danny. Ogarnęło ją przerażenie -dzieci złapały rodziców na czymś bardzo intymnym, prawie jak scena miłosna w łóżku.

- Och' - wykrzyknęła. - Co wy tu robicie? My... to tylko głupia sprzeczka, nic poważnego. Wracajcie do stołu.

- Tak, idźcie na dół - powtórzył jak echo Adam. - Kto wam pozwolił tu przychodzić. Nie ma powodu do żadnych obaw. Zmykajcie, już was nie ma!

Dzieci posłusznie ruszyły w stronę schodów, ale Margaret zdążyła zauważyć zgnębioną twarz Megan.

- No i co zrobiłaś najlepszego? - powiedział Adam -Widziałaś Megan? Wyrządziłaś dziecku krzywdę, której nigdy nie zapomni. . .

Margaret szlochała; nerwy całkowicie odmówiły jej posłuszeństwa. Ona, która nigdy „nie miała nerwów”, która była znana jako osoba zrównoważona, właśnie przed chwilą się skompromitowała. Ukryła twarz w dłoniach i siedziała wstrząsana drgawkami. .

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Kiedy spojrzała, Adam zdążył już zdjąć płaszcz i siedział teraz na kanapie obok niej.

- Za dużo robimy wokół tego szumu - powiedział spokojnie. - Przepraszam cię, jeśli to ja zacząłem. Przyszedłem do domu rozdrażniony i wszystko skrupiło się na tobie. Jestem przekonany, że Jenks przesadza. To do niego podobne. Bardzo cię przepraszam.

Margaret wytarła twarz i skinęła głową.

- A co do tej innej kobiety, o której mówiłaś... to me-

^Nie wiem, dlaczego, ale... ale przez chwilę byłam zupełnie pewna - szepnęła. - A potem zobaczyłam dzieci i pomyślałam... że to niemożliwe. Ze ty byś im tego nigdy nie zrobił. Wiem, że byś nie zrobił.

- Nigdy... jeślibym tylko mógł temu zapobiec - odpowiedział - Nigdy bym ich nie skrzywdził.

Ilekcroć mówił tak poważnie i z taką godnością, a do tego jeszcze z lekkim pocieszającym uśmiechem, wzruszał ją jak wtedy, kiedy miała siedemnaście lat.

- Pójdę na dół i uspokoję dzieci. Muszą być przerażone. Powinny jednak wiedzieć, że czasami pod wpływem emocji

ludzie mówią różne dziwne rzeczy. Ostatecznie nie tak często miały okazję być w tym domu świadkami takich scen.

- Nie, nie tak często - zgodziła się Margaret.

- Co zresztą wcale nie jest dla nich takie dobre. Może powinny się trochę zahartować.

„Ta rozmowa staje się dość niejasna - pomyślała Margaret - a mnie bardzo boli głowa. Może zbyt wiele i zbyt długo w sobie tłamsiłam. I dlatego teraz tak wybuchnęłam. I tyle”.

- Przyniosę ci tu na górę coś do zjedzenia.

- Dlaczego? Czy tak strasznie wyglądam, że nie mogę zejść na dół?

- Nie, wcale niestrasznie. Po prostu wyglądasz jak osoba, która płakała, i to wszystko. Zostań tutaj i pozwól, że tym razem dla odmiany ja cię obsłużę.

- Dobrze. I wytłumacz dzieciom.

- Oczywiście.

Adam wyszedł, zostawiając Margaret już spokojną i opanowaną, ale ze skołataną głową, pełną kłębiących się myśli. Teraz przemawiał do niej tak miło, tak łagodnie, jak Adam, którego знаła przed laty. A jednak nie opuszczała jej świadomość, że od dawna się do niej nie zbliżył, nawet jej nie dotknął. Żeby chociaż muśnięcie policzka czy dłoni - ileż by to dla niej znaczyło... Jakie to dziwne, jakie dziwne...

Co się z nimi dzieje?

- Więc ona już wie. Nie chce wiedzieć, ale wie - powiedział Adam znużony, kończąc opowieść.

Randi westchnęła.

- Czuję, że w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że nici z obiecanego wspólnego styczniowego wypadu?

- Ale jak ja mógłbym się teraz urwać? Niezależnie od spraw domowych sytuacja w biurze też wygląda niepewnie, jak ci już mówiłem.

Mimo wszystko nie powiedział jej o upokarzającej rozmowie z Jenksem. Nie było powodu. Ostatecznie mężczyzna też ma swoją dumę. I tak ostatnio czuł wyrzuty sumienia, że ją nadmiernie obciąża swoimi kłopotami.

Skutki tego były aż nadto oczywiste - pełen skargi ton głosu, jaki czasem przybierała, westchnienia, które nieraz

zdradzały więcej, niżby sobie życzyła... Świadczyła o tym i sama jej postawa... Jak choćby w tej chwili, kiedy tak stała przygarbiona na tle okna, a silne światło padające na szaro-niebieski cień zamieniało jej spuszczone oczy w ciemne plamy. Impresjonista podkreśliłby jej bladość - przyszło Adamowi do głowy ni z tego, ni z owego - ubierając ją w długą wdzięczną szatę... śliwowofioletową albo w kolorze czerwonego wina... Jego myśli błądziły niespokojnie.

Kiedy zegar wybił godzinę, Randi podniosła głowę i wykrzyknęła:

- Wyrzucę tego cholernego grata! Jest jak więzienny klawisz. „Koniec! - woła. - Zostało wam jeszcze tylko dziesięć minut. Pięć, cztery...”. Nienawidzę go!

- Jest dopiero wpół do trzeciej, mogę zostać do czwartej.

- Sobota wieczór, naturalnie. Zaproszenie na przyjęcie dyplomatyczne do Białego Domu.

- Randi, błagam cię, nie bądź taka uszczypliwa. Sądzisz, że ja naprawdę mam ochotę na kolację u Gila, w towarzystwie tych wszystkich bufonów? A już szczególnie Freda Davisa?

- Szpicel. Kochanek twojej żony.

- Nie mów tak. Proszę cię, żebyś w ogóle o niej nie mówiła.

- Dlaczego? Jeszcze ciągle ją kochasz na tyle, że jesteś zazdrosny?

- Proszę cię, Randi. Ona nie ma żadnego kochanka. Ale gdyby miała i gdyby był nim Fred, z pewnością by mi to nie przeszkadzało.

Usiadł na podłodze koło krzesła, na którym siedziała, patrząc jej błagalnie w oczy.

- Dałbym wiele, żebyś tylko nie była taka smutna...

Ale wielki smutek kładł się cieniem dosłownie na wszystkim. Jakby jakaś zaraza dotknęła dom, biuro i przeniosła się nawet w to miejsce, dotychczas źródło samej radości. „Ludzkości potrzebna jest pewność, a tej pewności nie ma - pomyślał Adam. - Nawet pogoda kpi sobie z ludzi. Dziś, w styczniu, słysząc kapanie topniejącego śniegu, a już jutro może hulać wiatr”.

- Czuję się - powiedział - jakbym pędził toboganem z góry na kamienny mur i starał się wyskoczyć, zanim nastąpi zderzenie.

- Zderzenie wcale nie musi nastąpić, jeśli będziesz dobrze sterował. Trzeba ten mur ominąć. - Randi pogłaskała go po głowie. - Znów jesteś cały spięty. Przecież tak dalej być nie może. - Nie odpowiadał, a ona nadal głaskała go delikatnie po głowie i łagodnie przemawiała. - Powiedziałeś, że dałbyś wiele za to, żebym tylko nie była smutna. I możesz zrobić wiele, żeby ulżyć mojemu smutkowi, a zarazem i swojemu. - Zawiesiła głos. - Uzyskanie rozwodu nie musi być takie trudne, jak myślisz. A to jest sposób na nasze zgryzoty. Coś za coś, Adam. Raz się żyje.

Rozwód. Dźwięk tego słowa wstrząsnął nim do głębi.

- Nie myślałem o rozwodzie - powiedział.

- Dlaczego? Czy uważasz, że tobie się już nic nie należy od życia? Że nie masz prawa do szczęścia?

- Randi! - wykrzyknął przerażony. - Chyba nie zamierzasz mnie rzucić, co? - Usiadł prosto, szukając jej oczu.

Nachyliła się do niego, pocałowała go w czoło i wyszeptała: <sup>r</sup>

- Nie chciałam, Bóg mi świadkiem, że bym nie chciała, ale...

- Mówiłem różne głupoty - powiedział desperacko. - To kwestia nastroju, który przeminie, tak jak przyszedł. Wierz mi, że wszystko wróci do normy. Za godzinę będziemy...

- Nie, nie, Adam, tak dalej być nie może. Nie możesz dalej prowadzić podwójnego życia...

- Dlaczego nie? W Europie jest na porządku dziennym że mężczyzna ma rodzinę i kochankę... Czasami nawet żona o tym wie... I życie toczy się dalej bez tragedii, dzieci nie cierpią, nie" tracą ojca i nikomu nie dzieje się krzywda. Nie twierdzą, że jest to idealne wyjście z sytuacji, ale zawsze lepsze niż rozpad rodziny.

- Kiedyś mogło tak być. Gdy kobiety takie jak ja nie miały innego wyjścia. Wtedy musiały się zadowolić taką kradzioną miłością. Ale mnie to nie wystarcza. Ja potrzebuję jawności. Dziś kobiety mają prawa...

Adam widział, że pod urazą tli się potężny gniew, który Randi stara się opanować.

- Kocham cię. Chcę mieć z tobą wspólny dom. Dziecko. Nie bądź taki zdziwiony. Dlaczego miałabym nie chcieć?

Mówisz o swoich dzieciach... A niby kiedy ja miałabym urodzić

dziecko? Jak będę miała pięćdziesiąt lat? Już w tej chwili mam trzydzieści osiem.

Przerwała ze szlochem, podczas gdy Adam, przerażony jej wybuchem, czekał, aż podejmie wątek. Oczywiście wiedział, o co jej chodzi, o to samo, co wszystkim kobietom. Ale sądził, że zaakceptowała już fakt, iż jest to niemożliwe.

- Mam serdecznie dość tego ciągłego ukrywania się, tego nieustannego balansowania na granicy bezpieczeństwa, jak ty wtedy podczas zamieci śnieżnej. Albo drżenia, że jakiś wścib-ski facet nakryje nas razem w twoim samochodzie. Albo... albo że trzeba mieć oczy dosłownie z tyłu głowy. Tak, tego wszystkiego mam serdecznie dość. Czuję się, jakby mnie ktoś złapał na kradzieży w sklepie albo coś w tym rodzaju.

Adam miał wrażenie, że zbliża się do rozstaju dróg i będzie musiał wybrać, którądy pójść.

Ale wiele go jeszcze od tego miejsca dzieliło. Póki co nie musiał dokonywać wyboru. Dlatego mówił bardzo ostrożnie, trzymając rękę na jej dłoni, niemal potulnie.

- Randi, kochanie, przecież wiedziałaś, jak jest. Mówiłaś, że wszystko rozumiesz.

- Ale to było przeszło dwa lata temu. Skąd mogłam wiedzieć, jak będę znosiła takie życie? Czuję- się w tej chwili twoją żoną, a ty moim mężem. Mówiłeś mi to wiele, wiele razy.

Była to prawda.

- Czy już do końca życia ona musi być dla ciebie kulą u nogi?

Teraz Randi położyła dłoń na jego rękę tak, że ręka Adama znalazła się między jej dłońmi. „Jakby ich krew się zmieszała” - pomyślał.

- A teraz idź do domu i porozmawiaj z nią. Powiedz jej, że między wami wiele się zmieniło, jak zapewne wie, i że nie ma najmniejszego sensu, byście do końca życia tkwili razem, dręcząc się nawzajem. Wytlumacz jej, że będzie jej lepiej samej. Może sobie ułożyć życie. Przecież jest jeszcze młoda... ile ona ma lat?

Powiedz Margaret, że będzie jej lepiej samej! Akurat właśnie Margaret, która, jak żadna inna kobieta, żyła tylko dla niego i dla rodziny. Jego matka. Jej matka. Ich dzieci. Nawet kuzynostwo. Adam nie mógł wykrztusić słowa.

- Trzydzieści dziewięć.

- Tylko o rok starsza ode mnie, ale o ile więcej przeżyła. Jej dzieci są prawie dorosłe! To akurat jest dla ciebie okoliczność sprzyjająca. Przynajmniej nie zostawisz jej z małymi dziećmi, które nie mogłyby zrozumieć i zaakceptować sytuacji.

Zaakceptować! Czy w dniu, w którym będzie wynosił swoje rzeczy do samochodu, tylnymi drzwiami, przez garaż, czy wtedy dzieci będą stały na ganku i patrzyły? Zaakceptować!

- Z tego, co na ten temat czytałam, rozwód jest dla dzieci znacznie lepszy niż atmosfera rozpadającego się małżeństwa.

- Nie wiem - wymamrotał Adam.

- Naturalnie, że jest lepszy. Sam mi mówiłeś, że jesteś wobec nich ostatnio stale poirytowany. A ta scena, jaką podśledzały, stojąc w korytarzu? Czy uważasz, że to było dla nich dobre?

- Oczywiście, że nie.

- No więc. A zresztą nie wybierasz się przecież do Australii, nie zamierzasz swoich dzieci opuścić! Będziesz mieszkał tutaj, zaledwie trzydzieści kilometrów od nich, i będziesz je widywał. Kiedy tylko zechcesz. Na dłuższą metę będzie to dla nich znacznie lepsze.

Lepsze dla dzieci!

Tamten wieczór i Megan odwracająca się w stronę schodów. Jej udręczona twarz, na której widać straszliwą, rodzącą się świadomość. Julie, ten mały chochlik, chodząca za nim wszędzie jak psiak, spoglądająca na niego znad klawiatury pianina i domagająca się podziwu. I Danny, najlepszy bramkarz w młodzieżowej lidze...

- Sądzisz, że twoje dzieci nie czują, że nie kochasz ich matki? Bo przecież nie kochasz jej już od dawna, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją kochałeś. Jeśli...

Tak, to prawda, że nie kochał Margaret, a w każdym razie nie w ten sposób, żeby poczuć w żyłach adrenalinę i liczyć dni i godziny do następnego spotkania. Mimo to zależało mu na niej i nigdy nie chciał, by spotkała ją krzywda.

Nigdy... tylko, że to było co innego.

Wstał, wziął płaszcz i powiedział głucho:

- Muszę już iść. Nie chcę, kochanie, ale naprawdę muszę.

- Wiem. - Poprawiła mu kołnierz płaszcza i przez chwilę

stali w drzwiach, wtuleni w siebie. - Nie naciskam, Adamie -dodała. - Nie mówię, że masz iść do domu i powiedzieć to wszystko zaraz, dzisiaj.

Chcąc trochę złagodzić napięcie, uśmiechnął się i powiedział:

- Tak, rzeczywiście, że dziś trudno byłoby mi to zrobić. Dziś idziemy do Luizy i Gila, zapomniałaś? - I udał jęk.

Randi roześmiała się.

- Życzę ci miłego wieczoru. Może przynajmniej jedzenie będzie dobre. - Po czym spoważniała. - Przemyśl sobie, kochanie, to wszystko, co ci powiedziałam. Zbierz siły i odwagę. Stać cię na to.

- Tak - odpowiedział.

W drodze do domu, w nawale myśli, przypomniała mu się migawka z lekcji historii sprzed wielu lat - ilustracja przedstawiająca średniowieczne narzędzie tortur. Na rysunku widać było człowieka, którego dosłownie rozrywano na części. Zaraz, jak to się nazywało? Koło? Tak, łamanie kołem.

Podczas wieczornego posiłku co rusz zalegała cisza. Nagle normalna rozmowa o szkole, sporcie czy lokalnych wydarzeniach utykała w martwym punkcie i Margaret czuła, jak ich wszystkich paraliżuje wspólna świadomość zmiany, która nastąpiła czy miała nastąpić. Trójka dzieci spoglądała wtedy pytająco na rodziców, po czym szybko spuszczała wzrok. W odpowiedzi albo Adam, albo Margaret spiesznie podejmowali przerwany wątek. Gdzie się podział wesoły entuzjizm Adama? Co się stało z jego pogadankami przyrodniczymi czy z sobotnim myszkowaniem po kuchni i zabawą z ziołami i przyprawami? Uleciała gdzieś nawet jego miłość do muzyki, upodobanie do słuchania wieczornych ćwiczeń Julie; mniej więcej połowę przesypiał teraz w fotelu.

Do tamtej sceny nie wrócili nawet słowem. Margaret wspominała je od czasu do czasu ze wstydem, pełna obaw, że ta scena na zawsze zapisze się w pamięci dzieci i zdominuje inne nagromadzone w ich życiu wrażenia.

Powtarzała sobie jednak, że przecież jest tylko człowiekiem i nikt nie może wymagać od niej, by była bez skazy.

Adam nadużył jej cierpliwości, która też ma swoje granice. Czy to



właśnie - pytała samą siebie - powinnam powiedzieć dzieciom? A przynajmniej Megan, która czasami przygląda mi się wzrokiem pełnym troski i zaciekawienia? Może nie jest dobrze zbyt długo utrzymywać dzieci w nieświadomości? „Jakby dzieci - pomyślała z goryczą - były kiedykolwiek nieświadome"! Może powinnam uwolnić Megan od stresu, mówiąc jej po prostu, że przechodzimy z ojcem ciężki okres, że to się zdarza, ale mija.

Ale nie powiedziała. Bo przecież to minie. Pod wieloma względami ich życie powracało do normalnego rytmu. W dniu, w którym Margaret zabrała swoich uczniów na wycieczkę, Julie dostała paskudnego zapalenia okostnej i trzeba było wezwać Adama z pracy. Kiedy wróciła do domu, Julie leżała na kanapie, a ojciec zmieniał jej okłady i karmił ją lodami. Kiedy zachorował biedny Zack, oboje z Adamem wzięli go do weterynarza i byli przy jego śmierci, a potem przyszli do domu powiedzieć o tym Danny'emu, pocieszając go jak tylko mogli. Kiedy Julie zajęła drugie miejsce w rozgrywkach szkolnych, siedzieli razem w pierwszym rzędzie, a Adam przyniósł córce bukiet różyczek.

Tak więc pod wieloma względami życie na oko wracało do normy...

Mimo to Adam nie sypiał. W podwójnym łóżu, gdzie leżeli osobno, Margaret miała bolesną świadomość, że z jej mężem coś się dzieje. Nawet nie podnosząc głowy, widziała w ciemności, jak leży na wznak, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Wyobrażała też sobie, że ma zaciśnięte pięści. Kiedy czasem hudziła się w środku nocy, wyczuwając jego nieobecność, słyszała trzeszczenie starej podłogi w korytarzu. Słyszała jego kroki - tam i z powrotem, tam i z powrotem. Czternaście w jedną i czternaście w drugą stronę. Myślała, że oszaleje. Bo i ona też leżała, nie śpiąc, i czekając na jego powrót do łóżka.

Pewnej nocy wstała i zapytała Adama:

- Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie możesz spać?

- O co ci chodzi? Nigdy nie słyszałaś o bezsenności? -W mroku korytarza musiał dostrzec jej zatroskaną twarz, bo po chwili dodał: - Widzę, że ci przeszkadzam, nie wysypiasz się przeze mnie. Będzie lepiej, jeśli na jakiś czas przeniosę się do sypialni na dół.

W dawnych czasach, kiedy ludzie trzymali służbę, w małym pokoiku na tyłach domu sypiała tak zwana „dziewczyna”. Później, kiedy po swoim wypadku zamieszkała u nich matka Margaret, to ona zajęła mały pokój; ostatnio stał pusty.

„Serca rzeczywiście pękają - pomyślała Margaret. - Każdy banał znajduje uzasadnienie”.

- Tak, oczywiście, jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej - odpowiedziała spokojnie.

Megan pierwsza zapytała, co się stało.

- Ojciec źle się czuje, nie śpi po nocach, a nie chce mnie budzić - wyjaśniła Margaret.

- Rozumiem - odparła Megan z kamienną twarzą.

I co dalej? - zadawała sobie pytanie Margaret. - Opuścił ich wspólne łóżko. I nawet nie było żadnego, ale to żadnego ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Zresztą miała zbyt wiele dumy - obojętne, prawdziwej czy fałszywej - żeby się na kimkolwiek wspierać. Cóż, gdyby Nina była w domu, może byłoby inaczej. Ale w lecie będzie rok, jak ostatni raz ze sobą rozmawiały. „Muszę po prostu polegać wyłącznie na sobie - pomyślała - do tego się to w końcu zawsze sprowadza”.

## ***Rozdział 171***

Z zamkniętego tarasu, na którym ustawiali meble, Nina widziała turkusowy Atlantyk i linię śnieżnobiałych parasoli wzdłuż brzegu. Ze wszystkich frontowych okien ten widok ciągnął się aż po horyzont. „Gdyby tak polecieć prosto, ponad oceanem, toby człowiek wylądował aż w Maroku” -pomyślała.

Dom wspaniały, przestronny i pełen kwiatów, które stały w wielkich szklanych wazonach na posadzce z terakoty, a także wisiały na ścianach, był zupełnie nie w stylu Florydy; przypominał raczej domy plantatorów na Bermudach czy Karaibach. Na zewnątrz bladoróżowy, w środku został urządzony przez Ninę tak, jak urządzali swoje domy plantatorzy, przywożący z Anglii bezcenne chippendale'e. Willie i Ernie właściwie zostawiali jej w pracy wolną rękę. Nina po cichu bała się nawet trochę tej odpowiedzialności, ale skoro tak dobrze jej szło i klienci byli zadowoleni, no cóż... czuła się nawet dumna.

- To był wspaniały pomysł, Nino, żeby zbudować ten taras. Jerry i ja przyjeżdżamy tutaj tylko podczas letnich wakacji, kiedy Floryda jest za gorąca na to, żeby spędzać czas na powietrzu, więc na pewno to docenimy, możesz być spokojna.

Były to słowa jednej z córek właścicieli. Kupili i odrestaurowali ten letni dom na użytek trzech pokoleń. Nina się uśmiechnęła.

- Wygląda na to, że pokój dziecienny będzie dobrze wykorzystany.

Młoda kobieta odpowiedziała uśmiechem.

- Najpierw ja, a potem żona mojego brata. Ten dom chce być przydatny.

Kiedy Nina mocowała ostatnią taśmę na ostatniej zasłonie, stół był nakryty do lunchu. Odjeżdżając, widziała, jak mąż młodej kobiety wraca z plaży do domu, niosąc synka na barana. Razem zasiadą przy stole i zaplanują resztę dnia. I chociaż pomiędzy tym zasobnym domem a Elmsford nie było w zasadzie żadnego podobieństwa, to w obu panowała ta sama aura spokoju i stabilności. Przez całą drogę powrotną do hotelu Nina snuła miłe wspomnienia. Postanowiła, że tego ostatniego dnia przed wyjazdem do Nowego Jorku jeszcze sobie popływa, ale kiedy tylko weszła do pokoju, zadzwonił telefon.

- Co słyhać? - zapytał Keith. - Jak ci idzie?

- Wspaniale. Mieszkam w najwytworniejszym hotelu. Kiedy wyjeżdżam służbowo, Willie i Ernie traktują mnie jak księżniczkę.

- I słusznie. Bo jesteś księżniczką. A co byś powiedziała na towarzystwo?

- Co masz na myśli?

- Mam pewne sprawy do załatwienia na Florydzie i mógłbym sobie wziąć jeden dzień ekstra, jeśli chcesz.

- Jeśli chcę! Dzięki się sama we wspaniałym pokoju z ogromnym łóżem.

- Nie, nie, tam bałbym się pokazać. Na wschodnim wybrzeżu Florydy na pewno znajdzie się ktoś, kto mnie zna. Na zachodnim zresztą też.

- No to gdzie mielibyśmy się spotkać?

- Na końskiej farmie mojego brata. Czy raczej powinienem powiedzieć - na jego i mojej farmie. Mam na Florydzie coś do załatwienia. Mogłabyś tam przylecieć? Z miejsca, w którym jesteś, miałabyś ze dwadzieścia minut lotu.

- A co z twoim bratem? To znaczy... czy?...

- Czy mam do niego zaufanie? - Keith się roześmiał. - Bezwzględnie. Zresztą mojego brata nie będzie. Ale dwie służące przygotowują nam wspaniałą kolację. Jeśli nie liczyć tych dziewczyn i koni, mamy całą farmę dla siebie.

- To bardzo dobrze - powiedziała Nina.

Rozległy, niski dom leżał w dębowym zagajniku na końcu długiego, krętego podjazdu. Płaskie, zielone pola, podzielone

plotami, były teraz, w jaskrawym popołudniowym słońcu, usiane ciemnymi sylwetkami pasących się koni.

- To mi zupełnie nie wygląda na Florydę! - wykrzyknęła Nina.

- A już na pewno nie na Florydę taką, jak ją sobie wyobraża większość ludzi. Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego wrażenia. Lał deszcz i to miejsce z pewnością nie wyglądało najefektowniej, ale ja wiedziałem, że chcę je mieć. A najśmieszniejsze jest to, że właściwie nie mam kiedy z tej farmy korzystać. Ale mojemu bratu i jego rodzinie dostarcza ona wiele radości.

Weszli do wielkiego głównego pomieszczenia, z kominkami w obu końcach, z lśniąca ścianą okien, ze skórzanymi sofami i stertami książek dosłownie wszędzie.

- Jeśli takie wielkie pomieszczenie w ogóle może być przytulne, to właśnie to jest - zauważyła Nina.

W różnych wnękach i zakamarkach stały półki, a na nich wszelkiego rodzaju sprzęt - rakietki tenisowe, wędki, prawidła do butów.

- Te rzeczy w większości należą do dzieciaków Pete'a. To mój starszy brat. A jego dzieci to nastolatki. Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz spała. Gdzie będziemy spali - powinienem raczej powiedzieć. A potem wyjdziemy i obejrzysz samą farmę. Masz chociażby blade pojęcie o koniach?

Roześmiała się.

- Wiem tylko tyle, że jedzą owies, a niektórzy ludzie na nich jeżdżą.

Podniecony i radosny, Keith przegonił ją przez korytarz na górze i wprowadził do pokoju z ciemnymi hiszpańskimi szafami i rzeźbionym łóżkiem, przykrytym czerwoną jedwabną kapą. Grube poduszki przypomniały jej Pragę; dziś będzie ich pierwsza wspólna noc od tamtej pory. Wiedziała, że Keith z pewnością pomyślał to samo.

- Szkoda, że nie jeździsz konno. Ale może właśnie jest okazja, żeby cię trochę pouczyć.

- Och, nie, nie teraz!

- Dlaczego? Chyba się nie boisz?

- Szczerze mówiąc, nie, raczej się wstydzę, nie chciałabym zrobić z siebie przedstawienia. A poza tym nie mam odpowiedniego stroju.

- Wystarczą dzinsy. Poproszę Kamillę, żeby ci znalazła loczek którejs z dziewcząt i buty. Toczek jest dla bezpieczeństwa, a buty też są niezbędne, bo tenisówki nie pasują do strzemion. Gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, to powiedz Kamilli! - zawołał przez ramię. - Zupełnie nieźle rozumie angielski.

Z marmurowej łazienki wchodziło się do następnej sypialni. Przez uchylone drzwi Nina widziała ścianę zawieszoną fotografiami i medalami. Wchodząc głębiej, zauważyła, że należały one do chłopca mniej więcej w wieku Danny'ego, i zapewne do wspaniałego konia, którego trzymał za uzdę.

- Ładne zdjęcie, prawda?

- Ty pewnie jesteś Kamilla - powiedziała Nina, odwracając się do kobiety, niemal jeszcze dziewczynki, która pojawiła się z naręczem butów i toczków.

- Proszę przymierzyć. Tak, ładny chłopiec, prawda? A pani ma dzieci?

- Nie - odparła Nina krótko, nie chcąc, żeby ją wciągnięto w rozmowę o charakterze osobistym.

Ale Kamilla sama była dzieciakiem, gadatliwym i ciekawskim.

- Oni mają pięcioro. Duzi, duzi chłopcy. Wysocy. Przyjeżdżają tutaj i cały dzień jeżdżą konno. Miła rodzina.

- Tak - zgodziła się Nina. - Wezmę to. Dziękuję ci, Kamillo.

Keith czekał na nią przy drzwiach frontowych, po czym ruszyli razem przez łąki.

- Mam dla ciebie całą kieszeń kostek cukru. To ci pomoże w zawieraniu znajomości z końmi. Popatrz tam - powiedział, kiedy stali przechylając się przez ogrodzenie. - O, tam jest wspaniały okaz konia pełnej krwi.

Nadbiegł truchtem piękny ogier, maści przypominającej czarny atłas, wystawiając drżący pysk nad ogrodzeniem.

- Wie, że mamy coś dla niego. Wyciągnij do niego rękę, Nino.

Zwierzęta zwiedziały się o przysmaku i po chwili nad płotem pojawiły się jeszcze cztery urocze łby.

- Pete zna je wszystkie z imienia, nawet te, które zamierza sprzedać. O, popatrz tam! Coś, co cię na pewno zainte-

resuje. Widzisz tego złocistego? Dostrzegasz w nim jakąś różnicę?

- Ma bardzo szczupły pysk i dużo dłuższą szyję niż inne konie.

- Zgadza się. Pochodzi z centralnej Azji. To bardzo stara i bardzo rzadka rasa. Zapomniałem, jak się nazywa. Pete dowiedział się o tych koniach i udało mu się jednego kupić. Są bardzo silne, bardzo eleganckie, ale nie tak szybkie jak konie pełnej krwi. A teraz chodź, pójdziemy do stajni i wsadzę cię na siodło.

Zerwał się lekki wiatr, szumiąc w drzewach i kładąc trawy. Niektóre konie, wyraźnie uszczęśliwione, zaczęły gnać z wiatrem.

- Jaki piękny dzień! - wykrzyknęła Nina.

W stajniach panował chłód i słodkawy zapach siana, pozostałego z jesieni. Jedna z klaczy karmiła źrebaka, urodzonego zaledwie poprzedniego dnia.

- Będzie bardzo piękna, nie uważa pan, panie Keith? - powiedział jeden ze stajennych, wskazując źrebie.

- Jak jej matka, łagodna dama. Macie może jeszcze jedną taką łagodną damę dla mojej przyjaciółki? Ona nigdy nie siedziała na koniu.

Wyprowadzono więc dla Niny dosyć starą łagodną klacz. Keith wyjaśnił Ninie, jak dosiąść konia z lewej strony, jak trzymać ściągnięte w dół pięty, jak przełożyć wodze wokół małego palca i jak utrzymać prostą postawę.

- No, jazda, Nino. Jadę tuż za tobą.

Nina była zupełnie spokojna. Najpierw szli stępą dokoła padoku, ale po chwili wyjechali na ścieżkę do konnej jazdy, by tam spróbować lekkiego kłusa. Wiatr wzmógł się, smagając jej lekko zarumienione, nagrzane słońcem policzki.

Był to uroczy, cudowny dzień.

Płomienie świec chylły się w nagłych porywach wpadającego przez otwarte okno wiatru. Z wielkiego salonu do jadalni sączyła się muzyka. Otaczające Ninę piękno wydawało się zaraźliwe; ożywiona aktywnie spędzonym popołudniem i jednocześnie wypoczęta, była w bardzo dobrym nastroju. Czowała

delikatny dotyk pereł na szyi; lekkość, ręki trzymającej kieliszek wina.

- Widzę, że się dobrze bawisz - powiedział z uśmiechem Keith.

- Jeszcze jak! Powiedz, czy nie chciałbyś zostać tu na zawsze?

- Nigdy bym nie mógł sobie na to pozwolić. Szczerze mówiąc, mam tylko skromny udział w farmie. Prawdziwe pieniądze na koniach robi mój brat. - Nagle Keith spowaźniał. - Jest naprawdę bogatym człowiekiem, w przeciwieństwie do mnie.

Nina uświadomiła sobie, że Keith ostatnio dość często wspominał o trudnościach finansowych. Musiał mieć w domu jakieś kłopoty.

Sięgnęła przez stół i dotknęła jego ręki.

- Masz zmartwienia? - zapytała czule. - Pewnie myślisz o obciążeniach finansowych związanych z utrzymywaniem dwóch domów? Chyba się nie mylę, prawda? Nie obawiaj się, nie mam żadnych złudzeń co do twojego bogactwa... Sama zarabiam bardzo przyzwoicie i umiem szanować pieniądze. Nie wychowałam się w luksusach, tylko w skromnej amerykańskiej rodzinie, która, jak to się mówi, często z trudem wiązała koniec z końcem. Wiem, jak to jest.

Keith nie odpowiedział, co świadczyło o tym, że jest wzruszony jej słowami; nie miał wątpliwości, że płynęły prosto z serca.

Do pokoju wtargnęła muzyka, coraz to przybierając na sile. Keith wstał i podszedł do odtwarzacza.

- Landowska gra na harfie. Zrobię głośniejsze.

Melodia namiętna, rozedrgana, to wznosiła się, to załamywała, by wreszcie opaść w słodkim, płynnym strumieniu dźwięków. Gdzieś w jej głębi Nina odróżniła powracającą znajomą frazę - kiedy ostatnim razem była w domu, Julie akurat ćwiczyła ten utwór. Nagle ogarnęła ją fala nostalgii.

Dom! Wieczorami, po kolacji, słuchanie muzyki, rozmowa, szept obracanych kartek... byli razem. W tamtym różowym domu nad morzem, przy wspólnym lunchu, gospodarze też są razem... I oni, teraz, w tym domu, gdzie w kącie stoją rakiety tenisowe i buty do konnej jazdy, a z fotografii uśmiecha się chłopiec, gdzie koń na biegunach, wspomnienie czy



jegoś dzieciństwa, w dalszym ciągu stoi w korytarzu, są razem... Ale w Nowym Jorku, w swoim mieszkaniu, Nina może tylko samotnie czekać...

Od ciągłego migotania świec zakreśliło jej się w głowie. Czując mdłości, odsunęła deser i napiła się wody.

Muzyka umilkła i Keith zapytał:

- Nie smakuje ci ciasto?
- Smakuje, ale już nie mogę.
- Co się z tobą dzieje, Nino? Czymś się martwisz. Powiedz, o co chodzi.
- Przecież wiesz - odparła, nie chcąc nawet wymieniać prawdziwego powodu.

Keith westchnął.

- Tak, chyba wiem. Jest ciężko, bardzo ciężko. - Potrząsając głową, zagwizdał cicho. - Jeden z moich przyjaciół mówił mi niedawno, że rozwód kosztuje bajonierskie sumy. Astronomiczne.
- Chodzi o te wszystkie opłaty sądowe?
- To tylko część prawdziwych kosztów. Prawnicy każą sobie płacić jak Cygan za babkę, ale to dopiero początek.
- <sup>A</sup> jej ojciec jest prawnikiem, więc jak przyjdzie co do czego, będzie wiedział, jak cię przycisnąć. Jeśli przyjdzie co do czego, prawda?
- Nie wiem, Nino. Jeszcze nie jestem na tym etapie. Nie mówię o sobie, o szczegółach. Mówię ogólnie. - Keith westchnął znowu. - Ten rok był bardzo ciężki. A właściwie dwa lata. Operacje Eryka, ponowna choroba matki... Jego Oczy błagały o zrozumienie. I Nina rozumiała. Rozumiała, że Keith jest ofiarą swojej żony, która zacisnęła mu na szyi żelazną pętlę i która zagradza mu drogę do spokoju i szczęścia.
- Tak mi cię żal - wyszeptała. - Żal mi nas obojga. Keith wstał i uniósł jej twarz do góry.
- Darujmy sobie takie rozmowy - powiedział. - I tak nic dobrego nie przyniosą. Jeśli tylko okażesz cierpliwość, zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Chyba wiesz...

Uśmiechnęła się.

- Wiem...

- A ja jestem pewien! Posłuchaj mnie, kochanie, przyjechaliśmy tutaj dla przyjemności i będzie nam przyjemnie. -

W jego oczach zamigotał znajomy ogień. - Mamy przed sobą długą noc. Znowu mamy dla siebie całą długą noc! Kiedy ją pocałował, wstała i przytuliła się do niego. „Ciesz się chwilą - pomyślała. - Cierpliwości! Cierpliwości! Wszystko się jakoś ułoży. Dostaniesz to, na co czekasz. Byłoby głupotą tracić takie piękne chwile, zamartwiając się na zapas. Ufaj mu i kochaj go tak, jak on ufa tobie i cię kocha”.

A jednak cierpliwość podlegała wahaniom. Przychodziła i odchodziła, w zależności od stopnia zmęczenia czy zmian pogody. Pewnego dnia Nina zapytała Erniego, czy pożyczyłby jej samochód.

- Może we wtorek?

- No cóż, tyrałaś jak wół, więc nie widzę powodu, żeby ci odmawiać. A dokąd się wybierasz?

- Tylko do Westchester. To nie potrwa długo i możesz się nie obawiać o swój nowy samochód. Nie zrobię na nim nawet najmniejszej rysy.

Sprawdziła adres w książce telefonicznej i zobaczyła na planie miasta, jak tam dojechać. Dom był położony przy Plum Tree Road. Wjeżdżając na okryte świeżą zielenią przedmieścia, Nina zadawała sobie pytanie, czy w stronę domu Keitha gna ją niezdrowa ciekawość, czy masochizm. Bez względu zresztą na przyczyny pomysł był głupi, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że sam widok tego domu będzie dla niej bolesnym przeżyciem. Mimo to postanowiła go zobaczyć.

Okolice była piękna. Duże, eleganckie domy, zbudowane bez ostentacji i nie nadmiernie nowe, leżały wśród pól, niewielkich pagórków i pięknych krzewów. Przyroda wykształcona i dobrze wychowana - otoczenie w sam raz dla Keitha.

Jego dom również odpowiadał wyobrażeniom Niny - niska biała wiejska rezydencja na końcu długiego, lekko opadającego w dół trawnika. Tu i tam rosły różne okazy drzew, które właśnie zaczynały okrywać się liśćmi - ogromny, prawie stuletni buk, kępa cedrów i ostrokrzewów angielskich. Zaparkowała nie za blisko podjazdu - w tego typu osiedlach interesują się obcymi - ale dostatecznie blisko, żeby wyrobić sobie pogląd na całość. Po obu stronach drzwi wejściowych były po trzy okna. Jedno z nich, na piętrze, musiało należeć do

pokoju Keitha. A może jego sypialnia znajdowała się na tyłach domu? Wyobraziła sobie Keitha, jak wchodzi przez te drzwi i wychodzi, jak przemierza podjazd tam i z powrotem, jak spaceruje po trawie.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi frontowe i wyłoniły się z nich trzy postacie: kobieta i dwójka małych dzieci. Z tej odległości Nina nie widziała szczegółów, ale wyteżając wzrok, dostrzegła, że kucają, błysnęła łopatką, a kiedy cała trójka się oddaliła, pozostał sterczący do góry patyk, rodzaj witki. Posadzili drzewko.

Wzruszający widok - matka z dziećmi sadząca drzewka. A jednak Nina poczuła gorycz. Ta kobieta, której mąż już nie kocha, jeśli w ogóle kiedykolwiek kochał, jest z nim, jakby nigdy nic, spaceruje w słońcu, zabawia się, jak chce. I nic jej nie obchodzi! Ta kobieta jest z nim!

Może byś tak wreszcie dorosła i spojrzała prawdzie w oczy? Skoro popełniście błąd, przyznaj się do tego, na miłość boską, i przestań się czepiać tego człowieka. On cię już nie chce, ty głupia!

Nina miała ochotę wykrzyknąć to wszystko na głos, podejść do tej kobiety, rzucić jej to w twarz. Zamiast tego zapaliła silnik i w ponurym nastroju zawróciła w stronę miasta.

W na pół prywatnym gabinecie, gdzie Nick zawsze trzymał dla nich stolik, Nina czekała na Keitha. „Mała dziurka w pobliżu Trzeciej” nabrała niemal domowej przytulności, jak gdyby Nickjył kimś z rodziny.

- Dzwonił pan K. i prosił, aby pani powiedzieć, że spóźni się około dwudziestu minut. Podać pani jakiegoś drinka, czy woli pani poczekać?

- Nie, dziękuję bardzo, zaczekam.

Jeszcze pierwszego dnia, zaraz po tym, jak „pan K.” zrzucił maskę, Nina poczuła się, jakby jej z rąk i nóg opadły kajdany. Teraz to już nie może potrwać długo. Po prostu nie może. Od czasu tamtej rozkosznej nocy na Florydzie widzieli się tylko trzy razy i Nina nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Keitha. Za rzadko się spotykali, stanowczo za rzadko. Ostatnio zawsze coś im stawało na przeszkodzie - a to interesy, a to choroba jego matki. Cóż, ludzie nieraz latami czekają na

siebie. Skoro więc mają czekać lata, to niech tam... Ale nie, ona musi wiedzieć. Kiedy się wie, przynajmniej można skreślać dni w kalendarzu; wtedy jest łatwiej wytrzymać. Czy rzeczywiście? Czula się straszliwie niepewnie...

- No, jestem - powiedział Keith i pocałował ją na powitanie. - Umieram z głodu. Nawet nie miałem czasu zjeść lunchu. - Usiadł i rozłożył serwetkę. - Jak ci minął dzień?

- Jeśli mam być szczerą, to bardzo dobrze. Ludzie z tego różowego domu na Florydzie szalenie mnie komplementowali, a Willie był ze mnie taki zadowolony, że aż mi wstyd.

- Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce będziesz bogatą osobą. Nie wiem, co to znaczy być bogatym. Owszem, lubię ładne rzeczy, ale mogę bez nich żyć. Potrafię się zadowolić małym.

- Zawsze mi to powtarzasz. Słyszałem to co najmniej pięćdziesiąt razy.

- Naprawdę? Zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Coś nowego od ubiegłego tygodnia? Twoje dziewczęta wybierają się do ciebie z wizytą?

- Nie. Matka im nie pozwala. Adam by je puścił, ale ona mówi, że jak długo ja się z nią nie komunikuję - tak, to jest właśnie to słowo, „komunikuję” - nie przyśle tutaj Megan i Julie podczas wiosennych ferii. Szkoda, bo one nigdy nie widziały Nowego Jorku.

- To rzeczywiście wielka szkoda. Mogłabyś im urządzić wspaniały pobyt.

- Adam twierdzi - mieliśmy długą rozmowę z jego telefonu służbowego oczywiście - że Margaret bardzo boleje z powodu tego, co się między nami stało, i chciałaby, żebyśmy przyjechała do domu. Ale ja tam nie pojedę bez ciebie. To jest naprawdę poniżające. Mam tego dość. Nie wiem, co ona sobie wyobraża - że mężczyzna powinien żyć dalej z żoną, która nawet nie chce z nim sypiać? Ma z siebie robić ofiarę, czy co? - Nina westchnęła. - Nigdy nie przypuszczałam, że Margaret może być taka ograniczona. Zawsze była bardziej tolerancyjna od Adama. Mimo to ja go naprawdę uwielbiam. Jest dla mnie jakby bratem i najlepszym przyjacielem.

- Cieszę się. To dobrze, kiedy kobieta, nawet taka niezależna jak ty, ma w rodzinie oparcie w silnym mężczyźnie, na wypadek, gdyby potrzebowała pomocy.

- Mam nadzieję, że nie będę potrzebowała. I jeśli chodzi o mnie, to by było wszystko. A co u ciebie?

- Nic specjalnego.

Nina spojrzała na niego pytająco.

- W dalszym ciągu nic?

- Trudno rozwinąć dużą szybkość, jak na każdym kroku są przeszkody - odparł cierpko Keith.

Nie chciała zepsuć wieczoru, nie chciała przywoływać bolesnego tematu. Ale skoro powiedziała a... Bardzo, ale to bardzo łagodnie zapytała:

- To wszystko tak długo trwa... A wspominając o przeszkodach, co miałeś na myśli?

- Och, to co zwykle. Czy musimy teraz do tego wracać?

- No bo... właściwie niewiele mi mówisz... I pomyślałam sobie... czy to nie jest dziwne, że po tak długim czasie nawet nie wiem, jak wygląda twoja żona?

- Już ci mówiłem. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Powiedziałeś mi tylko, że jest stara jak świat.

- Czy to nie wystarczy?

- A nie możesz mi powiedzieć nic więcej?

- Proszę cię, Nino. To naprawdę do niczego nie prowadzi. Nie psujmy sobie kolacji.

Zakręcił kieliszkiem, łyknął wina i skrzywił się.

- Nick mógłby się lepiej postarać. Chociaż trzeba przyznać, że jestem zepsuty. Mój brat to koneser win i ze mnie też usiłuje zrobić konesera. Czy zwróciłaś może uwagę na wino, które piliśmy u niego?

- Było bardzo dobre, ale ja się na tym nie znam.

- Było wspaniałe, jeden z najlepszych gatunków burgunda. Ale Nina nie chciała rozmawiać o winach. Trudno rozwinąć

dużą szybkość. Na każdym kroku przeszkody...

Nagle poczuła wielkie zmęczenie. Najwyższy czas, żeby właśnie teraz powiedzieć sobie otwarcie, na czym polegają te przeszkody. Odłożyła widelec, gotowa zacząć, ale Keith ją uprzedził:

- Chciałem poczekać do końca kolacji, ale nie mogę. Może cię interesuje, dlaczego się dziś spóźniłem? O, dlatego.

Z triumfalnym uśmiechem odchylił marynarkę i z wewnętrznej kieszeni wyjął wąskie aksamitne pudełeczko.

- Otwórz je i nie wąż się nawet powiedzieć „nie”, jak to zwykle robisz.
- Ale dlaczego, Keith? Dlaczego? Przecież wiesz, że ja...
- Otwórz pudełko - rozkazał.

Czując dziwny zamęt, Nina otworzyła pudełko i oniemiała. Na czarnym aksamicie leżała ciężka bransoleta z brylantów, oszłamiająca w swojej niebywalej prostocie: żadnego złota, żadnych ozdób, tylko czyste, dziewicze klejnoty.

Keith nadal uśmiechał się w oczekiwaniu na jej radosne zdumienie. I rzeczywiście, Nina była zdumiona, ale radości jakoś zabrakło. Nie widziała najmniejszego powodu, żeby przyjmować od niego taki bajeczny prezent.

- No i co?

Wydała oczekiwany okrzyk podziwu.

- Jest fantastyczna! Ale nie powinienes... to znaczy bardzo miło z twojej strony, ale to... to jest o wiele za dużo. Naprawdę stanowczo za dużo. Ja tego nie mogę przyjąć. Nie mogę.

- Nie bądź głupia. Ja o tym decyduję. Włóż tę bransoletkę. Nikt akurat nie patrzy. No, chcę zobaczyć, jak w niej wyglądasz.

Nie mając pretekstu, by mu odmówić, zapięła bransoletkę na rękę. Klejnot migotał na przegubie jej ręki, zdając się mówić: jestem dla ciebie zbyt kosztowna, nie pasujemy do siebie.

Keith z satysfakcją skinął głową.

- Tak. Nie jest ani za wąska, ani za szeroka. Jest elegancka, klasyczna.

Nina zaprotestowała:

- Czy ty nie widzisz, że ona nie pasuje do mojego stylu życia? Ja po prostu nie mam gdzie nosić tego typu rzeczy. To nie dlatego, żebym była niewdzięczna, proszę cię, zrozum mnie, ale...

- Przecież to nie jest nic specjalnie uroczyściego. Możesz ją spokojnie włożyć, idąc na lunch z określonym typem klienta w jakieś stosowne miejsce.

- Ale nie do baru szybkiej obsługi w najbliższym sąsiedztwie.

„Gdybym była jego żoną - pomyślała - przyjąłabym wszystko, co tylko zechciałby mi ofiarować. Ale teraz jest na to za

wcześnie. Coś tu w tym wszystkim nie gra". I z wielką, jak jej się wydawało, delikatnością zaczęła go przekonywać:

- Keith, to jest naprawdę najcudowniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić, ale, kochanie, przyjmując taki prezent nie czułabym się dobrze. Mimo tego, co mówisz, to nie pasuje do mojego czy naszego obecnego stylu życia - jeszcze na to za wcześnie. Proszę cię, zabierz to, dobrze?

- Nie, nie zabiorę. Bransoletka świetnie do ciebie pasuje, jest tak piękna jak ty i życzę sobie, żebyś ją nosiła. Jeszcze nigdy nie dostałaś ode mnie przyzwoitego prezentu. Nie denerwuj mnie. Proszę, schowaj ją do pudełeczka i do torebki. I jutro ubezpiecz. Posłuchaj mnie, Nino - Keith obrzucił ją długim, poważnym spojrzeniem - to jest mój sposób, pewnie niezręczny, żeby ci podziękować za to, kim jesteś, za szczęście, jakie mi dajesz. A dajesz mi go wiele, maleńka.

Nina poczuła napływające do oczu łzy. Keith skruszył jej opór, była zawstydzona.

- Weź moją chustkę. Wy, kobiety, jesteście śmieszne - płaczecie w chwilach szczęścia! No bo chyba jesteś szczęśliwa, prawda?

Był bardzo zadowolony; miał taką minę, jaką ma człowiek dorosły, kiedy zrobi przyjemność dziecku. W jego twarzy było tyle słodyczy. Czy mogła się dalej upierać? Jak zwykle pomyślała o stresach, którym Keith podlegał na co dzień - jak choćby te powroty do miejsca, w którym nie chciał być.

- Przecież podoba ci się ta bransoletka?

- Bardzo, ale w dalszym ciągu uważam, że nie powinieneś mi dawać takich prezentów, w każdym razie nigdy nie zapomnę tego wieczoru i tego, co powiedziałaś, dając mi tę bransoletkę.

Kiedy spojrzała przed siebie, na znajdującą się w pewnym oddaleniu ścianę luster, zobaczyła swoją uśmiechniętą twarz. Przez chwilę patrzyła zdumiona na tę młodą kobietę o lśniących włosach, ubraną w jaskrawą zieleń i mieniące się kolczyki. Ogarnęła ją rozkoszna fala ciepła i spokoju.

W tej atmosferze skończyli uroczystą kolację. Kiedy wyszli na ulicę, w rześki wiosenny wieczór, Nina zaproponowała:

- Jest tak pięknie. Może byśmy przespacerowali się do mnie na piechotę?

- Dziś nie mogę do ciebie iść, Nino. Muszę się dostać jak

najprędzej do pociągu, bo jadę z moim partnerem do domu, żeby przejrzeć sprawozdanie, z którym i tak jestem spóźniony. - Pocałował ją delikatnie na pożegnanie. - Mam na głowie, kochanie, sto najróżniejszych spraw. Przez chwilę stała, patrząc, jak taksówka ginie w ruchu ulicznym. Być kochaną to w końcu najważniejsze! Ależ ona ma szczęście! Jak mogła choćby przez chwilę w to wątpić? W drodze do domu czuła do mijających ją spiesznie przechodniów dziwną życzliwość, pragnęła, żeby byli tak samo szczęśliwi jak ona.



## ***Rozdział 185***

- Nie powinnaś była tam chodzić - powiedział łagodnie Adam. - A gdyby cię zobaczyła?

- Nie bój się. Już ja zadbałam o to, żeby mnie nie zobaczyła.

Adam przeniósł wzrok z telefonu na stojące obok zdjęcie rodzinne, na którym zaraz na froncie widoczna była Nina. Biedaczka! Taka młoda i już uwikłana w takie problemy! Kto jak kto, ale Adam doskonale rozumiał i ją, i tego faceta, tego jej Keitha. To dokładnie tak, jak z nim i biedną Randi; też się znaleźli między młotem a kowadłem.

- Nie martw się o mnie - powiedziała Nina. - Przez kilka dni po tamtym wypadzie byłam kompletnie rozbita, ale teraz już wszystko w porządku. Ty przecież wiesz, że mogę być na dnie, a już za chwilę się z niego dźwigam. Oczywiście nie dzwonię do Keitha do pracy, więc kiedy jest mi smutno, dzwonię do ciebie i zawsze czuję twoje wsparcie. To dziwne - biorąc pod uwagę twoje małżeństwo - że mnie tak dobrze rozumiesz..

- Tak, rozumiem cię bardzo dobrze.

- Szkoda, że Margaret jest taka nieprzejednana. Nie rozumiem, dlaczego, przy takiej zgodności między wami, nie możesz na nią wpłynąć w sprawie Keitha i mnie...

- Myślę, że to jest właśnie jedna z tych rzeczy, których Margaret nie rozumie, ale będę próbował.

- No, darujmy już sobie te przykre sprawy. Porozmawiajmy lepiej o Megan i jej eseju; to wspaniała historia. Zawsze wiedzieliśmy, że jest zdolna, ale że aż tak... Chciałabym przysłać jej jakiś prezent.

- Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że do niej napiszesz z gratulacjami.

- Nie, chciałabym, żeby to był prezent. Pierwsze miejsce w stanowym konkursie na najlepszy esej zasługuje na coś konkretnego. Ale ty nigdy nie lubiłeś celebry.
  - Rzeczywiście. To dobre dla takich ludzi jak Gil i Luiza. Słyszałem, że podobno Luiza coś szykuje dla Megan.
  - Ona ma bardzo dobre serce. Lubię Luizę.
  - Ty lubisz wszystkich.
  - Owszem, prawie. Ale teraz muszę już iść, ty pewnie też. Niedługo znów do ciebie zadzwonię, Adam.
  - Głowa do góry. Wszystko będzie dobrze, kochanie. Miłość zawsze zwycięża.
  - Miłość zawsze zwycięża - powiedziała Randi - a widzę, że i ty powoli zbliżasz się do zwycięstwa... nad sobą.
- Nie od razu odpowiedział. Jego konflikt wewnętrzny był tak ostry, że ostatnio, ilekroć ten problem pojawiał się w rozmowie, dosłownie odbierało mu głos.
- W domu było zimno, zimno jak w grobie i Adam chciał się z niego za wszelką cenę wydostać. Ale sumienie za każdym razem udzielało mu ostrej reprymendy. Nocami, kiedy nie mógł spać, niemal słyszał, jak matka; głęboko wstrząśnięta, stara się sprowadzić go na drogę cnoty: „Jak mógłbyś to zrobić Margaret? Już zapomniałeś, jak przywoziłeś do domu wasze nowo narodzone dzieci i jak je razem karmiliście? Zapomniałeś, jak Margaret opiekowała się mną, twoją matką? Mało którą synową byłoby na to stać. Już zapomniałeś?”.
- Czasami wydaje mi się, że zwariuję - powiedział Adam.
  - Nie, kochanie, nie zwariujesz. Obudzisz się pewnego ranka i stwierdzisz, że ktoś rozwiązał za ciebie wszystkie problemy. Ale na dziś dosyć już tego dobrego. Zapraszasz mnie w sobotę na urodzinowy lunch?
  - Naturalnie. Żałuję, że nie na kolację, ale nie mam żadnej wymówki na sobotnie wieczory.
  - Aha, sławetne życie towarzyskie?
  - No powiedzmy, mamy na kolacji sąsiadów. Tym razem kolej na nas.
  - Będziesz miał mnóstwo czasu. Zrobiłam wczesną rezerwację, na dwunastą trzydzieści.
  - Rezerwację? A dokąd mamy iść?

- Masz taką skołowaną głowę, że już zapomniałeś? Idziemy do „Villandry”, francuskiej knajpki, o której pisali w zeszłym miesiącu. Moja szefowa tam była i mówi, że jest fantastyczna, to jedyne miejsce w najbliższej okolicy, gdzie dają prawdziwie francuskie jedzenie.

- Nie powiedziałbym, żeby to była najbliższa okolica -zaoponował Adam, który ostatnio nabrał awersji do jakichkolwiek zmian i nerwowej niechęci do poznawania nowych miejsc.

- Wielka rzecz, osiemdziesiąt kilometrów autostradą w piękny wiosenny dzień! Czy jest w tym coś złego? Raz--dwa będziemy z powrotem. Przecież nigdzie bliżej nie możemy się razem pokazać, prawda?

„Villandry”, jeśli nie była „fantastyczna”, to w każdym razie stanowiła całkiem przyjemną podróbkę francuskiej restauracji, jakiej by się nie powstydzilo żadne światowe miasto. Na ścianach wisiały obrazki przedstawiające zamki francuskie, a wielka obfitość kwiatów - tulipanów, irysów i narcyzów -stanowiła efektowną dekorację. Obsługa była sprawna, a jedzenie wyśmienite. Mniej więcej w połowie kurczenia z grzybami w winie Adam uznał, iż jest zadowolony, że tu przyszedł.

Nie dostrzegł żadnych znajomych twarzy. Klientela, jak się zorientował, pochodziła głównie ze stolicy stanu, czyli z dość daleka. Na wszelki wypadek obmyślił jednak sobie, jak w razie czego przedstawi Randi. Otóż miała reprezentować klienta spoza stanu, Jrtojdąwszy tę decyzję, popadł w rzadki u niego, ale jakże miły stan beztroski. Nagle jakby piorun w niego strzelił, dosłownie zaniemówił. Właśnie prowadzono do stolika w pobliżu drzwi dwie osoby. Jedną z nich była Luiza, drugą Megan.

- O Boże - jęknął, upuszczając widelec na podłogę.

- Co się stało?! - zawołała Randi.

- Jest tutaj moja córka. Megan. Ta dziewczynka w żółtej garsonce, o tam.

- Nie panikuj. Co zamierzasz zrobić?

- Paść trupem, jak sądzę.

- Nie bądź idiotą. Kto to jest ta kobieta?

192

- Słynna kuzynka Luiza. To musi być ta zapowiedziana niespodzianka dla Megan.
- Posłuchaj, Adamie. Weź się w garść, zanim padniesz trupem. Różne rzeczy się zdarzają, mój przyjacielu. A ty musisz je brać takimi, jakie są.
- Gdyby były tu jakieś inne drzwi, ulotnilibyśmy się, zanim mnie zobaczą. Ale nic takiego nie widzę. - Adam rozglądał się rozpaczliwie.
- Mógłbyś zademonstrować efektowną ucieczkę przez kuchnię.
- Daruj sobie te złośliwości, Randi. O Boże, Megan idzie do toalety. Jak ja jej wytłumaczę...
- Przecież już wszystko zaplanowałeś. Mogę być klientką, konsultantką, kim tylko chcesz...
- Tak, tak, oczywiście... o, Megan, co tu robisz? Nie wiedziałem, że się tu wybierasz?...
- Ani ja. Ciocia Luiza zabrała mnie najpierw na zakupy, a potem przyjechałyśmy tutaj.
- To wspaniale. - Adam wstał, żeby przywitać się z córką, po czym usiadł z powrotem. - No, ale nie zatrzymuję cię. Jesteś z cicią Luizą - powiedział, marząc o tym, żeby Megan jak najprędzej sobie poszła. Jednak dobrze wychowana dziewczynka czekała, aż zostanie przedstawiona. A może... po prostu była ciekawa?
- Moja córka Megan - powiedział Adam. - A to pani...
- Bunting, Randi Bunting - dodała bardzo wyraźnie Randi. Po jakiego diabła to zrobiła? Adam, przydeptując mocno jej obutą w sandał nogę, wyjaśnił:
- Mamy tutaj ważne rozmowy służbowe. Chodzi o firmy komputerowe. Trzeba cały czas utrzymywać się na powierzchni. Ciągłe są nowe pomysły. - Robił z siebie kompletnego durnia.
- Jesteś bardzo podobna do ojca - powiedziała Randi. - Ty i twoja siostra.
- Wszyscy mi to mówią - odparła Megan, obserwując czerwoną twarz Adama.
- Jest ładniejsza ode mnie - próbował żartować Adam. Ale Megan nie uśmiechnęła się w odpowiedzi. Adam, jakby widząc w jej dojrzałym taksującym, pełnym skupienia wyrazie twarzy siebie, po fali gorąca poczuł przejmujący chłód.

- Miło mi było panią spotkać, życzę smacznego lunchu -powiedziała Megan i zniknęła w toalecie.
  - Bolesnie przydepnąłeś mi nogę - powiedziała z wyrzutem Randi.
  - Zrobiłem to celowo. Dlaczego, do licha ciężkiego, podałaś swoje nazwisko?
  - Bo najbezpieczniej jest mówić prawdę.
  - Idź do diabła! Nie widzisz, co narobiłaś? Ręka mnie świerzbi, żeby ci przyłożyć.
  - Posłuchaj mnie, mój drogi. Prędzej czy później sprawa i tak musiała wyjść na jaw, więc im prędzej, tym lepiej.
  - A niby co w tym lepszego? Zresztą łatwo ci mówić. Zobaczyłaś moją córkę. A jeszcze dwójka jest w domu. -W gardle miał kluczę, wielką jak jabłko. „Jabłko Adama” -pomyślał i wybuchnął śmiechem, który przypominał szloch.
  - Tak, widziałam twoją córkę. I co, uważasz, że ten fakt ją zniszczy? Bynajmniej. To silna, inteligentna dziewczyna. Wygląda bardziej na dwadzieścia siedem, a może nawet trzydzieści siedem lat, niż na swoje siedemnaście. Przynajmniej ja tak uważam. Żeby ją zniszczyć, trzeba znacznie więcej niż tego, że zobaczyła mnie tutaj.
  - Dziękuję ci bardzo za dogłębną analizę. - Adam odsunął talerz. - Chcę stąd iść. Możesz się pospieszyć?
  - Tak, pospieszę się. Mój urodzinowy lunch. Po prostu uroczy dzień.
  - To ty ten dzień zepsułaś. Gdybyś trzymała buzię na kłódkę, wybrnąłbym z tego bez trudu.
  - Aż do następnego razu. Wiesz, co ci powiem? Musisz mi podać datę. Dość tej zabawy w kotka i myszkę. Podaj mi dokładną datę, kiedy od niej odejdziesz, i to niezbyt odległą. Musisz mi podać datę.
  - O, widzę, że stawiasz mi ultimatum?
  - Możesz to tak nazwać. Mam już tego dość, i tyle. To jest upokarzające. I bardzo cię proszę, nie strofuj mnie, że podałam swoje nazwisko. W ten sposób przyspieszyłam bieg wypadków i kiedyś będziesz zadowolony, że to zrobiłam. A teraz chodźmy stąd.
- Lawirując wśród stolików, zdołali jakoś wyjść z restauracji, unikając spotkania z Luizą. Kiedy znaleźli się w samochodzie, Randi odchyliła głowę na oparcie i oświadczyła, że chce

spać. Adam prowadził w ciszy tak głębokiej, że aż dzwoniła w uszach, zagłuszając łomot krwi. Wylew nie byłby może takim złym wyjściem z sytuacji, pod warunkiem, że zabije na miejscu. Niezły sposób na rozwiązanie wszystkich problemów.

Spojrzał na Randi. Jej powieki drgały. Udawała, że śpi. W pewnej chwili zobaczył, jak po jej policzku spływa mała, okrągła, tęczowa łza, i poczuł, że jego złość gdzieś się ulatnia. Może miała rację, że najlepiej mówić prawdę. Tylko że to jest takie trudne... Pomyślał o Ninie. Przypomniało mu się, jak kiedyś szlochała w telefon, a on był nieszczęśliwy, że nie mógł jej pomóc. Czyżby nie mógł pomóc również Randi? Trzymała ręce luźno na kolanach, a jej palce, lekko zgięte, wydały mu się takie delikatne, takie kruche.

- Uważaj na drogę - powiedziała. - Nie patrz na mnie.

- Kiedy nie mogę.

- Myślałam, że jesteś zły.

- Byłem. Jestem. Ale nie chcę być zły.

- Musisz się zdecydować. A teraz naprawdę chcę spać. Obudziła się, kiedy zatrzymał samochód przed jej domem.

- Wchodzisz? - zapytała.

- Nie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pojedę do domu i stawię czoło temu, co mnie czeka.

Przez chwilę stali otoczeni ponurą ścianą świerków, ciemną, poza jasnymi pędzelkami nowych przyrostów, przypominających żółtozielone czapeczki. Adam spojrzał w górę i pomyślał, że jednak istnieje wiele powodów, by cieszyć się życiem. Gdyby tylko...

- Proszę cię, żebyś do mnie nie przychodził, dopóki nie podasz mi daty - powiedziała cicho Randi. - Mówię poważnie.

I znów zaczęła płakać, a na płaczącą Randi Adam nie mógł patrzeć.

- Postaram się - wymamrotał. - Czekaj na mnie, Randi. Spróbuję. - I ruszył w stronę samochodu.

Kiedy przyszedł do domu, Megan, nadal w swojej modnej, eleganckiej garsonce, czytała książkę. W milczeniu uniosła wzrok znad lektury, i Adam znów odniósł wrażenie, że go szacuje.

- Mama w domu?

- Na górze. Armstrongowie nie przyjdą. Ona jest zaziębiona. Mama się przebiera.
- To zrobimy sobie kolację w rodzinnym gronie. - Przerwał, szukając odpowiednich słów - miłych, normalnych, zwyczajnych. - A to dla mnie i dla ciebie oznacza drugi już dzisiaj obfity posiłek.
- Właśnie.

Chwilami, kiedy tego chciała, potrafiła mówić jak doświadczona kobieta, kiedy indziej znów zachowywała się jak typowa siedemnastolatka.

- Jesteś zadowolona? Ciocia Luiza wspaniale uczciła twój sukces, prawda?
- Prawda.
- Mówiłaś, że byliście też na zakupach.
- Tak.

Adam brnął dalej:

- A co kupiłyście?
- Sweter i perfumy. Perfumy od wujka Freda. Dał mi pieniądze, żebym sobie sama wybrała.
- No, no, jestem z ciebie dumny, Megan. Oboje z mamą jesteście z ciebie dumni.
- Dziękuję.

Odchrząknął, zakasłał i wreszcie powiedział:

- Chciałem cię o coś zapytać, Megan. - Spiskowanie z dzieckiem przeciwko drugiemu rodzicowi było czymś wysoce niewłaściwym. Nigdy się do tego nie posuwał, ale teraz, w obliczu nadciągającego kryzysu, uznał to za konieczne.
- Bardzo cię proszę, żebyś nie mówiła mamie o naszym dzisiejszym spotkaniu. To nie było nic szczególnego, zwykły służbowy lunch. Ale boję się, że mama mogłaby to źle zrozumieć, a nie chciałbym jej denerwować.

Megan podniosła głowę i rzuciła mu chłodne, przeciągłe spojrzenie.

- A niby dlaczego miałoby ją to zdenerwować? Mama się tak łatwo nie denerwuje.
- Trudno mi to wyjaśnić. Pozory bywają nieraz bardzo mylące, więc...
- Jeśli nie powiem mamie, to tak, jakbym ją okłamała -zaczęła Megan - więc...

- Tato! Strzeliłem bramkę! - Do pokoju wpadł Danny z Rufusem i rozmowa nagle się urwała.
- Bramkę? - powtórzył Adam, zadowolony z tego obrotu sprawy. - To fantastycznie. Powiedz nam o niej coś więcej. Kiedy Danny, przy kolacji, w dalszym ciągu opowiadał o swojej bramce, Adam, udając entuzjazm, od czasu do czasu ukradkiem zerkał na Megan. Tego dnia zachowywała się jak dorosła. Zwrócenie się do niej z taką prośbą było wyjątkowo głupie. Nie tylko niewłaściwe, ale i głupie. Danny i Julie byliby dumni z takiej tajemnicy i prawdopodobnie by jej dochowali, ale Megan jest już za mądra i za bystra na to, by nie powziąć podejrzeń. Poza tym Randi nie robiła wrażenia osoby, która załatwia służbowe sprawy; wyglądała na to zbyt frywolnie i zanadto była rozanielona. A zresztą, może niepotrzebnie robi z igły widły.
- Mamo - powiedziała Julie - słyszałam, jak ktoś mówił, że Megan ma szczęście, że ty jej nie uczysz biologii. A właściwie dlaczego ty jej nie uczysz?
- Bo jest taka zasada, że dzieci nie chodzą do klas, w których uczą ich rodzice. Ale nie rozumiem, dlaczego uważasz, że to dla Megan szczęście.
- Bo podobno ty oceniasz surowiej niż pani Duncan. Margaret była wyraźnie ubawiona. Miała na twarzy ten swój ujmujący uśmiech, z którym wydawała się taka bezbronna.
- O Boże - pomyślał Adam.
- Czemu jesteś taka milcząca, Megan? - zapytała Margaret. - Nie opowiedziałas nam o swoim uroczystym lunchu.
- Był dobry. Jadłyśmy...
- Mamo, czy mogę sobie dołożyć krewetek? Dlaczego jemy krewetki tylko wtedy, kiedy mają przyjść goście?
- Tak, proszę cię, Danny, są w lodówce. Ale nie przerywaj. Teraz mówi Megan.
- Nic ważnego. Poza tym, że... - Dziewczyna otworzyła usta i zaraz je zamknęła.
- Poza czym?
- Nic takiego.
- Nie dręcz nas, Megan. Powiedz wreszcie, o co chodzi.



- Poza tym, że w restauracji spotkałyśmy tatę. Nie mówił ci?
- Dopiero co przyszedłem do domu - pospiesznie wyjaśnił Adam. - Jeszcze nie miałem okazji. Tak, rzeczywiście, byłem tam na lunchu z przyszłą klientką. A przy okazji, pani Browning powiedziała, że jesteś bardzo ładna, Megan. To miła osoba.

Megan zmierzyła ojca wzrokiem.

- Tamta pani nie nazywała się Browning, tylko Bunting. Randi Bunting.
- Bunting?! - wykrzyknęła Margaret. - To ta, którą spotkaliśmy wtedy w Nowym Jorku. Ta, którą znałeś jeszcze z uniwersytetu stanowego...
- Tak, Bunting. A powiedziałem inaczej? To przepraszam, pomyliłem się. Miałem na myśli Bunting.
- A ja myślałam, że ona mieszka w Kalifornii - powiedziała Margaret.
- Bo mieszkała, ale jakiś czas temu przeprowadziła się tutaj i spotkałem ją przypadkowo na terenie służbowym.
- Nie mówiłeś mi o tym. Adam postanowił iść w zaparte.
- Owszem, mówiłem, Margaret. Mówiłem ci, co to był za dziwny zbieg okoliczności, kiedy ją spotkałem.
- Nie, Adamie, nie mówiłeś.
- Ciekawe, byłem przekonany, że ci o tym wspomniałem. A zresztą wszystko jedno, nieważne.

Margaret poprawiła się na krześle. Kiedy na niego spojrzała, jej twarz nie miała żadnego szczególnego wyrazu. I to właśnie, ten brak wyrazu, ten całkowity spokój, powiedział mu znacznie dobitniej niż jakiegokolwiek słowa, że Margaret wie wszystko. Że ona wie.

Megan patrzyła w talerz. I ona też wiedziała. Och, Megan - zadawał jej w duchu pytanie - dlaczego to zrobiłaś? Danny i Julie, nieświadomi wiszącej w powietrzu burzy, jak zwykle przekomarzali się między sobą. Milczenie prze-rwała Megan.

- Posprzątam ze stołu - powiedziała.
  - Mama zrobiła lody! - wykrzyknął Danny. - Truskawkowe!
- Podano lody w porcjach i Adam, któremu policzki dosłow-

nie płonęły, z ulgą powitał odmianę. Ta kolacja wlokła się niemiłosiernie długo. „Muszę ją szybciej zakończyć, bo stan zawieszenia, w jakim się znalazłem, jest nieznośny” - pomyślał Adam. Nie miał zielonego pojęcia, co powiedzieć, kiedy znajdzie się sam na sam z Margaret. Najprawdopodobniej będzie to zależało od tego, co powie ona, a niewątpliwie będzie miała wiele do powiedzenia. Poczul w piersi dziwne trzepotanie, przeczucie czegoś ponurego. Siedział więc w milczeniu i jadł lody.

Gdy Julie skończyła ćwiczyć, Danny zajął się na górze odrabianiem lekcji, a Megan poszła odwiedzić swoją najlepszą przyjaciółkę, Adam został sam w pokoju, który matka Margaret nazywała „wewnętrznym salonikiem”. Kiedy tak siedział samotnie, pomyślał, że te wiktoriańskie ściany jeszcze nigdy nie słyszały tego, co najprawdopodobniej przyjdzie im usłyszeć dzisiaj.

Doszedł też do wniosku, że zamiast czekać tu na Margaret, sam powinien do niej pójść. Ale jednocześnie zaobserwował u siebie całkowity zanik woli. Niezależnie od tego, jakie słowa padną między nimi, jakie oskarżenia, wykrety, kłamstwa czy prawdy, w dalszym ciągu trzeba będzie odpowiedzieć na to najważniejsze zasadnicze pytanie - co dalej? Przypomniały mu się wszystkie jego rozmowy z Randi, które niezmiennie, przynajmniej dla niego, bo ona doskonale znała odpowiedź, kończyły się zawsze tym samym pytaniem - co dalej?

Margaret pojawiła się w długim białym szlafroku. Adam był zdziwiony, że poszła na górę się przebrać, jak gdyby zamierzała iść spać, nie odzywając się do niego, a potem zmieniła plany.

- Ty wolisz zacząć, czy ja mam to zrobić? - zapytała.

- Proszę, zacznij ty.

- Mam tylko jedno proste pytanie. Dlaczego mnie okłamywałeś?

Plan, jaki powoli, stopniowo, zaczynał się krystalizować w jego myślach, różnił się w sposób zasadniczy od tego, na co się zapowiadało. Sądził, że to on będzie reżyserem tej rozmowy, osobą, która wybierze właściwy moment, najlepiej po kłótni, i dopiero wtedy przejdzie do sprawy rozwodu. Nie

musiałby nawet wspominać o istnieniu innej kobiety. A tak stał się nagle oskarżonym.

- Nie powiedziałbym, że cię okłamywałem - zaczął ostrożnie. - Po prostu nie zawiadomiłem cię, że idę na lunch z tą kobietą, ale wydało mi się to tak mało...

Margaret przerwała mu ostro:

- Bardzo cię proszę, nie traktuj mnie jak dziecko. Sądzisz, że czuję się aż tak niepewnie, iż miałabym coś przeciwko twojemu pójściu na lunch z kobietą, z którą łączą cię interesy? Nie, Adamie, przejdźmy od razu do sedna sprawy, do tych jej elementów, które pasują do siebie jak części łamigłówki. Przejdźmy do późnych posiedzeń w ADS-ie, których nigdy nie było, do sobotnich zaległości w pracy, które nie istniały, oraz do faktu, że od jakiegoś czasu nie próbujesz mnie nawet dotknąć.

Przy tych słowach jej ręka spoczywająca na stole zacisnęła się, a głos zadrżał.

- Tak, nawet dotknąć, jakbym była trędowata... Ale teraz już wszystko jest dla mnie jasne. Pragniesz innej, więc ode mnie cię odrzuca. Widzę to bardzo wyraźnie.

- Nie - odparł. - Nic nie widzisz. Wcale mnie od ciebie nie odrzuca. Ty...

- Myślałam o tym tygodniami, ale skąd, miesiącami. I robiłam wszystko, żeby te myśli oddalić, tłumaczyłam sobie, że przeżywasz kryzys, który minie. Że próbujesz jakoś z tego wybrnąć. Że po cichu szukasz pomocy. Tak, to wszystko przychodziło mi do głowy, ale nie brałam pod uwagę tego, że masz po prostu najzwyklejszy banalny romans. Byłam beznadziejnie głupia! - Margaret uderzyła się dłonią w czoło. - Przecież takie rzeczy zdarzają się bez przerwy, a ja o tym nie pomyślałam. Nawet wtedy, w nocy, kiedy zarzuciłam ci zdradę, a ty zaprzeczyłeś, tak chciałam, tak bardzo chciałam ci wierzyć. Naprawdę chciałam, Adamie! - Zaczęła płakać. - Może nawet i znałam prawdę... Ale... ale czy to możliwe, żeby tak ją zdusić w sobie?

„Tego obawiałem się najbardziej - pomyślał Adam. - Ale trudno, stało się, tylko co dalej”?

Nie był jeszcze gotów, brakowało mu słów, żeby stawić czoło temu rwącemu strumieniowi emocji, mógł więc jedynie robić uniki, parować ciosy, odwlekać nieuchronną katastrofę.

- Wobec tego wytłumacz się! Przekonaj mnie, jeżeli możesz, że się mylę. Nie, oczywiście, że nie możesz. Przejrzyj się w lustrze. Masz prawdę wypisaną na twarzy. O Boże! -jęknęła i usiadła skulona, obejmując się rękami i kołyszając jak w ataku potwornego bólu.

Ogarnęło go współczucie, ale jednocześnie był bezsilny. Jak wobec jakiegoś kataklizmu. Opuściła go wszelka energia, więc osunął się na krzesło, próbując jakoś to przetrzymać, jakoś przeżyć ten horror. W pewnym momencie nachylił się, żeby dotknąć ramienia Margaret, ale zastygł w pół ruchu jak porażony.

Zegar odliczał minuty - pięć, siedem, dziesięć - zanim Margaret uniosła czerwoną, udreńczoną twarz.

- Czy nie możesz mi odpowiedzieć? - błagała. - Przecież tu chodzi o całe moje życie. Nie rozumiesz tego?

Adam wydał głębokie, przeciągłe westchnienie.

- Nie wiem, co powiedzieć - odparł bardzo cicho.

- Powiedz mi po prostu dlaczego, dlaczego? Dlaczego?

- Nie wiem... To się zdarza. To się zdarza bardzo często.

- Ale nam? Czy nie byliśmy szczęśliwi, Adamie? Został przyparty do muru. Nie mogąc patrzeć na widoczną w oczach Margaret rozpacz, przylgnął wzrokiem do jej białego wiązanego paska i wymamrotał:

- Zauroczenie. Wydaje mi się, że to jest to.

Kiedy zerwała się z miejsca, był przerażony gwałtownością jej ruchu. Machnęła ręką, zrzucając na podłogę mały porcelanowy wazon, który roztrzaskał się na drobne kawałki.

- Nie, zostaw to. Niech się rozwali. Skoro ty potrafiłeś swoim „zauroczeniem” rozwalić cały nasz dom... I to dla tej koszmarnej baby, którą spotkaliśmy wtedy w Nowym Jorku, i która, jak się wyraziła, ma do ciebie „słabość” ... dla niej zniszczyłeś dosłownie wszystko. Dosyć trwała okazała się ta „słabość”, skoro po tylu latach przyjechała tu za tobą.

- Ona za mną nie przyjechała. Po prostu tak się złożyło, że się tu przeniosła. Tak się po prostu stało...

Margaret z trudem przełknęła ślinę i stuknęła swoimi małymi piąstkami jedną o drugą.

- No cóż, to co się stało, musi się „odstać”, i już. Może ty zapomniałeś o takim drobiazgu, że mamy troje dzieci. Ale ja nie pozwolę, żeby z powodu tego idiotyzmu stała im się

choćby najmniejsza krzywda. Nie rozbijesz tej rodziny. Pójdziemy razem i zasięgnemy jakiejś porady, żeby sprawy wróciły do normy, ale najpierw musisz mi obiecać, że z nią zerwiesz.

Kiedy Margaret się odsunęła, Adam zyskał pełny widok na fotografie, które Nina kiedyś bardzo zrećnie zaaranżowała na starym stoliku. Nagle uderzyło go w nich coś nowego - wszyscy wyglądali jednakowo, Margaret i jej rodzina, nawet brodaty pradziadek. Wszyscy mieli ten sam wyraz odpowiedzialności, szczerości i rezerwy w pełnych życzliwości oczach i dumnie uniesionych czołach. „Megan - pomyślał Adam - rzekomo taka podobna do mnie, jest dokładnie taka jak oni”.

Była w tych twarzach jakaś klasa, która skłoniła go, by spróbować dorównać im dumą i szczerością, przynajmniej na ile pozwalały okoliczności.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Bóg mi świadkiem, że nigdy nie chciałem i nadal nie chcę cię skrzywdzić. Ale w miarę jak życie upływa, sprawy się zmieniają. Nawet jeśli się tego nie chce. I po prostu nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

Margaret podeszła do okna i przez jakiś czas wyglądała na ulicę. W pewnej chwili zapalono latarnie; na cichej, znajomej uliczce nie było żywego ducha. Adam zastanawiał się, jakie sceny rozgrywają się w innych spokojnych znajomych domach na ulicach takich jak ta.

Kiedy odwróciła się do niego, jej oczy znów pełne były łez.

- Tyle upokorzeń... - powiedziała cicho. - Oszukiwaliście mnie we dwójkę, śmiejąc się z mojej głupoty i łatwowierności.

- Nikt się nigdy z ciebie nie śmiał.

- Gdzie ona mieszka? Czym się zajmuje? Skoro, jak sędzę, ta kobieta wie wszystko o mnie, to i ja mam prawo wiedzieć choć cokolwiek o niej.

Na chwilę się zawahał, a Margaret, biorąc jego wahanie za odmowę odpowiedzi, krzyknęła:

- Mów, nie bój się, bo ja i tak bez trudu to sprawdzę. „Jeśli ona tam pojedzie, w co nie wierzę - pomyślał Adam - to Randi da sobie jakoś radę”.

- Zajmuje się handlem nieruchomościami - odpowiedział. - Ma dom w okolicy Randolph Crossing.

- Od jak dawna to trwa?

- Od dwóch lat.

Wijąc się w krzyżowym ogniu pytań, poczuł nagle ten sam bezsilny gniew, jaki wywołała w nim rozmowa z Jenksem. Ale przecież Margaret miała pełne prawo pytać. Każda kobieta na jej miejscu robiłaby to samo. Jak gdyby czytając w jego myślach, wykrzyknęła:

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, że niejedna za coś takiego wyrzuciłaby cię z domu? I jeszcze przyłożyła wałkiem? A zaraz potem wystąpiła o rozwód?

Rozwód. Bierz byka za rogi - powiedziała Randi. Rozwód jest nieunikniony. Mimo to Adam poczuł skurcz żołądka, lodowaty strach, który przypomniał mu czasy studenckie - tak samo przeżywał każdy egzamin.

- Często - powiedział ścisłym głosem, nie patrząc na Margaret, tylko na groźną nagle twarz jej pradziadka - rozwód jest najlepszym rozwiązaniem.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Co? Co ty powiedziałeś?

- To jeszcze nie jest najgorsze, co może się zdarzyć.

- Nam?! - wykrzyknęła.

- Nam się nie ułożyło. - Adam był nieustępliwy. - Żadne z nas nie jest już w tym związku szczęśliwe.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Co ty mówisz?

- Że dla nas obojga będzie lepiej, jeśli spojrzymy prawdzie w oczy.

- Prawdzie?! Czy ja dobrze słyszę? A może zwariowałam? To znaczy, że byłbyś gotów opuścić mnie, po prostu rzucić to wszystko - Margaret machnęła ręką, pokazując dom i, jak się Adam domyślał, dzieci na górze - dla tej kobiety?

- Upraszczasz, Margaret. Emocje są... - zawahał się, ale nie było sposobu, żeby w jasny sposób ująć w słowach coś tak skomplikowanego, tak kontrowersyjnego, a jednocześnie tak nieuniknionego.

- O Boże, co takiego ma ta kobieta, czego mnie brakuje? - I Margaret załamała ręce w odwiecznym geście rozpaczy. Adam został przyparty do muru; nie miał wyjścia.

- Nie chodzi o to, że tobie czegokolwiek brakuje. Po prostu ja ją kocham. Jest miłością mojego życia.
- Miłością twojego życia! To znaczy, że wszystko, co dotychczas mówiłeś mnie, było zwykłym łgarstwem. Wszystkie nasze wspólne lata, prawie dziewiętnaście, to było jedno wielkie łgarstwo.
- Nie, wcale tak nie uważam. Po prostu różne rzeczy się zdarzają.
- Różne rzeczy się zdarzają. Czy ja tracę zmysły? Naprawdę powiedziałeś coś takiego?

Adam nie odpowiedział.

- A co z dziećmi? Co z życiem, jakie im stworzyliśmy? Na jej twarzy malował się wyraz takiego niedowierzania, jak u ludzi, którzy na widok potwornego wypadku odwracają głowy. Adamowi się wydało, że jest świadkiem, jak z Margaret uchodzą wszelkie siły i soki żywotne, jakby tu, zaraz, w tym pokoju, miała umrzeć. Zadał jej bezlitosny cios nożem, dopuścił się na niej aktu okrucieństwa i świadom tego, podniósł się, żeby do niej podejść. Margaret wrzasnęła piskliwie.

- Nie dotykaj mnie! Nie zbliżaj się do mnie z tym swoim fałszywym smutkiem!

- Ten smutek nie jest fałszywy. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak cierpię, sprawiając ci ból. Nie chcę tego, ale nic na to nie mogę poradzić.

Margaret padła na sofę.

- Margaret... - zaczął łagodnie Adam. - Ja się będę wami wszystkimi opiekował. Nie myśl, że mógłbym opuścić ciebie i dzieci. Nigdy bym tego nie zrobił. Będę dobrym ojcem tak samo jak do tej pory. A co do ciebie... wiem, że na razie o tym nie myślisz, ale jesteś jeszcze młoda i zasługujesz...

- Wynoś się - powiedziała. - Nie masz mi już nic więcej do powiedzenia. Powiedziałeś wszystko. Wynoś się.

Zostawił ją więc, tak jak leżała, na sofie, poszedł do małego, sterylnego pokoiku, gdzie ostatnio sypiał, i usiadł. No więc wreszcie załatwił sprawę; scena, której tak bardzo się bał i którą ciągle odkładał, w końcu się rozegrała. Ale jego uczucia były niejednoznaczne. Uwolniony wreszcie od konieczności ukrywania się i oszukiwania, z pewnością poczuł się lepiej - był wolny, miał przed sobą otwartą drogę. Ale

zabił w Margaret ducha. Pocieszając się jej perspektywami na przyszłość, myśląc o Fredzie Davisie czy jakimś innym królewiczu z bajki, wiedział jednocześnie, że zniszczył jakąś jej część, która już nigdy nie będzie taka sama. I napełniało go to głębokim smutkiem. Jutro trzeba będzie jeszcze powiedzieć o tym dzieciom...

Przez dłuższy czas siedział bez ruchu, starając się przemyśleć różne sprawy, ważąc problemy. Może taka szczerość z jego strony była błędem? Może nie powinien był używać sformułowania „miłość mojego życia”? Nieomal nie mógł uwierzyć, że istotnie to powiedział, że przekroczył ten próg. A jednak była to prawda.

Musiała upłynąć godzina albo więcej, zanim bezszelestnie poszedł do kuchni, zamknął za sobą drzwi i wziął do ręki słuchawkę.

- Załatwiłem to, Randi - powiedział. - Sprawa jest załatwiona.



## ***Rozdział 15***

Kiedy Margaret, kompletnie wyczerpana, przestała wreszcie szlochać, poczuła zimno. W pokoju panowały ciemności. Ktoś musiał wejść i zgasić światło. Wstała, zapaliła lampę i dygocąc patrzyła w różową żarówkę. Powoli rozejrzała się po pokoju. Nic się nie zmieniło. Może to wszystko tylko jej się przywidziało? Może Adam wcale nie siedział w zielonym fotelu i nie mówił o rozwodzie? Ale na podłodze leżała gazeta i poduszka tapicerska, zawsze ją tam zostawiał, mimo że należała do fotela. W domu panowała cisza. Jeszcze kilka godzin i dom się przebudzi, a jego mieszkańcy podejmą swoje codzienne obowiązki.

Jak mogło do tego dojść? Co się stanie z nimi wszystkimi?

Na górze drzwi do sypialni były otwarte. W słabym świetle z korytarza dostrzegła wielką wypchaną pandę Julie, siedzącą na bujanym fotelu przy łóżku małej. Jak to się odbije na Julie, wrażliwej dziewczynce, która tak bardzo wszystko przeżywała?

- O Boże - wyszeptała, trzymając się poręczy. Rufus, poruszony nawet tak cichym szeptem, spojrzął ze swojego legowiska. Kiedy pochyliła się, żeby go pogłaskać, zaczął walić ogonem. I ten mały objaw miłości ze strony psa - tylko psa! - stał się przysłowiową kroplą, która przepelniła kielich goryczy. Gdyby Rufus rozumiał ludzką mowę, uklękłaby koło niego i domagała się pociechy.

Następnie pomyślała o Ninie - co też powie Nina, kiedy dojdzie w tym domu do katastrofy, która dotknie pięć istot. „Sądząc po jej zachowaniu, znajdzie pewnie jakieś usprawiedliwienie dla Adama” - pomyślała z goryczą.

Znów położyła się w ciemności, w kółko przeżywając nierealność tej nocy i zadając sobie pytania, na które prawdopodobnie nie było odpowiedzi. Jak to możliwe, żeby po tylu

całkiem szczęśliwie przeżytych latach zjawiała się nie wiadomo skąd jakaś obca kobieta i zniszczyła nasz spokój? Nasze wzajemne zaufanie? Kiedy prowadziłam tutaj swoje proste, zwykłe życie, ucząc w szkole, robiąc zakupy, dbając o dom... Może tej nocy, kiedy spałam z głową na jego ramieniu... może właśnie wtedy ta kobieta przemierzała kontynent, żeby niszczyć i kraść.

A przecież mamy takie piękne dzieci. Czy to też nic dla niego nie znaczy?

Ale pytań było znacznie więcej. W którym momencie mogłaby położyć temu kres, gdyby w porę wiedziała, bo przecież z pewnością takie rzeczy nie dzieją się od pierwszego wejrzenia, przy pierwszym spotkaniu? A może się dzieją? Ta kobieta przyjechała tutaj w poszukiwaniu Adama. A on... Nazywają to chemią. Tylko że w laboratorium chemia działa według określonych reguł!

Kiedy wreszcie zasnęła, pierwsze promienie słońca dotykały motyli na tapecie.

Kiedy się obudziła, dywan tonął w słońcu, a w pokoju pachniało południem. W domu panował ruch i słychać było głosy. Upłynęło kilka sekund, zanim do niej dotarło, że jest niedziela, że boli ją głowa i że Adam poprosił o rozwód. Wyskoczyła z łóżka, pobiegła do lustra i z przerażeniem zobaczyła swoje napuchnięte, błyszczące powieki. W pierwszym odruchu chciała wrócić pod kołdrę i ukryć ten nieprzyjemny dowód rozpacz, ale kiedy zapukała Megan, uznała, że ukrywanie się byłoby nie tylko głupie, ale i niemożliwe.

- Czekałam pod drzwiami, aż się obudzisz - powiedziała Megan.

- Strasznie wyglądam, prawda? - Nic innego nie przyszło do głowy.

- Tak. Spróbuj umyć twarz w zimnej wodzie. A potem możesz założyć okulary przeciwsłoneczne.

- Muszę wziąć prysznic i się ubrać.

- Nie powinnam była o tym mówić - powiedziała Megan.

- Owszem, powinnaś.

- Czy to coś poważnego?

- Mam nadzieję, że nie.

- Po powrocie od Betsy zobaczyłam, że śpisz na sofie, ale nie chciałam cię budzić, więc tylko weszłam i zgasiłam światło.

- Przykro mi, że widziałas mnie w takim stanie.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Jeszcze nie teraz.

Dwie kobiety wpatrywały się w siebie, a ich spojrzenia mówiły chwilami więcej, niż powiedziałyby słowa.

- Słyszę, że tata rozmawia z kimś na ganku. Nie wiesz, z kim?

- Przyszedł wuj Fred, jak zwykle w niedzielę. Chcesz śniadanie czy lunch?

- Dziękuję, ani jedno, ani drugie. Jak będę miała ochotę, to wezmę sobie sama.

- Na dworze jest ciepło, zupełnie jak w lecie. Pograłabym trochę w tenisa z Betsy. Chyba że mnie potrzebujesz?

- Nie, kochanie, idź. Wolę, żebyś się rozerwała.

Stojąc pod prysznicem, Margaret patrzyła, jak jej łzy mieszają się ze strumieniami wody. Jak on mógł, jak mógł zrobić coś podobnego takiej dziewczynce jak Megan? Siedemnaście lat i już takie przeżycia.

Kiedy otworzyła okno, znajdujące się dokładnie nad gankiem, bardzo wyraźnie usłyszała dwa męskie głosy. Nie mogła się oprzeć chęci podsłuchania Freda:

- Spróbuj nie ranić jej bardziej, niż to już zrobiłeś. I Adam:

- Przecież ja jej nie ranię celowo. Ja tego, na miłość boską, nie chcę! To jest coś, co się po prostu zdarzyło. Żadne z nas już od dłuższego czasu nie było szczęśliwe. Dlaczego? Trudno powiedzieć.

- Nie ma w tym nic trudnego - rozległ się niski głos Freda. - Jeśli chodzi o ciebie, sprawa jest bardzo prosta. Za-kochałeś się. I to po uszy!

- Nie jestem zachwycony twoim ironicznym tonem, Fred. Chyba nie zaprzeczysz, że miłość istnieje?

- Zależy, co się przez to słowo rozumie. Są ludzie - wybac mi szczerłość - którzy swędzenie w kroku potrafią pomylić z miłością - odparł Fred, który rzadko wyrażał się w taki sposób, a już szczególnie przy Margaret.

- Wiesz, co ci powiem, Fred, jeżeli przyszedłeś tu maćć, to możesz sobie od razu iść.

- Gdybym chciał mieć, nie czekałbym do tej chwili. Chyba zdajesz sobie sprawę, ile razy widziałem cię z tą twoją lalką na ulicy...

Nastąpiła cisza, podczas której Margaret, słaba i rozdygotana, czekała na ciąg dalszy.

- Po co, do diabła, przyszedłeś dziś tak wcześnie? - zapytał Adam. - Margaret cię wezwała?

- Nie, Megan.

- Megan nic na ten temat nie wie.

- Wie znacznie więcej, niż ci się wydaje. A czego nie wie, to się domyśla.

- To tylko ty uważasz, Fred, że nie macisz, ja jestem innego zdania. Wtrącasz się w nie swoje sprawy, więc się stąd wynoś. Przebywasz na moim ganku bez zaproszenia.

W tym momencie Margaret ogarnęła dosłownie furia. Wychyliła się przez okno i zawołała:

- Żebyś mi się nie ważył stąd iść, Fred! Ganek jest tak samo mój, jak i jego, a ja już schodzę!

Narzuciwszy na siebie stary sweter i spódnicę, zbiegła na dół, tylko w kapciach, nie uczesana i bez ciemnych okularów.

- Może lepiej wejdźmy do środka - powiedział Fred na jej widok.

- Owszem, wiem, że wyglądam jak śmierć na chorągwi odparła Margaret. - Bo niby jak mam wyglądać.

Poduszki leżały porzucane na sofie tak, jak je wczoraj zostawiła. Na podłodze gazeta, którą Adam upuścił, kiedy wymówił słowo „rozwód”.

- Powiedział ci? Chce rozwodu - zaczęła Margaret. Fred zmarszczył czoło.

- Powiedział, ale jakoś to do mnie nie dotarło.

Odwrócili się obydwój do Adama w oczekiwaniu odpowiedzi. Postawiony w sytuacji przymusowej, rzucił gdzieś w powietrze, ponad ich głowami:

- Przyznaję, że to bulwersujące. Wam wydaje się wręcz straszne i nawet rozumiem dlaczego. Ale żadne z was nie jest w mojej skórze.

- Skóra skórą, ale ty nie możesz tego zrobić.

- Margaret i ja nie byliśmy szczę...

- Tak, już mówiłeś. Ale to nie jest tylko sprawa tego, czy wy dwoje „jesteście szczęśliwi”. Macie jeszcze trójkę dzieci,

które z pewnością nie prosiły się na świat, a już szczególnie w rozbitej rodzinie.

- Rozbitej! Mówisz tak, jakby już nikt z nikim nie miał więcej rozmawiać. Przecież nie przestanę być ich ojcem. Już mówiłem Margaret, że dla nich nic się nie zmieni. Jestem dalej ich ojcem!

- Tak, ojcem, który opuścił dom i wyniósł się do swojej nowej damy. - W ostatnie słowa Fred włożył całą pogardę, na jaką było go stać.

Adam zerwał się z krzesła i ruszył w stronę drzwi. Ale Fred był szybszy i zablokował mu jedyne wyjście.

- Nie, mój drogi, tak łatwo się z tego nie wywiniesz.

- Nie wywinę się? A niby kto dał ci prawo do tego, żebyś mi mówił, co mam robić, a czego nie?

- Margaret nie ma nikogo, kto by się za nią ujął. Zbyt długo znam was oboje, by nie uczestniczyć w tej tragedii.

Usiądźmy i porozmawiajmy. Nic z tego, co tu powiecie, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Myślę, że nie muszę was o tym zapewniać.

Fred Davis po prostu ujął sprawy w swoje ręce. Jeszcze nigdy Margaret nie widziała, by był tak zdecydowany, a już szczególnie wobec Adama, który by nigdy tego nie zaakceptował. Ale teraz Adam, mimo całej swojej brawury, był wyraźnie zawstydzony; nagle Margaret uprzytomniła sobie, że zna tę minę - chmurną, z rumieńcem; taką samą miał po nieprzyjemnych rozmowach z Jenksem czy z Ramseyem.

- Dotychczas żyłeś jak przyzwoity człowiek - zaczął Fred.

Górując nad jimi, przypominał nauczyciela przemawiającego do klasy albo lekarza zwracającego się do pacjenta.

Margaret, która podniosła na niego oczy, tak teraz nietypowo surowe i jednocześnie wymowne, poczuła nagle, jak się stopniowo odprężyła. „Wierzę, że sprowadzisz Adama na właściwą drogę. Już ty będziesz wiedział, jak to zrobić” - pomyślała.

Z kolekcji stojących na stole zdjęć Fred wybrał potrójne, w ramkach, przedstawiające główki Megan, Julie i Dana.

- Popatrz na nich - powiedział. - Niezależnie od tego, ile godzin w tygodniu spędzisz z nimi po odejściu od ich matki - jak spojrzysz im w oczy, jak im wyjaśnisz, dlaczego ją opuściłeś? Dlatego, że „się zakochałeś”? Przyznasz, że brzmi to dość kulawo, nie uważasz?

Pytanie Freda zawisło w kompletnej ciszy. „Zdjęcia dzieci przemówiły głośniejsz niż słowa” - pomyślała Margaret. I dokładnie w tej samej chwili Fred podniósł następną fotografię.

- O ile dobrze pamiętam, jest to twoja matka, prawda, Adam? Ona była Margaret bardzo bliska, co do tego nie mamy chyba wątpliwości. Jak sądzisz, co miałaby do powiedzenia w sprawie twoich planów rozwodowych?

Adam uniósł głowę i roześmiał się krótko, ironicznie.

- Moja matka? Moja matka by mnie zabiła.

- Z całą pewnością - odparł sucho Fred. Przez chwilę przyglądał się Izabeli, jej poważnym oczom, oczom Adama, pogodnemu czołu pod falującymi włosami, po czym odstawił zdjęcie na stół.

- Może ludzie byli wtedy inni - powiedział cicho, jakby do siebie. Po chwili znów zwrócił się do Adama i Margaret tym samym co poprzednio energicznym tonem: - No więc dobrze, porozmawiajmy. Zacznijmy od początku.

Było to długie popołudnie. Fred wiedział, dokąd zmierza, i wobec tego szedł prosto do celu, popychając przed sobą opornego Adama. Jeszcze po latach Margaret miała pamiętać jego nieustępliwe parcie do przodu i systematyczne obalanie kolejnych argumentów, które coraz bardziej słabnący Adam powtarzał w kółko.

Było już po piątej, kiedy wreszcie Fred zakończył:

- Skoro już wszystko zostało powiedziane, nie pozostaje nic innego, jak tylko wyciągnąć z tego jedyny możliwy wniosek - nade wszystko jest wam potrzebna fachowa pomoc.

- Wykluczone - zachnął się Adam. - Jestem osobą ceniącą sobie prywatność i nie mam najmniejszego zamiaru wywnętrzać się przed obcymi. Już dzisiejsza rozmowa kosztowała mnie bardzo wiele. Zgodziłem się na nią tylko ze względu na Margaret.

- Będzie ci znacznie łatwiej rozmawiać z kimś obcym niż znosić moją ingerencję - zapewnił go Fred. - Bo jestem w pełni świadom tego, że była to z mojej strony ingerencja w wasze sprawy.

- Żadnych fachowych porad - powtórzył Adam.

W obawie przed grożącym impasem Margaret wtrąciła szybko:

- Mam nadzieję, że przy odrobinie dobrej woli z obu stron obejdzie się bez pomocy specjalistów. A ten... ten brak szczęścia, o którym mówił Adam, zaczął się, od kiedy pojawiła się ta kobieta. Mogę to dokładnie umiejscowić w czasie. Gdyby ona zniknęła, Adamie, i gdybyś mógł obiecać, że więcej się z nią nie zobaczysz, jestem przekonana, że wrócilibyśmy do tego, co było dawniej. Nie wątpię w to ani przez chwilę. I myśląc - nie jestem zbyt dumna na to, żeby prosić, bo przecież chodzi o moje życie, o życie nas wszystkich - wstała, stanęła przed mężem i z całego serca powiedziała:

- Błagam cię, spróbuj jeszcze raz. Zaklinam cię na wszystko, nie odchodź ode mnie. Kocham cię bez względu na to, co zrobiłeś. Naprawdę cię kocham, Adam.

- No więc? - zagadnął Fred. W oczach Adama błysnęły łzy.

- Zostanę - odparł. - Zostanę i nigdy się już z nią nie zobaczę. Daję słowo.

„Muszę się wczuć w położenie samotnych wojennych żon, takich jak moja matka - pomyślała Margaret - to tak, jakby i mój mąż został wysłany za ocean. Przecież trudno uwierzyć, że przez trzy lata mężczyzna nie ma żadnej kobiety. Należy tylko zaakceptować ten fakt i dla własnego dobra starać się o nim zapomnieć”.

Jednak Randi nie była, niestety, ani w Europie, ani w Azji, tylko tu, bardzo blisko, w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów...

- Ona mi tylko mignęła - powiedziała Luiza - ale odniosłam wrażenie, że jest potwornie pospolita. Nadmierny makijaż i przesadnie wystrojona. Rozumiesz, co mam na myśli?

Ze zwykłej potrzeby porozmawiania z kimś, no i oczywiście dlatego, że Luiza, chcąc nie chcąc, była jakoś w tę sprawę zamieszana, Margaret przyznała jej się do tego i owego.

- Oni się znali jeszcze przed naszym ślubem - wyjaśniła. - Jest wdową i robi wszystko, żeby złapać męża.

Najwyraźniej uznała, że Adam ze swoimi koneksjami świetnie się do tego nadaje, i zaczęła na niego polować.

Mało prawdopodobne, by Luiza uwierzyła w tę wersję, w każdym razie była zbyt grzeczna i zbyt pocziwa, żeby ją wprost zakwestionować.

- No cóż - powiedziała krótko. - Adam musi jej powiedzieć wprost, żeby mu przestała zawracać głowę. Ale zastanawiam się, czy będzie do tego zdolny. Zawsze mi się wydawało, że pod pozorami tej swojej wyniosłości jest w gruncie rzeczy człowiekiem dość niepewnym siebie.

A zatem Luiza wcale nie była taka naiwna, na jaką wyglądała. „Im człowiek jest straszny - pomyślała Margaret - tym bardziej go inni zaskakują, ukazując to, co w nich ukryte”. Margaret nigdy by nie przypuszczała, że ta dość płytką, beztruską Luizą, ze swoimi nieskomplikowanymi poglądami, jest zdolna do takiej wnikliwej oceny bliźnich.

Megan, tak samo małowówna i powściągliwa jak Adam, najwyraźniej jednak czekała na wyjaśnienia. Objąwszy ją ramieniem, Margaret starała się nadać rozmowie możliwie naturalny charakter.

- Muszę ci powiedzieć, tak między nami kobietami - zaczęła z zachęcającym uśmiechem - że zupełnie niepotrzebnie narobiłam wokół całej tej sprawy tyle szumu. Leżeć tak i płakać całą noc... jakie to musiało być dla «ciebie straszne - widzieć matkę w takim stanie. Bo przecież to był w końcu niewinny służbowy lunch, jedno ze zwykłych obowiązkowych spotkań. A ja z tego zrobiłam Bóg wie jaką historię i tylko się sama ośmieszyłam.

Czy Megan, tak jak Luiza, uwierzyła choćby w jedno słowo z tego, co mówiła Margaret, było wysoce wątpliwe. W każdym razie pocałowała matkę i posłała jej spojrzenie pełne... czego?... wdzięczności, współczucia czy może niedowierzania?... które chwyciło Margaret za serce.

Kiedy więc nagle pewnego kwietniowego poranka nadeszła prawdziwa wiosna, z południowymi wiatrami i śpiewem ptaków, Margaret odczuła to jak nigdy dotychczas. W taki dzień, opromieniony zielonożółtą aureolą, z pewnością można zaczynać wszystko od nowa!

I oto, jakby się nigdy nic nie stało, wrócili do dawnego życia. Nagle skończyły się późne zebrania, a Adam co wieczór zajmował swoje miejsce przy stole. Sobota na powrót stała się dniem rodzinnym. Znowu sadzili sadzonki, a pewnego po-



południa wszyscy razem pomalowali płot za domem. Kiedy indziej Adam sam zrobił meksykańską kolację, z zupą kukurydzianą i guacamole. A kiedy Danny dostał rolę Lincolna w szkolnym przedstawieniu, przygotowywał go do występu, przebranego w cylinder i z przyprawioną brodą.

Margaret, która obserwowała męża pilnie, wyczulona na najmniejszą zmianę, uznała, że Adam rzeczywiście się stara. Nagromadzone w ostatnich latach lęki i urazy zaczęły ją powoli opuszczać, jakby zdjęła za ciasne ubranie i znów mogła się swobodnie przeciągnąć. Adam stał się po prostu jeszcze jedną ofiarą tak zwanej drugiej młodości. Margaret nie wiedziała, co go ostatecznie zawróciło znad przepaści - napomnienia Freda, zdjęcia dzieci czy myśl o potępieniu matki. Być może sam Adam tego nie wiedział. Czasem nawet miała ochotę go spytać, w jaki sposób zakończył swój romans, ale w końcu dała za wygraną. Raz czy dwa zrobił jakąś niejasną i krótką aluzję do „słabości”, przyznając, że z dwojga partnerów kobieta okazuje się zwykle silniejsza. „Czy zatem pani Randi okazała się silniejsza? Ale chyba nie silniejsza ode mnie” - pomyślała ze wzgardą Margaret.

Adam wrócił też do ich wspólnego łóżka. Pewnego wieczora stanął po prostu pod drzwiami, pełen niepewności i wahania. Boże, jaka Margaret była szczęśliwa! Uważając jednak, że lepiej nie robić problemu z tego, co powinno być całkowicie naturalne, uśmiechnęła się tylko i spytała, czy już zjadł swoje lody. Od lat miał zwyczaj przed snem raczyć się w kuchni lodami.

- A może zjadłbyś je sobie wygodnie w łóżku? - zaproponowała. I od tej pory, w tych dniach pojednania, zapoczątkowała nowy zwyczaj, przynosząc mu lody na górę. Tu, w przyjaznej atmosferze, leżąc w swoim starym łóżu, jedno jadło lody, a drugie czytało książkę. Następnie po krótkiej rozmowie gasili światło i szli spać.

Ale ciągle jeszcze Adam się do niej nie zbliżał.

Czasem więc w tym właśnie łóżu, w samochodzie, kiedy wracała ze szkoły do domu, czy nawet przy stole w trakcie codziennych rozmów, ogarniało ją złe przeczucie, napięcie jak przed burzą, które jeży zwierzętom sierść.

## **Rozdział 16**

- Co ty ze mną wyprawiasz? I ze sobą? Ja tak dalej nie mogę! - Głos Randi był zachrypnięty od płaczu.

W dusznym upale budki telefonicznej Adam prznosił cię/, żar ciała z jednego łokcia na drugi. Te późnopołudniowe rozmowy go wyczerpywały. Temat też już był wyczerpany.

- Randi - powiedział, starając się zmobilizować całą cierpliwość, na jaką było go stać - musimy z tym skończyć. Próbowałem ci tłumaczyć... Może za rok albo dwa... Ale na razie nie mogę, po prostu nie mogę. Obiecałem, że spróbuję... To jest naprawdę zbyt skomplikowane. Już dzisiaj nie daję rady.

- Nie dajesz rady! - jęknęła. - A ja muszę, tak? Muszę co dzień i co noc. I to sama. Zupełnie sama.

- Kochanie, dałaś mi ultimatum...

- Ale nie o to mi chodziło! Nigdy nie przypuszczałam, że dokonasz takiego wyboru.

- Musiałem. Dom. Dzieci. Wiesz, że musiałem. Kochanie, skończmy wreszcie tę rozmowę. Minęło już ponad pół godziny.

- Więc nie mogę dzwonić do ciebie do biura?

- Naturalnie, że nie. Zwłaszcza, żeby prowadzić takie długie rozmowy.

- A do domu?

- Och, Randi, proszę cię...

- Kiedy cię zobaczę? To już prawie trzy miesiące.

- Randi, robię, co mogę. Proszę cię, pomóż mi.

- Nie. Ja cię potrzebuję. Kocham cię. Czy zamierzasz mi powiedzieć, że już mnie nie kochasz? Tak?

- Nie, nie zamierzam.

- To ofiaruj mi godzinę w sobotę. Tylko jedną godzinę.

Tak go błagała, że o mało się nie złamał.

- Idziemy do kuzynostwa - jęknął. - Wydają przyjęcie. Nie na naszą cześć, ale tak się składa, że akurat mamy rocznicę.

- O, wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy! Wyobrażam sobie, co to będą za uroczystości. A ile to już lat?

Adam westchnął.

- O, nawet nie możesz odpowiedzieć. No, ile?

- Dziewiętnaście.

- Biedactwo. Bardzo ci współczuję. No to cóż, wracaj do domu i celebrujcie z Margaret swoje święto. Mam nadzieję, że zadba o twoje przyjemności. Zwłaszcza, że na mnie nie możesz już liczyć. Koniec z nami. I tym razem mówię poważnie. Koniec. - Adam usłyszał szcęk odkładanej słuchawki.

- To rzeczywiście miła odmiana - raz obchodzić rocznicę ślubu nie u siebie, prawda? - powiedziała Margaret.

Chciała naturalnie, żeby Adam przyznał jej rację, i zrobił to.

- Luiza powiedziała, że będzie niewiele osób. Wiem, jak nie znosisz tłumów.

Margaret była zaniepokojona. W ciągu kilku ostatnich miesięcy stawała na głowie, żeby mu dogodzić, udając ożywienie wtedy, kiedy powinna czytać książkę czy drzemać. Świadom tego wszystkiego i pełen wyrzutów sumienia Adam czuł, jak powoli narasta w nim napięcie.

- Czy ci już mówiłam, że Fred przysłał im swoich ludzi, żeby postawili w ogrodzie altanę? Luiza zawsze marzyła o jakimś zacienionym miejscu, w którym mogłaby sobie posiedzieć i poczytać...

Poczytać, co? Komiksy? - zapytał ironicznie w myślach Adam.

- Wykonali tam jakieś dodatkowe prace ogrodnicze i jest naprawdę pięknie.

„Oczywiście - pomyślał - i to jest prawdziwy powód przyjęcia. Żeby ludzie zobaczyli, jak się Gilowi powodzi”.

Pośrodku trawnika na tyłach domu stała nowa altanka, po której pięły się róże, a dokoła rosły wspaniałe białe rododendrony, stare i najwyraźniej świeżo dosadzone. Tu i ówdzie

kolorowe rabaty bylin, zaprojektowane przez zdolnego architekta zieleni, urozmaicały krajobraz. Wszystko było bardzo gustowne. I bardzo drogie.

Adam stał w miejscu i obserwował gości, jak przechadzają się po trawniku, to zbierając się w gromadki, to się rozdzielając to znów podchodząc do siebie wśród powitalnych okrzyków i cmoknięć. Większość znał przynajmniej z widzenia albo z nazwiska. Po powitaniu wszyscy szli dalej, nikt się przy nim nie zatrzymywał. Może wyczuwali, że jest mu to na rękę.

Margaret jak zwykle była duszą towarzystwa. Złapał się na tym że wodzi wzrokiem za jej białą lnianą suknią i miedzianą głową. „Żyje z człowiekiem, który się do niej me zbliża” - pomyślał z ukłuciem bólu w sercu. Jaka to dla mej krzywda, jaka niesprawiedliwość. A jednak nic nie mógł na to poradzić!

- Bufet jest wewnątrz - oznajmiła Luiza. - Bałam się, że w ogrodzie wszystko nam się stopi. Chodź, Adam.

Luiza była głupia, ale miała dobre serce - w to nie wątpił. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że gospodyni nie spuszcza z niego zatroskanego oka. Tak samo jak Gil i ten cholerny Fred Davis. Wszyscy ci protektorzy Margaret byli demonstracyjnie serdeczni, a nawet poufali, chcąc mu wyraźnie dać do zrozumienia, że wszystko zostało wybaczone. Wszedł za Luizą do jadalni. .

Tam znalazła go Margaret, jak stał z pełnym talerzykiem i samotnie jadł. .

- O jesteś. Pamiętasz, jak ci wspominałam o ludziach, którzy hodują owczarki angielskie? Właśnie są tutaj i ona mi powiedziała, że akurat mają szczenięta. Jak sądzisz, może moglibyśmy w tym tygodniu zabrać tam Danny'ego, żeby sobie obejrzał małe?

Entuzjazm Margaret, sama myśl o kupowaniu czegokolwiek, o jeszcze jednym obowiązku podziałały na Adama zniechęcająco; zawahał się.

- Obiecaliśmy Danny'emu - przypomniała mu Margaret na wszelki wypadek.

- Tak, tak, oczywiście.

- To ja się pójde umówić.

Obok Adama przepływały strzępy rozmów.

- ...w tym roku dwójka na studiach. To majątek, ale Harvard to Harvard.

- Ten pejzażyk z Prowansji jest naprawdę uroczy. Zaangażowali dekoratorkę wewnątrz z Nowego Jorku, to jakaś kuzynka Gila czy Luizy.

Adam od dość dawna nie rozmawiał z Niną, która nic nie wiedziała o ich „kłopotach”, i może to nawet lepiej. „Z drugiej strony, ze względu na Margaret, byłoby dobrze, gdyby Nina była w domu - pomyślał. - Na wypadek, gdybym odszedł. Gdybym... Zastanawiał się, co by powiedziała o ich „kłopotach”, teraz, gdy sama tkwi w podobnej sytuacji”. Skończywszy jeść, zaczął się przeciskać przez zatłoczone wyjście, łapiąc po drodze dalsze strzępy rozmów.

- ...przynajmniej za milion, nie licząc akcji...

- ...w ADS to wywoła wielkie poruszenie... Wszystko, o czym ci ludzie mówili, bardzo go niepokoiło. Każdy gdzieś się spieszył, pędził, wspinał! U Randi mógł sobie spokojnie leżeć nago na słońcu i nic go nie obchodziło. W pokoju Randi...

Nagle dotarł do niego znajomy głos:

- W domu wszystko w porządku? - pytał Fred Davis. Jakaś wysoka kobieta zasłoniła Adamowi Margaret i nie usłyszał jej odpowiedzi. Chętnie dałby Fredowi w łeb. Co on sobie wyobraża? Że jest jakimś kuratorem sądowym, który sprawuje pieczę nad podejrzanym typem?

- O - powiedziała Margaret, kiedy wysoka kobieta odeszła - Fred mi właśnie zaczął opowiadać o swojej podróży. Jesienią wybiera się do Grecji.

- Wy też powinniście sobie coś zaplanować - rzucił Fred. -Na mnie podróże zawsze działają jak lekarstwo. Lekarstwo o miłym zapachu. Na pewno znaleźlibyście kogoś, kto by w tym czasie został z dziećmi. - Spojrzał na Adama pytająco.

- Zobaczymy - odparł Adam cierpko.

Co on sobie, do diabła, wyobraża? Że jest opiekunem, terapeutą, doradcą złamanych serc?

Nagle poczuł, że ma tego wszystkiego serdecznie dość -tej nieustannej obserwacji, pouczenia, doradzania i pilnowania. Jest jak w potrzasku. Został wepchnięty między ludzi, wśród których źle się czuje i w których towarzystwie nie chce przebywać. W myślach machnął na nich wszystkich ręką.

- Mam kilka spraw do załatwienia - powiedział nazajutrz. - Mogę nie zdążyć na kolację.

Kiedy wrócił, dopiero zapadał zmierzch. Odstawił samochód do garażu i idąc do domu, widział Margaret czekającą na niego przy drzwiach kuchennych. Z jej twarzy wyczytał, że wie, gdzie był. Przez chwilę nienawidził jej za to, że tak sterczy przy drzwiach niczym klawisz czekający na powrót więźnia z przepustki.

- No więc?

Teraz dla odmiany zmieniała się w nauczycielkę, którą przecież była, udzielającą reprimendy uczniowi.

- No więc co? Przecież wiesz, gdzie byłem.

- Już gdy wychodziłeś, wiedziałam, dokąd idziesz.

- Daj spokój, Margaret. Obiecałem, że spróbuję, i próbowałem przez te wszystkie miesiące, ale to nie ma sensu.

- Dziewiętnaście lat - powiedziała.

- Nic na to nie poradzę.

- Ty podły sukinsynu.

- Nie mam ochoty się z tobą kłócić. Załatwmy to przyzwoicie.

- A ona... zupełnie jak złodziejka. To już mam więcej szacunku dla prostytutki. Przynajmniej te biedne kobiety nie kradną mężów rodzinom. Przynajmniej wiadomo, że chodzi o pieniądze. Mają coś do sprzedania. Podają cenę, którą możesz zaakceptować albo nie. Uczciwa transakcja. - Margaret się roześmiała.

- Uważaj, ktoś cię może usłyszeć!

- Co za różnica? I tak wszyscy się dowiedzą, więc dlaczego nie teraz? Adam Crane, wzorowy obywatel, intelektualista ze wspaniałym twórczym umysłem, uciekł ze zwykłą dziwką.

- Margaret, dzieci. Robisz im krzywdę.

- Tak cię nagle dzieci obchodzą...

- Jak możesz się tak zachowywać? - Otworzył drzwi. - Nie mam ochoty się z tobą kłócić.

Przez dłuższy czas Margaret, drżąca i o suchych oczach, siedziała na progu. W sypialni na parterze zapaliło się światło; to znaczy, że Adam tam zamierzał spędzić noc. Powtarzała w kółko gorzkie słowa, jakie między nimi padły. Ale przecież to niemożliwe, żeby były ostateczne. Przecież tak się starała

i wszystko tak się dobrze zapowiadało! Adam obiecał... przecież nie chciał skrzywdzić dzieci... I na pewno rano wszystko będzie wyglądało inaczej... Rano ludzie zawsze jaśniej myślą.

Wkrótce po ósmej zeszła na dół i zastała Adama w korytarzu wśród pudeł, walizek i toreb. Musiał się całą noc pakować. Patrzyła na niego w osłupieniu, nie wierząc własnym oczom.

- Wyprowadzam się - powiedział. Zaczęła płakać, wycierając oczy kłykciami.

- Daj spokój, Margaret. To nic nie da.

- Jak ty możesz? - Zaczęła go błagać. - Nie rób tego, Adam, nie opuszczaj nas. Zaklinam cię na wszystko.

Bez słowa wziął dwa pudła i ruszył do samochodu zaparkowanego na podjeździe.

- Ty chyba straciłeś rozum - Wyszepiała, kiedy wrócił.

- Być może. - Wziął walizkę i wyszedł.

Jedno po drugim dzieci zaczęły schodzić z góry, patrząc pytająco na matkę. Dopiero później Megan powtórzyła Margaret, która nie była w stanie sobie nic przypomnieć, co im wtedy powiedziała:

„Nie bójcie się. Ja jestem i nigdy was nie opuszczę”.

- Ja was też nie opuszczam - zapewnił ich Adam. - Owszem, mam kogoś, ale to sprawa między mną a mamą. To nie ma z wami nic wspólnego. Nie przestałem być waszym ojcem i w dalszym ciągu możecie na mnie liczyć.

Nikt się nie odezwał. Adam zebrał wszystkie swoje rzeczy i wszedł do samochodu. Z frontowego ganku patrzyli, jak wyjeżdża na ulicę i skręca za róg. „Obraz - pomyślała Margaret. - Taki oto obraz - dwie dziewczynki i chłopiec, w głębokim milczeniu, płacząca kobieta i kudłaty pies”.

## ***Rozdział 17***

Na wschodnim wybrzeżu minęła właśnie dziesiąta, było gorąco i padał deszcz. Na lotnisku, przy wejściu dla odlatujących, w tłumie podróżnych ubranych w mokre płaszcze nieprzemakalne, Nina wypatrywała Keitha. Pod wpływem nagłego impulsu postanowiła zrobić mu niespodziankę i wyprawić go w podróż do Phoenix. Z tego powodu odczuwała radosne podniecenie.

„Przyszłam w pełni uzbrojona - zamierzała powiedzieć. -Tu jest książka, o której wczoraj wspominałeś, a tu pojemnik z lunchem, żebyś nie musiał wybierać między jedzeniem w samolocie a głodowaniem. A poza tym od czasów Florydy właściwie nie byliśmy ze sobą, martwię się po prostu o ciebie. Nie masz dosłownie ani chwili wytchnienia”.

Odnosiła zawsze wrażenie, i teraz też przyszło jej to do głowy, że kiedy nie ma Keitha, miasto wydaje się puste. Świadomość, że on jest w odległości zaledwie dziesięciu minut jazdy taksówką, stanowiła dla niej wielką pociechę. Kiedy jednak budziła się w ciszy przedświt, te dziesięć minut, ten ułamek czasoprzestrzeni, rozciągał się w nieznane odległości i niezliczone lata.

Jak długo jeszcze będzie to trwało? Och, żeby tak można było za sprawą czarów sprawić, by wszystko się ziściło! Zaczarować i pozbyć się przeszkody - niechcianej upartej żony, frygidy, która nie potrafiła utrzymać miłości męża. I nagle go zobaczyła. Tak, ta sama kochana twarz i znajome energiczne kroki. Podeszła z uśmiechem, wesoło, wołając go po imieniu.

Odpowiedziało jej spojrzenie, w którym dostrzegła mieszaninę zaskoczenia i grozy. Towarzyszyła mu kobieta. W ułamku sekundy podświadomość Niny zarejestrowała szczegóły jej



powierzchności - gładkie ciemnoblonde włosy, rumiana twarz, płaszcz przeciwdeszczowy i wydatny brzuch - znak zaawansowanej ciąży.

W kolejnym ułamku sekundy z oczu Keitha odebrała błagalny sygnał - nie, na miłość boską, nie.

- Przywiozłam z biura te papiery, których zapomniałeś - powiedziała.

- Dziękuję - odparł, biorąc od niej pakunek. - To bardzo miło z twojej strony. Dziękuję - powtórzył.

Oczekiwał, że odejdzie, ale ona musiała przede wszystkim odzyskać władzę w nogach. Nastąpiła więc cisza, którą należało czymś wypełnić, kilka sekund, w ciągu których kobieta uniosła do męża swoją rumianą twarz w wyrazie oczekiwania... bo kimże mogła być ta kobieta, biorąc pod uwagę jej zachowanie i wymownie zaokrąglone ciało, jeśli nie żoną?

- Moja żona - powiedział Keith. - Panna... Jordan. Na perłowej twarzy pojawił się uśmiech.

- Dzień dobry. - Górna warga kobiety kształtem przypominała serce, a oczy w ciemnej oprawie - może niebieskie, a może zielone - miały łagodny wyraz.

Nina odzyskała władzę w nogach. Skinęła głową, powiedziała „No cóż...” i wycofała się. Nie mogła i nawet nie chciała być tam dłużej, ale te kilkanaście sekund w zupełności wystarczyło, by usłyszała całą historię zawartą w jednym czy dwóch zdaniach.

- O nic się nie martw, Keedy. Jutro przywiozę twoją mamę ze szpitala, a ja tam idę dopiero w przyszłym tygodniu. Zdążysz wrócić.

Otulona mgłą i niepewna swoich kroków, odchodząc, słyszała jeszcze, jak kobieta mówi dalej:

- I uważaj na siebie, kochanie. Włożyłam ci do kieszeni tabletki na kaszel.

Kochanie. Keedy. Żona nazywała go pieszczotliwym zdrobnieniem, bardzo intymnym. Zresztą o intymności ich wzajemnego stosunku najlepiej świadczył ten brzuch! Na rogu, przy kiosku z prasą, Nina się obejrzała. Trzymał ją w objęciach i całował na pożegnanie.

Uciekała. Biegła jak szalona długim chodnikiem, jak wtedy w obcym mieście. Znalazłszy się na ulicy, zatrzymała taksówkę i padła na tylne siedzenie z głową odchyloną na oparcie.

- Wszystko w porządku? - zapytał kierowca.

- W porządku. Po prostu boli mnie głowa.

Koniec! Koniec tej całej oszukańczej afery. Była właśnie świadkiem jej śmierci. Próbowwała uporządkować myśli - muszę się wziąć w garść. Nie mogę sobie pozwolić na załamanie. Spodziewam się w biurze klientki. Zaraz, jak ona się nazywa? Tęga kobieta, siwe, gęste włosy, jakieś sześćdziesiąt lat. Miła. Chodziło jej o tapetę. Próbki. Kto to jest? Nie mam pojęcia.

O Boże, gdzie są próbki? Były w domu. Miała je jeszcze rano. O Boże, omyłkowo dała próbki Keithowi. Książka i lunch leżą koło niej na tylnym siedzeniu taksówki. Chciała krzyczeć, płakać, być sama, położyć się. Ale nie miała dokąd iść...

- Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela - powitał ją Willie, kiedy weszła do sklepu.

- Coś mnie łapie, źle się czuję.

- Tylko mi tego nie sprzedaj - powiedział Ernie. - Wiesz, jak ja źle znoszę wszelkie zaziębienia. To mnie kompletnie rozkłada. Może powinnaś iść do domu.

- Nie mogę. Spodziewam się pani Jak-jej-tam - jęknęła. - Ale zgubiłam jej próbki. Całe popołudnie szukałam tapety dla niej, a teraz gdzieś te próbki posiałam!

- Rzeczywiście, kiepsko z tobą - powiedział Willie ze współczuciem. - Idź do domu. Ja się zajmę panią Jak-jej-tam. Idź i weź ze dwie aspiryny.

Przestało padać, ale dzień był ponury, ciemny, jakby świat umierał. „A niech umiera - pomyślała Nina, leżąc wyciągnięta na łóżku. - Bardzo proszę”. - Zaczęła płakać i trząść się. Zęby jej szczękały. Od czasu do czasu wzbierał w niej spazmatyczny szloch. Nawet tu, u siebie, nie miała odwagi krzyczeć. Jeszcze ktoś usłyszy i wezwie policję albo pogotowie. W pewnej chwili, kiedy uniosła głowę, spojrział na nią Keith ze starej brązowej ramki. Zerwała się z łóżka, podeszła do stołu i cisnęła zdjęciem o podłogę, aż szkło rozprysło się w drobny mak.

Upłynęło wiele czasu, zanim jej myśli zaczęły nabierać kształtu. Powinna była wiedzieć! Znaków nie brakowało, ale ona nie potrafiła ich odczytać. Ten człowiek, syn tamtej pedantycznej kobiety, ze swoim zamiłowaniem do porządku i z wyrafinowanymi gustami - ile było wtedy w Pradze roz-

mów o historii i sztuce! - z nienagannymi manierami byłby chyba ostatnim mężczyzną, który by sobie pozwolił na choćby najmniejszy błąd wynikający z odruchu serca i mogący narazić jego małżeństwo na szwank, ostatnim mężczyzną, który by świadomie skomplikował sobie życie. Każda głupia by się połapała, że taki facet będzie się kurczowo trzymał swojej uroczej żony, swojego uroczonego domu i swoich uroczych dzieci.

I tyś sobie wyobrażała, biedna idiotko, że on te wszystkie przyjemności i zaszczyty rzuci dla ciebie? Byłaś dla niego zabawką, pucharem szampana, lukrem na ciastku.

Okłamywał mnie - Nina szalała. - Obiecywał i oszukiwał. Zrobił ze mnie idiotkę. Bo już zaczęłam go nudzić. Tak. Były tego widome oznaki, tylko wołałam ich nie widzieć. Chciałabym, żeby tam, w tym Phoenix, skończył. Tak, żeby tam skończył.

Nazajutrz późnym popołudniem ktoś zadzwonił do drzwi. Zapuchnięta od płaczu, z bólem głowy, nafaszerowana aspiryną udawała, że jej nie ma.

- Wiemy, że jesteś! - zawołał Willie. - Przyszliśmy obaj z Erniem. Wpuść nas!
- Jestem chora. Przecież dzwoniłam i mówiłam wam, że nie mogę przyjść do pracy.
- Nie jesteś chora. Coś się stało. Słyszałem łzy w twoim głosie.
- Nie, naprawdę jestem chora - zaprotestowała.
- Jeżeli nas nie wpuścisz, będziemy tu stali całą noc i urządzimy scenę.

Musiała więc ich wpuścić i opowiedzieć całą historię. Kiedy skończyła, Ernie westchnął.

- Nie chcę być brutalny, Nino, ale to było do przewidzenia.
- Dlaczego?
- Powiedzieć jej, Willie?
- Oczywiście.
- Kilka miesięcy temu widzieliśmy go na pokazie antyków. Był z żoną; oglądali angielskie meble w stoisku sąsiadującym z naszym. Poznał mnie, ale bardzo starannie udawał, że mnie nie widzi. Później dowiedzieliśmy się od dilerów, że dobudowują do swojego domu całe skrzydło, powiększając bibliotekę

i dodając pokój komputerowy. Innymi słowy, plany na przyszłość.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście? - Nina wytarła oczy, które znów zrobiły się mokre. - Przepraszam was za te szlochy.

- Szlochaj, szlochaj, musisz to wszystko z siebie wyrzucić.

- Ale dlaczegoście mi nie powiedzieli?

- Z tych samych względów, z jakich nie mówi się takich rzeczy żonom. Nikt nie chce być dostarczycielem złych wiadomości. Lepiej pilnować własnego nosa. A poza tym i tak byś nam nie uwierzyła. Nawet nie chciałybyś słuchać.

- Masz rację.

Cała trójka siedziała w ponurej ciszy.

- Dlaczego on mi to zrobił? - pytała bez końca, potrząsając głową, jakby kwestionowała samą możliwość istnienia takiej perfidii. - Dlaczego mnie tak zwiódł?

- Jesteś wyjątkowo atrakcyjną kobietą, Nino. Nietuzinkową.

- Jasne, jasne - powiedziała z goryczą. - On też mi to mówił. Że jestem zupełnie inna!

- Bo jesteś - zapewnił ją Willie. - Masz w sobie świeżość i jakiś niedzisiejszy wdzięk, bardzo rzadko już teraz spotykany. A jednocześnie jesteś nowoczesną niezależną kobietą. Jednym słowem, odkryciem, cennym znaleziskiem.

- Mówiąc krótko, przedmiotem, którego on używał tak długo, jak długo było mu wygodnie.

I jak to bywa, kiedy ludzie się zamyślą, zaczęła przyglądać się swoim palcom, wspominając a to czułe słówko, a to spacer w śniegu, a to znów jakąś szaloną, namiętą noc - wszystko to, co się złożyło na trzy lata wspólnych przeżyć.

- Muszę zacząć od początku i zupełnie się przestawić - powiedziała.

Na twarzach obu mężczyzn malowała się taka życzliwość, że bez poczucia upokorzenia wyznała szczerze:

- Rzeczywiście już od jakiegoś czasu czułam, że ma mnie dosyć, ale za każdym razem, kiedy odnosiłam takie wrażenie, powtarzałam sobie, że to bzdura. - Nagle podskoczyła i zawołała: - Ale jeżeli zamierzał ze mną zerwać, to po co by mi dawał to? Poczekajcie, zaraz wam pokażę.

- O, to bardzo, ale to bardzo ładna rzecz - orzekł Ernie. - Tak na oko dwadzieścia pięć albo nawet trzydzieści tysięcy.

- Dwadzieścia siedem. Naturalnie mu zwróćę. Willie przywołał ją do porządku:
  - Wykluczone. Nie bądź głupia.
  - Willie, ja tego naprawdę nie chciałam przyjąć. Ale tak nalegał, żebym wzięła, że uwierzyłam, że mnie kocha. Ernie potrząsnął głową.
  - Przemawia przez ciebie naiwność. Pozwolisz, że będę brutalnie szczery?
  - Mów.
  - Przecież to był, kochanie, pożegnalny podarunek, ładne zakończenie znajomości, prezent na otarcie łez. Ale i tak się tanio wykpił. Powinien ci przynajmniej dokupić do tego kolczyki, a jeszcze lepiej naszyjnik.
  - „Świat, którego zupełnie nie znałam - pomyślała Nina. Cała ta sprawa od samego początku oparta była na fałszu. Margaret miała jednak rację”.
  - Ładne zakończenie - powiedziała. - Ciekawe, co dalej? Czy już ktoś czeka na moje miejsce?
  - Niewykluczone. Chyba że zmęczyło go uganianie się za kobietami, przynajmniej chwilowo. A może już się wyszumiał i postanowił zostać kochającym mężem, ostoją rodziny. To się zdarza.
  - Jestem zupełnie odrętwiała i wypłakana, w każdym razie w tej chwili.
  - Z płaczem jeszcze nie koniec - zapewnił ją Willie - ale powoli, powoli dasz sobie z tym radę. Roześmiała, się krótko, ironicznie.
  - A skąd ty możesz tyle wiedzieć na ten temat, Willie?
  - Bo mam oczy i uszy otwarte. Powiedz lepiej, kiedy ostatni raz coś przyzwoitego jadłaś?
  - Nie wiem. Chyba wczoraj na śniadanie.
  - Należy ci się solidny posiłek. Weź prysznic i zrób ze sobą porządek, a my tymczasem pójdziemy przynieść coś na kolację.
  - Nie jestem głodna.
  - Ale będziesz. Idź, doprowadź się do porządku. Wyglądasz jak czupiradło.
- Jaką zabawną i sympatyczną parę stanowili ci dwaj z tą swoją „inną” miłością! Nina mimo woli uległa ich namowom.

W godzinę później siedzieli we trójkę przy wspaniałej kolacji, podczas której wysłuchała następującej rady:

- Powinnaś teraz wyjechać w jakieś ciche miejsce i uspokoić nerwy. Jedź do domu, do rodziny. Od roku tam nie byłaś. Wiemy dlaczego, ale pan Keith przestał już być przeszkodą. Zrzuć pychę z serca i jedź. Nie dzwoń, to nie jest rozmowa na telefon. Po prostu zrób im niespodziankę.

Nina wysiadła z samolotu, wynajęła samochód i ruszyła w kierunku Elmsford. W pierwszej chwili, patrząc z drugiej strony rzeki na most, na budynek szkoły, na dom towarowy Danfortha, na to całe ruchliwe, rozwijające się i tak dobrze jej znane rodzinne miasto, poczuła kluchę w gardle. Jeszcze dziesięć minut i znajdzie się w samym jego sercu, na starej ulicy, w starym domu, wolna od kłamstw i oszustw. Czekala tam na nią jej rodzina, ludzie prości, godni zaufania, solidni.

„Mam nadzieję, że się nie rozryczę - pomyślała, śmiejąc się z siebie pod nosem. - Ale jeśli nawet, to trudno”.

Na podjeździe stał zakurzony van Freda Davisa i bmw Luizy, co wydało się Ninie dziwne jak na zwykle popołudnie. Poza tym wszystko było tak jak zawsze. Leżący w cieniu Rufus podniósł się, żeby ją powitać, jakby Nina nigdy stąd nie wyjeżdżała. Pogłaskała go po łbie, podeszła do drzwi i zadzwoniła. Otworzyła jej Luiza.

- O, proszę! - wykrzyknęła, spoglądając na walizkę. - Nie wiedziałam, że ktoś się z tobą skontaktował!

- Co się stało?! - zapytała Nina z przerażeniem. - Czy był jakiś wypadek?

- Można to tak nazwać - odparła ponuro Luiza. - Adam się wyprowadził, i to wszystko.

- Wyprowadził się?

- Tak. Znalazł sobie inną kobietę i wyniósł się w poniedziałek rano. Wejdz. Margaret jest w domu.

## ***Rozdział 18***

Z wyjątkiem Margaret, która na wyraźne naleganie Luizy poszła na górę odpocząć, wszyscy zebrali się we frontowym saloniku. „Jakie to dziwne, że takie stare niemodne słowo brzmi tak naturalnie” - pomyślała Nina. Siedzieli sztywno, ponuro, jakby czekali w szpitalu na werdykt chirurga. Odniosła wrażenie, że musieli tak siedzieć od poniedziałku, to mówiąc coś, co im nagle przychodziło do głowy, to znów nagle milknąc.

- Tak czy siak, nigdy go z nią nie widziałem - powiedział Gil. - Zawsze był oryginałem. Zapytajcie Luizę, ile razy to mówiłem. A ja go uważałem za kogoś nadzwyczajnego! Zawsze z tym ironicznym uśmiechem - bo on jest alfą i omegą, a inni to betki.

Dla Niny ta scena była surrealistyczna. To, że rozmawiali o Adamie - o Adamie! - wydawało jej się zupełnie niezrozumiałe. Oczekiwała, że przyjedzie do domu, padnie Margaret w ramiona, opowie jej całą swoją historię, przeprosi za popełnione błędy, zostanie ucałowana i pocieszona. I stało się tak w ciągu pierwszych kilku minut, ale zaraz potem... nastąpił ten cios. Siedziała więc teraz w milczeniu z walizką przy nogach.

Pełny biust Luizy falował z oburzenia.

- On nikogo nie lubił. Wszyscy to widzieli. A szczególnie nas, nie mieliśmy co do tego wątpliwości. Owszem, był grzeczny, ale prawie się do nas nie odzywał. Prawdopodobnie uważał, że nie jesteśmy tego godni.

- Zawsze był małomówny - wtrąciła Nina.

- Małomówny! Typowy milczek.

Rozmawiali o Adamie w czasie przeszłym. Rozmawiali o człowieku, którego Nina nie poznawała. A jednak to, co

mówili, musiało być prawdą. Adam rzucił Margaret. Wyniósł się. Poczula dreszcze, zrobiło jej się zimno nawet w tym dusznym pokoju w samym środku lata.

- Fred, czy ty mówiłeś Margaret, że go widziałeś z tą kobietą? - zapytał Gil.

- Nie. Może powinienem, a może nie. Żonom się takich rzeczy nie mówi. Nikt nie chce być gońcem przynoszącym złe wieści.

Ninie robiło się na przemian to zimno, to gorąco. A ponieważ w pokoju było zbyt wiele par oczu, których spojrzeń starała się unikać, na wszelki wypadek patrzyła na swoje buty.

- Margaret! Trójka dzieci! - wykrzyknęła Luiza, jak gdyby w dalszym ciągu nie mogła ogarnąć potworności tego, co zrobił Adam. - I pomyśleć tylko, że przez te wszystkie lata biedaczka męczyła się z jego matką, chorą na Alzheimera! Większość synowych bez wątpienia umieściłaby taką teściową w domu opieki!

- Naprawdę serce się kraje - zwrócił się Gil do Niny -kiedy się słucha, jak Margaret w kółko pyta, co ona takiego zrobiła, że ją to spotkało.

- Dziesiątki razy jej mówiłam, że nie powinna winić siebie - powiedziała Luiza. - Że to wyłącznie jego wina i tej dziwki. Tak, Gil, tak. Tak się nazywa według słownika kobieta bez zasad.

- Tego typu rozmowy nic nie dadzą - zaprotestował spokojnie Fred. - Musimy pomóc Margaret zebrać myśli. Przede wszystkim powinna wziąć dobrego adwokata.

- Adwokata - powtórzyła Margaret, wchodząc do pokoju. - Chyba będę musiała. Chociaż mama zawsze mówiła, żeby się trzymać z daleka od adwokatów.

- Póki można - zgodził się Fred.

Wszyscy usłyszeli głośne westchnienie Margaret. Nina była wstrząśnięta zarówno jej westchnieniem, jak i wyglądem. Przyjrzwawszy się teraz Margaret dokładnie niż przy powitaniu, zauważyła w niej wielką zmianę w stosunku do ubiegłego roku. Wydawała się starsza i chudsza, a jaskrawe młodzieńcze włosy w przykry sposób kontrastowały z podkrążonymi oczami i smutnym wyrazem ust.

- Możesz mi kogoś doradzić? - Margaret zwróciła się do Freda.



- Owszem, mogę. Dziś rano zrobiłem w tej sprawie rozeznanie i polecono mi Stephena Larkina. Jego stryj, Bart Larkin, był jednym z najwybitniejszych adwokatów od spraw rozwodowych w całym stanie. Umarł w zeszłym roku, a Stephen przejął po nim praktykę. Tak się składa, że jest jednym z moich najemców w Shady Hill. Przypomniałem sobie to nazwisko. Chciałabyś z nim porozmawiać?

Margaret znów westchnęła.

- Chyba będę musiała.

- Następne pytanie - co z dziećmi? Julie mnie wczoraj przeraziła. Zdaje się, że przeżywa to szczególnie mocno.

- Wiem. Jest... była... bardzo przywiązana do ojca. Będę musiała zorganizować jej jakąś pomoc. - Margaret wstała.

- Ale skoro mowa o dzieciach, to powinny lada chwila być w domu. Sąsiadka zabrała je na popołudnie, ale muszę pomyśleć o jakiejś kolacji.

- Ty siedź. Ja coś zrobię - powiedziała szybko Nina.

- Nonsens - wtrąciła się energicznie Luiza. - Pobiegniemy z Gilem i przyniesiemy pizzę. Dzieci przez cały rok są tak wspaniale odżywiane, że nic im się nie stanie, jak raz nie zjedzą klasycznej kolacji.

- Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy...

- Po to jest właśnie rodzina i przyjaciele - odparł Fred.

Rozmowa, która toczyła się w kuchni przy kolacji, była wyciszona i smutna. Mimo to Nina nie miała wątpliwości, że dziewczynki i Danny cieszą się z jej przyjazdu. Przyszło jej do głowy, że ona, która przyjechała tu szukać pociechy, sama musi jej udzielić tym czterem bardzo potrzebującym wsparcia istotom.

Po krótkiej kolacji w domu szybko zapadła cisza. Margaret, która najwyraźniej starała się przywrócić w miarę normalne codzienne funkcjonowanie, poprosiła Julie, żeby zagrała, ale Julie odmówiła, więc wszyscy rozproszyli się po swoich pokojach. Margaret przyniosła świeżą pościel dla Niny i obie uściskały się serdecznie.

- Jestem taka szczęśliwa, że przyjechałaś, tak bardzo było mi Ciebie brak.

- To zabawne, popatrz, przyjechałam, bo byłaś mi potrzebna, a tymczasem...

- A tymczasem to ja ciebie potrzebuję.

Z jakichś powodów Nina się roześmiała, mimo że trochę popłakiwała i przecież nie było powodów do śmiechu.

- Ale z nas para! I to przez mężczyzn.

- Co powiesz jeszcze?

- Jak sądzisz, czy jakoś się pozbieramy?

- Nie mamy innego wyjścia.

„Odważne słowa jak na kogoś, czyja godność została podeptana - pomyślała Nina. - No, ale wszystko po kolei”.

- Jestem śmiertelnie zmęczona i ty z pewnością też. Musimy się przespać. Jutro porozmawiamy.

Nina miała wrażenie, że zmęczony jest cały dom, a nawet sama noc, podczas której nie drgnął nawet jeden liść.

Kiedy pościeliła łóżko, usiadła na chwilę przy oknie, wpatrzona w ogród. Ziemię zalało światło księżyca, wyraźnie uwydatniające wszelkie kształty, które jej wędrujący wzrok wychwytywał między drzewami. Nagle zatrzymał się na ogromnym jesionie. To było drzewo, które sadziła razem z Margaret w swoje siódme urodziny.

„Na razie to tylko patyk - powiedziała wtedy Margaret -ale kiedyś będzie wielki jak ten dom. Twoja w tym głowa, żeby go podlewać i w ogóle o niego dbać”.

Ninę poraziło skojarzenie. Żona Keitha, której tak nienawidziła, też pomagała dziecku czy dzieciom sadzić drzewko.

A to znaczy, że zamierzała tam zostać i patrzeć, jak ono rośnie. I nagle Nina zobaczyła ją w całkiem innym świetle

-kruchą, z delikatną twarzą i zaokrąglonym brzuchem. Wyobraziła sobie żonę Keitha gwałtownie postarzałą i przerażoną, siedzącą lub leżącą samotnie w łóżku, jak teraz Margaret.

Ta kobieta, tak jak Margaret, planowała jakąś przyszłość, którą Nina próbowała jej odebrać.

Tym razem, kiedy płakała, a płakała długo, nawet bardzo długo, w jej łzach był wstyd.

Po drugiej stronie korytarza leżała Megan, patrząc w plamę księżycowego światła na suficie i szepcząc do siebie:

- Wiedziałam już tamtego wieczora, kiedy się kłóciliście i mama powiedziała, że kogoś masz. Uwierzyła ci, kiedy zapreczyłeś, ale ja ci nie uwierzyłam. A potem zobaczyłam cię w tej restauracji. Nienawidzę tej kobiety i ona o tym wie. Patrzyłyśmy sobie w oczy. Miałam ochotę ją zabić. Jak mogłeś zrobić mamie coś takiego? Czy ty wiesz, jak dzieci w szkole za nią przepadają? Z jakim szacunkiem mówią o niej rodzice moich koleżanek! Jak możesz jej to robić? I teraz ona siedzi, biedaczka, i płacze przez ciebie. Mężczyźni to śmierdziele. Chłopaki mówią ci, że jesteś ładna. I że cię kochają. Ale chodzi im tylko o to, żeby cię pomacać. A już za tydzień mają inną. Nie można im wierzyć.

Serce Megan waliło jak szalone. Usiadła na brzegu łóżka, nie przestając szeptać.

- A ja cię tak kochałam. Byłeś najlepszym ojcem na świecie. Jak mogłeś nam to zrobić? O Boże, tamten ranek, kiedy nas porzuciłeś i odjechałeś! Jak ja będę mogła jeszcze kiedyś komuś zaufać? Nie, już nie jesteś moim ojcem. A ja cię tak kochałam. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Wiem, że mieszkasz z tą ohydą babą. Pewnie myślisz, że cię odwiedzę i będę dla niej miła. Niedoczekanie twoje.

Julie przewróciła poduszkę na suchą stronę. „Ludzie mówią, że to głupie gadanie, że można komuś złamać serce - pomyślała - ale od tamtej pory, kiedy tata się od nas wyprowadził, czuję, że coś w tym jest”. Położyła rękę pod niewielkim wzniesieniem swojej lewej piersi, żeby sprawdzić, jak zachowuje się jej serce; odniosła wrażenie, że tłucze się jak silnik, który za chwilę odmówi posłuszeństwa. A co tam! Niech odmawia. Przynajmniej tata zrozumie, co zrobił, i będzie mu głupio.

Jego twarz była taka zimna i zła. Nawet na nich nie patrzył. Po prostu sobie poszedł i wsiadł do samochodu. Mama musiała zrobić coś okropnego, żeby go aż tak rozzłościć.

Ale przecież mama płakała. Więc jeśli nawet zrobiła coś okropnego, to tego żałowała, inaczej by przecież nie płakała? Dlaczego uciekł z kimś innym? Megan widziała tę osobę i powiedziała, że jest ohydna. To wszystko razem nie ma najmniejszego sensu. Nic z tego nie rozumiem. Zapytam tatę,

jak go zobaczę. Powiem mu, żeby do nas wrócił. Bardzo bym tego chciała.

Rufus, który zwykle sypiał w korytarzu, jak gdyby wiedział, że Danny go potrzebuje, przyszedł i położył się koło jego łóżka. Kiedy Danny opuścił rękę, dotknął czubka kosmatego psiego łba.

Chłopiec próbował uporządkować swoje uczucia. Tyle ich było i takie pomieszane. Jego zawstydzone myśli zabłądziły tam, gdzie nie powinny - wyobraził sobie swojego ojca ze szczupłą, młodą kobietą, koniecznie blondynką, z włosami długimi do ramion, a potem piersi, małe, sterczące... O tym wszystkim myślał wieczorem, jedząc pizzę i spoglądając na matkę, kiedy ona tego nie widziała.

Ale jego matka nie była stara. Taka naprawdę stara. Zwrócił uwagę na obrączkę, którą w dalszym ciągu nosiła na palcu. Paznokcie miała różowe i czyste; ręka, ramię, biały kołnierzyk, białe policzki - wszystko było czyste, bezradne i smutne.

Poczuł pieczenie w gardle. Czy to możliwe, żeby porzucenie przez tatę tej ładnej kobiety i tego ładnego domu miało coś wspólnego z nim, z Dannym? Czy to moja wina? - zapłakał krótko, cicho. Przypomniał mu się artykuł w piśmie, o dzieciach z rozbitych rodzin, które siebie obarczają winą za rozwód rodziców. I uświadomił sobie, że kiedy przeglądał artykuł, te dzieci były dla niego tylko statystyką. A teraz to on był statystyką.

Danny postanowił zejść na dół i przynieść sobie coś do jedzenia, jakieś czekoladowe ciasteczka czy coś w tym rodzaju. „Może zrobi mi się lepiej - pomyślał, chociaż wiedział, że tak się nie stanie”.

Margaret ściągnęła rolety, ponieważ sączące się do pokoju światło księżycy ją rozpraszało. Musi przede wszystkim uporządkować myśli, musi zaprzestać utyskiwań i chaotycznych poszukiwań, które do niczego nie prowadzą.

Zaraz... tamtego wieczora w Nowym Jorku, kiedy spotkali tę kobietę... czy to wtedy, w te kilka minut, zdążyła mu zawrócić w głowie? Później w pokoju hotelowym pili przecież

szampana i - pamięta to bardzo dobrze - Adam ją pocałował i przytulił. Czyżby już jej wtedy nie kochał?

Bezsensowne pytania. „Skup się teraz - pomyślała stanowczo - na tym, co masz zrobić.

Po pierwsze, musisz chronić dzieci. W żadnym razie nie wolno ci wobec nich podważać autorytetu ojca. Musisz wziąć się w garść; dość już miały widoku łez, których nie potrafiłaś powstrzymać; koniec z płaczem. Trzeba pamiętać, że każde dziecko przeżywa to na swój sposób. Dwunastoletni chłopiec reaguje inaczej niż kilkunastoletnia dziewczynka. Musisz dopilnować, żeby dzieci nie straciły kontaktów z kolegami, a ty żebyś była w kontakcie z ich nauczycielami. Musisz spotkać się z adwokatem poleconym przez Freda. Jeśli kiedykolwiek potrzebne ci będzie oparcie, choć lepiej tego unikać, szukaj go u Freda. On tego oczekuje”.

Kiedy już sporządziła w myślach listę najważniejszych spraw, usiłowała zmusić się do spania. Ale nawet czując, że sen nadchodzi, nie mogła się oprzeć pytaniom, na które nie było odpowiedzi i które osaczały ją w ciemności - co Adam dziś myśli o tym wszystkim? I gdzie się podziały te wspólne lata?

- Dziś zdrada małżeńska nic nie znaczy - powiedział Stephen Larkin. - Szukamy jakiejś kary, ale takiej nie ma.

Był to młody mężczyzna, mniej więcej w wieku Margaret, ciemnowłosa, w odróżnieniu od Adama, ale tak samo szczupły, o podobnym poważnym, ascetycznym wyglądzie. Złapała się na tym, że wszystkich mężczyzn, nawet widzianych przelotnie, zaczyna porównywać z Adamem.

- Wnioskując z tego, co mi pani powiedziała, wszystko sprowadza się do kwestii - kto występuje z pozwem przeciwko komu i na jakiej podstawie, podział pieniędzy, podział wspólnego majątku. Wszystko, cała rozpacz i łzy, dosłownie wszystko, zostaje zredukowane do sterty papierów.

- Tak, tego się obawiam.

Margaret rozejrzała się po pokoju, zatrzymała wzrok na pozwijanych od upału liściach klonu za oknem, potem na ścianach zastawionych ponurymi brunatnymi segregatorami, pełnymi pism prawniczych. Wszystko tu było suche i beznadziejne.

A ona, która do tej pory tak się trzymała w ryzach, pozwoliła sobie na eksplozję uczuć, na to, żeby wszystko wypłakać wobec tego obcego człowieka siedzącego po drugiej stronie biurka.

- Dlaczego coś takiego spotkało właśnie mnie? Żadna kobieta nie spodziewa się, że właśnie ją życie tak potraktuje!

- Żyje pani w Ameryce roku 1993 - odparł spokojnie Larkin. - Jak ktokolwiek może myśleć, że go coś takiego ominie?

- W 1918 roku świat ogarnęła epidemia grypy, ale moja babka nie знаła nikogo, kto by z tego powodu umarł.

Przecież człowiek nie myśli ciągle o tym, że straci życie z powodu epidemii, tak samo jak nikt nie myśli, że akurat jego rodzina zostanie rozbita. On był całym moim życiem. Marzyłam o tym, żeby zostać lekarką, ale ponieważ kolidowało to z jego planami, zrezygnowałam ze studiów medycznych. I to z radością. Z radością, że mogę to zrobić dla niego! Nigdy, w żaden sposób, nawet w myślach, nie należałam do nikogo innego.

I wtedy, wbrew swoim twardym postanowieniom, Margaret zaczęła płakać. Upokorzona własnymi szlochami, których nie była w stanie powstrzymać, ukryła twarz w dłoniach.

Larkin dyskretnie odwrócił wzrok i zajął się przeglądaniem papierów. Kiedy się wreszcie uspokoiła, wytarła nos i twarz, powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszała:

- Rozumiem pani ból.

- Może jestem tchórzem - odparła - nie wiem...

- Nie sądzę, żeby pani była tchórzem. Pani przyjaciel, Fred Davis, jest o pani zupełnie innego zdania. Zawdzięczam mu wiele cennych uwag, dotyczących tej sprawy.

- O panu też bardzo dobrze mówił. Dlatego tu jestem.

- Ale jest pani świadoma, że będziemy się musieli jeszcze spotkać. Prawo działa powoli, jak pani zapewne słyszała.

- O ile dobrze pamiętam, teraz skontaktuje się pan z Adamem, tak?

- Z jego adwokatem, jeśli go ma.

- Nie wiem, czy już ma. Nie rozmawiałam z nim od tamtej pory i nie zamierzam rozmawiać. Dzieci przyjmują telefony. Z wyjątkiem Megan, która nie chce mieć z nim do czynienia, co mnie bardzo martwi... W każdym razie będzie panu potrzebny jego adres, prawda? Ja panu ten adres zdobędę. Bo on... bo on mieszka u niej.

- Nie ma potrzeby. Fred już dał mi adres tej pani.

Na tym zakończyło się spotkanie. Przy drzwiach Margaret odwróciła się jeszcze i powiedziała ze smutkiem:

- Nie sądzę, żeby dla pana sprawa okazała się trudna. Nie będzie sporów o opiekę nad dziećmi i nie ma majątku, o który moglibyśmy walczyć.

Podali sobie ręce.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział Larkin. - Teraz pewnie pani w to nie wierzy. Ale będzie, zobaczy pani. Kiedy Adam się obudził, była głęboka noc. Nie wiedział, co go obudziło, chyba że było to szczęście, które dosłownie go rozpierało. Patrząc przez okna na błyszczący bezmiar gwiazd, poczuł nagłą potrzebę wyjścia na zewnątrz. Nie budząc więc Randi, wyśliznął się z łóżka, ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł między spowite w ciszę drzewa. Jakiś nocny ptak zaświergotał i umilkł. Szop przebiegł przez trawnik, po czym szeleszcząc, schował się w krzakach. Adam miał wrażenie, że najgłośniejszym dźwiękiem w tej zaczarowanej krainie było bicie jego serca.

Poczuł wielki spokój. To prawda, że wiele jeszcze pozostało do załatwienia, ale przynajmniej na razie myślał tylko o tym, że to się wreszcie stało. Są tu z Randi - zdrowi, młodzi, wolni.

Tamtego ranka, przed kilkoma dniami, opuszczał Elmsford z uczuciem niesamowitej ulgi. Pod wpływem nagłego impulsu zatrzymał się nawet przed sklepem jubilera i kupił złotą bransoletkę, a ponieważ nigdy dotychczas nie kupował biżuterii, zaskoczyła go cena. Uznał jednak, że upojna perspektywa wyjmowania bransoletki z kieszeni i ofiarowania jej Randi jest warta każdych pieniędzy. Zachichotał na samo wspomnienie jej zachwyty.

W biurze powiedział, że jest chory i że przez kilka najbliższych dni nie będzie go w pracy. W ciągu całej swojej kariery w ADS opuścił zaledwie trzy dni, nie miał więc wyrzutów sumienia. Jeśli już o to chodzi, nie miał ich w żadnej sprawie.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała Randi.

- Czyżbyś słyszała, jak wstawałem z łóżka? Zachowywałem się bardzo cicho.
  - Nie. Ale poczułam twoją nieobecność. - Objęła go ramionami, szepcząc czule: - Taka jestem szczęśliwa, że jeszcze ciągle nie mogę w to uwierzyć.
  - Jest mi z tobą cudownie, Randi.
  - Oczywiście. Bo jesteś u siebie. Jutro będziesz tu miał nawet swoje dzieci.
  - Dwójkę. Megan odmówiła przyjścia.
  - Dziewczynki w jej wieku bywają uparte. Nie martw się. Zmieni zdanie. Zobacysz, będziemy się świetnie bawili z Julie i Dannym. Chyba im powiedziałeś, żeby wzięli stroje kąpielowe.
  - Powiedziałem. Zauważyłem w kuchni pudełko ciasteczek czekoladowych. Zapamiętałaś, jak ci kiedyś mówiłem, że Danny mógłby nic innego nie jeść...
  - Zapamiętałam. To bardzo ważne, by twoje dzieci czuły, że to jest także ich dom.
  - Jesteś bardzo dobra, Randi. Najbardziej martwią mnie święta. Chciałbym, żeby dzieci spędziły tu z nami Boże Narodzenie.
  - Urządzimy święta następnego dnia. Będzie druga Gwiazdka. Ale wracajmy do łóżka. Musisz jutro wcześniej wstać, żeby po nie pojechać.
- Dzień był piękny, wietrzny, błękitny i nie za gorący.
- O rany, ale fantastycznie. - W ten sposób Danny wyraził swoją aprobatę dla domu, basenu i pewnie - miał nadzieję Adam - także dla Randi.
- W białych szortach i czerwonych sandałach sama wyglądała jak podłotek. Mówiła wszystko to, co trzeba - podziwiała plażówkę Julie i zapewniała Danny'ego, że wygląda na co najmniej czternaście lat.
- Zwiedziwszy dom, cała czwórka stała teraz niepewnie, patrząc, jak Rufus węszy dokoła basenu.
- Pomyślałem sobie, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zabierzemy Rufusa - powiedział Adam.
  - Oczywiście, że nie mam. To wspaniałe psisko, jego sierść musi chyba wymagać częstego czesania.



- To jest moja działka - odpowiedział szybko Danny. - Czeszę go codziennie. Nie musisz się bać, jeśli wejdzie do domu. On nigdy w domu nie brudzi.

Randi uśmiechnęła się do Adama. Rozkoszny - mówił jej uśmiech. Rozkoszny chłopak. Bo taki rzeczywiście był Danny. A Julie, chudziutkie, drobne stworzenie, z łopatkami sterzącymi jak skrzydełka i z wielkimi oczami, była po prostu nieoszlifowanym klejnotem, kruchą nastolatką z tych, z których wyrastają kobiety wyrafinowane, o wyjątkowej gracji i subtelności. Julie już teraz była niezwykła. Adama napełniła ojcowska duma.

- A co wy na to, żebyśmy tak popływali? - zaproponowała Randi. - Danny, ty się przebierz w łazience, a ty, Julie, chodź ze mną, pokażę ci pokój gościnny. My też chyba popływamy, prawda, Adamie?

Adam poczuł się niezręcznie, kiedy udał się za Randi do sypialni. Dzieci, mijając ich drzwi, musiały widzieć łóżko i Adam nie miał wątpliwości, co sobie pomyślały. Ta chwila jednak przeminęła i powróciła rzeczywistość, urocza rzeczywistość, gdy miał przy sobie jednocześnie Randi i dzieci.

Kiedy Adam wyszedł przed dom, Danny był już w wodzie, a Julie siedziała w cieniu w nieskazitelnej niebieskiej plażówce.

- A ty co, Julie, nie masz kostiumu?

- Nie mam ochoty się kąpać.

- O co chodzi, źle się czujesz?

- Nie, dobrze, ale nie mam ochoty pływać.

- W porządku - powiedział Adam wesoło. - To może chcesz coś do czytania? Jakieś pismo albo gazetę?

- Nie, dziękuję. Tak jest dobrze.

Julie ukradkiem obserwowała białe atłasowe bikini Randi. Danny też na dłuższą chwilę zatrzymał na niej wzrok.

„Biedne dzieciaki - pomyślał Adam, wstrząśnięty nagłym odkryciem i zawstydzony - że też mu wcześniej nie przyszło do głowy, co one będą czuły na widok Randi". Myślał tylko o tym, jak będą szczęśliwe na jego widok.

- No, Danny! - zawołał. - Chodź, robimy zawody. Zakład, że biorę cię o sześć długości?

Kiedy Danny wygrał o długość ramienia, zaproponował zawody w krytej żabce.

- Ja w tym jestem kiepski - powiedział Adam.
- A ja się tego nauczyłem na obozie harcerskim w ubiegłym roku.
- W tym roku też jedziesz na obóz? - zapytała Randi, która opalała się na brzegu basenu.
- Nie - odparł Danny, a kiedy Adam zdziwiony zapytał, dlaczego, odparł bez owijania w bawełnę:
- Bo nie chcemy zostawiać mamy samej.

Słowo „mama”, choć wypowiedziane zupełnie niewinnie, podziało na wszystkich pesząco; zapanowała niezręczna cisza, którą szybko należało czymś wypełnić.

Randi pierwsza pospieszyła z uwagą:

- Tata mi mówił, że jesteś wspaniałą pianistką, Julie.
- Tata przesadza - odparła dziewczynka.
- Oczywiście, że daleko ci do Rachmaninowa, ale jesteś naprawdę dobra - zapewnił ją Adam. - Czy pani Watts brała wczoraj z tobą jakiś nowy utwór, czy w dalszym ciągu pracujesz nad walcem?
- Nie miałam wczoraj lekcji.

Twarz i głos małej były całkowicie pozbawione wyrazu. Siedząc prosto, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, tak jak ją uczono na lekcjach tańca, Julie wyglądała, jakby z niej spuszczone całe powietrze. Adam poczuł się lekko zirytowany, ale przede wszystkim zatroskany.

- No cóż, jeżeli będziesz opuszczała lekcje... - zaczął, ale Julie mu przerwała:
- Nie będę już więcej brała lekcji.
- Co takiego? Chyba nie mówisz poważnie?
- Owszem, mówię poważnie - odparła tym samym bezbarwnym głosem.

Nie tak wyobrażał sobie ten dzień. Nie mógł jednak przejść nad tą informacją do porządku dziennego, spróbował więc perswazji:

- Byłby to z twojej strony wielki błąd. Umieć grać to wielka radość. Żałuję, że nie potrafię grać tak jak ty, ale niestety nie mam talentu. - Chciał już coś powiedzieć na temat wieczornych popisów Julie, ale w porę ugryzł się w język.

Nadbiegł Danny, który rzucał Rufusowi patyki pod drzewami, by oznajmić, że pies strasznie ziaje.

- Pewnie mu się chce pić, tato - powiedział.

- Przyniosę jakąś miskę - zaofiarowała się Randi - i tak muszę iść do kuchni zająć się lunchem.
- Posłuchajcie, dzieci - powiedział Adam szybko, kiedy Randi zniknęła. - Rozumiem, że to wszystko musi się wam wydawać bardzo dziwne, i będziemy musieli więcej na ten temat rozmawiać, ale na razie chcę powiedzieć jedną rzecz -nikt nie jest zły na nikogo. Ja w każdym razie nie jestem zły na waszą mamę. Uważam ją za bardzo dobrą matkę.

Zapadła cisza. Dzieci wpatrywały się w niego, czekając na dalszy ciąg. A ponieważ wiedział dokładnie, czego po nim oczekują, zebrał się na odwagę i podjął:

- Nie dlatego odszedłem. Odszedłem, bo kocham Randi. Dzieci milczały.
- Polubicie ją, jak ją lepiej poznacie. Jestem o tym przekonany.
- Czy chcesz przyprowadzić tutaj Rufusa? - zawołała Randi z domu. - Tam jest bardzo gorąco, a on ma takie gęste futro.

Danny poszedł z psem, a Julie, która miała oczy pełne łez, została na miejscu, szukając chustki w torebce.

„Pedantyczna starsza pani z torebką” - pomyślał Adam i objął małą ramieniem.

- To nie tragedia, kochanie. Wszystko jakoś się ułoży, zobaczysz.
- Zostaw. - Julie strząsnęła z siebie jego ramię. - Tak jest jeszcze gorzej.
- Dobrze. Już nie będę.

Stali przez chwilę, pochlipująca Julie i Adam ze swoimi myślami. Oczywiście, że wszystko to się jakoś stopniowo ułoży; miliony dzieci przez to przechodzą i jakoś sobie radzą. Po prostu Julie jest szczególnie wrażliwa i wszystko przeżywa bardziej niż większość jej rówieśników.

Pod żadnym innym względem życie jego dzieci się nie zmieni - przysiągł sobie Adam. - Już on tego dopilnuje. Jutro ma spotkanie z adwokatem. Wszystko załatwi bardzo przyzwoicie. W pełni wywiąże się ze swoich obowiązków wobec rodziny. Zastanawiał się tylko, co powiedzą w biurze, kiedy się dowiedzą. Oczywiście, nie od niego. On nie należy do tych plotkarzy, którzy opowiadają o swoim życiu prywatnym.

- Jak ja wyglądam? - spytała Julie. - Nie mam lusterka.

- Wyglądasz ślicznie. Ładna jak zawsze. Idź do domu i zaproponuj Randi, że jej pomożesz przy lunchu.

Reszta popołudnia upłynęła w przyjemnej atmosferze. „Dobre jedzenie zawsze w takich sytuacjach pomaga” - pomyślał Adam. Randi, świetna gospodyni, zrobiła doskonały makaron. Sałatka i deser też były wspaniałe; w każdym razie Danny zjadł za dwóch.

- Widzę, że stajesz na głowie, by im dogodzić - szepnął Adam.

- Bo one są słodkie - odparła Randi. - I twoje.

Kiedy nadszedł czas pożegnania, dzieci grzecznie podziękowały, i Adam znów poczuł dumę. Margaret dobrze je wychowała; jego dzieci nie były takie rozhukane i bezczelne jak większość młodzieży w dzisiejszych czasach. A to spotkanie, które mogło się okazać bardzo trudne, poszło w sumie całkiem gładko. Następnym razem będzie jeszcze lepiej.

W Elmsford Adam przez chwilę siedział w samochodzie, patrząc, jak Danny i Julie znikają za rogiem domu. Nagle zdał sobie sprawę, że może już nigdy nie przekroczy progu tego domu, który do niedawna był też jego domem.

Gdyby go ktoś zapytał, czy odczuwa z tego powodu żal, odpowiedziałby - nie, nie żal, tylko smutek, który nieodmiennie towarzyszy zmianom, nawet zmianom na lepsze. Jest to rodzaj ubolewania nad przemijaniem czasu.

Ruszając, ze zdumieniem zauważył nadchodzącą od strony domu Ninę z plikiem listów w ręce.

- Hej! - zawołał. - Nikt mi nie mówił, że przyjechałaś. Co się stało?

Nina przystanęła i wzięwszy się pod bok, patrzyła na niego dłuższą chwilę.

- Nic się nie stało. A co miałyby się stać? - Po czym uśmiechnęła się. - Wszystko jest w najlepszym porządku. Tak, w najlepszym. Dziwne, że pytasz.

Zacząło się niezbyt przyjemnie...

- Idziesz na pocztę? Mogę cię podwieźć. Wsiadaj, to pogadamy.

- Dziękuję ci, Adamie, ale nie mam ochoty na rozmowę. Jeśli chodzi o ścisłość, to jestem dokładnie zorientowana, co się tu dzieje, i nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać

twoich fałszywych wyjaśnień i pretekstów, które miałbyś mi ewentualnie do zaoferowania.

Jej ironiczne spojrzenie zirytowało go, mimo to odpowiedział spokojnie:

- Nie ma w tym nic fałszywego, Nino.

- Owszem, jest. Bo cokolwiek na ten temat powiesz, nie usprawiedliwi tego, co zrobiłeś.

- Nie zgadzam się z tobą. Miłość nie wymaga żadnych usprawiedliwień.

- Miłość! Ta twoja miłość to najzwyklejsze tanie romansidło, więc oszczędź sobie trudu i nie próbuj podnosić go do rangi uczucia.

- Kto jak kto, ale akurat ty nie masz prawa mnie osądzać!

- Owszem, mam. Postępowałam źle, ale z tym skończyłam. I potrafię to przyznać, a ty nie. Dopiero patrząc na Margaret, zobaczyłam tę drugą stronę medalu i zrozumiałam, co robiłam.

- O, widzę, że mamy do czynienia z przypadkiem nawrócenia się. Nagle zobaczyłaś światło?

- Twoja ironia, Adamie, zupełnie mnie nie boli. Boli mnie natomiast rozczarowanie, jakie przez ciebie przeżyłam.

Dla mnie byłeś zawsze najlepszym z najlepszych, królem świata, teraz spadłeś z piedestału. Ale co tam ja! O mnie nie ma co mówić! Ważna jest Margaret i dzieciaki...

Na chwilę odwrócił oczy od zagniewanej twarzy Niny, po czym nieśmiało, z wahaniem, zapytał:

- A jak ona się miewa?

- Świetnie. Po prostu fantastycznie. A jak się według ciebie może miewać?

- Teraz twoja kolej na ironię, tak? Ja po prostu zadałem najzwyklejsze pod słońcem pytanie.

- Wiesz, co ci powiem? Jeżeli cię tak interesuje, jak ona się miewa, to po prostu idź tam i sam się dowiedz.

Patrząc, jak Nina oddala się ulicą, Adam czuł się głęboko urażony. To była przecież jego Nina, jakby młodsza siostra, która zawsze mogła na niego liczyć. I którą on tak dobrze rozumiał. No cóż - pomyślał - przede wszystkim jest kobietą i nie ma w tym nic dziwnego, że go potępia...

Wyzywająco podniósł głowę i wysunął podbródek. W końcu i ona zmieni zdanie. Tak jak inni. Wszystkie rany się

zabliźnią, a życie potoczy swoim torem. Zawsze się tak dzieje. Z tym pocieszającym przekonaniem odjechał. „Wieczorne posiłki są zawsze najgorsze” - pomyślała Margaret. Ale tego lata wszyscy byli jakoś rozproszeni, co jej w gruncie rzeczy odpowiadało. Nawet Nina spędzała popołudnia z ludźmi, których od czasów szkoły średniej prawie nie widywała. W tej sytuacji Margaret często zostawała sama, co mogło, ale nie musiało być dla niej dobre. Mimo to była rada; rozmowa przychodziła jej ostatnio z trudem, tak samo jak przyjmowanie przejawów życzliwości ze strony kuzynostwa, Freda i tych nielicznych znajomych, którzy wiedzieli, co spotkało rodzinę Crane'ów. Narady z adwokatem, choćby nie wiem jak sympatycznym, też wymagały wielkiego hartu, nie mówiąc już o wypełnianiu niezliczonych kwestionariuszy. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak wyczerpana fizycznie. Jakby teraz, w trzecim tygodniu po katastrofie, każda część jej ciała była obolała. Bolały ją zęby, pulsowała głowa, a kręgosłup mało nie pękł. Mimo to postanowiła ignorować wszystkie te dolegliwości. Miała ważne sprawy do załatwienia. Trzeba było prowadzić dom, pielęgnować ogródek warzywny, a poza tym nie mogła przecież oczekiwać od dzieci, że oprócz swoich, wezmą na siebie jeszcze obowiązki Adama. Zresztą praca w ogrodzie miała działanie terapeutyczne; sama, z tyłu, za domem, Margaret mogła sobie spokojnie płakać, przez nikogo nie zauważona.

Ale wieczorny posiłek był zawsze trudny. „Każdy, z wyjątkiem Niny i mnie - myślała - przynosi do stołu swoje humory”.

Danny, całkowicie wbrew swojemu usposobieniu, był ostatnio ciągle nadąsany. Odkąd zabrakło sobót z Adamem, siedział z nosem na kwintę i wyraźnie wyczekiwał wizyt u ojca.

- Powiedziałaś, że w lecie będziemy mogli wziąć szczeniaka - burknął. - I w tym roku mieliśmy jechać na zachód do parku Yosemite. Nie dotrzymałaś ani jednej obietnicy.

Margaret wymieniła z Niną spojrzenia nad stołem. Biedne dziecko - mówiły jej oczy.

- Przykro mi, Danny - odpowiedziała łagodnie - ale wszyscy przeżywaliśmy ciężkie chwile. Nie dałabym rady

zajmować się jeszcze szczeniakiem. Dotrzymałabym obietnicy, gdyby...

Ale Danny nie dał jej dokończyć.

- To przynajmniej moglibyśmy pojechać na zachód. Mamy czas. Tata mówi, że byśmy mogli. Ty przecież teraz nie pracujesz, więc byśmy mogli.

Tata mówi! Dobre sobie. Pewnie, powinnam ochoczo wyruszyć w podróż liczącą pięć tysięcy kilometrów przez równiny i Góry Skaliste starym gratem, z trójką dzieci i do tego jeszcze w tym stanie ducha! Ciekawe, czy tata zdaje sobie sprawę, że tych pieniędzy, które mi przysyła, starcza zaledwie na wyprawę do supermarketu i z powrotem...

- Teraz nie możemy się tam wybrać, Danny, ale to nie jest ostatnie lato w naszym życiu.

- Nie wierzę ci. Nigdy się tam nie wybierzemy. Nigdy.

- Zamknij się wreszcie - warknęła Megan. - Zachowujesz się jak małe dziecko.

- Przestań się przezywać, ty wariatko.

- Och, błagam, dajcie spokój chociaż dzisiaj - jęknęła Margaret i udzieliła Danny'emu cichej reprimendy. - Bardzo cię proszę, Danny, żebyś się w domu tak nie wyrażał. Możesz sobie pozwalać, jak jesteś między chłopakami, ale nie tutaj!

- Szkoda, że nie słyszysz, mamo, jak on się do mnie odzywa, kiedy ciebie nie ma. - Megan, która nigdy nie narzekała, przybrała ostatnio wyjątkowo irytujący nosowy ton. - Od kiedy zaczął się spotykać z tą narzeczoną taty, zrobił się nie do wytrzymania.

Margaret już otworzyła usta, żeby powiedzieć: „Daj spokój, Megan”, ale Danny wykrzyknął znowu:

- Przestań na nią wygadywać! Nawet jej nie znasz. Jest w porządku, dużo bardziej od ciebie, kretynko.

Jest w porządku. Czy jeszcze i to będę musiała znosić? - zadawała sobie pytanie Margaret. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że ból w piersi i pulsowanie w karku były rzeczywiste. To naturalnie psychosomatyczne, ale co z tego?

- Tylko posłuchajcie - wtrąciła Megan - on uważa, że ta tania dziwka jest w porządku. Ale co on w tym wieku może wiedzieć o takich sprawach? Czy ty też uważasz, Julie, że ona jest w porządku?

Oczy Julie napęłniły się łzami.

- Nie wiem. Ja nic nie wiem. Nienawidzę wszystkiego. Wiecznie się kłócicie. Tam u taty przynajmniej nikt się nie kłóci. Och, mam - wybuchnęła płaczem Julie - co ty takiego zrobiłaś, że tata sobie od nas poszedł?

Co ty takiego zrobiłaś, że tata...

Margaret usłyszała, jak Nina nabiera powietrza, ale w tym momencie zadzwonił telefon.

- Ja przyjmę - powiedziała i podbiegła do aparatu. Kiedy wróciła, wszyscy mówili naraz. W zdenerwowaniu uciszyła ich ostrzej, niżby to zrobiła normalnie.

- To była pani Watts, Julie. Twierdzi, że zadzwoniłaś do niej i powiedziałaś, że już więcej nie będziesz brała lekcji muzyki. Jest tym bardzo zaniepokojona, podobnie jak ja.

Julie wbiła wzrok w talerz i coś wymamrotała pod nosem.

- Proszę cię, podnieś głowę i mów tak, żebym cię mogła słyszeć.

- Wiedziałaś, że nie chodzę.

- Tak, i doskonale to rozumiałam. Nawet wyjaśniłam pani Watts, że musisz mieć kilka dni przerwy. Powiedziałam jej dlaczego i ona się z tym zgodziła. Ale to jest coś nowego.

- Nie potrzebuję kilku dni przerwy. Kończę z tym. Nienawidzę muzyki.

Z jadalni Margaret widziała przez korytarz pianino, które stało teraz beczynnie, z zamkniętym wiekiem. „Od dawna go nie odkurzałam” - pomyślała nagle i równie nagle dostrzegła w tym opuszczonym pianinie symbol całego swojego domu, rodziny i życia. Przytrzymała się mocno krawędzi stołu i ciężko usiadła.

- Ty nie nienawidzisz muzyki, kochanie. To jest absolutnie niemożliwe. Bardzo cię proszę, żebyś poszła do pani Watts i spróbowała jeszcze raz. Zobaczysz, ile ci to da szczęścia. Tak jak zawsze.

- Nie muszę próbować. Mówiłam o tym tacie, a on najpierw powiedział, że nie powinnam rzucać muzyki, a potem, że jeśli nie chcę, to żebym się nie zmuszała. Tak powiedział tata - szlochała Julie.

Aha, to znaczy, że Adam urządza dzieciom pranie mózgu. Jasne. On jest ten dobry. Jedźcie do Yosemite, oczywiście, weźcie szczeniaka. Zrezygnuj z lekcji muzyki. Rób, co tylko chcesz. Twój dobry tatuś ci na wszystko pozwoli.



- Julie bez przerwy się maże. - Danny znów przeszedł do ataku. - Tam u taty też siedziała cały czas nadęta i czekała, aż ją tata poprosi, żeby się raczyła uśmiechnąć.

- Zamknij się i zostaw mnie w spokoju! - wrzasnęła Julie - bo cię zabiję!

- Bardzo ładnie - powiedziała Megan. - Coraz lepiej. -Gdybym nie była głupia, tobym codziennie zostawała u Betsy na kolacji.

Nina wstała.

- Skoro się rzucacie na siebie jak hieny, to ja zjadam kukurydzę. Mama się poświęciła, poszła po nią w ten kosz-marny upał, a wy w ogóle nie jesteście tego warci.

Cała trójka natychmiast spokorniała. Reprimenda Niny, osoby bardzo bliskiej, a nie tak znów wiele starszej, jak zwykle odniosła skutek. Margaret posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie.

Atmosfera wyraźnie się poprawiła i Megan próbowała zacząć rozmowę.

- Siostra Betsy wychodzi w święta za męż. Nina podjęła wątek.

- To może być wspaniała uroczystość. Wyobrażam sobie drużny w pięknych czerwonych aksamitnych sukniach z białymi poinsecjami. Uwielbiam białe poinsecje.

„Każde z nas to kłębek nerwów - pomyślała Margaret -ale musimy się starać". Dlatego, zaczynając od siebie, zapytała, czy Megan spodziewa się zaproszenia.

- Czy się spodziewam? Joan mnie nawet zapytała, czy zgodzę się być drużną.

- To fantastycznie! - wykrzyknęła Margaret. - Zwłaszcza, że jesteś przyjaciółką nie jej, tylko Betsy.

- Bądźmy szczerze - to zasługa ich mamy, która koniecznie chciała coś dla mnie zrobić. Wszyscy sąsiedzi się nad nami litują.

Atmosfera w pokoju znów zaczęła się zagęszczać.

- Myślę, że nie jest aż tak źle, Megan. Mam nadzieję, że grzecznie podziękowałaś.

- Owszem, podziękowałam grzecznie, ale zaproszenia nie przyjąłam.

- Nie przyjąłaś? A to niby dlaczego?

- Bo ja nie wierzę w żadne śluby. Zawsze uważałam, że

to tylko przedstawienie, a teraz widzę, że to wszystko na dodatek jest piekielnie załgane.

- Załgane?

- Tak. Po co te przysięgi na całe życie i ta pompa, skoro potem wyrzuca się kobietę jak śmieć, kiedy znajdzie się kogoś nowszego? Obejrzałam sobie w tym tygodniu na wystawie u Danfortha te wszystkie ślubne fatalaszki i myślałam, że się wyrzygam.

Oczy Megan stały się niebezpiecznie błyszczące i dziewczynka zamknęła je, żeby powstrzymać łzy. „Tyle goryczy, żalu i cynizmu w tym wieku to zasługa Adama” - pomyślała Margaret.

- Nie możesz patrzeć na to w ten sposób - powiedziała do córki. - Nie każde małżeństwo musi być nieudane.

- Nie, tylko pięćdziesiąt procent. Też mi szansa.

- To, czy szklanka jest w połowie pusta, czy w połowie pełna - powiedziała wolno Margaret - zależy od punktu widzenia.

- Wiem, że dla ciebie jest zawsze w połowie pełna. Znam cię z tej strony, mamó.

- Ale skoro już mowa o szklankach - wtrąciła Nina - to może tak byśmy sprzątnęli ze stołu? Ty, Margaret, idź i posiedź sobie na ganku, a my zrobimy porządek i pozmywamy.

Margaret nie protestowała. Wychodząc z pokoju, słyszała jeszcze słowa Niny:

- Posłuchajcie, mama jest wyczerpana ponad wszelką miarę. I wy wszyscy też jesteście zmęczeni, choć możecie o tym nawet nie wiedzieć. Jesteście zmęczeni w środku, psychicznie, i wyżywacie się jedno na drugim. W porządku, ja was rozumiem, ale róbcie to poza domem, tam gdzie mama was nie słyszy. Ona i bez tego ma już dosyć. Dlatego chodźcie, najpierw pozmywamy, a potem pójdziemy razem obejrzeć sobie telewizję. Ostatecznie w dalszym ciągu, bez względu na wszystko, jesteśmy rodziną.

„Niech ci Bóg pobłogosławi, Nino” - pomyślała Margaret.

- Musisz wyjechać - powiedziała pewnego popołudnia Nina. - Potrzebny ci jest odpoczynek i jakaś odmiana.

- Wykluczone. Nie mogę sobie na to pozwolić. On - Nina

uświadomiła sobie, że Margaret nigdy teraz nie nazywała Adama po imieniu - wie, że ja w lecie nie zarabiam, a mimo to daje mi teraz mniej pieniędzy. Mój adwokat twierdzi, że to normalne. Trzeba będzie załatwić sprawę albo w drodze ugody, albo przez sąd. A na razie muszę sobie radzić jak mogę, no i jakoś sobie radzę.

- Mam nadzieję, że twój adwokat zna się na tym, co robi.

- O tak, zna się. I do tego jest bardzo sympatyczny, dyskretny, za dużo nie mówi, ale daje odczuć, że wszystko rozumie. Bardzo go lubię, co mi naturalnie ułatwia sytuację. To zasługa Freda.

- Margaret, pożyczę ci pieniędzy, żebyś tylko pojechała na kilka dni nad jezioro albo gdziekolwiek indziej.

- Dziękuję ci bardzo, ale nie mogę. Julie dwa razy w tygodniu chodzi do psychologa, a ja dopiero zaczynam załatwiać te wszystkie formalności prawne. Nigdy w życiu nie miałam na głowie tylu spraw. Ludzie uważają, że ślub jest wielkim przedsięwzięciem, a ja ci oświadczam, że w porównaniu z rozwodem to naprawdę małe piwo.

Keith też był tego zdania. Nina wzdrygnęła się. Nagle Margaret złożyła ręce w błagalnym geście.

- Proszę cię, Nino, powiedz mi szczerze, wychowałeś się tutaj, więc powinnaś wiedzieć - gdzie popełniłam błąd?

- Nigdy nie widziałam w twoim postępowaniu nic takiego, co można by uznać za błąd, ale, przyznaję, że u Adama też nic takiego nie widziałam.

- Każdy medal ma dwie strony. Wiem i dlatego ciągle o tym myślę. Może jestem zbyt uparta, jak uważasz?

Nina się uśmiechnęła.

- Nie bardziej niż jest... był Adam.

- A może za dużo zajmowałam się dziećmi i zaniedbywałam go?

- Nawet jeśli tak było, to ja tego nie zauważyłam.

- Chyba do końca życia będę się zadręczała pytaniami, co złego zrobiłam, i pewnie nigdy się nie dowiem.

Nieśmiały, smutny uśmiech Margaret nie zwiódł jednak Niny. Nie trzeba było szczególnej bystrości, by zauważyć, że drżą jej ręce i schudła o dobre pięć kilo.

- Boję się o ciebie, Margaret. Czy nie uważasz, że powinnaś iść do lekarza?

- Już byłam. Doktor Farley twierdzi, że moje objawy są typowe. Po prostu nerwy. Nerwy i już. - Margaret próbowała się roześmiać. - Mam dobrą nazwę dla tej choroby - Syndrom Rozpadu Rodziny, albo jeszcze lepiej - Syndrom Porzuconej Żony. Objawy: boli cię krzyż, masz wysypkę i włosy wychodzą ci dosłownie garściami. Chcesz zobaczyć?

- Nie, proszę cię - zaprotestowała Nina.

- Kiedy się budzę rano, nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Przeżyłam z nim połowę życia... a właściwie całe dorosłe życie... Ale po co rozdzierać szaty? Inni ludzie umierają na raka... A ty? Co z tobą? Ty przecież też przeżyłaś koszmar... Wiem, mimo że nie narzekasz. Czy po trochu przychodzisz do siebie?

- Oczywiście, że przychodzę. - „Ale czym są moje przeżycia w porównaniu z jej tragedią” - pomyślała.

Margaret wstała i podeszła do stołu, na którym stały zdjęcia rodzinne.

- O, zapomniałam o tej fotografii. Co ona tu jeszcze robi! Ach, jakaż to była piękna suknia! Te wszystkie szczypanki i riuszki Izabela wykonała ręcznie. Byłaś jeszcze za mała, żeby to docenić.

- Ale pamiętam. - „Przygląda się temu zdjęciu” - pomyślała Nina, jakby patrzyła na podobiznę zmarłej. No bo rzeczywiście, ta świeża, pełna ufności panna młoda już nie żyje.

- Zapakuję to zdjęcie razem z suknią w niebieską bibułkę i wyniosę na strych. Może za jakieś sto lat któreś z moich prawnucząt zainteresuje się, jak wyglądałam. - Po czym dodała szybko: - Oj, bo mi zupa wykipi. - I pobiegła do kuchni.

Nina podeszła do telefonu. Zawsze w potrzebie dzwoniło się do Freda.

- Postanowiłam spróbować, czy cię zastanę w domu - zaczęła. - Powiedz mi, ale szczerze, czy masz dziś po południu coś ważnego?

- Wybieram się do klubu popływać. W taki upał to konieczne. Wszystkich rozpuściłem do domu, zanim mi padli.

- A czy mógłbyś wziąć ze sobą dzieci Margaret? Akurat gdzieś się porozchodziły, ale zaraz powinny wrócić.

Chciałabym ze względu na nią zabrać je na trochę z domu. Nigdy się tego nie spodziewałam, ale ja ich naprawdę nie poznaję,

to nie te same miłe grzeczne dzieci, co kiedyś. Cały czas tylko się kłócą i wrzeszczą na siebie.

- Będę tam niedługo. A jak dziś Margaret?

- No wiesz, znasz ją. Próbuje się zachowywać, jakby nigdy nic.

- Tak, tak, znam ją. Jak wyjedziesz, to się o nią nie martw. Będę czuwał.

- Dzięki ci, Fred.

„To jest dla niej sposób na resztę życia - pomyślała Nina. - Nie trzeba być uczonym od rakiet, żeby widzieć, jak on ją uwielbia”.

Kiedy Nina weszła do kuchni, Margaret akurat łuskała groszek na zupę jarzynową.

- Dzwonił Fred, że zaprasza Danny'ego i dziewczynki do swojego klubu na basen. Tam lepiej zniosą ten upał.

- Dzwonił Fred? Nie słyszałam telefonu.

- Nie? Pozwól, teraz ja będę łuskać ten groszek.

- Dzięki. Ja mam na razie dość.

Margaret wstała, złapała się za oparcie krzesła i z powrotem ciężko usiadła.

- To te moje piekielne plecy. Czasami tak mnie bolą. Gdy jakiś czas siedzę, to potem nie mogę wstać. Nie rób takiej przerażonej miny. Kiedy człowiek żyje w ciągłym napięciu, ciało płata mu różne figle, i to wszystko.

- Bo ty jesteś za bardzo opanowana. Od czasu, kiedy to się stało, ani razu sobie nie pofolgowałaś. Po pierwsze, ze wstydu, a po drugie, żal ci było dzieci.

- Co rozniesz przez „nie pofolgowałaś sobie”?

- No, nie krzyczałaś ani nie płakałaś. A masz wyc. Rozpaczasz, jesteś sfrustrowana, bo odczuwasz chęć zemsty, a nie możesz się wyładować. Więc wrzeszcz. Nie ma tu nikogo, poza mną, a mnie to nie przeszkadza. Jeśli chcesz, to zatkam sobie uszy watą. Wiem, że uważasz to za głupi pomysł, ale...

Margaret wstała i przeszła chwiejnie przez kuchnię.

- Nie - powiedziała. - Wcale nie uważam, że to głupi pomysł. Pójdę na strych i spróbuję.

Nina położyła się na sofie i podparłszy się na łokciu, zamierzała czytać. Ale w tym upale zaczął ją morzyć sen. Nagle przez ściany i stropy, przez kości starego domu dotarły do niej odgłosy ludzkiej rozpacz. Stała u stóp schodów, na-

śluchując. Kiedyś na wycieczce harcerskiej, w lesie, usłyszała wycie i jęki schwytanego w potrzask zwierzęcia i nigdy nie zapomniała tego straszego przeżycia. W ludzkich szlochach, które teraz do niej docierały, była ta sama męka i rozpacz. Przypomniało jej się, jak Margaret kiedyś powiedziała: „Na samą myśl o jego śmierci serce przestaje mi bić”. „Gdyby tylko mogła go tak nienawidzić, jak ja teraz - pomyślała Nina - toby tak bardzo nie cierpiała. Niestety, Margaret go kocha...”.

Po chwili odgłosy ustały. Margaret musiała zasnąć...

W jakiś czas potem przyszła Megan, wymachując pismem.

- Nina! Jakaś pani w klubie mi to dała, bo powiedziała, że ty tam jesteś. Wiedziałaś o tym?

Rzeczywiście. Leżało przed nią rozłożone kolorowe, błyszczące pismo, a w nim na czterech stronach artykuł o różowym domu na Florydzie z „wyjątkowo oryginalnie urządzonej wnętrza, zaprojektowanymi przez Ninę Keller z firmy Crozier i Dexter”.

- Nie przypuszczałam, że tak szybko się ukaże.

- Nie pisałaś o tym ani słowem. Nina się uśmiechnęła.

- Miałam inne sprawy na głowie.

Co gorsza, miała je nadal. Te widoki Florydy, te kolorowe strony wywołały falę wspomnień - kolacja przy świecach, hiszpańskie łóżko, pocałunki, kłamstwa, perfidia...

- Czy to znaczy, że jesteś sławna? - zapytał Danny.

- To znaczy, że pracowałam bardzo ciężko i że mi się poszczęściło. Jedno z drugim.

- Jesteś dumna? - zapytała Julie.

- Nie, jestem wdzięczna.

- Wdzięczna za co? - odezwała się Margaret.

W świeżej bawełnianej sukience w kratkę, z umalowanymi ustami i małą czarną kokardką we włosach wyglądała jeśli nie na wypoczętą, to przynajmniej na zadbaną.

- Ona jest sławna - oświadczył Danny. - Mówi, że nie jest, ale na pewno jest. Widzisz, o tu jest jej nazwisko.

Wszyscy stłoczyli się wokół Niny, czytając jej przez ramię. Później, kiedy zostały same, Margaret powiedziała łagodnie:

- Jestem z ciebie taka dumna. Ale mnie to nie dziwi.

- Dajmy spokój ze mną. Powiedz mi, czy się wykrzyczałaś i czy ci to pomogło?
- No tak, pewne węzły się poluzowały. Ale martwię się o ciebie.
- Nie martw się, ja już nie tyle jestem smutna, ile zła. Cholernie zła.
- Chciałabym ci jakoś pomóc.
- Pomogło mi to, że jestem tutaj.
- Wiódł ślepy kulawego - powiedziała Margaret i obie się roześmiały.
- We czwartek wyjeżdżam. Szkoda, że nie mogę zostać dłużej, ale i tak mi już dali dwa tygodnie urlopu ekstra, nie mogę prosić o więcej.
- Naturalnie. Idź na górę i zacznij się pakować.

Ze swojego okna Nina widziała znajome otoczenie. Nieprędko przyjedzie tu znów na dłużej niż dwa, trzy dni. Tak więc, z mieszanymi uczuciami, stała, patrząc, jak mija popołudnie. Dziewczynki myły samochód i kłóciły się o mydliny; Danny popychał ręczną kosiarkę po kwadracie suchej, brunatnej trawy. Pies spał na swoim zwykłym miejscu pod dębem. A nad całą tą swojską scenerią unosiła się atmosfera subtelного smutku.

Nina pomyślała z żalem o stromej wspinaczce, jaka mimo całej determinacji i odwagi czekała Margaret. Porzucona żona

i matka dzieciom, a z drugiej strony ona, niczym nie skrepowana wolna kobieta, ze swoimi wyborami, a nawet złością - jakżeż były różne. Obie o tym wiedziały i miały to bardzo wyraźnie odczuć, ściskając się na pożegnanie.

## **Rozdział 19**

Dobrze było znów znaleźć się we własnym mieszkaniu. Elmsford, mimo ciepła, jakie tam znalazła, miało być dla Niny już zawsze tylko miejscem miłych powrotów i wypoczynku, ale nie domem. Wyrosła z niego.

Na sekretarce tyle było wiadomości, że nie starczyło taśmy. Nina otworzyła okna, wpuszczając odgłosy ulicy, które w ciągu lat zdążyła polubić, i usiadła, żeby odsłuchać nagrania. W większości były to zwykłe, rutynowe telefony, ale nagle poderwał ją głos Keitha.

„Gdzie się podziewasz, Nino? Ciągle próbuję się z tobą skontaktować. Musimy porozmawiać”.

- Jasne, że musimy - odpowiedziała na głos Nina.

Na taśmie było jeszcze pięć nagrań Keitha, ostatnie pełne niepokoju, niemal strachu. „Dobrze - pomyślała. - Niech się trochę podenerwuje. Niewielka to zemsta, ale słodka”.

Nigdy jeszcze nie dzwoniła do niego do pracy, ale kiedyś musi być pierwszy raz, a ten będzie pierwszy i ostatni.

- Dzwoniłem do ciebie. - W jego głosie była nuta niepokoju, potwierdzająca spostrzeżenia Niny. - Co się z tobą działo?

- A co to ma za znaczenie? W każdym razie teraz jestem i proponuję, żebyś wpadł dzisiaj do mnie po drodze do domu, do rodziny - dodała.

- Dobrze, wpadnę.

Robił wrażenie kogoś, komu się pali grunt pod nogami. Najwyraźniej bał się kłopotów. Uśmiechając się do siebie, świadoma władzy, jaką nad nim miała, zaczęła krążyć po mieszkaniu w poszukiwaniu przedmiotów, jakie kiedykolwiek od niego dostała. Poza książkami, całkiem przyjemną kolekcją, z którą trudno było jej się rozstać, znalazła niewiele. Nie



życząc sobie jednak żadnych pamiątek po Keicie Andersonie, zgromadziła je na stole razem z jego fotografią, akwarelą kupioną w Pradze, flakonem perfum i brylantową bransoletką. Następnie wyciągnęła karton po owocach, żeby miał to wszystko w co spakować, kiedy go będzie wyrzucała za drzwi.

W niecałe pół godziny później zjawił się pod jej drzwiami, jak zwykle w schludnym garniturze i nieskazitelnej białej koszuli, uśmiechając się niepewnie. Stała przez chwilę, gapiąc się na niego, a na myśl cisnęły jej się różne określenia -upokorzony, przerażony, nieszczęsny.

- Nino, wiem, jak musisz się czuć... - zaczął nieśmiało. -Ale chciałbym ci wyjaśnić, że ja...

Potrząsnęła głową.

- Daruj sobie. Teraz moja kolej, ja będę mówiła. Czy kiedykolwiek słyszałeś o czymś takim, jak słuszny gniew? To jest właśnie stan mojego ducha. Kupa czasu straconego na zwykłe oszustwo!

- Proszę cię... Podniosła rękę.

- Nie przerywaj. Zrobiłeś ze mnie idiotkę i teraz przynajmniej musisz mnie wysłuchać. Małżeństwo nigdy nie było głównym celem mojego życia. Może w ogóle nie wyjdę za mąż, a może dopiero za dziesięć lat, nie wiem. Ale ty potraktowałeś mnie tak, jak pospolity oszust, wciskający staruszce fałszywe ubezpieczenie. Wstydzę się, że byłam tak naiwna i dałam się nabrać.

Serce waliło jej jak młotem i miała gonitwę myśli, musiała więc zrobić krótką przerwę, żeby znaleźć właściwe słowa.

- Rozumiem, co czujesz... - zaczął Keith.

- Nic nie rozumiesz! Co mi dałeś, poza seksem i oszukańczymi obietnicami?! Po tym pięknym mieście mogliśmy się przemykać tylko chyłkiem - nigdy razem do muzeum czy na spacer do parku, żeby nas, Boże broń, nikt nie zobaczył. I przez cały czas doskonale wiedziałeś, co robisz. Kochałeś się ze mną, patrzyłeś mi w oczy i... kłamałeś. Ciekawe, jak to wygląda u ciebie w interesach. Ściskasz klientowi dłoń, wiedząc, że w każdej chwili możesz zerwać kontrakt? Jesteś dilerem używanych samochodów, który bierze pieniądze,

świadom tego, że grat, który sprzedał, rozkraczy się po przejechaniu piętnastu kilometrów...

- Czy mogę coś powiedzieć? Czy mogę usiąść i z tobą porozmawiać? Przecież nie musimy być wrogami, Nino. Gdybym mógł cokolwiek dla ciebie zrobić...

Zrobić coś dla niej! Najlepiej sypnąć forszą, to zawsze najłatwiejsze! Nina szalała z wściekłości. Nagle uświadomiła sobie, że ta wściekłość jest wymierzona nie tylko w człowieka, który przed nią stał, ale także w Adama i we wszystkie nie dotrzymane męskie obietnice...

- Nie, nie możesz usiąść i ze mną porozmawiać. Współczuję twojej biednej żonie! Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co jej robisz? Ona ci z pewnością ufa... nigdy do tej pory o niej nie myślałam... ale ostatnio wiele się nauczyłam. Keith milczał. Nina widziała, że trafiła w dziesiątkę.

- Pewnie już do tej pory urodziła. Chłopca czy dziewczynkę?

- Chłopca - odparł niemal szeptem, nie patrząc jej w oczy. Po czym uniósł głowę i w dalszym ciągu szeptem zapytał:

- Czego ty ode mnie chcesz, Nino? Porozmawiajmy wreszcie rozsądnie. Ja...

Nina się uśmiechnęła.

- Naprawdę sądzisz, że ja cię jeszcze nie rozszyfrowałam? Jesteś śmiertelnie przerażony, że pójde do Cynthii.

Dlatego tak często telefonowałeś. Dlatego tu jesteś. Dlatego ofiarowałeś mi bransoletkę. To był prezent pożegnalny, prawda? Gdyby nie nasze spotkanie na lotnisku, byłoby prawdopodobnie jeszcze kilka prezentów, które by ci pomogły w miarę gładko się z tego wypłatać. - Roześmiała się z goryczą. - Tylko popatrz na siebie! Jak ty koszmarnie wyglądasz! Ale nie chcę tu żadnych zawałów serca, więc się lepiej weź w garść. Nie, nie wybieram się do Cynthii. Nigdy. Ale nie ze względu na ciebie, w żadnym razie, tylko ze względu na nią i na tę trójkę dzieci. Uważaj, bo twoja następna kochanka może nie być taka przyzwoita, dlatego radzę ci, Keith, wybieraj ją bardzo starannie. A teraz wynoś się. I zabieraj to wszystko ze sobą. To jest twoje.

- Ale naprawdę, ja nie chcę...

Nina z satysfakcją nie dała mu skończyć.

- Mówiłam, że to jest twoje. Bransoletkę daj żonie. Za-

służyła sobie. Urodziła ci drugiego syna. A teraz zabieraj się i już cię tu nie ma.

Patrzyła, jak Keith chowa bransoletkę do kieszeni, a resztę rzeczy wkłada do pudełka. Wszystko odbyło się w głębokim milczeniu. Nina przytrzymała mu drzwi, a następnie je za nim zamknęła. Przez kilka minut stała bez ruchu, dopóki nie usłyszała, że drzwi windy się otworzyły, a następnie zatrzasnęły. Przeszedł ją dreszcz, poczucie wielkiej straty. Keith był cudowny, taki cudowny! Jak długo miała klapki na oczach...

- No to koniec... - powiedziała do siebie.

Przez chwilę siedziała, zastanawiając się nad sprzecznymi uczuciami, jakie nią miotaly. Pełna nowej energii, zdała sobie sprawę, że jest teraz o wiele starsza. Ci, którym ufała, zawiedli. Jej plany zostały zniweczone. Wiele z tego, co jeszcze niedawno wydawało się niezmiennie, przewróciło się do góry nogami. Wszystko to było tak bardzo bolesne, że wstała i zaczęła porządkować swój niewielki dom.

## **Rozdział 20**

- Mam nadzieję, że wszystko wypełniłam jak trzeba -powiedziała Margaret, wskazując stertę papierów leżącą na biurku pomiędzy nią a Stephenem Larkinem. - Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że będę musiała wypełniać takie kwestionariusze, zwłaszcza że to nie ja występuję o rozwód.

- Proszę mnie nie pytać, dlaczego tak jest. Takie są przepisy, i trudno.

- Pan wybaczy, to nie był osobisty przytyk, ale Dickens pisał, że prawo to osioł, i skłonna jestem się z nim zgodzić. Stephen się roześmiał.

- Ja też. W każdym razie nie chciałbym być odpowiedzialny za te wszystkie przepisy dotyczące rozwodów. Kiedyś było inaczej. - Po czym dodał już serio: - Teraz natomiast po rozwodzie poziom życia mężczyzny podnosi się o ponad czterdzieści procent, a poziom życia kobiety o tyle samo się obniża.

- A gdybym nie pracowała? Gdybym była w domu z gromadką małych dzieci?

- Wtedy mąż nie mógłby liczyć na pani zarobki i musiałby płacić wyższe alimenty. Pod warunkiem, naturalnie, że byłby w stanie.

- Powiedział Danny'emu i Julie, że obiecuje się nami opiekować... obojętne, co to ma znaczyć. - Margaret czuła, jak gniew ją zatyka, jak pulsuje w uszach. - Ale on doskonale wie, co to znaczy. Zna zarówno moje zarobki, jak i skalę potrzeb. Od czasu, kiedy odziedziczyłam po matce dom, podatek od nieruchomości wzrósł czterokrotnie. To tylko jeden przykład... - Urwała. - Pan zresztą wie najlepiej.

Czuła się tak, jakby była oślepią, ogłuszona i miała związane ręce. Gniew i oburzenie tłukły się w niej jak żywe stworzenie w potrzasku, które za wszelką cenę chce się wydostać na wolność.

- Sprawiedliwy podział! - wykrzyknęła. - A jeśli to, co jakiś sędzia uzna za sprawiedliwe, okaże się niewystarczające? To co dalej, zasilek, tak?

- W wielu wypadkach tak. Ale pani to nie grozi.

- Ja już teraz ledwie wiązę koniec z końcem. Minęło zaledwie cztery miesiące, a już musiałam sięgnąć do swoich oszczędności, które nie są duże, może mi pan wierzyć. Poza tym nie chcę się ich pozbywać. Muszę mieć choćby minimalne zabezpieczenie.

- Jeżeli nie osiągniemy porozumienia, pozostaje nam, jak pani wie, tylko droga sądowa. A ta jest bardzo kosztowna. Nie chciałbym pani narażać na niepotrzebne wydatki, pani Crane.

- Proszę mówić do mnie Margaret. Z tym nazwiskiem nie czuję się dobrze. Szkoda, że moi uczniowie nie mogą mnie nazywać inaczej. - Margaret spojrzała na Larkina i dodała tonem zwierzenia: - Od czasu do czasu łapię się na tym, że myślę, a, co gorsza, mówię rzeczy, które są małostkowe i dziecinne. Czy pan uważa, że chęć pozbycia się jego nazwiska to dziecinada?

Przez chwilę Larkin przyglądał się Margaret, jakby studiował jej twarz.

- Nie - odparł w końcu. - Pani została głęboko zraniona. Ja to rozumiem. Głęboko zraniona. Tak, tak to właśnie jest. On żyje tam z nią. Danny w swojej prostoduszności paple o „tacie i Randi”. „Mieliśmy piknik”. „Było fajnie”. „Przykryliśmy basen na zimę”. Tak, Margaret czuła się głęboko zraniona.

- On żyje w luksusie! I to go prawdopodobnie tym bardziej ekscytuje, że nigdy nie zaznał luksusów. Czyżby właśnie na to szły pieniądze, panie mecenasie?

- Nie wiem. W dalszym ciągu czekam na jego kwestionariusz. Ale muszę panią jeszcze raz ostrzec, że zobowiązania moralne nie mają z tym nic wspólnego. On też ma prawo do życia.

- Ależ oczywiście. Sprawiedliwy podział. Randi korzysta z tego, co się należy mnie i moim dzieciom. Moim dzieciom, które on porzucił, bez względu na to, co sam o tym sądzi.

Zapadło milczenie. Siłą wieloletniego przyzwyczajenia Margaret zaczęła obracać to miejsce na palcu, gdzie zwykle była

obrączka. Z niepokojem zauważyła, że robi to w dalszym ciągu i że nadal ma w tym miejscu ślad. Cisza się przedłużała. Larkin przyglądał się Margaret, niewątpliwie oczekując, że wstanie i wyjdzie, wszystko już bowiem zostało powiedziane. Margaret podniosła się i przeprosiła:

- Proszę mi wybaczyć, że dałam upust swojej złości. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odparł łagodnie. - Złość jest dla pani znacznie zdrowsza niż rozpacz. Z ulgą obserwuję tę zmianę.

- Dziękuję. Pan jest bardzo miły. Słyszałam o panu od Freda tyle dobrego.

Późniejszym popołudniem Margaret była umówiona ze szkolnym psychologiem. Audrey Swenson przyszła do pracy w szkole na krótko przed nią, ale nigdy nie nawiązały bliższej przyjaźni, co w obecnej sytuacji - paradoksalnie - ułatwiło bardziej osobistą rozmowę.

- Świetnie dziś wyglądasz - powitała ją Audrey.

Jej zachowanie było serdeczne i uśmiech życzliwy, ale bystre oczy, jak zauważyła Margaret, potrafiły przyjąć surowy wyraz. Obie były w tym samym wieku, ale po raz pierwszy Margaret miała wobec Audrey poczucie niższości. Występowała w roli petentki, proszącej o radę i pomoc. Została jak gdyby zdegradowana. To Adam i ta jego kobieta sprawili, że dziś tu musiała przyjść.

- To pewnie ta różowa bluzka - bąknęła w odpowiedzi. - Bo wcale nie czuję się tak znów dobrze.

- Czy naprawdę nie uważasz, że powinnaś się wybrać do psychiatry? Większość kobiet w twojej sytuacji tak by zrobiła.

Margaret zdobyła się na stanowczy ton:

- Nie, myślę, że sama się z tym uporam. A zresztą nie mam ani czasu, ani pieniędzy. Chodzi mi przede wszystkim o dzieci.

- Oczywiście. Dojdziemy i do dzieci. Zdajesz sobie chyba jednak sprawę, że to, jak one zniosą rozstanie, zależy w głównej mierze od tego, jak ty je zniesiesz?

- Wiem. Ale niewiele mam sobie do zarzucenia. - Margaret westchnęła. - Nigdy przy dzieciach nie mówię nic złego o ich ojcu. Wierz mi, że ilekroć Danny i Julie wracają stamtąd

po swoich niedzielnych wizytach, mam wielką ochotę zapytać

O różne rzeczy, ale naprawdę...

- Czy Megan w dalszym ciągu odmawia wizyt u ojca? -przerwała jej Audrey.

- Tak. Czasem mam wrażenie, że ona bardziej nienawidzi Adama niż ja. I ten jej gniew szalenie mnie martwi.

Audrey skinęła głową.

- Została podwójnie zraniona. Jako córka i jako kobieta. Ojciec przestał być mężczyzną, którego podziwiała. Straciła zaufanie do wszystkich mężczyzn i nie wie, co ją w życiu czeka. Jest bardzo pryncypialna, jak to młodzi ludzie, i wszystko widzi czarno lub biało. W każdym razie nie wywieraj na nią żadnych nacisków. Ale wróćmy do ciebie. Powiedz mi, co się z tobą dzieje.

I znów Margaret uświadomiła sobie, że spogląda na to miejsce, gdzie była obrączka. Położyła dłoń na poręczy fotela. Musi się pilnować, żeby ją tam trzymać.

- Na szczęście - zaczęła - jestem tak zajęta, że mam za mało czasu, by się nad sobą rozczulać. Ale zdarzają mi się ataki żalu, niczym bolesne skurcze. Wczoraj po ostatniej lekcji odwiedziła mnie moja dawna wychowanka.

Poznałam ją natychmiast. Była jedną z moich najlepszych uczennic, a teraz jest na trzecim roku medycyny. Przyszła mi podziękować za to, że ją zainspirowałam do tych studiów.

- A ty co czułaś?

- Byłam wzruszona jej wdzięcznością. I szczęśliwa, że moja praca pedagogiczna przyniosła takie owoce. - Margaret przerwała, nabrała powietrza i podjęła: - Ale i wściekła, że ja to wszystko poświęciłam, a teraz... teraz jest już za późno.

- Mówisz tak, jak trzeba, Margaret. Gniew jest zdrowy, jak długo nad nim panujesz.

Tak, zdrowy, to samo przed godziną powiedział Larkin. Jak terapia przez naświetlanie...

- Owszem, panuję nad nim - powiedziała z dumą. - Wiem, że wiele rzeczy robię źle, ale akurat nie to.

- Dobrze. A teraz porozmawiajmy o dzieciach.

- Nic się nie zmieniło. Są przestraszone, nieszczęśliwe i... bardzo się starają. Tak, wiem, że biedne maleństwa starają się, by jakoś nad sobą panować.

- Chciałabym ci zwrócić na coś uwagę: nigdy nie traktuj

ich jak maleństwa. Szczególnie Danny'ego. Wiem, że jest najmłodszy i że byłoby to naturalne. Ale próbuj nazywać go Dan. - Audrey się uśmiechnęła. - Jak się na niego złościsz, to pewnie jest Danielem, prawda?

- O tak. Jak wiesz, nigdy nie był wybitnym uczniem, a teraz mam naprawdę wielkie kłopoty z zagonieniem go do lekcji. Gra w piłkę, ogląda telewizję i... telefonuje do ojca. Do swojego dobrego amerykańskiego tatusia.

- Ale z lekcjami mu nie pobłażaj - powiedziała łagodnie Audrey. - Niech się nie opuści w szkole tylko dlatego, że nie ma w domu ojca.

- Tak, rozumiem. Z Megan jest wręcz odwrotnie. Ma sześć celujących i chce jeszcze, żebym ją douczała chemii na poziomie college'u. Stała się fanatyczką pracy. Żadnych telefonów, żadnych chłopaków, ale i żadnych dziewcząt.

- Powiedz jej, żeby do mnie przyszła. Myślisz, że się zgodzi?

- Megan zrobi wszystko, o cokolwiek ją poproszę. Ona się całkowicie ze mną utożsamia. Zawsze była bardzo dobra. Może aż za dobra. To Danny jest buntownikiem. Mówi, że nie ma zamiaru być maminsynkiem - choć oczywiście tak tego nie nazywa - i że sam sobie da radę.

- Może i da sobie radę. - Audrey spojrzała na zegarek. - Zostało nam jeszcze tylko pięć minut na Julie, więc podsumujmy. To musi potrwać. Gdybym nie widziała żadnych zmian na lepsze, to ci powiem, żebyś ją zabrała do psychiatry. Na razie wydaje mi się, że ją rozumiem.

- To jest moje najwrażliwsze dziecko. Zawsze taka była. Prawdopodobnie od dnia narodzin. Nie mam pojęcia dlaczego. Czy dlatego, że jest dzieckiem środkowym, czy może to sprawa genetyczna. A zresztą co za różnica? Do tej pory zupełnie nieźle sobie radziła, żyjąc swoim własnym życiem, dopóki... dopóki to się nie stało. - Margaret usłyszała drżenie we własnym głosie. Czuli się, jakby została potraconą przez ciężarówkę. Wstała. - Dziękuję ci, Audrey. Tam, za drzwiami czeka cię jeszcze spora dawka ludzkich nieszczęść, ja już pójdę.

Kiedy wpadła do domu, przepraszając za spóźnienie, Megan siedziała nad lekcjami.



- Przepraszam, że jestem tak późno. Masz kluczyki od samochodu. W dwadzieścia minut powinnaś być na miejscu. Powiedz dentystce, że to moja wina. - Margaret mówiła nerwowo, jednocześnie przeszukując kieszenie. Czy mogłabyś wracając kupić jakieś owoce? Wszystko jedno jakie, byleby nie były zbyt drogie. O tej porze roku najlepiej jabłka.

Na schodkach kuchennych w łagodnym październikowym słońcu siedział Danny, bezmyślnie drapiąc Rufusa po łbie.

- Co słychać? - zapytała Margaret.

- Nic.

- Dużo masz zadane na jutro?

- Trochę.

- Jest już po piątej. Nie uważasz, że czas się zabrać za lekcje?

- Nie - odparł Danny. Nie pobłażaj mu.

- A ja uważam, że czas najwyższy. Z pierwszego testu historycznego w semestrze dostałeś niedostateczny z plusem. Bez żadnego powodu.

- Może po prostu jestem głupi.

- Nie, Daniel, nie jesteś głupi. Zwyczajnie nie nauczyłeś się, i to wszystko. Idź teraz na górę i zabierz się do roboty, a ja tymczasem razem z Julie przygotowuję kolację.

- Później, mamó, daj mi spokój.

- Nie, nie dam ci spokoju. Po kolacji masz skosić frontowy trawnik. Jak ci nie wstyd? A potem dokończysz lekcje.

- No, już dobrze. - Danny wstał i wszedł po stopniach do domu, wlokąc nogi w nowych butach. - Nic innego nie robisz, tylko mnie piłujesz i piłujesz.

- To nieprawda, i doskonale o tym wiesz, Danny.

W kuchni na stole leżały nie obrane kartofle. „Nie poznaję tych dzieci - pomyślała Margaret. - Czuję się tak, jakbym płynęła pod prąd i nie mogła nigdzie dotrzeć”. - Podeszła do schodów, żeby zawołać Julie.

- Julie, zejdz na dół obrać kartofle. Przecież cię rano prosiłam, żebyś mi je przygotowała do kolacji.

- Zapomniałam! - odkrzyknęła Julie.

Kiedy zeszła, robiła wrażenie nadąsanej i niechlujnej. Jej jasne włosy - włosy Adama - od tygodnia były nie myte.

Matka nie powinna „piłować”, ale co ma robić, skoro nikt

jej inaczej nie słucha? Postanawiając nie zwracać uwagi na włosy Julie, odezwała się łagodnie:

- Każdemu się zdarza zapomnieć. Ale może teraz byś je obrała? Ja tymczasem upiekę kurczaka i zrobię sałatkę, a ty nakryjesz potem do stołu, zgoda?

To dziwne, ale nieobecność jednej osoby sprawiła, że jadalnia nagle stała się za duża. A jednak podtrzymanie dawnych zwyczajów rodzinnych wydawało się takie ważne... Ważne, żeby można było w końcu powiedzieć - Nie poddamy się tylko dlatego, że od nas odszedłeś.

Minęło wpół do siódmej, siódma, wreszcie siódma piętnaście, a Megan w dalszym ciągu nie było w domu. Margaret przechadzała się nerwowo po ganku, wypatrując samochodu. Za nią w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami, stali Danny i Julie.

- Nie mam pojęcia, gdzie ona się podziewa - mówiła do siebie Margaret. - Dzwoniłam do dentystki, ale gabinet jest nieczynny, nie wiem, co się mogło z nią stać... - Serce waliło jej jak oszalałe.

Było już ciemno i właśnie zamierzała telefonować na policję, kiedy na podjeździe ukazał się samochód Freda Davisa z siedzącą obok niego Megan.

- Gdzie byliście?! - wykrzyknęła Megan. - Dzwoniłam i dzwoniłam i nikt się nie odzywał. Zostało mi już bardzo niewiele impulsów, więc zadzwoniłam do wujka Freda i on po mnie przyjechał. Nagle w samym środku miasta, w wielkim ruchu, samochód mi po prostu odmówił posłuszeństwa! Coś okropnego - wszyscy na mnie trąbili, jakby to była moja wina. A potem zjawiała się policja i go zepchnęła, a ja nie wiedziałam... ale gdzie ty byłaś, mamo?

- Chodź, Megan, usiądź. Musieliśmy być po prostu w ogrodzie przy grillu i dlatego nikt nie słyszał telefonu.

Najważniejsze, że nic ci się nie stało. A co z samochodem?

- Trzeba go było holować - wyjaśnił Fred. - Jakieś problemy ze skrzynią biegów.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie wujek Fred - powiedziała Megan prawie ze szlochem. - On się wszystkim zajął.

Margaret poczuła ulgę; spojrzała ciepło na Freda.

- Ty się zawsze wszystkim zajmujesz. Bardzo ci dziękuję.

A teraz chodźcie na kolację. Zostaniesz z nami, Fred? Niestety, to wszystko nie jest już takie świeże, jak być powinno, za co bardzo przepraszam.

Przy stole Fred, który zajął miejsce Adama, wyjaśnił:

- Powiedzieli mi, że nowa skrzynia biegów będzie kosztowała tysiąc dwieście dolarów. Trzeba się zastanowić, czy warto wkładać tyle pieniędzy w dość jednak stary samochód. Będziesz się musiała nad tym zastanowić.

- Dość stary! - parsknął Danny. - To antyk. Nikt tu w sąsiedztwie nie jeździ takim wrakiem. Kupmy wreszcie nowy samochód, mamó.

„Biedactwo” - pomyślała Margaret.

- Gdyby to było takie proste... - powiedziała łagodnie.

- Mówiłem tacie, że potrzebny nam jest samochód. Wziął sobie dobry, a nam zostawił takiego wraka.

- Chyba grata - poprawiła go Julie.

- Co za różnica. Przestań mnie bez przerwy poprawiać, ty przemądrzała debilko.

- Daniel, licz się ze słowami - skarciła go Margaret. Chłopakowi najwyraźniej potrzebny był mężczyzna, ojciec.

- On ma rację - powiedziała Megan. - O siebie to tata zadbał, ale o nas nie pomyślał.

- Ja mu powiedziałem! - wykrzyknął Danny. - A ona na to, że tata potrzebuje samochodu, żeby miał czym jeździć do pracy, i żeby pamiętał, że jak on nie będzie pracował, to znajdziemy się w bardzo trudnej sytuacji.

Tę dyskusję należało natychmiast przerwać, ale Margaret nie mogła powstrzymać się przed zadaniem pytania:

- I co na to tata?

- Nic.

- Kto ma ochotę iść ze mną w sobotę na mecz futbolowy? - wtrącił szybko Fred.

Danny i Julie podnieśli ręce do góry; Megan podziękowała.

- Dziękuję, wujku, ale muszę napisać pracę z angielskiego.

- Przecież mówiłaś, że masz ją napisać dopiero na połowę listopada - zaproponowała Margaret. - Idź na mecz, córeczko, zobaczysz, że się rozerwiesz.

- Nie mogę sobie na to pozwolić, mamó. Jeżeli mam do czegoś dojść w życiu, to muszę mieć najlepsze stopnie.

Fred i Margaret wymienili spojrzenia. Mówiły one - biedne dziecko.

- Zgoda, to innym razem - powiedział Fred. - A teraz proponuję, żebyście całą trójką posprzątały po kolacji i zabrali się do lekcji. Widzę, że mama, jak zwykle, ma masę roboty, więc ja też już pójdę, żeby jej nie przeszkadzać.

- Ty mi nigdy nie przeszkadzasz.

Przy drzwiach Fred zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Nie chciałem tego mówić przy stole, ale wam naprawdę potrzebny jest nowy samochód i byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ci w tym pomóc.

Jego łagodne oczy zdawały się prosić. Prawdziwa dobroć tego człowieka wzruszyła ją, poczuła pod powiekami łzy. Miała w sobie jednak dumę i upór, które nie pozwalały jej, może nawet czasem wbrew rozsądkowi, przyjmować pomocy od innych. Luiza i Gilbert, a także Nina, choć przecież jeszcze młoda i sama w opałach, wszyscy składali jej hojne oferty pomocy, które odrzucała.

- Znam cię, Margaret - powiedział Fred - więc jeśli miałabyś się lepiej czuć, to niech to będzie pożyczka. Oddasz mi, kiedy będziesz mogła.

Margaret się uśmiechnęła.

- Ja ciebie też znam. Jesteś kochany i bardzo ci dziękuję, ale dbanie o nas jest obowiązkiem Adama. Myślę, że po dziewiętnastu latach jego żonie i trójce dzieci należy się od niego samochód.

- A jeśli nie będzie się do tego poczuwał? Rozmawiałaś z Larkinem?

- Wiele razy. Odpowiedź jest zawsze ta sama - Adam daje tyle, ile może. Płacił tylko połowę ubezpieczenia za mój samochód, więc może zapłaci tylko połowę za nową skrzynię biegów. Być może. I tak muszę czekać na ostateczną ugodę, zanim pójdziemy do sądu.

- Czy jesteś zadowolona z Larkina? Jeżeli nie, to powiedz, nie poczuję się dotknięty tylko dlatego, że ci go poleciłem.

- Jestem zadowolona. Bardzo go polubiłam.

- To dobrze. Głowa do góry, Margaret. - Fred pocałował ją w policzek i ruszył przed siebie.

Przez chwilę patrzyła jeszcze, jak idzie energicznym kro-

kiem, wyprostowany, wysoki, o szerokich ramionach, budzący zaufanie i poczucie bezpieczeństwa; tak, Fred był jak opoka. Ale zdarzały się sytuacje, w których jego łagodne oczy i pełne zadumy spojrzenie mówiły coś zupełnie innego. Margaret zdała sobie sprawę, że chociaż Fred od dawna żył na obrzeżach jej życia, to przecież tak naprawdę go nie znała. Nie wiedziała nawet, jakie mogły być w tej chwili jego uczucia do niej, choć w końcu nie miało to większego znaczenia. Niezależnie od tego, w jakim stopniu potrafiła na zewnątrz okazać siłę, wewnątrz była rozbita i cierpiąca. Dalej po nocach śnił jej się Adam, samotność, zdrada i rozpacz.

Na biurku czekała praca - sterta testów do ocenienia. Był to pierwszy sprawdzian w tym okresie, który miał pomóc jej się zorientować, ile jej uczniowie zapamiętali z przerobionego materiału. Dzieciaki w tej klasie były zdolne, dobre. W tym roku jednak, kiedy stojąc przed nimi, patrzyła na ich zwrócone ku sobie twarze, po raz pierwszy poczuła ból serca. Do tej pory nigdy o tym nie myślała.

Teraz, przez uchylone drzwi mogła zajrzeć do living roomu, gdzie stał nowy komputer Adama i półki z oprogramowaniem. Jak dotąd się nie upomniał o nie. „A jeśli się upomni -pomyślała mściwie, to i tak ich nie dostanie. Należą do moich dzieci”.

W głowie miała zamęt, a przed sobą stertę prac, i musiała je poprawić przed północą. Trzeba się więc przede wszystkim wyciszyć. A jutro rano zamówi nową skrzynię biegów. Spowoduje to niemały uszczerbek w jej oszczędnościach, nawet jeśli połowę tego wydatku pokryje Adam.

Do diabła z nim! Do diabła z prawem, które nie ułatwia kobiecie uzyskania tego, co jej się należy!

Na stole naprzeciwko biurka stały fotografie rodzinne. Zrobiło się wśród nich przestronniej, kiedy zniknęło zdjęcie Adama i ich fotografia ślubna; pozostałe były teraz bardziej widoczne. Jako pierwsza powitała ją młoda twarz ojca; nie znała go, ale dzięki matce prawie uwierzyła, że go znała. Matka mówiła o nim wiele i bardzo ciepło, wspominając różne zabawne epizody z ich wspólnego życia.

„Śmierć jest łatwiejsza niż to, co ją spotkało - pomyślała Margaret. - W tym nie ma nic miłego ani zabawnego”. Zapaliła lampę na biurku i zabrała się do pracy.

## **Rozdział 21**

Adam zdawał sobie sprawę, że jego usta rozciągają się w sztucznym uśmiechu i że całym swoim zachowaniem okazuje entuzjazm, którego w gruncie rzeczy nie czuje. Przeciwnie, był spięty, ponieważ wizyta dzieci nie przebiegała tak, jak powinna. Poprzednia też nie wypadła najlepiej.

- Koronka Królowej Anny jest z rodziny marchwiowa-tych - powiedział. - Kto by pomyślał, patrząc na tę roślinę...

- Jest brzydka - mruknęła Julie.

- Bo już uschła. Ale musisz ją zobaczyć w sierpniu, w okresie kwitnienia.

Zabrał dzieci na łąki porastające wzgórze za domem pomiędzy rzeką a lasem. Randi, która została, żeby przygotować lunch, chętnie pozbyła się ich z kuchni.

- Nie jestem tego pewien, ale myślę, że ten gatunek został wyhodowany przez botaników. Warto sprawdzić.

Ale dzieci nie były tym zainteresowane. Szły wpatrzona w łeb Rufusa, który jak gdyby płynął ponad wysokimi brunatnymi trawami.

- No to cóż - powiedział Adam. - Chyba będziemy wracali. Lunch jest już na pewno gotowy.

- Ja bym wolał, żebyśmy jedli w ogrodzie - zażądał Danny, widząc, że piknikowy stół stoi pusty.

- Jest już za chłodno. To przecież koniec listopada - odparł Adam.

- Nie, wcale nie jest za chłodno. W słońcu jest nawet gorąco. Mam ochotę zdjąć sweter.

- Zawołaj Rufusa i chodźcie do domu. Nie narzekaj, Danny.

Chłopak miał nieprzyjemnie skrzywione usta. „To coś nowego” - pomyślał Adam.

Przy stole Randi zwróciła się do Julie:

- To wielka szkoda, że nie podoba ci się pianino. Kiedy je zobaczyłam na wyprzedazy, od razu pomyślałam o tobie. I świetnie pasuje w suterenie. Zamierzamy zrobić tam na dole, i to całkiem niedługo, wspaniały pokój rekreacyjny.

Ponieważ Julie się nie odezwała, Adam powiedział szybko:

- To bardzo miło z twojej strony, że pomyślałaś o Julie. Jestem przekonany, że kiedy tylko zaczniesz znów grać, chętnie będzie korzystała z tego instrumentu. Ale nie mamy zamiaru cię przymuszać, Julie.

- Nie wiem - powiedziała Randi z uśmiechem. - Pewnie jej się po prostu nie podoba. Jest dla niej za kiepskie, co, Julie?

Dziewczynka zaczerwieniła się i spoglądając na ojca mruknęła:

- Ja po prostu nie mam ochoty grać.

Odpowiedź była niby grzeczna, ale atmosfera zrobiła się ciężka. Rozmowa towarzyska, która toczyła się przy stole, była bez treści i stanowiła jedynie wypełnienie czasu. A przecież Adam tak tęsknił za dziećmi. Nie spędził z nimi Święta Dziękczynienia i nie spędził z nimi Gwiazdki. „Dzieci są zawsze z matką” - pomyślał.

Po lunchu Julie i Dan wyszli do ogrodu, a Adam z Randi zostali, by wypić kawę.

- Naprawdę myślałam, że zrobię Julie przyjemność tym pianinem - zaczęła Randi.

Mogłaby już dać spokój; to miło, że je kupiła, ale najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że jest to stary rozstrojony grat, niewiele wart, nawet kiedy był nowy. W domu Julie miała fortepian po matce, doskonale utrzymany, prezent od Jean z czasów „tłustych lat” jej drugiego małżeństwa.

- Niech ci nie będzie przykro - powiedział, mobilizując całą swoją cierpliwość. - Ona jest teraz wytrącona z równowagi.

- Ale to nic przyjemnego patrzeć na takie nadąsane dziecko. Przecież ona się prawie nie odzywa.

- Randi, Julie to bardzo przeżywa. Wiedziałem, że cała ta sprawa będzie miała niemiłe konsekwencje, ale nigdy nie przypuszczałem, że ona tak głęboko to przeżyje.

- Na miłość boską, Adam, przecież nie umarłeś ani nie

siedzisz w więzieniu. A prawda jest taka, kochanie, że twoje dzieci są bardzo rozpieszczone.

- Nie, Randi. Oczywiście, że mają wady, tak jak wszyscy, ale nie są rozpieszczone.

- To powiedz mi, dlaczego Danny wszędzie ze sobą wlecze tego psa?

- Wcale nie wszędzie. Zabiera go tutaj, żeby się wybiegał. A poza tym ten pies stanowi dla niego teraz wielką pociechę.

- Pociechę! Tak mówisz, jakby Danny podlegał jakimś torturom. Twoje dzieci są w bardzo dobrej sytuacji, kochanie. Masz stanowczo za miękkie serce, cholernie miękkie jak na mężczyznę.

Adam poczuł się urażony. Owszem, to prawda, że ani Danny, ani Julie nie zachowywali się dzisiaj sympatycznie. Ale właściwie dlaczego mają być zawsze idealnie grzeczni? Z drugiej strony, Randi była dla nich taka miła... Tylko że nie ma żadnego doświadczenia w obcowaniu z nastolatkami... Ale wymagać od niej, żeby ich tu podejmowała co niedzielę, to też niesprawiedliwe... Jednak Adam może się widywać z dziećmi jedynie w weekendy. A ona jest zawsze spokojna, miła, nie ma humorów... Ma przecież prawo wyrazić swoją opinię o dzieciach...

- O, widzę, że cię tym razem dotknęłam - mruknęła. - Pewnie myślisz, że nie lubię twoich dzieci. - Wstała z krzesła i ujęła w dłoń jego twarz, żeby ją ucałować. - Przepraszam cię, kochanie. Wiesz przecież, że je lubię. Są w końcu twoje! Ale czy nie mogę czasami szczerze powiedzieć, co o nich myślę? Wszystko, co mówię, to dla twojego dobra. Proszę cię, żebyś mnie źle nie rozumiał. Kocham twoje dzieci! Powiedz, że nie jesteś zły. Proszę!

- Nie jestem zły.

- Ale naprawdę? Uśmiechnij się. Uśmiechnął się.

W drodze do domu wszyscy milczeli. Danny chciał słuchać radia, jakiejś grupy wokalne o idiotycznej nazwie, której Adam nigdy nie mógł zapamiętać, w rodzaju Hieny Cementarne czy coś równie głupiego. Normalnie ich wrzaski doprowadzałyby go do szału, ale tym razem były mu nawet na rękę.

Najtrudniejsze podczas odprowadzania dzieci były te chwi-



le, kiedy musiał patrzeć, jak idą chodnikiem do domu, który jeszcze niedawno był jego domem. Miał już powiedzieć: „To do zobaczenia w przyszłą niedzielę”, ale Danny ubiegł go pytaniem:

- Czy ty nigdy nie wejdiesz z nami do środka?

- No... zobaczymy... - odparł, wiedząc, że chłopak bez trudu poznał się na jego idiotycznym wykręcie.

Adam ruszył i jednocześnie zobaczył nadchodzącą ulicą Megan. Niosła książki, więc się domyślił, że wraca z biblioteki. Serce zabiło mu żywiej. Wyglądała ślicznie w granatowej spódniczce i w swetrze, z długimi, jasnymi włosami, którym słońce nadało kolor pszenicy, spływającymi aż na ramiona. Nie widział jej od dnia, kiedy się wyprowadził. Przesiadł się na miejsce pasażera, wychylił przez okno i zawołał:

- Megan! Megan! Jak się miewasz? Zatrzymała się.

- Wspaniale - odpowiedziała lodowato. - A jak myślisz, jak się mogę miewać?

- Niezbyt dobrze, wiem. Bardzo się o ciebie martwię. Ale przecież tutaj nie będziemy rozmawiać. Czy nie zechciałabyś mnie odwiedzić z Dannym i Julie?

- Nie. W każdym razie nie w domu tej kobiety. Chyba nie mówisz poważnie.

- Daj spokój, Megan. Randi to bardzo dobra osoba, miła, ciepła.

- Tak, ciepła jak kobra. A ty byś jeszcze chciał, żebym była dla niej grzeczna po tym, co zrobiła, tak?

Adam był zmęczony, bardzo zmęczony. Czy miał się tłumaczyć tej młodej dziewczynie, swojej córce?

- Co ona... i ty... zrobiliście mamie, która jest taka dzielna. Cisnąłeś ją jak szmatę. W ogóle się o nią nie troszczysz.

- Owszem, bardzo się o nią troszczę, Megan. Oczy dziewczyny ciskały błyskawice.

- To dlaczego nie wrócisz do domu? Moglibyśmy zacząć od nowa... moglibyśmy się znów wszyscy razem kochać...

-Głos Megan się załamał.

- Ale ja nie mogę, córeczko. To nie jest takie proste... Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Nie zrozumiesz...

- Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? No to masz rację - nie zrozumiałem, jak mogłeś nami wzgardzić

i pójść sobie od nas. Czasami budzę się w nocy i mam wrażenie, że to tylko koszmarny sen.

Oczy Megan były utkwione w Adamie, a całe jej ciało sztywne i napięte; wiedział, że czeka na jego odpowiedź, której on nie był w stanie jej udzielić, wiedział, że cierpi. Mijały sekundy, a on patrzył, jak na jej twarzy umiera nadzieja.

- Ty nawet nie płacisz przyzwoicie na nasze utrzymanie! -krzyknęła. - Jeździmy takim starym gratem!

- Pokryłem połowę ceny nowej skrzyni biegów - przerwał jej Adam.

- Ale to i tak jest stary grat. Nie mamy ciepłych ubrań na zimę. A kosiarka do trawy jest za ciężka dla Danny'ego. Co z nami będzie?

- Spróbuję dawać więcej. Postaram się. - Ton Adama był błagalny. - Wiem, że macie różne potrzeby, ale daję najwięcej, jak tylko mogę. W tej chwili nie mam żadnych pieniędzy ekstra. Naprawdę.

- Ale dla niej masz dość pieniędzy, prawda?

- To nie jest... kto ci to powiedział?

- Tylko mi nie mów, że żyjecie za nic. Kupiłeś jej najpierw złotą bransoletkę, a potem, na urodziny, złoty naszyjnik. Mama nigdy nic takiego od ciebie nie dostała.

„Randi musiała pokazać te rzeczy Julie” - pomyślał Adam. Poczł ciężar w piersi. Wszystko to było takie skomplikowane, takie trudne.

Megan utkwiała w nim bystre, przestraszone oczy.

- Wszyscy jesteśmy przez ciebie tacy smutni - powiedziała - nawet Danny. On był kiedyś taki wesoły, taki zabawny. I to wszystko twoja wina! Wiesz, co ci powiem - nienawidzę ciebie i tej twojej ohydnej baby!

Odwróciła się i odeszła.

Adam nigdy nie przypuszczał, że dożyje takiej reprimendy, takiego wybuchu ze strony ukochanego dziecka, swojej Megan! Megan była taka zrównoważona, taka mądra, taka rozsądna... Megan to klejnot...

Zastanawiając się, jak wrócić, żeby nie spowodować wypadku, powoli wrzucił bieg i odjechał. Doszedł do wniosku, że gdyby najbardziej się starał, to i tak nigdy nie zdoła doprowadzić do tego, by Megan czy ktokolwiek inny go zro-

zumiał. W biurze też łapał ukradkowe spojrzenia, a raz w łazience usłyszał:

- Podobno się rozwodzi.
- Będzie jej lepiej samej, bez tego zimnego drania...
- Zawsze lubiłam Margaret...

Durnie! Co oni mogą o tym wiedzieć? To nie ich sprawa. A zresztą to i tak banda prymitywnych robigroszy.

Co z tego, skoro niektórzy z nich mieli władzę i hierarchia dawała im prawo do upokarzania innych. Nawet Ramsey, tak zwykle spokojny i sprawiedliwy, też paskudnie się z nim obszedł w ubiegłym tygodniu. Aż się skrzywił na samo wspomnienie poniedziałkowego ranka, kiedy to oboje z Randi zaspali po zarwanej nocy.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Crane? Spóźnić się pół godziny na spotkanie z facetem, wartym dla nas dwieście tysięcy! Przylatuje z Chicago, a ty mu każesz na siebie czekać! Punktualność to podstawa dobrego wychowania, wszystko jedno, o kogo chodzi, ale ja odniosłem wrażenie, że tobie w ogóle nie zależy... itd., itd. Adam cierpiał. I martwił się. Plotki na temat przejęcia firmy stały się na tyle głośne, że nie mógł ich już dłużej ignorować. Nie byli IBM-em, ale byli wystarczająco atrakcyjni, żeby wzbudzić zainteresowanie dosłownie każdej z liczących się w kraju firm produkujących oprogramowanie. O takiej możliwości wspomniało nawet ze dwóch analityków giełdy w swoich raportach z ubiegłego miesiąca. Jeśli się te wersje potwierdzą, to kto wie, co to będzie dla mnie oznaczać? Może coś wspaniałego. Albo wręcz przeciwnie...

Zabijały go wydatki. Żyjąc z Randi, czuł się zobowiązany do dzielenia z nią kosztów utrzymania, a były one wyższe niż to, do czego przywykł. Wiedział oczywiście, że Randi ma dług hipoteczny, ale nie zdawał sobie w pełni sprawy z jego wysokości. Randi kupiła dom właściwie na kredyt. I trzeba było płacić miesięczne raty. Chociaż nigdy wiele od niego nie wymagała...

Ale wiedział, czego chciała naprawdę - Randi pragnęła dziecka. A on jej obiecał, że będą mieli dziecko, jak tylko uzyska rozwód. Co z tego, kiedy adwokaci działali tak opieszale. Sporządzenie każdego dokumentu ciągnęło się niemiłosiernie długo.

I może dlatego, że jeszcze nie była z nim związana, czuł, że musi być jej pewien, musi ją zadowolić i dać jej szczęście. Tak jak ona dała szczęście jemu! Sprawiała, że czuł się panem ziemi.

- Za bardzo się martwisz - mówiła czasem do niego, kiedy leżeli w łóżku. - Zawsze taki byłeś. Wiele lat temu martwiłeś się o swoje wyniki w nauce i o swoją karierę. Teraz jest praca i dzieci, a tak naprawdę ważni jesteśmy tylko my dwoje.

„Jak się tak nad tym zastanowić, to przecież Randi ma rację" - pomyślał Adam. Doznał nagłej iluminacji - jedynym, co się rzeczywiście liczy, jesteśmy my dwoje. Tak, tak -powtarzał sobie w kółko. - Niezależnie od wszystkiego, nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy jak teraz. I to jest rzecz podstawowa.

Kiedy dojeżdżał do domu, zobaczył czekającą na niego w drzwiach Randi. Słyszac zgrzyt opon na żwirze, jak zwykle wybiegła na powitanie.

## **Rozdział 22**

- Tak będzie znacznie sensowniej, niż kazać pani przychodzić jeszcze raz po to tylko, żebyśmy skończyli te rzeczy. Zostało nam do przejrzania zaledwie dwanaście stron - powiedział Larkin.

Pozbierał dokładnie resztki lunchu składającego się z kanapek i kawy i wrzucił do kosza. Wszystkie jego ruchy były bardzo oszczędne, podobnie jak i starannie wyważone zdania. Gdyby sama sprawa nie była taka przykra, z przyjemnością by go słuchała. Ta myśl wydała jej się zabawna.

- Niech pan mi powie - zapytała - jaki ma sens, żebym odpowiadała na te wszystkie śmieszne pytania. Na przykład, ile jest w domu pokoiów i w jaki sposób są użytkowane? Jakby mój mąż po tylu latach mieszkania z nami tego nie wiedział.

- Jak już mówiłem, nie należy się w tym doszukiwać sensu. To jest prawo. Dom wchodzi w skład pani aktywów i dlatego musi być objęty ugodą.

- Moje aktywa... - powtórzyła ironicznie Margaret, ale zaraz uświadomiła sobie, że może się wydać Larkinowi męcząca, więc szybko go przeprosiła. - Bardzo pana przepraszam, rozumiem, że reagując tak emocjonalnie niepotrzebnie zabieram panu czas.

- Ma pani prawo reagować emocjonalnie. Proszę się tym nie przejmować, Margaret. Ale, przy okazji - skoro pani ma być Margaret, to ja jestem Stephen. A teraz strona pięćdziesiąta czwarta. Bierz swój egzemplarz i jedziemy dalej. Kiedy skończyli, Larkin z hukiem zamknął akta i dopiero w ciszy, jaka zapadła, zorientowali się, że wichura mało nie

wyrwie okien, a po szybach spływają strugi deszczu. Stephen wstał i wyrztał przez okno.

- Ulice przypominają rzeki. Powinnaś poczekać, dopóki się nie uspokoi. Takie ulewy na ogół nie trwają długo.

- Usiądę w poczekalni i sobie poczytam - powiedziała Margaret wstając.

- Nie, zostań tutaj i powiedz mi, jak sobie radzisz.

Uczyniwszy niewielki gest, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że udzielenie jasnej odpowiedzi na to pytanie nie jest możliwe, zaczęła:

- Robię wszystko, co do mnie należy - trzymam dom w ryzach ze względu na dzieci. Ale w środku... w środku czuję, że moje życie jest podzielone - na to, co przed Adamem, i co po Adamie. Przypomina mapę Europy przed i po upadku komunizmu, z nowymi nazwami i kształtami państw. Ja też mam w tej chwili jak gdyby inny kształt, a niedługo będę się inaczej nazywała. Bo świadomość, że inna kobieta będzie teraz nosiła nazwisko, które przez dziewiętnaście lat było moje, jest dla mnie szczególnie przykra. To głupie, prawda?

- Nie sądzę. Dla ciebie nazwisko stało się symbolem tego wszystkiego, co tamta kobieta ci zabrała.

- Powiedz mi, bo często się nad tym zastanawiałam, czy dużo miałeś spraw, w których mąż oskarżał żonę o zdradę małżeńską?

- Zaledwie kilka. Kobiety wiedzą, że zdrada niszczy intymność i wzajemne zaufanie dwojga ludzi i że małżeństwo już nigdy potem nie jest takie samo. Dlatego zdrada małżeńska kończy się zwykle rozwodem i to jest przyczyna, dla której kobiety rzadko podejmują takie ryzyko.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że mężczyźni o tym nie wiedzą?

- Większość nie wie. Przypuszczam, że Adam Crane, zaczynając swój romans, nie myślał o rozwodzie.

- Twierdzisz, że ten romans zaczął żyć swoim własnym życiem?

- Bardzo smutnym życiem. A najsmutniejszym dla dzieci. Następne słowa wyrwały się Margaret mimo woli.

- Twoja praca też musi być smutna...

- Bardzo.

Margaret była dziwnie świadoma obecności tego mężczyz-

ny, jego dłoni z nienagannie utrzymanymi paznokciami, zegarka, ciemnego garnituru, ciemnych lśniących włosów...  
Co za absurd...

- Często myślę - odparł Stephen - że chętnie bym z tej pracy zrezygnował, że wołałbym coś budować zamiast niszczyć...

- Czy rzeczywiście niszczysz? - zapytała Margaret łagodnie. - Bo na przykład mnie... bardzo pomogłeś.

- To jest, jak sędzę, inne spojrzenie na tę samą sprawę.

- Mam nadzieję, że nie zrezygnujesz z pracy, dopóki mnie przez to nie przeprowadzisz.

Stephen się uśmiechnął.

- Nie bój się, przeprowadzę cię, obiecuję ci to. Może zresztą tylko tak mówię.

Jadąc do domu w słabnącym deszczu, Margaret cały czas myślała o Stephenie Larkinie. To głupie utożsamiać człowieka z jego zawodem, nie próbując sobie wyobrazić, na przykład, kim jest lekarz, kiedy zdejmie biały fartuch i odrzuci profesjonalne nawyki. Ona do tej pory też nie wyobrażała sobie Stephena Larkina inaczej, niż w tym samym gabinecie za tym samym biurkiem i w otoczeniu tych samych brunatnych ksiąg. Ze zdumieniem na przykład przyjęła do wiadomości, że nie jest zadowolony ze swojej pracy i że potrafi okazać drugiemu człowiekowi tyle zrozumienia! Zastanawiała się, czy Stephen jest żonaty, a jeśli tak, to czy ma udane małżeństwo... Zresztą, to nie jej sprawa. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła po wejściu do domu, był panujący w kuchni bałagan. Wieszak, na którym zwykle wisały garnki, świecił pustkami, drzwi wszystkich szafek stały otworem. W panice pobiegła do holu, wołając po drodze dzieci.

- Tu jesteśmy, mamó! - usłyszała w odpowiedzi. - Na strychu. Mamy potop.

Kompletna katastrofa. Przez dwie dziury w dachu woda lała się do środka jak z hydrantu. Wiadra, które dzieci przyniosły, okazały się niewystarczające. Margaret oniemiała; była bliska łez.

- Przeciekło przez sufit mojego pokoju - wyjaśniła Megan. - Na szczęście nie bardzo. Tylko takie spore plamy. -

Próbowała się uśmiechnąć. - Jedna kształtem przypomina Amerykę Południową.

Plamy. Nowy tynk. Nie, nowy sufit. Nowy dach. Astronomiczne sumy. Nowe przepychanki między adwokatami. Margaret przytknęła rękę do czoła, wyczuwając puls w skroniach, następnie przelknęła tę głupią kluczę, która zawsze w takich sytuacjach dusiła ją w gardle, i powiedziała tylko:

- Będziemy szybko potrzebowali czegoś do przykrycia tych dziur. Nie możemy ich tak zostawić na całą noc, bo nam woda całkowicie zniszczy pokoje. Zastanawiam się...

- Są takie wielkie niebieskie plastikowe płachty... bo to jest chyba plastik... którymi nakrywa się domy podczas budowy - powiedziała Megan. - Wuj Fred ma firmę budowlaną, więc na pewno używa takich płacht.

Oczywiście, najlepiej wszystko zostawić Megan.

- Ja do niego zadzwonię. A tymczasem, schodząc na dół, wezmę dwa wiadra, żeby je opróżnić. Ty, Julie, chodź ze mną, przyniesiesz je z powrotem.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Fred siedział w pokoju z Margaret i próbowali ocenić sytuację.

- Na kilka dni masz spokój, chyba że przyjdzie tornado i zerwie płachty.

- Czy załatwienie dachu byłoby bardzo kosztowne? - zapytała Margaret z nadzieją w głosie.

- On się nie da załatać, Margaret. Trzeba położyć nowy. I to już od paru lat. Czy nigdy nie zauważyłaś, ilu gontów brakuje?

Margaret westchnęła.

- Owszem, zauważyłam, ale to był tak wielki wydatek, że Adam myślał... - Urwała, próbując sobie przypomnieć, co myślał Adam.

- Teraz już nie ma nad czym myśleć. Musi to zrobić.

- A jeśli nie będzie chciał? - zapytała słabym głosem.

- Co to znaczy „nie będzie chciał”? Nie ma wyboru.

- Fred, to tylko tobie tak się wydaje. Trzeba to będzie załatwić przez adwokatów. Jak wszystko. A jeśli nie chciał dać pieniędzy w zeszłym roku... - Znów urwała. - Jasne, że



nie chciał, bo już wtedy miał swoje plany z nią. Tym bardziej teraz nie zechce. Oczywiście, możemy iść z tym do sądu, ale dach chyba nie będzie czekał.

- Nie. Nie chciałbym ci sprawiać dodatkowej przykrości, ale pamiętaj, że cały dom wymaga poważnego remontu. Obejrzałem go bardzo dokładnie. Na przykład piec... czy nie miałaś ubiegłej zimy kłopotów z ogrzewaniem? - Kiedy skinęła głową, podjął: - To będzie cud, jeżeli piec wytrzyma jeszcze jedną zimę. Schody do piwnicy też wymagają remontu; prędzej czy później ktoś się na nich potknie i skręci kark. Za każdym razem, kiedy pada deszcz i wieje północny wiatr, wszystkie okna od strony północnej przeciekają. Widziałem, że kładzicie ręczniki na parapetach... Margaret zakryła uszy rękami.

- Dość! Przestań! - wykrzyknęła. - Czy ty myślisz, że ja nie wiem, że nie mam prawa tu mieszkać?

- Dlaczego? Co to znaczy „nie mam prawa”? Masz wszelkie prawo. To jest twój dom. Twój dom rodzinny, stary, solidny budynek. Tylko po prostu wymaga remontu, i to wszystko. Przecież ten remont nie pochłonie miliona dolarów, na miłość boską.

- Dla mnie to nie ma większego znaczenia.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Margaret myślała -to jego wydatki na tę kobietę rujnują mnie i moje dzieci.

- Gdybyś pozwoliła sobie pomóc... - odezwał się Fred. -Wiem, że nie chcesz, żebym ci pomógł z samochodem, ale to jest znacznie poważniejsza sprawa. Proszę cię, Margaret, pozwól mi. Przecież wiesz, że mnie na to stać.

- Pozwolę, żebyś tu przysłał swoich ludzi i żeby mi tymczasowo załatali dach, który nie może czekać. Za to będę ci bardzo wdzięczna, ale nic poza tym przyjąć nie mogę. Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie, ale czy nie rozumiesz, że ja się muszę przyzwyczać do zupełnie innego poziomu życia? Tak to właśnie jest. Mąż opuszcza żonę i jego dochód rośnie, a jej maleje.

- Jesteś uparta - powiedział Fred łagodnie.

- Nie, jestem realistką. Bo gdyby nawet dom był w doskonałym stanie, to i tak nie moglibyśmy w nim mieszkać. Jest dla nas za duży, koszty utrzymania są zbyt wysokie, a ja nie zastąpię Adama. Śnieżna burza w ubiegłym miesiącu była

mordercza. Dzieci są nadmiernie obciążone. To dobre dzieciaki i nie narzekają, ale mają za dużo obowiązków. No i stało się. Wypowiedziała te straszne słowa. Rozejrzała się po pokoju i zerknęła do holu, gdzie stały na swoich zwykłych miejscach wieszak na ubranie i stary zegar. Ukochany sędziwy dom, w którym się urodziła.

Fred, idąc za jej wzrokiem, powiedział bardzo łagodnie:

- To naprawdę zbyt bolesne dla ciebie, Margaret. Czy jesteś pewna tego, co mówisz?

Skinęła głową, przygryzając wargę.

- Tak, to bardzo staroświeckie z mojej strony... Ostatecznie, jak wiele osób w tym kraju mieszka w domach, w których się urodziły?

- Przypuszczam, że niewiele. Ale jeśli ktoś chce, to przecież dlaczego...

- Jeśli chce i może. Co do mnie, to kiedyś mogłam, a teraz nie mogę.

Adam i pani Randi Bunting o tym zdecydowali.

- No cóż - podjęła Margaret - jutro wezwę agenta nieruchomości. Mimo że dom wymaga sporego remontu, to winnam dostać za niego dobrą cenę. Dziś już trudno o taką solidną konstrukcję drewnianą. No i działka jest piękna.

- Jeśli chcesz zobaczyć coś niewiarygodnego - powiedziała Margaret do Freda w kilka dni później - to spójrz na ekspertyzę agenta nieruchomości.

Fred przeczytał dokument, odłożył go i po krótkim wahaniu z wyraźnym ociąganiem powiedział, że niestety nie widzi w nim nic niewiarygodnego.

- To jest wspaniały stary dom i wspaniała stara ulica, ale w tej chwili popyt na tego rodzaju nieruchomości jest znikomy. Zwłaszcza, że dom nie ma klimatyzacji, kuchnia nie jest nowoczesna, a wanny stare. No i bardzo wysokie podatki miejskie.

- Ale dzielnica! Działka!

- Dzielnica się stopniowo zmienia. Ludzie bogaci przenoszą się na przedmieścia, w stronę Beachcroft.

- To brzmi ponuro, Fred. Czy nikt tego domu nie kupi?

- Owszem. Ktoś, kto ma dużą rodzinę, a mało pieniędzy.

Przykro mi, Margaret, ale musisz brać, ile ci dają. Taka jest prawda.

Taka jest prawda. Chyba po raz setny Margaret wyrwał się wewnętrzny krzyk - Jak to możliwe?!

Siedzieli w milczeniu między cieniem a światłem lampy. Margaret przeżywała gonitwę myśli - Adam wie, że jest nam ciężko, więc dlaczego nie wróci do domu i nie zrobi tego, co należy do mężczyzny? Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że gdyby nawet wrócił i błagał ją na kolanach, toby go i tak nie przyjęła - nie mogłaby go przyjąć.

Zastanawiała się też, czy on kiedykolwiek oceniał swoją przeszłość, a jeśli tak, to w jaki sposób. Bo przecież zaczynał samodzielne życie z takim entuzjazmem, z taką nadzieją, dumą. Mimo to po dziewiętnastu latach niewiele się zmieniło. Trójka dzieci aż do jego odejścia żyła na niewiele wyższym poziomie niż ich rodzice zaraz po ślubie. A teraz wręcz na niższym. Czy kiedykolwiek zadawał sobie pytanie, gdzie tkwił błąd? Czy ja kiedykolwiek zadawałam sobie takie pytanie, a jeśli nie, to dlaczego?

Ponieważ tak bardzo go kochałam. Zupełnie nieświadomie jej usta bezdźwięcznie wypowiedziały te słowa i Margaret, spłoszona, spojrzała na Freda, który patrzył na nią z wyrazem głębokiego współczucia.

- Trzymaj się, Margaret - powiedział. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Tylko się trzymaj.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Nie bój się o mnie. Trzymam się. Jutro rano dam pośrednikowi zlececie sprzedaży.

I wtedy zaczęło się czekanie. Ludzie przychodzili, oglądali dom, patrzyli - patrzyli podejrzliwie - i wychodzili.

Przyjaciele i rodzina udzielali sprzecznych rad. W pokoju nauczycielskim jedna z koleżanek powiedziała:

- Mimo że to bardzo bolesne, na dłuższą metę ta zmiana będzie dla ciebie korzystna, Margaret. Pozbędziesz się niepotrzebnego bagażu i zaczniesz od nowa.

Inna, znacznie starsza, wspominała:

- Pamiętam, miałam wtedy cztery lata, kiedy mama zabrała mnie z wizytą do tego domu. Mieszkali tam wtedy twoi  
pra-

dziadkowie. Pradziadek miał bokobrody, a prababcia poczęstowała mnie piernikiem. Stephen pochwalił Margaret:

- To mądra decyzja. Kiedy pójdziemy do sądu, będziesz miała jeszcze skromniejsze środki na życie. Rozsądne przygotowanie sprawy jest bardzo ważne.

Tymczasem Nina była wściekła.

- On sobie bierze kochankę i was zostawia, a ty musisz się wynosić z domu. Czy na tym polega nowoczesne prawo?

- Proponowała pieniądze. - Teraz powodzi mi się naprawdę dobrze. Mam całkiem spore oszczędności i chciałabym ci pomóc w zachowaniu domu. Wiem, że zawsze mi odmawiałaś, ale może tym razem się zgodzisz? - A kiedy Margaret w dalszym ciągu się broniła, spytała: - Co ze sobą zrobicie?

- Będę musiała znaleźć jakieś mieszkanie.

- Przy takich alimentach, jakie on ci płaci, stać cię będzie na coś skromnego i zbyt ciasnego jak na waszą czwórkę.

Czy uważasz, że to w porządku w stosunku do dzieci?

- Nie będą miały krzywdy - odparła Margaret. - Ostatecznie wiele ludzi mieszka w ciasnych mieszkaniach.

Były to obiegowe prawdy, w które sama w gruncie rzeczy nie wierzyła.

Luiza i Gilbert byli wstrząśnięci. I w jakiś dziwny sposób ich gniew przyniósł jej ulgę.

- Biedny dureń - powiedział Gil. - Czuje się jak kogut, który musi wybierać między dwiema kurami.

Luiza oświadczyła, że wszyscy mężczyźni to durnie.

- Pamiętasz, Gil, tę swoją maszynistkę? Ona sobie na ciebie ostrzyła ząbki, a ty nawet o tym nie wiedziałeś. Ale mnie wystarczyło raz na nią spojrzeć i od razu ci powiedziałam, żebyś nie próbował żadnych numerów. Bo Gil był bardzo przystojnym młodym człowiekiem, Margaret. Nie zamierzałam ryzykować.

Gil, wyraźnie zadowolony, miał dosyć głupią minę. Margaret pomyślała z czułością, że trudno sobie dziś wyobrazić Gila z bujną czupryną i bez brzuszka, a i Luizę w jej wygodnych kretonowych sukienkach i z mocną trwałą na siwych włosach, jako dwudziestokilkuletnią dziewczynę. Ale najważniejsze, że byli serdeczni i gotowi do pomocy.

- Proponuję ci pożyczkę, Margaret - zaczął Gil. - Gdy-

byśmy nie mieli czworga wnucząt i różnych rodzinnych zobowiązań, z radością bym ci te pieniądze dał. Powiedz tylko, ile potrzebujesz, a jutro rano załatwimy sprawę. Margaret potrząsnęła głową.

- Ja bym ci tego nigdy nie była w stanie zwrócić - powiedziała spokojnie.

I dalej zastanawiała się, co też czuje Adam wiedząc, że jego dzieci tracą dom - jego dzieci, nie ona. Wszak ona była wrogiem, przeszkodą, która tak długo broniła mu dostępu do „miłości jego życia”?

W niedzielę Julie doniosła:

- Tata chciałby z tobą porozmawiać na temat domu.

- Ale ja nie chcę z nim rozmawiać, Julie. Niech rozmawia przez adwokata. Już to robił. - Po chwili jednak ciekawość wzięła górę i spytała: - A o co mu właściwie chodzi? Co ma do powiedzenia na temat domu?

- Myślę, że jest mu przykro, że nie może pomóc. A zresztą powiedział, że i tak pewnie wyjdiesz za mąż za wujka Freda i wtedy ten dom nie będzie ci potrzebny. Wyjdiesz za wujka Freda, mamo?

- Za nikogo nie zamierzam wychodzić za mąż. A ty możesz mu powiedzieć ode mnie, że cokolwiek zamierzam zrobić, to nie jego sprawa.

Nie powinna była tego mówić. Złamała własną żelazną zasadę, żeby w sprawy między nimi nie wciągać dzieci. Ale jak on śmie! Nie ma prawa omawiać z dziećmi jej osobistych spraw. Nie ma prawa!

Chociaż to prawda, że Fred czasem pozwalał sobie na aluzje, bardzo delikatnie zawoalowane aluzje.

- Sam nieraz myślę o sprzedaniu swego domu. Jest o wiele za duży dla samotnego mężczyzny i jednego małego psa. Ale powstrzymuję się, bo może jeszcze kiedyś mi się przyda.

Fred był najwspanialszym z mężczyzn. Ale ona, przynajmniej w tej chwili, nie mogła myśleć ani o mężczyznach, ani o małżeństwie.

Pewnego ranka pośrednik pokazał klientom dom, a już wieczorem pojawił się z ofertą bliską wcześniejszych szacunków. Potencjalnymi kupcami okazało się małżeństwo z szóstką

dzieci. Byli to ludzie zręczni, większość niezbędnych napraw zamierzali wykonać we własnym zakresie. Zażądali jednak zwolnienia domu w przeciągu sześciu tygodni. Margaret wyraziła zgodę.

Sześć tygodni był to krótki okres jak na zlikwidowanie rzeczy nagromadzonych w ciągu trzech pokoleń i znalezienie nowego miejsca.

- Czy nie zechciałabyś przeprowadzić się do mnie? - zapytał Fred. - Rozumiesz... mnie nie chodzi... - Fred zająknął się i zaczerwienił.

Margaret też się zająknęła i zaczerwieniła.

- Oczywiście, że rozumiem i bardzo ci dziękuję, Fred. Ale my potrzebujemy czegoś własnego.

W Elmsford nie było jednak zbyt wiele bloków mieszkalnych, wkrótce więc stało się jasne, że nie mogą nic znaleźć.

Margaret wpadła w panikę.

- Proponowałbym moje osiedle w Beachcroft, ale tam nie ma mieszkań większych niż z dwiema sypialniami - powiedział Fred. - Na przedmieściach rzadko bywają większe mieszkania.

- W każdym razie obejrzę - zdecydowała.,

- Komorne będzie umiarkowane. A gdybyś się zgodziła, mogłoby go wcale nie być.

- Fred, przecież wiesz... wiesz, że się nie zgodzę. Fred się roześmiał.

- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że się zgodzisz.

Okolica była piękna, osiedle leżało w pobliżu parku z jeziorem. Nie brakowało ścieżek i bezpiecznych miejsc do jazdy na rowerze. Położone było dość daleko od śródmieścia, ale jak długo samochód się jakoś spisywał, mieszkanie było możliwe. Możliwe do wzięcia i ciasne...

- Dziewczynki zajmą jedną sypialnię, Danny drugą, a ja będę spała na sofie - powiedziała do Freda, który pokazywał mieszkanie.

Fred potrząsnął głową.

- Nie, nie, sofę zostaw Danny'emu.

- On musi mieć pokój dla siebie, biurko i ciszę. Ostatnio bardzo się opuścił w nauce, martwię się o niego.

- To wszystko mnie nie zachwyca, Margaret - powiedział

Fred, niepokieszony. - I z prawdziwą przykrością muszę ci jeszcze coś powiedzieć - tutaj nie wolno trzymać psów.

- Fred! To niemożliwe!

- Posłuchaj mnie, Margaret, jest mi naprawdę bardzo przykro. Wiem, ile Rufus znaczy dla Danny'ego. Ale jeśli pozwolę wam trzymać psa, to muszę pozwolić i innym, a to jest niemożliwe. Sama widzisz dlaczego.

Jakby Danny miał mało przeżyć! A to byłoby chyba dla niego najgorsze.

- Czy mógłbyś przyjść któregoś dnia i pomóc mi wytłumaczyć to Danny'emu?

- Oczywiście.

I w końcu mu powiedzieli. Siedzieli we trójkę w pokoju, a na podłodze leżał przedmiot ich rozmowy, z herbatnikiem w pysku, jakby palił fajkę.

Danny nie płakał. Siedział bardzo spokojnie, dopóki nie skończyli.

- A co z nim będzie? - zapytał, patrząc w przestrzeń, przed siebie.

Głos Margaret drżał, kiedy odpowiadała:

- Znajdę mu jakiś wspaniały nowy dom. Wiesz, że jestem w tym dobra.

- Ale to nie będzie jego własny dom.

- Nie, nie będzie. Ale Rufus, tak jak i my wszyscy, musi to jakoś przeżyć.

Fred, tak samo starannie unikając wzroku innych, patrzył w podłogi. Zaległa cisza, którą wreszcie przerwał Danny:

- Ciekawe, że w lecie zeszłego roku obiecaliście mi drugiego psa, a teraz odbieracie mi nawet tego.

- To nie twoja mama ci go odbiera - powiedział Fred z naciskiem. - Nie mama.

- Ja... ja chyba teraz pójdę do swojego pokoju. - Danny wyszedł wolno, a za nim podreptał Rufus.

W ciągu najbliższych tygodni wszystko działo się bardzo szybko. Mieli sfinalizować sprzedaż domu i w związku z tym przyjechała Nina, by pomóc w sortowaniu rzeczy - co wyrzucić, a co zostawić na nieznaną przyszłość. Przede wszystkim należało gdzieś umieścić pianino.

- Ja bym nigdy nie mogła sobie pozwolić na kupienie

takiego instrumentu - powiedziała Margaret - gdyby Julie kiedyś... - urwała.

Julie poruszała się po domu bezdźwięcznie, na palcach, jakby chciała być niewidzialna i niesłyszalna.

- Tacie jest przykro, że musimy się stąd wyprowadzić - powiedziała kiedyś i uniósłszy brwi czekała na reakcję Margaret.

Margaret powiedziała tylko:

- Mnie też jest przykro.

Wieczorem ostatniego tygodnia nadeszła wreszcie chwila, kiedy Rufus miał się znaleźć w nowym domu. Bliska łąz Margaret pozbierała cały dobytek ukochanego psa: piłkę, smycz, koszykowe legowisko i torbę karmy. Danny nie spuszczał z niej oka.

- Ty nie masz ochoty iść? - zapytała, wkładając żakiet.

- Muszę - odparł Danny.

Rufus był za duży, żeby jechać z przodu na trzeciego, siedział więc z Dannyem z tyłu. Nikt się nie odzywał aż do chwili, kiedy byli prawie na miejscu.

- Mamy umowę - odezwała się Margaret. - Oddadzą nam Rufusa, jak tylko będziemy mogli go wziąć.

- Nigdy nie będziemy mieli tyle miejsca.

Niosąc dobytek Rufusa, szli chodnikiem w stronę domu, dość wolno, żeby pies mógł sobie trochę powęszyc.

Otworzyły się drzwi frontowe i jakaś kobieta wykrzyknęła:

- O, jest! Jaki piękny! Wejdźcie, proszę.

- Nie, dziękuję - odparł Danny, wręczając jej smycz.

- Ale bardzo proszę, wejdźcie - zachęcała gospodyni. Margaret odpowiedziała szybko:

- Nie, dziękujemy. Spieszymy się do domu.

Kiedy się odwrócili, by odejść, Rufus ruszył za nimi.

- Nie - powiedział Danny. - Zostań, Rufus. Dobry pies, zostań. Do widzenia, Rufus.

W drodze powrotnej panowała cisza, tak krucha, że jedno nieopatrzne słowo mogło ją zburzyć. Jedno słowo współczucia mogło wytrącić Danny'ego z równowagi. Kiedy znaleźli się w domu, poszedł do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Znacznie później, idąc spać, Margaret słyszała, jak płakał, tłumiąc szloch poduszką. W jej sercu zbudziła się nagle

nie-

285



nawiść, jakiej nie zaznała nawet w ciągu tych ostatnich złych miesięcy.

- Adamie Crane, ty sukinsynu - wyszeptła, mimo że zawsze unikała brzydkich słów. - Mam nadzieję, że za to, co zrobiłeś, będziesz się smażył w piekle.

Opuścili dom pewnego pięknego dnia pod koniec maja. Kiedy już wszyscy siedzieli w samochodzie, Margaret ostatni raz obesła teren. W szafie w holu zostawili przybory do krykieta; może te nowe dzieci będą ich używały. Przy drzwiach kuchennych został grill. Może nowa rodzina lubi barbecue... Margaret miała nadzieję, że w gorące dni pojenik dla ptaków będzie zawsze napelniony. Spojrzała w górę i zatrzymała wzrok na jesionie górskim, drzewie Niny, obsypanym pąkami, z których każdy przypominał mały stożek, czerwony klejnot. Schyliwszy się, zobaczyła tulipany, które właśnie przebijały ziemię - Angeliqne - tak się nazywał ten gatunek. Za kilka tygodni będą różowe i karbowane jak róże. Bo taka jest kolej rzeczy.

Margaret uniosła głowę, wyprostowała się i wsiadła do samochodu.

### ***Rozdział 23***

- Pomyślałem, że zanim zaczniesz przyjmować gości, musisz mieć trochę czasu na zagospodarowanie się - powiedział Fred na trzeci dzień.

Przyniósł bukiet irysów i lili w koszu, który - w braku wolnego miejsca - postawił na stoliku w „jadalence”. Margaret zachichotała.

- Wszystko kończy się na „enka”. Jadalenka. Kuchenka. Dlaczego nie sypialenka? - Była nieprzytomna ze zmęczenia.

- W bardzo krótkim czasie zrobiłaś tu wspianiałą robotę. - Fred wyraził swoją aprobatę. - Spojrzał na gustownie zaaranżowane zdjęcia na ścianie za podwójną wersalką, na czerwony wschodni parawan i na zasłony ze starego domu; teraz skrócone, żeby pasowały do nowego okna.

- Parawan dostaliśmy od Luizy i Gila. Przywieźli go z Hongkongu i nigdy nie używali. Bardzo się przyda do zasłonięcia bałaganu w kuchni w razie niespodziewanych gości.

W stanie kruchej równowagi psychicznej, w jakim się znajdowała, byle drobiazg mógł wywołać u niej łzy. Jeszcze nigdy w życiu nie doznała od ludzi tyle życzliwości, jeszcze nigdy jej tak bardzo nie potrzebowała. Podwójna wersalka, na której spała teraz z Niną, też była darem od Gila i Luizy; Nina przywiozła dziewczynkom z Nowego Jorku wspianiałe ubrania; mąż przyjaciółki, prowadzący przedsiębiorstwo przewozowe, nie wziął pieniędzy za przeprowadzkę. A ile w tym było taktu...

- Wszyscy są tacy dobrzy, z tobą na czele...

- A niby dlaczego mieliby nie być dobrzy? To tylko rewanż za to, co ty z siebie ludziom dajesz. Możemy zabrać stąd te książki i zrobić miejsce dla kwiatów? Tylko mi nie mów, że już wróciłaś do pracy...

- Muszę wracać. Zbliża się koniec semestru, egzaminy, no i trzeba już przygotowywać letnią szkołę.
  - A nie masz żadnego urlopu, nie wzięłabyś trochę wolnego?
  - Nie mogę sobie na to pozwolić.
  - Wstyd, naprawdę wstyd. Gdyby mi ktoś dwadzieścia lat temu powiedział, że Adam Crane będzie zdolny do czegoś podobnego, pomyślałbym, że zwariował.
  - Powiedzieć o Adamie Crane, że zwariował, to o wiele za mało - wtrąciła Nina, która właśnie weszła ze stertą książek. - Ale chodź, to cię oprowadzę po mieszkaniu. O, tu jest pokój dziewczynek. Łóżka do siebie nie pasują, ale bawimy się, że to taki oryginalny styl. Styl a la Nina. Dywan w kratę, który uwielbiałam, pochodzi z mojego dawnego pokoju, a kredens - Margaret jako dziecko brała go w nocy za potwora - może na razie służyć do ubrań, jako że jest tylko jedna szafa. A tutaj pokój Danny'ego. Wstawiłam mu komputer tego... - przepraszam za słowo - sukinsyna. Pokoje są ciasne, ale ustawne. Dzieciom potrzebny jest komputer, a ten spełnia najwyższe standardy.
  - Ładnie tu, bardzo ładnie - pochwalił Fred. - Oczywiście, że jest ciasno, ale ja te mieszkanka budowałem z myślą o młodych małżeństwach, emerytach i ludziach samotnych. Popatrz, Margaret, tu, w sąsiedztwie, mieszka twój adwokat. Osiedle B, za tym wzniesieniem. Podejdz do okna.
- Niskie budynki z czerwonej cegły, przycupnięte w gęstych kępach drzew, pięły się szerokim łukiem w górę aż od samej drogi. - Kiedy planowaliśmy to osiedle, chcieliśmy oszczędzić jak najwięcej drzew. Dają cię spacerowiczom i rowerzystom. A tam jest park, naprawdę piękny. Stąd go nie widać, ale przy pierwszej okazji powinnaś iść i go obejrzeć. To niedaleko stąd. Weź ze sobą Danny'ego. Zaraz nawiąże kontakty na boisku bejsbolowym i ani się obejrzysz, jak zacznie grać.
- Fred jest zawsze taki pogodny, pełen entuzjazmu i optymizmu - powiedziała Nina, kiedy zostały same.
- Siedziały na frontowych stopniach, w dzinsach i roboczych koszulach, i odpoczywały. W odpowiedzi na uwagę Niny Margaret tylko skinęła głową. Jej zmęczone myśli błądziły w różnych kierunkach. Nagle przypomniała sobie bukiet Freda w koszyku. Adam nigdy nie dał jej kwiatów... Ta konsta-

tacja nabrała niespodziewanie szczególnego znaczenia - mężczyzna, który nigdy nie dał swojej żonie kwiatów! Siedziała bardzo spokojnie, powoli przyjmując do wiadomości ten fakt. Nina poklepała ją po ramieniu.

- Ten stan nie będzie trwał wiecznie.

- Mnie chodzi tylko o dzieci. Danny jest wyraźnie przygnębiony. Zrobił się milczący i zamknięty w sobie.

- Nie zapominaj, że rozstanie z Rufusem było dla niego wielkim ciosem.

- Nie, to nie tylko ta sprawa. Właściwie przestał mówić o Adamie. Do tej pory ciągle było: „Tata to, tata tamto...”. Biedny dzieciak. Ciekawe, ma trzynaście lat i jest prawie mojego wzrostu, a ja ciągle jeszcze widzę w nim małego chłopca.

- O, idą - Nina wskazała na trójkę dzieci, nadchodzącą od strony parku.

Margaret, patrząc na dziewczynki i ich młodszego brata, na tę trójkę, która była wszystkim, co jej jeszcze zostało, powiedziała wolno:

- Nie, to jest zły sen. Wiesz, co mam na myśli, Nino? Zawsze marzyłam tylko o tym, żeby mieć wspaniałą, pełną rodzinę. A ta nasza jest już skażona, naznaczona. Bo niezależnie od tego, ile miłości i troski otrzymają dzieci, ten fakt do końca życia pozostanie w ich świadomości. - I podnosząc nieco głos, zawołała: - No, jak było w parku, przyjemnie?

- Park jak park - powiedziała Megan.

- Wiem o tym. - Lepiej na razie nie zwracać uwagi na ich nastroje, upomniała się w duchu. I dodała zachęcająco:

- Chodźcie no tu do nas i siadajcie. Starczy stopni dla wszystkich.

- Idę do swojego... naszego... pokoju - oświadczyła Megan.

- Na pewno nie chcesz z nami posiedzieć? Jutro już Nina wyjeżdża...

- Wiem, mamo, ale naprawdę mam jeszcze sporo lekcji do odrobienia. Zostały tylko trzy tygodnie szkoły, zapomniałaś?

- Nie, nie zapomniałam - odparła sucho Margaret, ignorując ironię córki. - Jak musisz, to idź.

Gałęziami drzew poruszał miły, łagodny wietrzyk. Po prze-

ciwnej stronie ulicy na leżankach ogrodowych opalała się para starszych ludzi.

„Gdyby nas było mniej, nie byłoby tak źle” - pomyślała Margaret.

W tym momencie Danny, który siedział apatycznie z łokciami wspartymi na kolanach, zwrócił ich uwagę głośnym westchnieniem.

- Co się dzieje, Danny? Czy mogę ci w czymś pomóc? -Nie uzyskawszy odpowiedzi, Margaret zapytała łagodnie:

-Może chciałbyś odwiedzić Rufusa? O to ci chodzi?

Chłopak spojrzał na nią spode łba i burknął opryskliwie:

- Nie! Nie chcę go więcej widzieć! I nigdy mnie o niego nie pytaj!

- W porządku, nie będę. Po prostu usłyszałam, jak wzdychasz. - I przypominając sobie uwagi Audrey, dodała: - Myślę, Dan, że od razu poczułbyś się lepiej, gdybyś się zajął lekcjami.

- Nie, nie poczułbym się lepiej. Nienawidzę szkoły. Mam zamiar rzucić szkołę i znaleźć sobie jakąś pracę.

- Jak na chłopaka w twoim wieku to wyjątkowo głupie gadanie.

- Nie takie znów głupie - odezwała się Megan od drzwi. -Brakuje nam pieniędzy, każdy grosz się przyda.

Tym razem wybuchnęła Julie.

- Ty zawsze jesteś ze wszystkiego niezadowolona. Tata mówi, że nasza sytuacja wcale nie jest taka zła. Mama ma całe pieniądze ze sprzedaży domu.

- „Tata mówi”! Jego słowo nie jest warte funta kłaków.

- Chcacie, żebym go znienawidziła. Tak, wszyscy tego chcecie. I ty, mamo, też.

Nina wstała ze schodków i spojrzała na dziewczynki.

- Bądźcie uprzejme mnie wysłuchać - powiedziała surowo. - Nikt tu nie chce, żeby ktokolwiek kogokolwiek znienawidził. Ale prawda to prawda, i niezależnie od tego, co waszej mamie doradzają, nie zawadzi, jeśli trochę tej prawdy poznacie. Ta niewielka suma pieniędzy - a możecie mi wierzyć, że naprawdę niewielka - jaką mama dostała za dom, to cały wasz majątek. I te pieniądze musicie odłożyć na czarną godzinę, a chyba wiecie, co to jest czarna godzina? - bo od

waszego ojca niewiele można się spodziewać. To jedno nie ulega wątpliwości.

- Mężczyźni! - parsknęła Megan. - Jedyne, czego kobiety mogą się po nich spodziewać, to niesprawiedliwość.

- Nie - zaproponowała Nina - nie można wszystkiego zwać na mężczyzn. Musisz pamiętać, że w takich sytuacjach coś jeszcze zależy od tej trzeciej osoby, od kobiety.

Po tym szczerym wyznaniu Niny zapadła głęboka cisza, wszyscy znali jej osobiste przeżycia. Margaret poczuła, że będzie jej brakowało siły, lojalności i nieugiętej odwagi Niny. Wzruszona, próbowała rozładować napięcie.

- Idziemy do wujostwa na kolację pożegnalną na cześć Niny. Aż do jej następnego przyjazdu... - powiedziała, posyłając Ninie błagalne spojrzenie. - A teraz lepiej chodźmy się przebrać.

Margaret wiedziała, że nigdy nie zapomni tego lata, które przeżyli tylko dzięki pomocy przyjaciół. Najgorsze było kilka pierwszych tygodni, z kapryśnymi dziećmi, walczącymi

o każdy kawałek wolnego miejsca, o ciszę, o łazienkę. Poprawianie prac szkolnych w tym zamieszaniu było prawdziwym koszmarem. A jednak zdarzały się chwile...

Rocznica, tym razem już dwudziesta, przypadła w niedzielę. Czy stało się to za sprawą Megan, czy Niny, która regularnie do nich dzwoniła, kto naprawdę doradził to Julie i Da-nowi, a może sami wpadli na pomysł, żeby akurat w tym dniu zrezygnować z wizyty u Adama, Margaret nie wiedziała

i nawet o to nie pytała. Rano obudziła się z nagłą świadomością tej daty. Leżała w zagraconym saloniku, żałując, że się w ogóle obudziła, i marząc o tym, żeby być kimś innym, kimkolwiek, tylko nie Margaret Crane. Zadzwoił telefon i w słuchawce odezwał się głos Freda:

- A co byście powiedzieli, gdybyśmy tak cały dzień spędzili w klubie - najpierw lunch, potem pływanie i na koniec kolacja?

Chciała odpowiedzieć, że czuje się zmęczona, najchętniej naciągnęłaby kołdrę na głowę i z powrotem poszła spać, ale zamiast tego powiedziała:

- To za wielki wysiłek, Fred, żebyś zabierał ze sobą całą

tę bandę. Jeżeli chcesz, to weź Danny'ego, bo nie wiem, jak będzie z Megan i Julie...

- Przepraszam, że ci przerywam, ale chyba nie sądzisz, że ja nie wiem, jaki dziś dzień. Po twoim głosie łatwo się zorientować, że cię obudziłem. Dlatego radzę, żebyś się ubrała, zjadła śniadanie, o dziesiątej trzydzięci zjawiam się po was. Nie, nie musisz mi odpowiadać. Odkładam słuchawkę.

Naturalnie - doszła do wniosku wieczorem - Fred miał rację; zawsze ma rację. Dzień rzeczywiście okazał się udany zwłaszcza dla niej. W białej spódnicy i granatowym żakiecie wyglądała elegancko. Po raz pierwszy od miesiący zetknęła się - oczywiście nie licząc szkoły - z większym towarzystwem i wszystko poszło dobrze. Mając u boku Freda, nie czuła się jak piąte koło u wozu.

No i jeszcze był Stephen, który zostawił wiadomość na sekretarce.

„Przeglądając twoje dokumenty, zwróciłem uwagę na tę datę. Wiem, że to dla ciebie trudny dzień, więc zadzwoniłem, żeby pogadać, gdybyś czuła taką potrzebę, chociaż mam nadzieję, że dajesz sobie radę”.

- Każdy życzliwy gest jest na wagę złota - powiedziała, kiedy oddzwoniła, żeby mu podziękować.

- Ale, przy okazji, zorientowałem się, że jesteśmy dość bliskimi sąsiadami, chociaż kiedy podawałaś swój nowy adres, nie przyszło mi to do głowy.

- Ja też sobie tego nie skojarzyłam, dopóki się nie przeprowadziliśmy i Fred mi tego nie uświadomił.

- No i jak wam się tu podoba?

- Na razie zmiana wydaje się porażająca - odparła szczerze Margaret, nie widząc powodu, żeby cokolwiek ukrywać.

- Najtrudniej jest dzieciom. Danny stracił możliwość grania w piłkę. Będąc fanem bejsbola, nie ma z kim grać... Fred się wczoraj nad nim zlitował i trochę z nim pograł...

- W parku zawsze można pograć. Ja też to robię, ilekroć mam czas, czyli niezbyt często. Będę tam jutro po południu.

Przyjdź z Dannym, to się poznamy.

- Bardzo pomogłeś Danowi - powiedziała Margaret w kilka tygodni później.

W gabinecie Stephen był tym samym mężczyzną, którego zobaczyła po raz pierwszy, ale na boisku, w szortach, wyglądał jak nadmiernie wyrośnięty chłopak.

- Podoba mi się, to dobry dzieciak. Ale wracając do naszych spraw... przepraszam cię za zwłokę.

- Ta mi nie za bardzo przeszkadza, Stephen. Przypuszczam, że bardziej niezadowoleni są mój tak zwany mąż i ta jego Randi, ale to tym lepiej. Ja się martwię tylko o pieniądze na college dla Megan, która niedługo kończy szkołę.

- Nie chciałbym rozbudzać w tobie fałszywych nadziei, Margaret; mężczyzna nie jest obowiązany do pokrywania kosztów nauki dziecka w college'u. Od chwili, kiedy skończy ono osiemnaście lat, obowiązek alimentacji ustaje.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła Margaret. - Przecież ona była jego dumą. Jeszcze dziś widzę ich razem przy komputerze. Jeszcze słyszę, jak rozmawiają o polityce, o tenisie. Nie, ja nic z tego nie rozumiem.

- Będę naturalnie o to walczył. Ale jego adwokat mi powiedział, że teraz go nie ma. Na dwa tygodnie wyjechał do Kalifornii.

Margaret zaniemówiła. Kalifornia! Ileż razy chciała, żeby pojechali tam na wakacje, i za każdym razem słyszała, że ich na to nie stać.

- Czuję się bardzo urażona i rozgoryczona, Stephen - powiedziała.

- Wiem, co czujesz. Ale przyjdzie taki dzień, że on tego wszystkiego pożałuje. Tylko że do tej pory ciebie to już przestanie obchodzić.

- Tak sądzisz?

Wydawało jej się niemożliwe, by kiedykolwiek przestało ją to obchodzić. Mimo że tak bardzo pogardzała Adamem, nie było dnia, żeby nie wracała do niego myślami. Kupując torebkę prażonej kukurydzy, wspominała zimowe wieczory, kiedy razem oglądali telewizję. Słyszac słowo „jeżozwierz”, przypomniła sobie, jak jedno z tych dziwnych zwierzątek przemaszerowało koło ich stolika piknikowego. Wciąż przypominały się jej różne charakterystyczne momenty ich wspólnego życia.

- Jestem przekonany - zapewnił ją Stephen.

- Mówisz, jakbyś był psychologiem.



- Tyle się od ludzi nasłuchałem, że czasem istotnie czuję się jak psycholog. - Urwał. - Dan mówił mi, że ma kłopoty z francuskim. Pomyślałem, że mógłbym mu pomóc, gdybyś nie miała nic przeciwko temu. Moja matka była Francuzką, dlatego biegle mówię w tym języku.

- No cóż, to bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję ci. Bardzo miłe... - rozpamiętywała, wracając do domu - ale chyba za ofertą Stephena kryje się coś więcej. Przelotne spojrzenia i aluzje, choćby bardzo subtelne, które kobieta odbiera bez trudu, i dla niej nie ulegały wątpliwości. Czy przypadkiem jej podziękowania nie były zbyt chłodne, zbyt zdawkowe? Ale nie, za wcześnie jeszcze na to, żeby przyjmowała czyje-kolwiek awanse.

I nagle, załamana, przygnębiona i zdecydowana, żeby sobie radzić bez niczyjej pomocy, pomyślała - możliwe, że na to zawsze będzie za wcześnie.

## **Rozdział 24**

Adam zawsze bardzo żywo reagował na jesień, z jej barwami i rześkim powietrzem. Tego ranka jednak, jadąc do pracy, nie czuł nic poza mdlącym uciskiem w okolicy żołądka, przejawem lęku. Od czasu powrotu z Kalifornii - dokąd wybrali się pod silnym naciskiem Randi i kosztem znacznej sumy pieniędzy - miał niemiłe przeczucie, że coś się musi wydarzyć.

Po kilku latach fałszywych pogłosek, zmiennych planów i odroczeń wreszcie stało się - Magnum przejęło ADS. Oznaczało to całkowitą reorganizację. Dzień po dniu, po troszeczku, docierały do nich przecieki z centrali. Wczorajsza, najświeższa wiadomość dotyczyła powrotu Rudy'ego Hudsona na stanowisko głównego szefa z uposażeniem trzykrotnie wyższym od dotychczasowego. Lada dzień Adam spodziewał się wieści dla siebie. Miał niemiłe przeczucie, że ten dzień nastąpi właśnie dzisiaj.

Tuż przed południem wkroczyła jego sekretarka z wyrazem troski? podniecenia? zaciekawienia? na twarzy.

- Jeden z ludzi z Magnum, niejaki pan Baldwin, chce z tobą rozmawiać.

- Kiedy?

- Zaraz.

Nogi się pod nim ugięły, kiedy wstawał z krzesła. Powtarzał sobie, że to absurd, że nie ma żadnego powodu, by się spodziewać złych wiadomości, przecież pracuje w ADS od dwudziestu lat.

Pan Baldwin podniósł się na jego powitanie. Był wysokim mężczyzną, w świetnej formie, wyglądającym młodo, z gęstą czupryną, lekko przyprószoną siwizną. Adam natychmiast pomyślał - to nie przypadek, że ludzie na wysokich kierowni-

czych stanowiskach są uderzająco przystojni. I zaraz potem -ale ja też jestem przystojny.

Usiedli i pan Baldwin się uśmiechnął.

- Podobno pracuje pan w ADS-ie od bardzo dawna.

- Tak, to moja pierwsza i jedyna praca. Pan Baldwin skinął głową.

- W dzisiejszych czasach nieczęsto się to zdarza. Niestety, przy tych wszystkich reorganizacjach...

Ten człowiek stanowczo za często robi pauzy. A to znaczy, że jest w niezręcznej sytuacji, że ma do powiedzenia coś nieprzyjemnego. Inne wytłumaczenie takiego zachowania po prostu nie istniało. Bo przecież gdyby miał dobre wiadomości, to niewątpliwie zaczęłyby od czegoś w rodzaju: „Gratulacje! Miło mi pana zawiadomić, że...”. Ale w końcu nie wiadomo, może to jest tylko taka maniera. Adam czekał, wychylony do przodu.

- Ograniczenia, które z tych reorganizacji wynikają... no cóż, wszyscy wiemy, że są ekonomicznie właściwe...

Jednak tworzenie nowej firmy, większej, ale zarazem „odchudzonej”, silniejszej... mimo że to brzmi jak paradoks... -

I Baldwin znów obdarzył Adama uśmiechem.

Napięcie oczekiwania ustąpiło; Adam odchylił się na oparcie krzesła. Nie musiał już nic więcej słyszeć - wiedział wszystko.

- Niestety, niezaskarżenie wiele osób musi paść ofiarą tego procesu. Przykro mi bardzo, panie Crane, ale jest pan jedną z nich.

Adamowi zrobiło się sucho w ustach; poczuł drżenie warg. Przez chwilę, z obawy, że głos odmówi mu posłuszeństwa, bał się odezwać.

- Jestem przekonany, że nie będzie pan miał problemów ze znalezieniem pracy. No i naturalnie, może pan liczyć na jak najlepszą rekomendację z naszej strony. A konkretnie, już wkrótce powołamy w tym budynku specjalną komórkę, świadczącą wszelkiego rodzaju pomoc...

- Dziękuję - odparł Adam. Czołgać się i błagać, to byłoby już ostateczne upokorzenie. - Nie, dziękuję... dam sobie radę.

Co myśli taki facet, z tą swoją spokojną twarzą, spokojnym głosem i stosownymi wyrazami współczucia? Czy jest obojętny, czy może okrutny, mając możliwość tak łatwego niszcze-

nia życia innej ludzkiej istoty? Nie - zdecydował Adam po chwili niezręcznego milczenia - jest najprawdopodobniej zakłopotany i niezadowolony, że go obarczono tym niewdzięcznym zadaniem.

- Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro - powiedział Baldwin.

Wysoki zegar w rogu eleganckiego gabinetu wybił godzinę. Krótkie spotkanie dobiegło końca i Adam miał świadomość, że powinien już iść. Mimo to wyraźnie się ociągał.

- Pracuję tu od dwudziestu lat... - zaczął.

- Wiem. To musi być przykre. Bardzo przykre.

- Czy mógłby mi pan wobec tego odpowiedzieć na jedno pytanie? Skoro nowa dyrekcja musiała dokonać jakiejś selekcji i zdecydować, kto ma zostać, a kto odejść, chciałbym wiedzieć - dlaczego ja? Zawsze byłem na bieżąco w swojej dziedzinie. Znam się na tej robocie, więc dlaczego ja?

Baldwin bawił się piórem, turlając je po biurku w sposób nie licujący z powagą chwili. Było oczywiste, że czuje się niezręcznie.

- Ja... - zaczął, ale Adam przerwał mu niemal natychmiast.

- Wiem, że na to pytanie nie ma pan obowiązku, a może nawet i ochoty odpowiadać. Mimo to uważam, że mam prawo wiedzieć. Dlatego moje pytanie ma charakter poufny, porozmawiajmy jak człowiek z człowiekiem.

Twarz Baldwina wyraźnie złagodniała. Współczuje mi - pomyślał.

- Odpowiem panu, ale tylko na tych warunkach - rzekł Baldwin. - Mam nadzieję, że nie popełniam błędu. No cóż, jestem tu kimś zupełnie nowym. Dlatego mogę jedynie powtórzyć to, co mi powiedziano.

- To znaczy?

- Że pan nie spełnia oczekiwań. Nie wiem, czy to jest prawda, czy nie.

Adam wstał i skłonił się.

- Nieprawda.

- Bardzo mi przykro, panie Crane. Szczerze panu współczuję.

- Dziękuję. - Adam skłonił się ponownie i wyszedł. Dosłownie gotował się w środku. Miał uczucie, jakby płonęło w nim serce. Oczywiście, musieli kogoś zwolnić i oczy-

wiecie, musiał to być on, ponieważ nigdy go tu nie lubili. Przypomniało mu się, jak kiedyś w toalecie podsłuchał rozmowę na swój temat między Jenksem i paroma innymi osobami.

- „...lodowaty sukinsyn, wydaje mu się, że jest taki dobry, że nie musi się do ciebie zniżać”.

- „...daleko z tym nie zajdzie”.

- „...ale Margaret zawsze lubilem”.

Znalazłszy się u siebie, Adam stał pośrodku pokoju i tępo patrzył w przestrzeń. Z wyjątkiem zdjęcia dzieci - fotografię, na której była Margaret, usunął - nic tutaj nie należało do niego. Za kilka dni jego miejsce przy tym biurku i na tym krześle zajmie ktoś inny. A on po prostu przeminie.

Weszła sekretarka, żeby mu przypomnieć, że zaraz po lunchu ma umówione spotkanie.

- Odwołaj je - polecił. - Jadę do domu.

Z tymi słowy wyszedł, pozostawiając kobietę osłupiałą ze zdumienia. Zanim dzień pracy dobiegnie końca, z pewnością zrozumie, o co chodzi.

Jechał do domu w stanie krańcowego zmęczenia. Krajobraz, zasnuty szarą mgłą, doskonale odpowiadał jego nastrojowi. Miało się ku zimie i w powietrzu unosił się zapach opadłych liści.

Pod światłami zrównał się z samochodem Gila i Luizy. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, po czym Luiza z najwyższą pogardą odwróciła głowę. Ten krótki kontakt przypominał mu, że to podczas przyjęcia u nich w domu podjął ostateczną decyzję odejścia od Margaret. Przypomniał mu także o dniu, niezbyt odległym, kiedy to zobaczył na stacji benzynowej w Randolph Corner tankującego Freda Davisa. Miał wtedy odruch, żeby wysiąść z samochodu i zapytać Freda o dzieci -co u nich słychać. Fred z pewnością wiedział. Julie i Danny -najczęściej Danny, znany papla - wspominali o wujku Fredzie, łakociach i kinie. Nagle na myśl o Fredzie obcującym stale z jego dziećmi, poczuł ukłucie zazdrości.

Przyszła mu do głowy dziwna myśl - gdyby Randi była jego żoną, nie bałby się tak bardzo przyznać do tej katastrofy -żona musi się godzić z takimi sytuacjami - a tak cały czas występował w roli zabiegającego o jej względy kochanka.

Co za głupie, nienormalne myśli!

Stopniowo jednak zaczął się uspokajać. Przecież nie on jeden stracił pracę. Z pewnością coś sobie znajdzie. Wszedł więc do swojego domu - sądząc z tego, ile pieniędzy w niego włożył, przynajmniej połowa domu należała do niego - nalał sobie niewielkiego drinka i położył się na sofie, żeby obmyślić dalszy plan działania.

W kilku minut później usłyszał samochód Randi. I po chwili jej głos:

- Co ty robisz o tej porze w domu? Jesteś chory?

- Nie. A ty co robisz w domu o drugiej?

- Nie miałam żadnych spotkań. To znaczy żadnych spotkań z klientami. Ale o co chodzi? Jakoś dziwnie wyglądasz?

- Nie denerwuj się. Zdejmij żakiet, usiądź, to ci powiem.

„Randi dosłownie tryska zdrowiem - pomyślał - ma cerę jak krew z mlekiem i jest pełna energii”. Jak gdyby w odpowiedzi na jej żywiołowość Adam usiadł prosto i niemal z brawurą powiedział jej, co się stało.

- Dziś rano straciłem pracę. Zwolnili mnie.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Straciłem pracę. To się czasem zdarza. Jestem jednym z bezrobotnych. Ale nie martw się, to nie potrwa długo.

- Nie wierzę! Przecież ty tam byłeś jednym z najważniejszych.

Najważniejszych. Co za ironia.

- To nie jest takie proste. Nie ma ludzi aż tak ważnych, żeby ich to nie mogło dotyczyć. To się może zdarzyć każdemu.

Kiedy Randi wstała z krzesła, Adam spodziewał się, że podejdzie do niego i będzie próbowała go pocieszyć. Ale ona stała w miejscu niezdecydowanie, z marsmem na czole i z zaciśniętymi ustami.

- Nie potrwa długo? - zapytała. - A niby skąd ta pewność?

- Oczywiście, nie mam pewności, ale w to wierzę, ponieważ zrobię wszystko, żeby tak było.

Przez chwilę wydawało mu się, że Randi jest zła. Nawet nie zapytała o szczegóły - ani jak się o tym dowiedział, ani dlaczego spotkało to akurat jego, ani jak się z tym czuje.

Dlatego to on wypełnił tę lukę.

- Wszystko razem trwało najwyżej pięć minut. Nie, nie mogę powiedzieć, zachowali się przyzwoicie, nawet bez za--

rzutu. Ale po dwudziestu latach pracy... - Adam nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Opuściła go cała odwaga.

Randi przebywała gdzieś indziej, w jakimś własnym świecie... nie z nim.

- To niezły pasztet. Mój Boże, ja wracam do domu z takimi wspaniałymi wiadomościami, a tu czeka mnie zimny prysznic... Wiesz, skąd właśnie wracam? Od lekarza. Jestem w ciąży.

Prawdopodobnie Adam nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z ciosu, jaki go niedawno spotkał, w każdym razie zanie-mówił.

- Może byś tak coś powiedział?

- Przecież brałaś pigułkę - wyrwało mu się i natychmiast poczuł głucho dudnienie w piersi.

- Nic nie jest skuteczne w stu procentach, każdy to wie. -Randi wpatrywała się w niego uporczywie. - I nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Nawet uśmiechu?

Dudnienie w piersi wzmogło się. Adam nie umiałby powiedzieć, czy był to gniew, rozpacz czy lęk. Wiedział jedynie, że szalały w nim wszystkie te uczucia naraz. Rozwód, praca, dzieci, jego duma, rachunki i topniejące konto bankowe -wszystko to razem wirowało w nim jak szalone. I teraz jeszcze to.

- Nie byłem przygotowany na dziecko akurat w tej chwili - powiedział wbrew oczekiwaniom Randi.

- Może ty nie, ale ja byłam. Jak długo, twoim zdaniem, miałabym czekać? Do sześćdziesiątki? Obiecałeś mi dziecko. Obiecałeś! - Tupnęła nogą.

Czy rzeczywiście obiecałem? - zastanawiał się Adam. Nie był pewien. Może i obiecał. Wszystko było takie niewyraźne jak zamglony krajobraz po drodze.

- Miałam już po dziurki w nosie tego czekania - powiedziała.

Po tych słowach całe napięcie Adama, cała jego złość buchnęły płomieniem.

- Aha, więc zrobiłaś to celowo! Nie brałaś pigułki! - Zaatakował ją. - Wiedziałaś przecież, że jeszcze nie czas na to, ja na razie nie chcę dziecka, jeszcze nie możemy sobie na nie pozwolić, oszukałaś mnie!

- Chcesz powiedzieć, że jesteś takim nędzarzem, że nie możesz sobie pozwolić na moje... na nasze... dziecko?! Słowo „nędzarz” jeszcze wzmogło jego furję.
  - Ten nędzarz jak do tej pory nieźle się przy tobie spisywał. Ten nędzarz pomagał ci utrzymać się na powierzchni. Bez niego nic by z tego domu nie wyszło. Czy ty się w ogóle interesujesz rachunkami? Czy zdajesz sobie sprawę na przykład, ile mam w tej chwili na koncie? Czy może raczej, ile nie mam?
  - Wiem bardzo dobrze. A co więcej, wiem, dlaczego nie ma. Gdyby nie ta twoja żona, która cię wysysa jak pijawka i co tydzień sięga do twojej kieszeni, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Cholerna suka! Wie doskonale, że jej nie kochasz, a mimo to się czepia!
  - Nie bądź głupia. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie mam wyjścia. Mam pozwolić, żeby poumierali z głodu? Przecież to są moje dzieci!
  - Ale ona chyba pracuje? Niech się dokłada do ich utrzymania. To są i jej dzieci, nie tylko twoje.
  - Kiedy wygadujesz takie rzeczy, zastanawiam się, gdzie masz rozum.
  - A ja się zastanawiam, gdzie ty masz rozum. Nie potrafisz nawet sensownie pokierować swoim adwokatem. Zapytaj go, dlaczego twoja sprawa rozwodowa tak długo się wlecze.
  - Sądy w całej Ameryce są zatkałe sprawami rozwodowymi, nie słyszałaś o tym?
- Randi wybuchnęła płaczem.
- Ja już tego dłużej nie wytrzymam. Nie mogłam się doczekać, kiedy przyjdę do domu i już przy drzwiach podzielę się z tobą tą radosną nowiną, a ty będziesz szczęśliwy i zaraz zaczniemy wybierać imiona, i wyciągniesz szampana, ale ja nie będę piła, bo teraz nie mogę... a zamiast tego wszystkiego stoimy tu i się kłócimy.
  - Randi, ja się nie chcę z tobą kłócić. Usiądźmy spokojnie i zastanówmy się, co dalej.
  - Jeżeli przez „dalej” rozumiesz skrobanke, to wybij sobie to z głowy, ja chcę tego dziecka. Słyszysz? Chcę tego dziecka!
  - Randi, nawet słowem nie wspomniałem o skrobanke. Po prostu jestem bardzo zdenerwowany i potrzebuję...



Szlochając głośno i wykrzykując „O Boże!”, pobiegła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Adam zapukał.

- Wpuść mnie. Porozmawiajmy. Proszę cię, Randi.

- Nie! Daj mi święty spokój! Chcę być sama z moim dzieckiem.

Mimo całej rozpaczki te ostatnie słowa wzruszyły Adama. „Z moim dzieckiem”. Ostatecznie to normalne i chwalebne, że kobieta chce mieć dziecko. W innej sytuacji on też by witał z radością jej dziecko, dziecko miłości.

Ale sytuacja była tragiczna.

Nie jadł lunchu, ale nie był głodny. Zdawał sobie sprawę, że w tym stanie ducha ani nie skoncentruje się na lekturze książki, ani nie zaśnie. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, wziął z półki płytę i włożył do odtwarzacza. IX symfonia Beethovena albo go uspokoi, albo doda mu sił i odwagi, by zaakceptować to, co go spotkało. Tak czy inaczej, na Beethovena się nie zawiedzie. Leżąc na sofie, pozwolił się ponieść cudownej, niemal świętej muzyce. W dalszym ciągu śnił na jawie, obserwując przesuwaną się po suficie pasek słońca, kiedy doszedł go zniecierpliwiony głos Randi, i czar przysł.

- Czy możesz, na miłość boską, wyłączyć wreszcie ten łomot? Zupełnie nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz.

Adam usiadł i dość łagodnie zwrócił jej uwagę:

- Świat uwielbia tę muzykę od jakichś dwustu lat, a ty ją nazywasz łomotem?

- Owszem, nazywam. I nie cierpię jej. Od czasu do czasu potrafiła go zaskoczyć.

- Tolerowałam ją do tej pory tylko dlatego, że ty lubisz IX symfonię...

- To wobec tego wszystko w porządku - odparł Adam -bo przecież i ja ze względu na ciebie znoszę różne rzeczy.

- Naprawdę? A cóż ja takiego robię, co ci przeszkadza? Adamowi nic nie przychodziło do głowy, no może poza jakimiś drobiazgami. Jednym z nich były popełniane przez nią czasem błędy gramatyczne. Miał fioła na punkcie poprawnego wyrażania się. Poza tym Randi zdradzała niekiedy nadmierną skłonność do flirtu... z drugiej strony jednak był zazdrosny, więc może tylko mu się tak wydawało.

Owszem, był o nią zazdrosny, i to jak! A teraz stała przed

nim, ciągle jeszcze kipiąc złością, z wielkimi oczyma pełnymi łez i z przyspieszonym oddechem, od którego jej piersi wznosiły się gwałtownie i opadały pod kremową jedwabną bluzką. Taka wydawała się miękka i łagodna w twardej skorupie tej swojej złości. No i przecież nosiła w sobie jego dziecko...

Adam zmiażdżył. W końcu był to dla niej dzień wyjątkowy, jej dzień; należało go uczcić niezależnie od okoliczności. Z wyciągniętymi rękami ruszył więc do niej, przytulił ją do siebie i podczas gdy ona wypłakiwała mu się na ramieniu, on szałowywał jej łzy.

Za nimi muzyka osiągnęła pełną nadziei kulminację „Ody do radości”, którą tak bardzo lubił i znał na pamięć. Mimo to, paradoksalnie, przeszedł go zimny dreszcz smutku.

## ***Rozdział 25***

Było to drugie Boże Narodzenie bez Adama, a pierwsze, którego nie spędzali w rodzinnym domu, gdzie rok w rok we wnęce salonu stała choinka, a kominek w jadalni zdobiły zielone girlandy i skarpety.

- W tym roku chciałbym was zaprosić na świąteczny obiad do siebie - powiedział Fred.

- Wszyscy twoi przyjaciele idą na przyjęcie świąteczne do klubu, ty też zawsze tam chodziłeś - zaproponowała Margaret. - Wiem, że o nas myślisz, i że taki gest jest bardzo w twoim stylu, ale nie mogę się na to zgodzić.

- Oczywiście uważasz, że kieruję się współczuciem - odparł stanowczo Fred - ale się mylisz. Ja to robię dla siebie. Marzą mi się rodzinne święta, a wy jesteście najbliższą mi rodziną. Już nawet zaprosiłem twoje kuzynostwo, Gila i Luizę. Jadą do syna na Florydę dopiero po Nowym Roku. No i tyle.

To, że ktoś zdecydował za nią, i to w taki miły sposób, sprawiło jej, przyjemność, dlatego przyjęła zaproszenie, ale postawiła warunek - ona, z pomocą dziewczynek, przygotowuje świąteczną kolację.

- Nie. Kolacja jest już zamówiona. Chcę, żebyś dla odmiany siedziała sobie elegancko ubrana, a inni niech cię obsługują.

Cały poprzedni dzień i prawie całą noc padał śnieg, dlatego w świąteczny rano umęczony świat spoczywał otulony wielką białą ciszą.

- Jak z pocztówki - powiedziała Margaret. - Brakuje tylko zaprzężonych w konie sań, futrzanych szub i dzwonek. Ale spójrzcie na te zasy. My się stąd dzisiaj nie wydostaniemy.

Dziewczynki, które już zdążyły przygotować przysłane

przez Ninę eleganckie ciemnoczerwone aksamitne suknie z koronkowymi kołnierzykami, były bardzo zawiedzione. Danny upierał się, że odśnieży samochód.

- Nie dasz rady, a nawet gdyby ci się udało, to ja i tak nie odważę się wyjechać tym gratem na drogę.

Fred mieszkał pod miastem, w domu położonym wprawdzie niezupełnie na wsi, ale na sporej zalesionej posesji, która stwarzała takie wrażenie.

Nagle zadzwonił telefon.

- Przyjeżdżam po was około południa. - Był to Fred. - Mój dziup jest w stanie zdobyć Mount Everest.

Obładowani więc prezentami i ciastem z dyni, które Margaret upiekła mimo zamówionej przez pana domu kolacji, wdrapali się do dziup i ruszyli pod górkę. Na dole natknęli się na Stephena Larkina, który właśnie odkopywał swój na wpół zasypany śniegiem samochód.

- Co ty wyprawiasz! - zawołał do niego Fred. - Poczekaj do jutra i zamów holowanie.

Stephen podszedł do dziup, zaśmiewając się w głos.

- Nie mogę czekać do jutra. Pewnie nie uwierzycie, ale nie mam kompletnie nic do jedzenia. Siostra zaprosiła mnie na święta, ale wszystkie loty są odwołane. Dlatego muszę się dostać do jakiejś restauracji.

- Wsiadaj do nas. Mam w domu kolację, która starczy na pułk żołnierzy. A gdybyśmy w drodze utknęli, czego nie przewiduję, Margaret ma dwie ogromne porcje ciasta. No, wsiadaj.

- Ale ja tak nie mogę. Nie jestem odpowiednio ubrany jak na świąteczny obiad.

„Jeśli chodzi o ścisłość - pomyślała Margaret - w tych dzinsach, w byle jakiej kurtce i czapce, naciągniętej głęboko na czoło, spod której widać zarumienione policzki, wygląda wyjątkowo atrakcyjnie”.

- Wsiadaj - polecił mu Fred.

Ostatnio Margaret zrobiła się bardzo spostrzegawcza i szczególnie wrażliwa na drobiazgi i na atmosferę. W związku z czym zauważyła - czy może wydawało jej się, że zauważyła - drobne zmiany w zachowaniu Freda. Teraz, słuchając go, upewniła się - na swój dobrotliwy sposób Fred obejmował komendę. A zawsze wydawał się taki łagodny, zwłaszcza w stosunku do niej... Ale wtedy miała męża...

Zresztą, co za różnica. Po co to wszystko roztrząsać. Usadowiła się więc wygodnie, oddając się przyjemności jazdy. Miło było jechać gdzieś w odświętym stroju. Czuła się lekka, odprężona - choćby tylko na ten jeden dzień - mimo wszystkich obciążeń. Była zdecydowana oddzielić dzień dzisiejszy, zarówno od tego, co przedtem, jak i od nieuniknionego potem.

Dom Freda był obszerny, biały i przypominał wiejską siedzibę. Denise uwielbiała ogrody i nawet pod śniegiem ich zarysy - piękne, łagodne łuki i krzywizny - były wyraźnie widoczne. Wewnątrz wygodne, przestronne pokoje pozostały tak, jak je zostawiła - z wyblakłymi na słońcu perkalami, różami w tym samym białym porcelanowym wazonie, stojącym na pianinie, i z tym samym pianinem, zamkniętym teraz i do tej pory z pewnością już rozstrojonym.

Stworzyli razem dobry dom, dobre życie. Teraz te miłe pokoje należały do samotnego mężczyzny, który niewątpliwie rzadko ich używał, co było po nich widać. To zrozumiałe, że Fred próbował przywrócić coś z atmosfery, jaka tu kiedyś panowała.

W długiej jadalni czekał stół, zastawiony niebiesko-białymi wedgwoodami Denise; srebra lśniły, wśród gałązek ostrokrze-wu czerwieniły się świeże róże. Kolacja, wino i obsługa -wszystko było bez zarzutu. Fred, jako człowiek prosty i daleki od wystawności, nawet tej w dobrym guście, tym razem się postawił. Fakt, że zrobił to wszystko dla niej, wyraźnie kępowało Margaret. Gila i Luizę, ludzi nie ze swego pokolenia ani nawet nie z kręgu najbliższych przyjaciół, też zaprosił ze względu na nią. Nawet Nina została zaproszona. Wprawdzie nie mogła przyjechać, ponieważ miała ważne sprawy w Nowym Jorku, a poza tym z powodu śnieżycy odwołano loty samolotów, ale i o niej Fred nie zapomniał.

Te myśli uciszyły Margaret, ale na wszelki wypadek unikała oczu Freda, jak zwykle bardzo dyskretnego. Jego pełne troski spojrzenia często jednak mówiły bez słów, że w sytuacji, w jakiej się znalazła, szanuje jej niepewność i obawę o dzieci; przynajmniej na razie nie będzie od niej niczego wymagał.

- Powinnaś pomyśleć o małżeństwie z Fredem, kiedy będziesz już wolna - powiedziała Luiza. - Byłoby to czymś zupełnie naturalnym.

- Nie miałam takiej propozycji - odparła lekko Margaret.

- Ale przecież wiesz, że on by tego bardzo chciał. Dzieci potrzebują męskiej ręki, a wy tak do siebie pasujecie... Dlaczego ludzie zawsze próbują innych swatać? Margaret czuła się zagubiona i nie chciała, żeby jakikolwiek mężczyzna ingerował w jej prywatność.

Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie zerknąć na swoje odbicie w lustrze wiszącym naprzeciwko niej nad bufetem. Nachylone lekko nad głową Stephena, pokazywało każdy jej ruch, każde ujęcie - fałdy szafirowej wełny poniżej białej szyi; białe zęby w uśmiechu i nerwowe unikanie spojrzeń Larkina, ilekroć przypadkiem na nie natrafiła.

Wystarczyło jej słuchanie rozmów; nie musiała brać w nich udziału. „Jestem jak człowiek, któremu po okresie głodu nie wolno jeść zbyt dużo naraz” - pomyślała. Siedziała więc w milczeniu, z nieśmiałym, ciepłym uśmiechem.

Po puddingu śliwkowym i ciastach nastąpiło wręczanie prezentów w salonie przy choince. Każde z dzieci miało upominek dla Freda, kupiony za własne pieniądze, zarobione w lecie i w jesienne soboty. Megan pracowała u Danforth-a w dziale swetrów; Julie pilnowała dzieci, a Danny pomagał w klubie Freda. Gil i Luiza podarowali Margaret pięknie oprawiony album ze starymi zdjęciami: były tam fotografie jej dziadków z ich miesiąca miodowego sprzed pierwszej wojny światowej, ojca w mundurze marynarskim i wiele innych cennych pamiątek rodzinnych. Od Freda dostała elegancką skórzaną torbę.

- Żebyś miała coś godziwego do noszenia książek i papierów ze szkoły - powiedział. - Przyda ci się też i w podróży. Margaret się roześmiała.

- Jest piękna. Ale ja nie przewiduję żadnych podróży.

- Nigdy nie wiadomo.

Dzieci dostały grę, którą natychmiast rozłożyły na podłodze. Margaret, chcąc obejrzeć zdjęcia, znalazła sobie w rogu przy lampie fotel, reszta towarzystwa zaś zasiadła do oglądania w telewizji *Opowieści wigilijnej*.

W pewnym momencie podszedł do niej Stephen.

- Mam dla ciebie wiadomość, którą otrzymałem wczoraj. Wiem, jaka jesteś zajęta, więc jeśli chcesz, żebym ci oszczędził wizyty u mnie w kancelarii, mogę ci to powiedzieć już

teraz. Chyba, że popsułbym ci w ten sposób humor, powiedz szczerze.

Boże, dlaczego takie cięcia nie mogą być szybkie i czyste? Adam ją porzucił, zgoda. Ale dlaczego nie przeniósł się do Bernambuco albo w jakieś inne odległe miejsce, tak żeby nie musiała słyszeć nigdy więcej jego imienia?

Zaledwie tydzień temu Luiza jej doniosła: „Wczoraj wieczorem widzieliśmy ich w tej francuskiej restauracji, do której zabrałam wtedy Megan. Powiedziałam do Gila, że to bardzo drogi lokal jak na taką taną kobietę”.

Margaret odłożyła album, gotowa go wysłuchać.

- Pierwsza sprawa - znalazł sobie pracę. Julie i Danny ci nie mówili?

- Nie, nawet nie wiedzieli, że stracił pracę, dopóki ja im nie powiedziałam. Przypuszczam, że jest zbyt dumny, by się przed dziećmi do tego przyznać.

Dziwne, że jeszcze ciągle potrafi mu współczuć czy liczyć się z jego dumą. Mimo że on nie dba o nich, a zwłaszcza o nią, do niedawna swoją żonę i matkę jego dzieci...

- Tym lepiej dla nas, że znalazł pracę - powiedziała.

- Niestety, będzie miał nieco niższe zarobki.

- Nieco niższe? W jego wieku powinien mieć wyższe.

- Ale to nie wszystko. Ta kobieta jest w ciąży.

W ciąży! Przyrodnie rodzeństwo... od tej kobiety... rodzeństwo moich wspaniałych dzieci... od tej kobiety...

- Jeszcze jedno dziecko! - wykrzyknęła Margaret, usiłując opanować wzburzenie. - Nie potrafi utrzymać na

przyzwoitym poziomie Hawet tych, które już ma. To niesmaczne. - Ledwie mogąc mówić ze złości, wycedziła: -

Żądam więcej pieniędzy dla moich dzieci. Megan złożyła papiery na Harvard i ma duże szanse się dostać. Zasługuje na dobrą uczelnię i uważam, że jej ojciec powinien za to płacić.

- Nie utoczysz krwi z kamienia - powiedział łagodnie Stephen.

- Jego prawnik twierdzi, że on spłaca raty za dom, prawda? Niech wobec tego ten dom sprzeda; ja mój sprzedałam.

- Niestety, dom nie stanowi jego własności, pan Crane nie ma prawa go sprzedać. Dom należy do tej kobiety, a ona nawet nie jest jego żoną.

- To niech się z nią rozstanie i zmniejszy w ten sposób

swoje wydatki. Powiedz mi, on oszalał, czy jest zły do szpiku kości, a może jedno i drugie?

- Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie - odparł Stephen, w dalszym ciągu bardzo łagodnie.

*Opowieść wigilijna* się skończyła i podszedł do nich Fred.

- Robisz wrażenie zdenerwowanej. Czy coś się stało? -zapytał.

- To co zawsze. Otrzymanie rozwodu jest bardzo skomplikowaną sprawą.

Odpowiedź Freda miała charakter pytania, skierowanego do Stephena.

- Jak myślisz, jak długo to jeszcze potrwa?

- Nie wiadomo. Rok, może nawet dwa.

- To straszne. Czy prawo uważa, że ludzie żyją wiecznie? Na dwa lata właściwie zawiesza normalne życie.

Margaret wstała. Miała tego wszystkiego dość. Nagle zapragnęła znaleźć się w domu, położyć się i naciągnąć kołdrę na głowę. A tak marzyła o tym, żeby ten jeden jedyny dzień móc oddzielić od innych i przeżyć zwyczajnie, jakby nic nigdy się nie wydarzyło.

Zdawała sobie sprawę z tego, że Stephen ją obserwuje.

- To był wspaniały dzień, trafiła mi się niespodziewana gratka - powiedział szybko. - Ale może powinniśmy już wracać. Ciekawe, czy mój samochód zamarzł na dobre na parkingu.

Ulice dokoła domów były odśnieżone, więc jazda nie sprawiała kłopotu. Najpierw zatrzymali się przed domem Margaret. Wysiadając z samochodu, Julie i Megan podziękowały grzecznie Fredowi, a Danny powiedział:

- Wiesz co, wujku, chciałbym, żebyśmy mogli mieszkać u ciebie. Mówiłeś o tym mamie?

Starając się ukryć zakłopotanie, Margaret zbeształa syna:

- Nie gadaj głupstw, Danny.

- Nie gadam żadnych głupstw. Wujek Fred powiedział, że byśmy mogli, gdybyś się tylko zgodziła. I wtedy moglibyśmy zabrać z powrotem Rufusa.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Danny wspomniął psa. Oczy chłopca były szeroko otwarte w wyrazie szczerzej naiwności i dziecięcej słodyczy. Zawsze, ale to zawsze potrafił ją rozbroić.



- Nie bądź głupi - powiedziała ostro Julie. - Nie możemy tam mieszkać, a ty jesteś dostatecznie duży, żeby o tym wiedzieć.

- Wcale nie jestem głupi. Zobacz, ile tam jest pokoi, i wszystkie puste. Na pewno byśmy mogli tam zamieszkać, ale mama nie chce.

- Głośniej - powiedziała Megan. - Jestem pewna, że sąsiedzi chętnie posłuchają. No, głośniej.

Dwaj siedzący z przodu mężczyźni milczeli, patrząc przed siebie. Nagle Stephen wysiadł.

- Nie nakładaj drogi, Fred, żeby mnie odwozić. Ja mam stąd bardzo blisko, chętnie się przejdę, lubię rześkie powietrze.

Samochód odjechał, dzieci weszły do domu, a Margaret jeszcze przez chwilę stała ze Stephenem.

- Danny tego nie rozumie - wyjaśniła. - Był po prostu bardzo podniecony po całym dniu pełnym wrażeń - prezenty, śnieżyca, wpaniały dom Freda... A potem wraca do siebie i rzeczywistość uderza go jak obuchem.

W mieszkaniu zrobiło się jasno. Było coś niezwykle samotnego w tym małym świetle wśród zaśnieżonych wzgórz, ciemnego nieba, dzwoniącej w uszach ciszy i bezmiaru bieli.

Stephen się uśmiechnął.

- Jestem przekonany, że Fred nie poczuł się urażony. Nie przejmuj się tym.

- Ja się przejmuję tylko moimi dziećmi, nikim więcej, nie wyłączając mnie samej.

- Tak - odparł Stephen. - Zauważyłem. - Czy masz świadomość tego, że już nie wspominasz Adama tak często?

- Nie, nie zauważyłam tego. Ale teraz, kiedy mi na to zwróciłeś uwagę, widzę, że tak jest. Już nie rozpaczam po jego stracie, Stephen. Naprawdę mnie nie obchodzi, ile ma kobiet i co się z nim dzieje. Chcę od niego tylko pieniędzy dla moich dzieci.

Spojrzał na nią z wyrazem, którego nie potrafiła zgłębić, badawczo, jak wtedy u Freda przy stole.

- Dzieci dadzą sobie radę - powiedział. - Bo ty jesteś silna i dajesz sobie radę. - Znów się uśmiechnął. - Wierzę w ciebie, Margaret. Nie podejmuj żadnych ostatecznych decyzji, dopóki nie będziesz gotowa.

- Na przykład jakich?

- Obojętne. Jakichkolwiek. Wesołych świąt, Margaret. Dobranoc.

Nagle sobie uświadomiła, że Stephen o mało nie doprowadził jej do łez. Dziwne, jeśli zważyć to, co powiedziała przed chwilą - że obchodzą ją jedynie dzieci. Może stało się tak dlatego, że przypomniał jej, jak to jest być młodym. Choć był w jej wieku i często zachowywał się bardzo poważnie, w dalszym ciągu miał w sobie coś świetlistego. Wyczuwała w nim jakby ukrytą radość. Przyszło jej do głowy, że jedyną osobą z jej otoczenia, która też miała w sobie to coś, tę świetlistość, była Nina. Przez chwilę jeszcze patrzyła, jak Stephen schodzi ze wzgórza i jak lekko, z młodzieńczą gracją, brnie po śniegu.

## ***Rozdział 26***

Kiedy z nadejściem wiosny dni stały się na tyle ciepłe, że można było siedzieć na zewnątrz, Margaret zaczęła zabierać pracę do parku. Czasem zatrzymywała się przy boisku, żeby popatrzeć, jak Danny gra w piłkę, ale najczęściej szła prosto nad staw, gdzie spokojną powierzchnię wody przecinały ślady majestatycznie pływających łabędzi. Na te królewskie ptaki i na gnące się w porywach wiatru drzewa mogła patrzeć bez końca, nie myśląc o niczym.

Tego jednak szczególnego dnia jej głowa była nabita myślami. Przyszły odpowiedzi z uczelni. Megan, nie mogąc wytrzymać napięcia oczekiwania, wzięła samochód i pojechała załatwiać różne sprawy, a ona, nie mniej zdenerwowana od córki, czekała przy oknie na samochód pocztowy.

- Gruba koperta oznacza przyjęcie, a cienka - klops. Możesz otworzyć, nie zależy mi - powiedziała Megan.

Szkoda, że doradcy i nauczyciele tak namawiali Megan na Harvard, szkoda, że tak bardzo rozbudzili jej nadzieje! To dziwne, ale Margaret niemal życzyła sobie, żeby Megan nie została przyjęta. Rozczarowanie nie byłoby ani w połowie tak bolesne jak konieczność zrezygnowania po przyjęciu.

Niestety! Megan miała najwyższą średnią ze wszystkich uczniów w ciągu ostatnich dwunastu lat. Zasługiwała na to wyróżnienie. Zagłębując głęboko w tajniki swojej duszy, Margaret doszła do wniosku, że z całą pewnością ani w niej, ani w jej córce nie ma nawet odrobiny snobizmu. Po prostu chodziło o to, że Harvard oznaczał najwyższy poziom. Chodziło o to, że starając się o Harvard, Megan stawiała sobie poprzeczkę najwyżej, jak tylko mogła. I wygrała.

„Jest zdolniejsza ode mnie - pomyślała Margaret. Ma naprawdę wybitny umysł. I w ogóle jest wybitna. Może trochę

za sztywna, zbyt purytańska, ale też silna, zamknięta w sobie, twarda. Nigdy o nic nie prosi. Kiedy wie albo wierzy, że ma rację, nie da się sprowadzić z raz obranej drogi. A przy tym taka jest przyzwoita, ambitna, taka uczciwa i do głębi dobra. Nigdy nie miała humorów i naprawdę potrafiła się śmiać. No i ma powodzenie u chłopców... Zawsze się koło niej kręcili, a telefon dzwonił bez końca..."

On jej to zrobił. On i ta jego Randi... Dłonie Margaret, spoczywające na kolanach, zacisnęły się w pięści.

Podniosła oczy na majestatyczne łabędzie, które w spokoju i z godnością zataczały koła na jezioru. Słońce migotało na powierzchni wody. Jaki świat jest piękny! A ludzie tak go niszczą!

Nagle zobaczyła biegnącego ścieżką Stephena. Zatrzymał się na jej widok.

- W każdą sobotę i niedzielę robię po pięć okrążeń. To za te godziny, które spędzam przy biurku. Czy Dan gra w piłkę?

- Nie, Fred zabrał go na mecz futbolowy.

- Fred ma do Danny'ego ojcowski stosunek. Margaret nie była pewna, czy jest to stwierdzenie, czy pytanie, więc odpowiedziała po prostu:

- Tak.

- I ja bardzo lubię Dana.

- Miło mi, a poza tym jak zwykle dzięki za jego postępy we francuskim. Nauczycielka nie wie, co o tym sądzić. Stephen się roześmiał.

- Ale, przy okazji, to było naprawdę niepotrzebne.

- Co było niepotrzebne? - Margaret nie miała wątpliwości, że Stephen ma na myśli sześć tomów Prousta po francusku, które mu posłała.

- Chodzi mi o książki. To wspaniały prezent, ale nie powinnaś była tego robić.

- Ludzie płacą za korepetycje, a ty nie wzięłyś ode mnie ani grosza. Spędziłeś z Danem wiele godzin, które mógłbyś wykorzystać w inny sposób.

- Staram się nie robić rzeczy, które nie sprawiają mi przyjemności - uśmiechnął się Stephen. - A obcowanie z Danem to dla mnie przyjemność.

- Mówisz w tym języku jak rodowity Francuz. Czy zawsze w domu rozmawiałeś z matką po francusku?

Uśmiech znikł z twarzy Stephena tak szybko, jak się pojawił. Wzruszył ramionami.

- To długa historia. Za długa. Dan mi mówił, że Megan czeka na wyniki z uczelni.

- Właśnie przyszły. Cztery pozytywne, w tym Harvard. Stephen gwizdnął.

- To fantastycznie! Czy Megan już wie?

- Jeszcze nie. Niedługo spodziewam się jej w domu i drzę na samą myśl o tym spotkaniu. Muszę jej powiedzieć, że to niemożliwe. - Margaret spojrzała mu w oczy niemal błagalnie. - Chyba że jest jakaś szansa, by Adam...

Stephen potrząsnął głową.

- Absolutnie żadnej. Nie ma obowiązku, ale nawet gdyby miał, to i tak nie byłby w stanie płacić.

- Mój Boże - jęknęła Margaret. - Gdybyśmy się nie rozeszli, z pewnością dalibyśmy radę. Nigdy nie byliśmy rozrzutni. Pewnie wzięlibyśmy niewielką pożyczkę, Megan z pewnością dostałaby stypendium, w każdym razie poradzilibyśmy sobie.

- On ma teraz dwie rodziny. I podwójne wydatki. Takie są skutki rozwodu.

Margaret poczuła narastającą w piersi bezsilną rozpacz.

- Mogłabym sięgnąć do pieniędzy ze sprzedaży domu. Ale dochód, jaki przynoszą, jest mi potrzebny. Poza tym nie chcę ich ruszać.

Miała przecież jeszcze dwójkę dzieci. Julie, zaledwie o dwa lata młodsza od Megan, też była zdolna, nie tak jak siostra, ale i ona świetnie sobie radziła, tak samo zresztą Danny.

Nagle, uświadamiając sobie, że Stephen jest w stroju do joggingu, powiedziała:

- Przepraszam, niepotrzebnie cię zatrzymuję. To nie jest odpowiednia pora, by wylewać swoje żale.

- Nic nie szkodzi, Margaret. Chciałbym ci pomóc w znalezieniu jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

- Nie, biegaj. Ja i tak muszę wracać do domu, żeby zobaczyć się z Megan.

Jeszcze długo po tym, jak Dan i Julie poszli spać, Margaret i Megan siedziały i rozmawiały.

- Ostatecznie większość ludzi nie idzie do Harvardu, Oksfordu czy na inne uczelnie światowej klasy. Ja na przykład poszłam na uniwersytet stanowy i nic mi się z tego powodu nie stało. - Margaret mogła dodać: „I twój ojciec też”, ale tego nie zrobiła.

- Ja o tym wiem, mamó - odparła Megan.

- Można iść do Harvardu i się nie spełnić. Jest takich wielu. Margaret wytaczała te argumenty nie tylko, a nawet nie głównie, na użytek córki; wiedziała, że robi to przede wszystkim dla siebie. Gdyby był jakiś ważny i godny powód, dla którego miałyby nie być pieniędzy na studia dla Megan, z pewnością by go zaakceptowała, tak jak większość ludzi musiała godzić się z różnymi rzeczami. Ale takiego powodu nie było; powodem było szaleństwo Adama.

- Mamó, rozumiem. Naprawdę rozumiem. Wszystko jest w porządku, możesz mi wierzyć. Ale teraz jestem zmęczona i chciałabym iść spać.

- Oczywiście, zrobiło się późno.

Najgorsze miało jednak nastąpić dopiero w poniedziałek w szkole - pytania, gratulacje, porównania i wyjaśnienia. I rzeczywiście, tak to mniej więcej wyglądało. Megan wróciła do domu wcześniej niż zwykle. Wspomniała coś o niedyspozycji żołądka i położyła się do łóżka. Rano miała opuchnięte oczy, ale była wesoła i poszła do szkoły jak zwykle.

Zadzwoiła Nina.

- Nie było cię, kiedy telefonowałam, ale Julie mi powiedziała o wspaniałych nowinach w związku z Megan.

- O jakich wspaniałych nowinach?

- No, że została przyjęta do Harvardu.

- Ale ona nie idzie do Harvardu, Nino. Nie może.

- Jak to nie może? Co przez to rozumiesz?

I znów Margaret musiała wyjaśniać tak samo jak wszystkim kolegom z pokoju nauczycielskiego.

- Nie chcę o tym nawet słyszeć - powiedziała Nina. - To zwyczajnie świństwo odmawiać dziewczynie tego, na co sobie zasłużyła. Ja jej pożyczę pieniądze.

- Nino, nie masz pojęcia, jaki to koszt.

- Owszem, mam. Tego, co oszczędziłam, wystarczy przynajmniej na pierwszy rok, a jak przyjdzie co do czego, wtedy będziemy się martwić.

Ten optymizm, ta ufność, że wszystko się powiedzie, ta wspaniałomyślność - wszystko to było tak bardzo w stylu Niny!

- Jesteś naprawdę kochana, ale to nie wchodzi w grę. Utrzymujesz się z własnej pracy i jesteś sama.

Trwało prawie pół godziny, zanim Margaret zdołała ją przekonać.

Od Adama Megan dostała list z czekiem na pięćset dolarów. „Miało to być wzruszające i może nawet było - pomyślała Margaret - w zależności od tego, jak się oceniało całą sytuację”.

„Przysłałam ci list - pisał Adam - ponieważ nie chcesz ze mną rozmawiać, co mogę zrozumieć. Kiedy będziesz starsza, o wiele starsza, może wtedy mnie zrozumiesz. A może zresztą nie, w każdym razie mam nadzieję, że przynajmniej spróbujesz. A tymczasem chyba nie muszę cię zapewniać, jak bardzo jestem z ciebie dumny. Gdybym mógł zrobić dla ciebie coś więcej, Bóg mi świadkiem, chętnie bym zrobił”.

- Ja to podrę - oświadczyła Megan, czerwona i z oczyma nagle pełnymi łez.

- Co? Czek?

- Wszystko. Czek też.

- 'Nie bądź głupia. Potrzebne ci jest ubranie - skarciła ją Margaret, myśląc jednocześnie, że przynajmniej na tych pięćset dolarach Randi nie położy ręki.

Nazajutrz w szkole Margaret doręczono wiadomość od Freda.

„Prosiłbym cię bardzo, żebyś wpadła do mnie, wracając ze szkoły, ponieważ chciałbym z tobą porozmawiać na osobności, a u was w domu będzie to niemożliwe”.

Spotkawszy Megan na korytarzu, Margaret powiedziała od niechcienia:

- Mogę dziś później wrócić do domu. Fred prosił, żebym do niego wpadła. Mam przecucie, że chodzi o ciebie. No bo niby o co?

- Mamo, jeżeli chodzi o pieniądze na moje studia, to ja nie chcę. Głupio bym się czuła.

- Ja też. Ale... zawsze go bardzo lubiłaś.

- Gdyby był moim prawdziwym wujkiem albo chociaż ojczymem... - Megan urwała.

- Ale nie jest ani jednym, ani drugim, więc się nie przejmuj, kochanie.

Właśnie wsiadała do samochodu, starego grata z nową skrzynią biegów, kiedy zagadnął ją pan Malley, doradca szkolny Megan.

- Czy to prawda, że Megan nie idzie do Harvardu? Margaret wyrwało się prawie niewidoczne westchnienie, kiedy po raz chyba dwudziesty musiała odpowiadać na to samo pytanie. Tym razem jej odpowiedź była bardzo krótka:

- Pieniądze - rzuciła.

Malley taktownie o nic więcej nie pytał, mruknął tylko pod nosem:

- A szkoda, wielka szkoda. Megan to urodzony naukowiec. I po co ja tam jadę? - zadawała sobie pytanie Margaret w drodze do Freda. - Będzie to samo co zawsze, chyba że się wyjątkowo myślę...

Jak na tę porę roku było bardzo ciepło i Fred zainstalował markizy w szerokie białe-zielone pasy. Osłaniały ganek z białymi wiklinowymi fotelami i wiszącymi koszami paprotek, nadając mu ciepły, staroświecki charakter, kojarzący się z leniwymi niedzielnymi popołudniami, z wygodą i zamożnością. Gospodarz postawił dzbanek mrożonej herbaty, po czym zasiedli do rozmowy.

- Dan powiedział mi o Megan - zaczaj Fred.

- Dan powinien być heroldem.

- Może by ci się ktoś taki przydał. Dlaczego sama mi o tym nie powiedziałaś?

- Fred, nie zamierzam biegać do ciebie ze wszystkimi swoimi kłopotami.

- Przybiegłaś do mnie tylko jeden jedyny raz - kiedy przeciekał ci dach. Czy miałem do ciebie o to pretensję?

Robił wrażenie urażonego. I jak już niejednokrotnie w ostatnim okresie odniosła wrażenie, że beszta ją jak ukochane dziecko.

- Jak zamierzasz rozwiązać sprawę Megan? - zapytał. I znów to samo prawie niewidoczne westchnienie.

- Przecież wiesz jak.



- Nie, nie możesz jej tego zrobić. - Ton Freda był bardzo stanowczy. - To wykluczone.  
- Chyba jej świat się z tego powodu nie zawali. - Była to jedyna odpowiedź, na jaką mogła się zdobyć.  
- Z pewnością nie. Ale ona już się dosyć nacierpiała. Wydaje mi się, że przeżyła to chyba jeszcze bardziej niż Julie.  
Megan jest dorosła. Ona to wszystko dusi w sobie.

Margaret była zdumiona, że Fred dokonał takiej subtelnej obserwacji. Myślała o nim zawsze jako o kimś kompetentnym, prawym i silnym, ale subtelnym?...

- To prawda - przyznała. - Ale musi stawić czoło rzeczywistości.  
- Megan zasługuje na coś wspaniałego. Zwłaszcza, że sama sobie na to zapracowała.  
- Ale to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością - powiedziała ponuro Margaret.  
- Moja rzeczywistość jest taka - życie okazało się dla mnie łaskawe przynajmniej pod jednym względem. Mam pieniądze. I chcę je częściowo przeznaczyć na potrzeby Megan.  
- Proszę cię, Fred, daj spokój. Nie utrudniaj mi jeszcze bardziej.  
- Wobec tego ciebie z tej sprawy wykluczamy. Załatwię ją sam z Megan. Nie będziesz miała, z tym nic wspólnego, a zabronić mi nie możesz.

Słowa były szorstkie, mimo to Margaret dostrzegła w jego oczach wzruszenie. Ręka mu drżała, kiedy odstawiał szklankę. Mały psiak Jimmy wskoczył mu na kolana, domagając się pieszczot. ' -

- Megan będzie w siódmym niebie, kiedy się dowie - powiedziała. - Ale ja naprawdę nie mogę przyjąć od ciebie takich dowodów wspaniałomyślności.

Fred wstał.

- Chodź, pokażę ci ogród.

Zadowolona, że może wyjść na świeże powietrze, ruszyła za nim. W zagajniku, pod sosnami, zobaczyła wysyp narcyzów. W myślach słyszała słowa: „Kępa złocistych narcyzów”. Te białe były kruche i czyste pod ciemnymi drzewami.

- Czy to nie jest mały raj? - odezwał się stojący u jej boku Fred. - Czego ja mogę więcej pragnąć?

- Tak, jest cudownie.

- Wiem, Margaret, że jeszcze nie czas... - zaczął, ale nagle królik, ośmielony bezruchem dwojga ludzi, przykicał do ich stóp i stanął słupka, zajadając trawę.

Margaret się roześmiała.

- Wiem, że to nieładnie, ale jeden z nauczycieli gimnastyki podobnie rusza szczękami i dlatego przewano go Królikiem.

Fred nie odpowiedział. Zepsuła mu okazję i zrobiło jej się przykro. Ale nie była jeszcze przygotowana na podejmowanie jakichkolwiek poważnych decyzji.

- Fred... - Ton Margaret zabrzmiał bardzo serio. - Skoro jesteś zdecydowany, to i ja muszę być stanowcza, przynajmniej w jednej sprawie. Chciałabym złożyć ci pisemną gwarancję, że kiedyś ja albo Megan, albo obie wspólnie zwrócimy ci te pieniądze, odwdzięczając się za twoją niebywałą wprost wspaniałomyślność.

- Jeśli ci tak bardzo na tym zależy - powiedział bezbarwnym, uprzejmym tonem.

Tak, musiała go urazić. Skruszona, pocałowała go w policzek.

- Jesteś najlepszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Wziął ją w ramiona.

- Och, Margaret - wyszeptał.

Wiedziała, że Fred rozumie, iż nie dojrzała jeszcze do żadnych emocjonalnych zmian. I jakby chciał to potwierdzić, powiedział łagodnie:

- Mnie się nie spieszy. — Uśmiechnął się i wypuścił ją z objęć.

Ten delikatny uścisk nie był jej niemiły, ale nie wywołał żadnych uczuć poza zwykłą serdecznością i przywiązaniem, które zawsze do niego żywiła. A może było to coś więcej?

W drodze do domu zadrezczała się pytaniem - jak ja mu kiedykolwiek będę w stanie oddać te pieniądze? A jednocześnie nie mogła się oprzeć dziwnemu przekonaniu, że jednak w końcu wyjdzie za mąż za Freda, tak jak jej to wszyscy od początku przepowiadali. Może nawet powinna. Może, mimo że w tej chwili nie myślała o małżeństwie, było jej ono pisane. Fred, człowiek inteligentny, uczciwy, miły i dobry. Nie ulegało też wątpliwości, że jej pragnął. No i dzieci go kochały...

## ***Rozdział 27***

Było pogodne popołudnie w Dniu Pamięci. Adam siedział w sypialni i patrzył przez okno. Na łóżku, w pozie wyrażającej całkowitą niemoc, z rozrzuconymi rękami i nogami, leżała Randi. Jej brzuch, nie większy od piłki, był okrągły i napięty.

Kiedy wstał z krzesła, zareagowała natychmiast:

- Nie, nigdzie nie pójdziesz. Masz zostać tu ze mną.
- Może zaśniesz, jak cię zostawię samą.
- Nie mogę zasnąć. Jestem bardzo nieszczęśliwa. Nie widzisz? Mam dość wszystkiego.
- Przepraszam. - Tak wiele razy ją ostatnio przepraszał, że robił to już niemal automatycznie.
- Wiem, jak zwykle, chcesz być zapewne ze swoimi dziećmi. Myślisz pewnie, że w taki dzień jak ten nie powinny siedzieć w domu i oglądać telewizji.

Jakżeż dobrze go znała! Gdyby wierzył w odczytywanie myśli, nie miałby wątpliwości, iż Randi czyta w jego myślach jak w otwartej książce. Ale był zbyt zmęczony na to, żeby się sprzeczać. Sprzeczek było aż za dużo, dlatego opadł posłusznie na fotel.

Próbował zrozumieć, dlaczego Randi jest taka rozdrażniona. Miała spuchnięte nogi i jeszcze teraz, w siódmym miesiącu ciąży, zdarzały jej się poranne ataki nudności. Chciała, żeby jej Adam usługiwał, a on starał się do tego stosować. Kobieta w ciąży ma prawo oczekiwać szczególnych względów. Było mu jednak trudno z tym żyć; może dlatego, że nigdy dotychczas się z czymś podobnym nie zetknął. Wszystkie trzy ciąży Margaret przebiegały w atmosferze radosnej euforii, która udzielała się i jemu. Ale przecież ludzie są różni - czy może mieć pretensję do Randi o jej kondycję?

Miotany między irytacją a współczuciem, westchnął ze znużeniem. Spojrzał na zegarek. Było jeszcze za wcześnie, żeby odwiedzić Julie i Dana do domu, a nie chciał, by wyglądało na to, iż próbuje się ich pozbyć. Wizyta i tak nie należała do udanych, bo Randi była wyraźnie na nich zła. Adam musi im to jakoś wynagrodzić; może po drodze zatrzymają się na lody. Nie, to głupi pomysł. Nie są małymi dziećmi, żeby złe traktowanie wynagradzać im porcją lodów...

Ten rok, jak do tej pory, był okropny. Adam mógł się jedynie łudzić, że drugie półrocze będzie lepsze. Naturalnie, miał szczęście, że znalazł pracę - choćby nawet gorzej płatną. Ale codzienne dojeżdżanie na odległość dziewięćdziesięciu kilometrów było męczące, zwłaszcza w złą pogodę. Proponował nawet, żeby sprzedali dom i przenieśli się bliżej jego pracy, a przy okazji znaleźli coś skromniejszego. Ale wtedy Randi dostała dosłownie szału. - Przecież nie mieszkasz tu od zawsze i nie jesteś uczuciowo związana z tym miejscem - przekonywał ją, jak umiał. To tylko dołało oliwy do ognia.

- Rozumiem, że trzeba mieszkać co najmniej w domu własnego pradziadka, by czuć się naprawdę związanym z miejscem zamieszkania, tak? Przepraszam cię bardzo, nie jestem może arystokratką jak niektórzy, ale też kocham swój dom.

Adam przestał więc mówić na ten temat.

Jednak kłopoty finansowe gnębiły go w dalszym ciągu, spędzając sen z powiek. A jeśli straci i tę pracę? Nie było dnia, żeby gazety nie donosiły o kurczeniu się przedsiębiorstw i o tysiącach ludzi w średnim wieku, którzy tracili zatrudnienie, tak niegdyś, wydawałoby się, pewne i stałe. Może byłoby wskazane, by nawiązał w nowej firmie jakieś kontakty towarzyskie. Może gdyby zrobił to w ADS-ie, gdyby przystał do takich, jak Jenks i Ramsey albo Hudson, nie znalazłby się wśród tych „obcych”, których nie żał było zwolnić.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jest już na takie ruchy za późno. Ci nowi ludzie, tak jak ci w ADS-ie, byli konserwatywni i rodzinni, i z pewnością nie spojrzą łaskawym okiem na taki dom jak ich i na mężczyznę żyjącego z ciężarną przyjaciółką, a w separacji z żoną - w podaniu o pracę napisał „separacja”.

Kiedy tak siedział przy oknie, przyszła mu do głowy jesz-

cze jedna refleksja. Ci nowi ludzie w niczym nie przypominali znajomych Randi, wśród których Adam ostatnio tak dobrze się czuł - naturalnych, zwyczajnych i bezpośrednich. Tamci mogli nie być zachwyceni swobodą, z jaką Randi niby od niechcienia schylała się, pokazując biust, jej słownikiem czy dosadnymi uwagami, z których słynęła.

Co dziwniejsze, ostatnio zdarzały się sytuacje, w których Adam sam się krzywił, słysząc, jak Randi wyraża się w towarzystwie. Czyżby zawsze się tak zachowywała, tylko on tego nie dostrzegał? Było to przykre i krępujące. Wprost nie mógł uwierzyć w swoje własne zdradzieckie myśli. Czuł się... czuł się wyrwany ze środowiska.

Ponownie spojrzął na zegarek, wstał i powiedział szeptem:

- Nie chciałbym cię budzić, ale muszę już odwieźć dzieci.

- Ja nie śpię. Leżę i myślę.

- O czym?

- O tym - powiedziała, dźwigając się i wspierając na łokciach - że zrobiłeś się bardzo tajemniczy. Co się stało? Bałeś się przyznać, że wysyłasz córkę do Harvardu?

Adam zaniemówił.

- Ja? Ja ją wysyłam... kto ci, do diabła, naopowiadał takich głupstw? Ja nawet nie miałem zielonego pojęcia, że ona idzie do Harvardu!

- To ciekawe, że twoje dzieci wiedziały, a ty nie. Powiedziały mi o tym, kiedy byłam z nimi w kuchni.

- To niemożliwe. Chyba że dostała jakieś stypendium. Chociaż stypendium i tak by nie wystarczyło. Chyba że Margaret pożyczyła skądś pieniądze. Ale nie mam pojęcia skąd. Nie, to niemożliwe.

- Nawet nie potrafisz dobrze kłamać. Pożyczyła „skądś”. Nie, zupełnie nie potrafisz kłamać. A temu „skądś” na imię Adam Crane.

- Tyś chyba oszalała. Ja mogę tylko pomarzyć o tym, by dać jej te pieniądze. A cóż dopiero mówić o pożyczce. Myśl realnie, Randi.

- Myślę realnie i nie wierzę ci ani trochę. Ta twoja rodzinka robi z tobą, co chce. Ja nie jestem z tobą, Adam. Jestem z tobą i z trójką twoich dzieci.

Mógł jej uświadomić, że jak do tej pory nie wyszła jeszcze za nikogo, ale nie był w nastroju do mówienia złościwości,

nie chciał też stawiać sprawy na ostrzu noża. Czuł się jak pływak, który nagle z przerażeniem stwierdza, że ma pod sobą niezmierną głębię.

- A ona też jest dobra - podsumowała Randi. - Nie wyjmuję ci ręki z kieszeni. Pijawka. Myślisz, że nie pamiętam o tej polisie ubezpieczeniowej, o której mi mówiłeś?

- A kiedyż to ja ci mówiłem o jakiejś polisie ubezpieczeniowej?

- Ze dwa lata temu. Ja wszystko pamiętam, Adam. Wszystko.

Kiedy i w jakich okolicznościach ta sprawa mogła wyjść w rozmowie, Adam nie miał pojęcia.

- Musisz wobec tego pamiętać również, że właścicielką polisy jest Margaret, nie ja - odparł.

- Ale ty na nią płacisz.

- Nie, nie płacę. Już teraz nie. Powinienem, ale nie mogę sobie na to pozwolić.

- Nie wierzę ci. A zresztą dlaczego miałbyś płacić, skoro nie ubezpieczyłeś mnie i... tego... - Położyła rękę na brzuchu.

- Przecież ci powiedziałem, że wykupię polisę, jak tylko będzie mnie na to stać.

- Byłoby cię stać, gdybyś wreszcie zerwał z przeszłością. Oni wszyscy się do ciebie przypięli jak pijawki. To już nie są bezbronne małe dzieci. Czy my się ich kiedykolwiek pozbędziemy?

Adam przyłożył rękę do czoła i jęknął.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Randi. Jestem na granicy wytrzymałości. Daj spokój.

- Chyba nie przeze mnie. J a nie jestem pijawką.

- Ty nie, ale twój kredyt hipoteczny owszem.

- Od początku wiedziałeś, że mam kredyt do spłacenia.

- Owszem, ale nie wiedziałem, jak duży. A już z pewnością nie wiedziałem, że masz oprócz tego drugi kredyt.

- Owszem, wiedziałeś. Mówiłam ci.

- Nie, nie mówiłaś - odparł spokojnie Adam.

- Mówiłam. Ale nawet jeśli nie, to i tak nie masz chyba powodów do narzekania, prawda? Przyjemnie jest dla odmiany żyć w domu z klimatyzacją i po pracy móc sobie popływać, nie uważasz?

- Spłaciłem swoją część z nawiązką i jeszcze dużo wię-

cej - odparł, w dalszym ciągu panując nad sobą. - Tak czy inaczej, nie jest to pora na rozmowy o pieniądzach. Ty masz dziś wieczorem gości, a ja muszę odwieźć do domu Julie i Danny'ego.

- Oczywiście nie możesz zostać i choć trochę mi pomóc? Widzisz, w jakim jestem stanie.

- Wszystko jest gotowe. Ma być przecież bufet. Nie zostało już nic więcej do zrobienia. Ale jeżeli się źle czujesz, możesz odwołać gości.

- Nie chcę ich odwoływać.

- Dobrze, to wobec tego ja teraz odwiozę dzieci, a po powrocie pomogę ci, jeśli jeszcze cokolwiek zostało do zrobienia.

- To śmieszne, że każdy weekend i każde święto musisz spędzać w ten sposób.

- A gdzie jeszcze mógłbym się spotykać z moimi dziećmi? - zapytał, z ręką już na klamce. - Poza tym prawie nigdy nie widuję się z nimi w święta.

- To jest prawie pięćdziesiąt kilometrów w obie strony. Czy nie mogliby przyjeżdżać rzadziej, ale za to zostawać na noc, wtedy byłoby nam łatwiej?

Adam wiedział, i był przekonany, że Randi też to wie, iż jest to coś, do czego Margaret za wszelką cenę starałaby się nie dopuścić.

- Lepiej zostawić to tak, jak jest - powiedział. - Czuję się w ten sposób swobodniej.

Jej śmiech był głośny i ostry.

- Potrafię cię przejrzeć na wylot, Adam. Czy ty myślisz, że ja nie widzę, jak się wobec nich wstydzisz tego, że ze sobą sypiamy? Jak zabiegasz o to, by, broń Boże, tego nie zobaczyli? Nie mogę w to uwierzyć! 1994 rok! Czy ty myślisz, że oni wierzą w niepokalane poczęcie?

- Czy możesz trochę ciszej, Randi? - powiedział Adam przez zaciśnięte zęby. - Oni cię w końcu usłyszą.

- To może nawet i lepiej. Niech powtórzą swojej matce, co o niej myślę. I że my - ty i ja - mamy już tego dość. Ja cię chronię, Adam. Jestem zła w twoim imieniu! Bo ty tak tyrasz, a oni starają się ciebie wycyckać. I jeszcze grożą ci sądem. A po co? Żeby te rozpuszczone panny miały wszystko, czego dusza zapragnie. Ta tutaj smarkula i ta dama

z Har-

vardu, która traktuje cię jak ostatnią szmatę... powinny obie po liceum iść do szkoły sekretarek i zaraz potem do pracy, tak jak ja. Skoro dla mnie to było dobre...

- W porządku, Randi, uspokój się. Wkrótce wracam. Julie i Danny siedzieli razem na sofie przed wyłączonym telewizorem. Dla Adama nie ulegało wątpliwości, że musieli wszystko słyszeć. Zrobiło mu się słabo.

- Chodźcie - powiedział - czas jechać.

Minęło wiele czasu, zanim któreś z nich się odezwało. Adam zastanawiał się właśnie, od czego zacząć, kiedy Danny go uprzedził.

- Wszystko słyszeliśmy.

- Tak myślałem.

- Ona jest świnia - powiedział Danny. - Nienawidzę jej. Cała ta sprawa była taka paskudna, taka upokarzająca, że Adam w swojej rozpaczce bąknął tylko:

- Ona się dzisiaj bardzo źle czuła. Jestem przekonany, że już w tej chwili tego żałuje. Ludzie czasem mówią rzeczy, których wcale nie myślą.

- Ale ona tak myśli, tato. To, że ktoś się źle czuje, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Nienawidzę jej.

- Bardzo cię proszę, Danny, okaż dobrą wolę. Wiem, że to jest trudne, ale postaraj się.

- Dlaczego to zrobiłeś, tato? - zapytała Julie. - Źle ci było z mamą i z nami?

Adam był wstrząśnięty; jeszcze nikt do tej pory nie zadał mu wprost takiego pytania. I co miał na to odpowiedzieć? Że tak, był szczęśliwy, a przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki się nie okazało, że pragnie tej kobiety, że nie potrafi sobie jej odmówić i że ich matka, kiedy się o tym dowiedziała, stanęła mu na przeszkodzie.

Jak człowiek może powiedzieć coś takiego swoim dzieciom?

- Są takie sprawy między dwojgiem ludzi, których nikt, kto ich sam nie przeżył, nie zrozumie... - zaczął. Zaraz jednak, widząc, że ten beużyteczny, a nawet głupi unik spotkał się z głuchym milczeniem, poddał się nagle emocjom i wykrzyknął: - Wiem, że to musiało być dla was straszne... zawsze jest straszne dla dzieci. Wciąż się o tym czyta. Ale nie myśli się o skutkach, dopóki dotyczą kogoś innego. Odwrócił się



do Danny'ego, który siedział obok na miejscu pasażera. - Jeśli cię zraniłem zbyt mocno, czy przynajmniej spróbujesz zrozumieć, że tego nie chciałem i że nie miałem na to wpływu?

- Ona, to znaczy Randi, próbuje udawać, że nas nie ma - powiedziała Julie. - Nie widzisz tego? Ona jest okropna. Jak mogła tak mówić o mamie... i ty jej na to pozwalasz.

Adam próbował znaleźć taki punkt, w połowie drogi pomiędzy Randi a swoimi dziećmi, z którego mógłby te dwie strony znów do siebie zbliżyć.

- To, co zaszło dzisiaj, jest tylko chwilowe. Do tej pory było dobrze i dalej będzie dobrze.

- Nie. Ona tylko próbowała ci się przypodobać - odparła Julie. Jej głos był smutny. - Na początku nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz widzę to bardzo wyraźnie.

Nagle, po tych słowach, Adam uświadomił sobie, że Julie ma szesnaście lat. Z jakichś względów myślał o niej jako o niedojrzałej czternastolatce, którą była, kiedy odchodził z domu. Dostrzegł też, że w ciągu tych dwóch lat zaszły w niej - jak zresztą można się było spodziewać - wielkie zmiany. Poza tym korzystała z pomocy psychologa, co z pewnością przyspieszyło proces jej dojrzewania.

Smutek, obecny w jej głosie, udzielił się wszystkim w samochodzie. Adam zadawał sobie pytanie - co ta wspaniała córka, dla której mam być wzorem mężczyzny i przyszłego męża, o mnie myśli? I mój syn, siedzący tu obok, który jakby się kurczył, odsuwając się ode mnie? I moja Megan...

Dojechali do osiedla, gdzie monotonne domy z czerwonej cegły pięły<sup>1</sup>; się z boczem w górę.

- Jak tu ładnie - powiedział Adam. - Zostawili drzewa. To bardzo miłe.

- Ty mieszkasz w lepszym miejscu. Masz piękny dom - odparował Danny, z niewątpliwym naciskiem na ty.

Adam, jakby tego nie słyszał - no bo niby co mógł odpowiedzieć - mruknął tylko:

- Jesteśmy na miejscu. To co, o zwykłej porze w niedzielę?

- Jeden z chłopaków ma urodziny - powiedział Danny.

- To może w sobotę?

- Ja będę pewnie musiała iść do dentystki - zastrzegła się Julie. - Lepiej zadzwoń.

- Mam nadzieję, że w twoich wspaniałych zębach nie ma

dziur? - Adam udawał wesołego i naturalnego, z czym, biorąc pod uwagę okoliczności, musiał wyjść na skończonego durnia.

- Ja też mam taką nadzieję.

- A może byśmy poszli jeszcze na lody? To niedaleko stąd.

Danny odmówił.

- Mama zawsze ma lody w zamrażarce - powiedział, jakby chciał jeszcze dodać: „O czym powinieneś wiedzieć”.

Kiedy wysiedli z samochodu i Julie spojrzała na Adama, miała łzy w oczach.

- Do widzenia, tato - powiedziała miękko.

Przez chwilę patrzył, jak tych dwoje idzie do domu, a potem otwiera drzwi. Żadne z nich się nie odwróciło, żeby mu pomachać. Zawrócił samochód i ruszył w stronę Lasku, gdzie za chwilę miało się zacząć wesołe przyjęcie.

- Jak było? - zapytała Megan.

- Do kitu - burknął Danny.

- Dlaczego? Co się stało, Julie?

- Później ci powiem. Teraz mi się nie chce o tym mówić.

- Do dupy, do dupy, do dupy! - wykrzyczał Danny. - Gdzie jest mama?

- Poszła z wujkiem Fredem na kolację. Zostawiła kartkę. Pojechałam do Betsy na naszą dawną ulicę. Miała gości, dopiero co wróciłam.

- Co tam słyhać na naszej ulicy? I co jest na kolację? - zapytał Danny.

- Po pierwsze - ulica jest taka, jak była, z wyjątkiem naszego domu, który wygląda koszmarnie. A po drugie - mama zostawiła kurczaka i pudding ryżowy, tak jak lubisz, Julie, bez rodzynek.

- Nie jestem głodna. Pójdę się przejść.

- Dokąd?

- Nie wiem. Tak, połązić.

- Jest szósta - zaprotestowała Megan.

- Co za różnica? Muszę się przejść.

O wpół do ósmej, kiedy przed dom zajechał samochód Freda, Danny i Megan stali na stopniach i wyglądali na ulicę.

- Nie mam pojęcia, co się stało z Julie! - zawołała Megan. - Poszła się przejść i od szóstej jej nie ma.

Margaret przeszedł lodowaty dreszcz.

- Czy chociaż powiedziała, w którą stronę zamierza iść?

- Powiedziała tylko, że musi się przejść - odparła z niepokojem Megan.

- Musi? A to niby dlaczego? Czy coś się stało?

- Mieliśmy dzień do kitu - wyjaśnił Danny. - Pewnie ją to wkurzyło. Wiecie, jaka jest Julie.

Margaret spojrzała na Freda.

- Robi się ciemno.

- Chodźmy. - Fred wziął ją pod łokieć. - Wsiadaj do samochodu. Pojeździmy dokoła i znajdziemy ją. Mogła pójść na deptak. Sklepy są jeszcze czynne.

- To nie w stylu Julie. Ona tam nigdy nie chodzi, jeśli nie potrzebuje czegoś konkretnego.

- Może akurat czegoś potrzebowała. Chodźmy - powiedział Fred energicznie i dodał: - Będziemy do was dzwoniли na wypadek, gdyby się zjawiła w domu, zanim ją znajdziemy.

W samochodzie Margaret wykręcała palce ze zdenerwowania.

- Tutaj nie ma dosłownie nic - odezwała się po chwili -poza pustymi podmiejskimi uliczkami i drogą, po której Bóg jeden wie jakie typy się włóczą w poszukiwaniu młodych dziewczynek z długimi blond włosami. Fred, umieram ze strachu.

Przez godzinę jeździli, klucząc bez celu. Fred poklepał Margaret po ramieniu i powiedział, już bez entuzjazmu:

- Wiem, że się denerwujesz.

Przyjęcie się rozkręcało. Przeniosło się z domu na wykładany kamieniem taras, świeżo obsadzony kosztownymi rododendronami i ostrokrzewem. Z dużych kamiennych donic dosłownie kipiały białe petunie. Drugi bufet przygotowano na stole z drzewa sekwojowego i kilkoro spośród gości było już przyjemnie pijanych. Niektórzy tańczyli przy muzyce sączącej się z zamontowanych na ścianie głośników. Część przyszła wyposażona w stroje kąpielowe i teraz figlowała w basenie.

Randi, która obserwowała tę scenę z satysfakcją, zwróciła się do Adama:

- Nieźle przyjęcie, co? To ostatnie takie szaleństwo przed urodzeniem dziecka. Co najmniej przez cały najbliższy rok będziemy bardzo zajęci.

W sposób zupełnie niezrozumiały dla Adama popołudniowe humory Randi przeszły jak ręką odjął. W długich do ramion kolczykach i białej ciężowej sukience z falban, nawet w siódmym miesiącu promieniała urodą. „Z jednej strony -pomyślał - można podziwiać jej energię, z drugiej wygląda absurdalnie”.

- Czy możesz mi odpowiedzieć? Nie musisz mnie straszyć tą ponurą miną.

- Nie muszę - odparł Adam, który nade wszystko nie chciał kłótni wobec tych wszystkich ludzi; dla Randi publiczne sceny były chlebem powszednim. - Nie jestem ponury, tylko zmęczony. Pójdę wziąć sobie coś do jedzenia.

Zamiast tego jednak wymknął się do sypialni do telefonu. Przez jakiś czas siedział beczynn timer na łóżku, zanim sięgnął po słuchawkę. Nieustannie powracała ta sama myśl - gdybym tylko mógł im to wytłumaczyć! Ale czy ojciec może mówić dzieciom o swojej namiętności, zakochaniu, miłości - obojętne zresztą, jak by to nazwał? Wydawało mu się wysoce niestosowne. Bo czym to w gruncie rzeczy było? Zresztą, nawet gdyby mówienie o takich sprawach było stosowne, to jak by to opisał?

Uznał jednak, że musi porozmawiać z Julie. Miał uczucie, że nigdy nie zapomni jej twarzy, kiedy się z nim żegnała. Odniósł wrażenie, że dla niej skończył się czas niewinności. On... oni... tak bardzo ją zranili! Danny'ego też, ale w inny sposób, bo i Danny był przecież inny. Randi wiedziała, że oni to usłyszą, sama powiedziała, że wie.

Telefon przyjął Danny.

- Muszę z tobą porozmawiać, Danny - zaczął Adam. -O dzisiejszym dniu. I z Julie też. Nie chciałbym, żebyście myśleli...

- Ale jej nie ma. Nie wiemy, dokąd poszła. Pojechali jej szukać.

- Jak to jej nie ma? A co się z nią stało?

- Nie wiem. Wyszła o szóstej. Była bardzo obrażona. I to jest twoja wina. Twoja i Randi.

Adam usłyszał kliknięcie telefonu. Siedział oszołomiony, z milczącą słuchawką w ręku. Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziesiątej, a ona wyszła o szóstej. Z daleka, z tarasu, dochodziły głośne wybuchy śmiechu; ktoś musiał powiedzieć dowcip. Ale co mogło się stać z jego Julie?

Kiedy wrócił wzburzony na taras, Randi stała z gromadką gości.

- Wychodzę - powiedział. - Muszę jechać. Zginęła Julie. Stało się coś złego.

Randi odwróciła się do niego błyskawicznie.

- Wychodzisz? W samym środku przyjęcia? Zostawiając gości?

- Muszę. Nie mogą jej znaleźć.

- A kto to jest Julie? - zapytał ktoś z gości.

- Moja córka. Wybaczcie mi, prawda? Muszę iść. Wściekłość w oczach Randi uświadomiła mu, że większość gości nie wiedziała, iż on ma rodzinę. Chciała, żeby nie miał przeszłości, żadnego innego życia, poza życiem z nią. Ale stało się. Nic już na to nie mógł poradzić.

Powtarzając „Wybaczcie mi, proszę”, uciekł.

Kiedy zajechał na miejsce, przy krawężniku stały dwa samochody, Freda i Margaret. Podbiegł do drzwi, zadzwonił i stanął twarzą w twarz z Fredem.

- Przyjechałem... słyszałem... Danny mi powiedział, że Julie...

- Wiem. Julie jest w domu. I czuje się dobrze. Ktoś z przyjaciół ją znalazł i przywiózł.

- Czy jej...

- Nic jej się nie stało. - Fred nie był nieuprzejmy, ale mówił w sposób niezachęcający. - Poszła na spacer i lekko-myślnie zabawiła zbyt długo. W każdym razie nic jej się nie stało. Popełniła błąd, i to wszystko.

Za Fredem były światła i głosy i wyczuwało się obecność ludzi stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, a także panującą tam ciepłą atmosferę. Na sekundę mignęła mu głowa Margaret; widział ją po raz pierwszy od dwóch lat.

- Czy mógłbym, tylko na chwilę, chciałbym coś powiedzieć Julie...

- Nie tutaj i nie teraz, Adam. To jest dom Margaret. Ton Freda, który w dalszym ciągu trudno byłoby nazwać nieuprzejmym, mówił wyraźnie: „Dziwię ci się, że nie rozumiesz najprostszych rzeczy, że nie umiesz ocenić, co wypada, a co nie”.

Ale on rozumiał. Julie nic się nie stało, nie była chora, dlatego nie miał żadnego powodu nachodzić „domu Margaret”. A mimo to stał dalej jak żebrak, jak winowajca, nie mogąc się pogodzić z odmową.

- Jeśli mógłbym coś zrobić... - zaczął.

- Nie, nie ma potrzeby, doskonale sobie radzimy. - Fred poruszył się nieznacznie, blokując swoimi potężnymi barami drzwi na wypadek, gdyby Adam próbował wejść. - Naprawdę niepotrzebnie przyjeżdżałeś, ale dziękujemy ci - dodał uprzejmie.

Drzwi się zamknęły.

- Miałaś szczęście - powiedziała Margaret - że to akurat pan Larkin biegał wtedy dokoła jeziora. Mógł to być ktoś zupełnie inny.

- Wiem - odparła potulnie Julie. - To było głupie z mojej strony.

- Myślę, że musiałem cię przestraszyć, kiedy tak nagle wyłoniłem się z ciemności - powiedział Stephen.

- Co zamierzałaś zrobić, co byś zrobiła, gdyby on cię tam nie znalazł?

- Wracałam do domu...

- Odchodziliśmy od zmysłów. Co ci strzeliło do głowy? „Teraz, kiedy jest już bezpieczna - pomyślała Margaret - mogę sobie pozwolić na to, żeby okazać złość. Byle nie za bardzo. To jasne, że musiała przeżyć wielki wstrząs”.

Julie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Uniósłszy głowę, patrzyła w przestrzeń ponad kręgiem siedzących wokół niej osób. Po chwili zastanowienia powiedziała:

- Mówiłam wam już i Danny wam mówił, co się dzisiaj wydarzyło.

Danny jej przerwał:

331

- Ona mówiła o tobie wredne rzeczy, mamó. Powinnaś o tym wiedzieć...
  - Nie chcę wiedzieć, Danny.
  - Powiedziała, że jesteś jak pi...
  - Zrozum, Dan, że ja nie chcę tego słuchać. Dan ustąpił.
  - Zgoda, ale muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Ona jest twarda, ale Nina by sobie z nią poradziła.
- Fred z trudem hamował śmiech. Margaret udzielił się ten nastrój. Jakżeż dobrze wszyscy znali Ninę!
- Ja tam więcej nie pójdę! - wykrzyknęła Julie. - Mogę się spotykać z tatą w jakimś innym miejscu, ale nigdy przy niej. Żal mi go! I teraz też mi go było żal, kiedy tu przyszedł pod drzwi. Myślę, że i on żałuje...
- Margaret łagodnie zapytała, skąd Julie to wie.
- Oczywiście, że nie wiem tego na pewno, ale czuję. Przez całą drogę do domu myślałam w samochodzie - biedna mama. Biedny tata. Rozumiem, mamó, jakie to wszystko musiało być dla ciebie okropne. Megan i ja, ale przede wszystkim Megan, bo ona szybciej dojrzała ode mnie, bardzo się o ciebie martwiłyśmy. Teraz myślę, że tobie jest już lepiej, za to tata musi być bardzo nieszczęśliwy.
- Margaret pochwyciła spojrzenie, jakie wymienili dwaj mężczyźni. Byli wzruszeni. Zwykła szczerłość tej naiwnej czy może już nie tak bardzo naiwnej dziewczynki wyraźnie ich poruszyła.
- Nie musisz się martwić, mamó, że zrobię coś nieobliczalnego podjęła Julie. - Ja już nie jestem taka narwana jak kiedyś, o ile w ogóle kiedykolwiek byłam. Wizyty u Audrey wiele mnie nauczyły. Nie zamierzałam uciekać z domu ani nic w tym rodzaju.
  - Nikt z nas ani przez chwilę cię o to nie posądzał - uspokoiła ją Margaret. - Po prostu byłaś bardzo wzburzona i chciałaś być sama. Potrzebowałaś spokoju, żeby pomyśleć.
  - Tak. Musiałam pomyśleć. Ruszyłam w stronę naszego starego domu, żeby jeszcze raz na niego popatrzeć. Nie zdałam sobie sprawy, że to tak daleko, więc w połowie drogi zawróciłam i postanowiłam wracać przez park. Wtedy zobaczyłam, że nie wszystkie łabędzie poszły do gniazd. Zostały dwa, które jeszcze pływały po stawie, więc usiadłam, żeby

się im poprzyglądać, jak ty czasem robisz, mamó. Tyle w nich było spokoju. I pomyślałam, że gdyby był tata, na pewno wyciągnąłby zaraz jakąś książkę i znalazł w niej wszystko o łabędziach. Tak jak zawsze, no wiesz...

- Tak, wiem.

- Chyba do końca życia będę pamiętała te rzeczy o nim.

1 ten rano, kiedy sobie od nas poszedł. I nigdy nie zrozumieć, jak mógł to zrobić.

Nagle odezwał się Stephen.

- Oczywiście, że tego nie zrozumiesz, więc nawet nie próbuj. Staraj się zapomnieć, ile tylko możesz. Nigdy nie będziesz w stanie zapomnieć wszystkiego, ale przynajmniej się staraj. Naturalnie, mówię także i do was, Megan i Dan.

W pokoju zapanowała cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Stephena. Kiedy znów się odezwał, nie patrzył na nikogo. Oczy miał spuszczone i robił wrażenie, jakby podawał treść swego snu.

- Mój ojciec znalazł się w kontyngencie wojsk, które brały udział w inwazji wojsk alianckich we Francji 6 czerwca 1944 roku. Walczył w Normandii, i w czasie, kiedy tam był, poznał śliczną dziewczynę, moją matkę, którą poślubił. Pochodziła z dobrego domu i miała kochających rodziców. Zrozumiałe więc, że nie chcieli, by córka wyjechała do Ameryki, i dlatego byli przeciwni temu małżeństwu. Matka jednak uparła się, że będzie szczęśliwa.

I chyba rzeczywiście byli szczęśliwi, oboje, na ile mogłem to do dwunastego roku życia ocenić. Tak też powiedziała mi później matka. Pewnego dnia ojciec poinformował ją, że się zakochał w dziewczynie, która pracowała u niego w biurze. Nie muszę się wdawać w szczegóły; wszystkie te historie są jednakowe. Ojciec odszedł. Ale na utrzymanie dwóch domów brakowało pieniędzy. Rzadko kiedy w takich sytuacjach starcza pieniędzy. Miałem troje rodzeństwa. Ja byłem najmłodszy. Wszyscy pracowaliśmy. Zanim osiągnąłem wiek, w którym mogłem dostać pozwolenie na pracę, odgarniałem sąsiadom śnieg, po szkole załatwiałem starszym ludziom sprawunki, nawet pilnowałem dzieci. Ale to mi specjalnie nie przeszkadzało. Przeciwnie, myślę, że wiele dzięki temu zyskałem. Przeszkadzała mi świadomość, że moja matka cierpi. Po osiemnastu latach, w obcym kraju, sama z czwórką dzieci!



Nigdy się do tego nie przyznała przed rodzicami. Była na to zbyt dumna. Aż do dnia jej śmierci myśleli, że żyje sobie tam, w Ameryce, szczęśliwie. - Nagle Stephen zwrócił się do Margaret: - Widzisz więc, że wiem to i owo o tych sprawach.

- O rany, nigdy mi o tym nie mówiłeś - wtrącił Danny.

- Nikomu o tym nie mówiłem, aż do tej chwili.

- Pewnie dlatego, że mówiąc o takich rzeczach, czujesz się wrednie.

- Danny - zwróciła mu uwagę Margaret.

- Nie, Margaret, daj mu spokój.

- I dlatego tak dobrze znasz francuski - zauważył Danny. Stephen się uśmiechnął.

- Tak, dlatego. I dlatego ty dostajesz dobre stopnie. Zabawne, co?

- Aha - odparł Danny. - Tylko że to wcale nie jest takie zabawne.

Z kolei Fred zapytał Stephena, jaka była jego droga do studiów prawniczych.

- Mój ojciec miał kuzyna, odpowiedzialnego, religijnego człowieka, którym cała ta historia wstrząsnęła. Pożyczył mi pieniądze na studia. Nie wszystkie oczywiście, bo część zarobiłem sam. Ale to dzięki niemu tu jestem. - Po czym krótkim ostrzegawczym gestem uniósł rękę, zwracając się do trójki młodzieży.

- Jak myślicie, dlaczego wam to wszystko opowiedziałem? Bo chciałem, żebyście się przekonali, że żadne zło, z wyjątkiem nieuleczalnej choroby, nie jest wieczne. Zdaję sobie sprawę, że to banał porównywać życie do rzeki, ale możecie mi wierzyć, że życie jest rzeką. Trzeba się w nie rzucić i płynąć. Teraz Megan popłynie do Harvardu. Ona jest pierwsza, po niej i wy dacie nurka.

Tą historią, najwyraźniej zaczerpniętą z własnych bolesnych przeżyć, Stephen zdołał całkowicie zmienić atmosferę. Wszyscy się wyprostowali. Megan zapaliła jeszcze jedną lampę. Margaret przyniosła paterę owoców i zasiedli do skromnej uczy. Była prawie północ, kiedy dwaj mężczyźni zaczęli się żegnać.

- Co za miły wieczór - powiedział Fred na pożegnanie.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. To Szekspir

oznajmił Danny z ważną miną. Jeszcze zza zamykających się drzwi słyhać było śmiech Freda i Stephena.

- Co my byśmy zrobili bez takich dobrych przyjaciół? -mruknęła pod nosem Margaret, sprząając ze stołu.

- Co powiedziałaś? - spytała Megan. Margaret powtórzyła.

- To nie są żadni przyjaciele - oświadczył z lekką ironią Danny. - Oni się w tobie bujają.

- Jak na takiego bystergo chłopca - rzekła Margaret -wasz brat gada okropne głupstwa.

- Nie zawsze - powiedziały chórem dziewczynki. - A na pewno nie tym razem, mamó.

330

## ***Rozdział 28***

Adam zajechał w chwili, kiedy stojąca w drzwiach Randi zęgnęła ostatnią grupkę gości. Gdy tylko samochód zniknął za zakrętem, zniknął także z jej twarzy entuzjastyczny uśmiech miłej gospodyni. Po samej jej postawie poznał, że jest wściekła.

- Zrobiłeś wszystko, żeby mi zepsuć ten wieczór - zaczęła. - Uciekając w środku przyjęcia, postawiłeś mnie w wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

Adam tak był przygnębiony, że nie miał siły na zwyczajną rozmowę, nie mówiąc już o awanturze, na którą się poważnie zanosilo. Odpowiedział bardzo spokojnie:

- Byłem przerażony, Randi. Musiałem sprawdzić, co się stało z Julie.

- Wiem. Zawsze jest albo twoja Julie, albo twój Danny. Albo twoja Megan. Panna Intelktualistka. Nie stój tu jak kołek! Albo wejdź do domu i usiądź, albo kładź się spać. Wyglądasz jak groch przy drodze.

Adam nigdy nie miał pociągu do alkoholu; picie było zawsze zarezerwowane na okazje towarzyskie. Ale w tej chwili odczuwał wyraźną potrzebę napicia się. Wyciągnięta na sofie Randi patrzyła, jak podchodzi do barku i nalewa sobie brandy.

- No i cóż to był za gwałt? - zapytała.

- Myśleli... Danny powiedział mi przez telefon... że coś złego stało się z Julie. Nie mogli jej znaleźć. Ale okazało się, że tylko poszła na bardzo długi spacer.

- Więc nic jej nie jest?

- Dzięki Bogu nic.

- Więc z powodu takiego taniego chwytu zepsułeś mi całe przyjęcie, tak?

Adam wolałby, żeby Randi nie zaczynała każdego zdania

od „więc”. Ciekawe, czy zawsze tak było? I znów odniósł wrażenie, że ostatnio zbyt często irytują go drobiazgi, których dawniej nie dostrzegał.

- To nie był żaden tani chwyt i wcale nie zepsułem ci przyjęcia. Ludzie takie rzeczy rozumieją.

- A ja rozumiem znacznie więcej, niż ci się wydaje. To był chwyt obliczony na zwabienie cię z powrotem do nich. Ta kobieta nigdy się od ciebie nie odczepi, Adam. Nawet po rozwodzie, o ile w ogóle do niego dojdzie, będzie cię trzymała w szachu z powodu dzieci.

- Wiedziałaś, że mam dzieci, Randi.

- Ale nie wiedziałam, że jesteś ich niewolnikiem. Ona powinna sobie sama z nimi radzić, jak przystało na dorosłą kobietę, ale nie chce i na tym polega cały problem.

Na szkle, które trzymał w ręce, migotało światło, a złocisty płyn się kołysał. Starożytni magicy mogli w jego głębiach czytać zapowiedzi triumfów, ale on widział tylko czas, przepływający przez światło, i płyn. Dni, które nie wrócą, dni, kiedy jego dzieci dorastały bez niego.

Randi jęczała:

- Jej zależy tylko na tym, żeby cię zwabić z powrotem do siebie. Tylko o to jej chodzi. O nic więcej. Margaret i pieniądze to jedno. A teraz, kiedy zarabiasz mniej, będzie jeszcze gorzej. Ja naprawdę nie wiem, jak my sobie poradzimy z tym, co ci zostanie po zaspokojeniu jej apetytu.

- Inni mają jeszcze mniej i jakoś sobie radzą.

- No cóż, nie tak sobie wyobrażałam swoje życie w tym okresie. Myślałam, że masz przyzwoite stanowisko i że jesteśmy urzędzeni.

- Nie lubię, jak mówisz „przyzwoite stanowisko”. Poza tym nigdy nic takiego ci nie mówiłem.

- Oczywiście, że mówiłeś.

- Nie mówiłem, Randi.

Gniew dodał mu sił, a może była to brandy, którą wypił za szybko.

- A jeśli nawet ci coś takiego powiedziałem, to co? O co w tym wszystkim chodziło? O pieniądze? Bo ja myślałem...

-powiedział, świadom kpiny w swoim głosie - ja naprawdę myślałem, że o miłość.

- To spróbuj żyć samą miłością, bez pieniędzy.

„Wiele lat temu - pomyślał - zostawiła mnie dla basenu otoczonego palmami...”

- A gdybym stracił i tę pracę? To co, odeszłabyś ode mnie?

- Oczywiście, że nie, kochanie. Po prostu wyjechalibyśmy z tego stanu i na pewno byś się gdzieś urządził.

- Kiedy zaproponowałem, żebyśmy się przenieśli bliżej Elmsford, powiedziałaś, że nigdy nie rozstaniesz się z tym domem.

- Ale przemyślałam to i doszłam do wniosku, że jednak warto. Pozbyłbyś się wreszcie tej pętli, którą ci zaciskają na szyi. Znudzi jej się wreszcie wynajmowanie drogich adwokatów po to tylko, żeby cię wytropić w innym stanie. Da spokój i najwyższy czas, żeby tak się stało. Kto wie, czy to nie jest dobry pomysł, żeby zrobić to właśnie teraz.

- Pomysł jest bardzo zły, ponieważ ja nie zamierzam opuszczać dzieci.

- Zawsze się na tym kończy, prawda? Mój Boże, gdybym wiedziała wcześniej, gdybym tylko wiedziała...

Brandy buzowała mu w żyłach. Nie jestem pijany - myślał - ale serce mi wali, w głowie huczy, i w ogóle cały dzień był okropny, od samego rana.

Z jednego ramienia leżącej na sofie Randi zsunęło się ramiączko, odsłaniając pierś. Z jakiegoś powodu ten widok go wzburzył i powiedział poirytowanym tonem:

- Popraw sobie sukienkę.

- Co się stało? Nagle mój widok przestał ci sprawiać przyjemność? O! - Śmiejąc się, ściągnęła drugie ramiączko.

- Właściwie te nie wiem, dlaczego się śmieję. Mam tego wszystkiego serdecznie dość. Naprawdę powinniśmy się stąd wynosić.

- Już ci mówiłem - prawie krzyczał - że nie mam zamiaru opuszczać swoich dzieci!

- Już je opuściłeś. Co ty z nich masz, poza rachunkami do płacenia?

Adam nie odezwał się słowem. Była to prawda; opuścił swoje dzieci.

„Jestem z wami w stu procentach. Nie przestałem być waszym ojcem” - zapewniał je. Ale czy wspólny lunch raz na tydzień wystarczy, żeby być ojcem? Megan miała na ten temat inne zdanie...

- Boisz się. Jesteś tchórzem, Adam, i na tym polega twój problem. Powinieneś ożenić się ze mną na samym początku, ale bałeś się matki i tego, co ludzie powiedzą. A przypomnij sobie, ile czasu trwało, nim odważyłeś się powiedzieć Margaret, że chcesz rozwodu.

Prowokacja osiągnęła cel, Adam poczuł się dotknięty. Tchórz! Rzuca na niego takie oskarżenia, mimo że jest jej tak oddany! Rzeczywiście musi być tchórzem! Ale jednocześnie, o ironio, miał świadomość, że takiej zniewagi nie wytrzyma żadne męskie ego. Mężczyznę można nazwać cudzołżnikiem, nawet zdrajcą - wszystko przełknie, tylko nie to.

- Spójrz na siebie! - wykrzyknął rozwścieczony. - Jakim prawem mnie krytykujesz? - Z gołymi piersiami, w wymiętej sukience i z rozczochranymi włosami, wydała mu się odrażająca. Mimo że była w ciąży, musiała za dużo wypić.

- Budzisz niesmak, Randi. Idź się położyć. I ochłoń.

- A ty co sobie wyobrażasz? Że kim jesteś? Wydaje ci się, że możesz się wywyższać nad wszystkich? Ty z tą twoją górnolotną muzyką i wytwornym językiem. I rozbestwionymi harwardzkimi bachorami. Gdybym wiedziała, w co się pakuję, i jak to będzie dalej wyglądało, nigdy bym nie przyjechała do Elmsford.

Adam był zdumiony.

- Chcesz powiedzieć, że przyjechałaś tu specjalnie, żeby mnie odszukać?

- Nie rób takiej zdziwionej miny. Powinno ci to pochlebiać - powiedziała już teraz bełkotliwie. - Przyjechałam, żeby cię znaleźć. Najpierw pojechałam do Nowego Jorku, ale kiedy zobaczyłam, że tam się roi od kobiet szukających mężczyzn, wróciłam do Kalifornii, gdzie zawsze można kogoś znaleźć. Tylko, że ci dobrzy chcą się po prostu z tobą przespać, a ci, co myślą o małżeństwie, to stare pryki na ostatnich nogach.

Słyszał dokładnie każde jej słowo, ale podświadomość nie dawała mu spokoju - za nią przehandlowałem swoje dzieci.

- I wtedy przypominałam sobie tamto nasze spotkanie w Nowym Jorku, a pamiętałam, jak kiedyś dosłownie miałeś fiola na moim punkcie, i zdecydowałam, że byłoby dobrze

to powtórzyć. Byłeś jeszcze młody, przystojny i urządzony. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Zbyt oszołomiony, żeby wydobyć z siebie głos, stał oparty o ścianę i gapił się na Randi. Kiedy wreszcie z całą mocą dotarło do niego znaczenie jej słów, wymamrotał pod nosem:

- To znaczy, że przyjechałaś specjalnie, żeby zniszczyć rodzinę.

- Nie udawaj świętoszka. To dobre dla niej. Kiedy ją zobaczyłam tamtego wieczora w hotelu, od razu wiedziałam, że to geś z prowincji, ciemna masa. I że zasługujesz na coś lepszego.

- Rozbiłaś rodzinę - powtórzył w oszołomieniu.

- Nie musiałam się bardzo wysilać. W każdym razie nie z taką ofiarą jak ty. Wtedy, tamtego popołudnia, kiedy twoi wyjechali do Kanady, dosłownie zdarłeś ze mnie ubranie. Nie mogłeś się doczekać.

No cóż, to prawda. Ale ta kobieta mnie kusiła - brzmiała mu w uszach odwieczna wymówka.

Randi leżała na sofie, rozwalona, w swojej idiotycznej sukience ściągniętej niemal do pasa. Ta pozycja miała być kusząca, ale Adam nie mógł na nią patrzeć. Zniszczyła go, a on pozwolił się zniszczyć. Po co się męczył tyle żalonych miesięcy od chwili, kiedy stracił pracę? Może rzeczywiście miała rację, mówiąc o jego tchórzostwie i słabości.

W każdym razie znalazł się w pułapce. W poczuciu klaustrofobii otworzył drzwi na zewnątrz.

Padał łagodny letni deszcz. Stał, słuchając bębnienia kropel o liście drzew. Myślał o męce i błędach nie do odrobienia.

0 namiętnościach, które bez żadnego powodu wybuchają

1 gasną. Człowiek szuka w sobie racjonalnych przyczyn, ale ich nie znajduje. Idzie przed siebie z klapkami na oczach, aż pewnego dnia klapki opadają i widzi rzeczy, których wcześniej nie dostrzegał.

No więc dobrze, bez względu na popełniony błąd, nigdy wcześniej nie przeżył tak ognistego seksu jak z Randi. To jedna z tych rzeczy, które wybuchają płomieniem. Miał to, ale już nie ma. Jak przyszło, tak i poszło.

- Chodź tu do mnie - zażądała. Usiadła, wygładziła sukienkę i kiwnęła na niego. - Chodź tutaj, powiedziałam.

Adam patrzył przez otwarte drzwi. Księżyc, w trzeciej

kwadrze, tkwił na niebie z dala od deszczowej chmury. W powietrzu czuło się chłód. Na szczycie wzgórza, wśród migotliwego światła księżycy i deszczu, zaczynała się nieograniczona przestrzeń. Stojąc tak w otwartych drzwiach, wyobraził sobie rodzaj latającego krzesła, roweru ze skrzydłami, na którym mógłby się unieść i odlecieć bez żadnego bagażu dokądkolwiek, ponad kontynentami i oceanami, byle tylko płynąć pod spokojnymi gwiazdami, zostawiając za sobą wszelkie ciężary, troski, poczucie winy i wspomnienia.

- Co ty tam, do diabła, robisz w tych otwartych drzwiach w środku nocy?! Jest zimno.

- Myślałem o tym, żeby uciec.

- Naprawdę myślałeś? - Randi źle go zrozumiała. - Rzeczywiście się stąd wyniesiemy?

- Miałem na myśli co innego niż ty.

- Nie patrz na mnie w ten sposób! Trochę się poprzytykaliśmy, ale już wszystko dobrze. No, chodź - próbowała go kokietować, otwierając ramiona. - Chodź, zobaczysz, nie pożałujesz.

- Nie - odparł. - Nie mam ochoty.

Nagle prawda tego, co zobaczyła w jego twarzy, dotarła do niej z całą mocą, i ogarnął ją strach.

- Chyba nie chcesz uciec ode mnie? Jesteś tylko zły, bo uważasz, że cię zwiodłam. No, może rzeczywiście zwiodłam. Ale nie zrobiłabym tego, gdybym cię nie kochała. Czy nie widzisz w tym sensu?

- Ja już w niczym nie widzę sensu.

- Nie bądź taki ponury! - wykrzyknęła. - Po prostu wypijałam kilka drinków, a nie miałam w ustach alkoholu, od kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży. I trochę mi się zakręciło w głowie. A ty wszystko bierzesz tak śmiertelnie serio. Zawsze ci to mówiłam.

- Właśnie wtedy, kiedy ludzie wypiją o kilka drinków za dużo, prawda wychodzi na jaw.

Randi wstała i próbowała go objąć.

- Nie, Randi - powiedział, uwalniając się z jej objęć. - Nie. - Odepchnął ją nie brutalnie, ale zdecydowanie.

- Ty sukinsynu - wycedziła przez zęby - mam cię powyżej uszu.

Stali przez chwilę, patrząc sobie w oczy.



- Nienawidzisz mnie - powiedziała. - Widzę to w twoich oczach.
- Mylisz się. To, co w nich widzisz, nie jest nienawiścią. To pogarda, zarówno dla ciebie, jak i dla siebie samego.
- Pogarda! - wykrzyknęła. - Chyba zwariowałaś. Posłuchaj. Jest druga w nocy. Dosyć tego gadania. Chodź do łóżka.
- Nie mam zamiaru iść z tobą do łóżka, Randi. Już nigdy więcej.

Podbiegła do niego, okładając go pięściami i wykrzykując:

- Skurwysyn! Zwariowany skurwysyn! Żebyś tak zdechł! Próbując ją uspokoić, zaprowadził ją do sypialni.
- Jesteśmy oboje wyczerpani. Połóż się i odpocznij. Rano porozmawiamy. A teraz odpocznij.

Zamiast odpowiedzi trzasnęła drzwiami i przekreśliła klucz w zaniku.

Był świt i Randi spała w dalszym ciągu, kiedy Adam wyruszył do biura. Miał przed sobą długi dzień ciężkiej pracy, a prawie nie spał. Mimo to dzień w biurze wydawał mu się mniej męczący niż jeszcze jeden spędzony na awanturach z Randi. Do wieczora, miał nadzieję, uspokoi się na tyle, że będą mogli jakoś sensownie porozmawiać, chociaż w tym momencie jeszcze nie wiedział, co chciałby jej powiedzieć. Wiedział tylko, że stała się koszmarem, od którego musi się uwolnić. Przyszłość z nią wydawała mu się nie do przyjęcia. Mimo to nie chciał jej w żaden sposób skrzywdzić. Może do wieczora\* rozjaśni mu się w głowie.

W barze, do którego wstąpił na bułkę z kawą, siedział w stanie sennego odrętwienia, obserwując ludzi. Byli tam kierowcy ciężarówek, dwóch policjantów z patrolu i kilka pielęgniarek, idących na poranną zmianę do szpitala. Jak to bywa z ludźmi w opałach, zastanawiał się, czy ktokolwiek z nich jest w podobnej sytuacji. Przyszła jakaś para małżeńska z dwoma małymi chłopcami i zajęła miejsce we wnęce. Jeden z malców, gadatliwy śmieszek o bystrych oczach, przypominał Adamowi Danny'ego. W pewnej chwili młody mężczyzna sięgnął przez stół i ścisnął żonę za rękę.

Adam poprosił o drugą kawę i siedział, trzymając filiżankę w dłoniach i patrząc w ścianę. Po chwili wyszedł i wsiadł

do samochodu. Na następnym skrzyżowaniu był tak dobrze mu znany skręt w prawo, a za nim ich dawna ulica. Odruchowo skręcił i przejechał wolno obok starego domu. Widać było na nim wyraźne ślady zaniedbania. Dwie żaluzje wisiały oberwane; kiedy spojrział na ogródek warzywny, zobaczył zarośnięte chwastami grządki. „Za leniwi, żeby pielęgnować ogródek” - pomyślał i odjechał, dodając gazu. Jaka bolesna musi być dla Margaret świadomość, że jej ukochany dom rodzinny popada w ruinę!

Przejechał przez śródmieście, mijając Danfortha, gdzie kupił Danny'emu pierwszy garnitur, z białą koszulą i obowiązkowym krawatem, potem Magnum ADS, i udał się w kierunku ciągnącej się wzdłuż rzeki skały, gdzie wznosił się szary dach budynku szkoły średniej. Tysiąc lat temu pod tym dachem zakochał się w rudowłosej dziewczynie o szarych oczach.

Właśnie nauczyciele zaczęli zapełniać parking. Margaret zawsze starała się znaleźć miejsce możliwie blisko bocznych drzwi i Adam z powodów, których sam nie byłby w stanie zrozumieć, ruszył w tamtym kierunku. Tak naprawdę ani nie planował jej zobaczyć, ani nie chciał być przez nią widziany. Mimo to zataczając szeroki łuk, znalazł samochód i Margaret, która właśnie z niego wysiadała.

Na jego widok zatrzymała się, wyraźnie przestraszona. Stali w odległości zaledwie kilku metrów od siebie, tak że widział wyraźnie drobniutkie piegi na jej rękach. Włosy miała mokre; musiała w ostatniej chwili brać prysznic.

- Jak się masz - powiedział. - Widzę, że nosisz swój ulubiony kolor.

Spojrzała na niebieską bluzkę, jakby zapomniała, co ma na sobie. Sprawiała wrażenie, że nie rozumie, co do niej mówi.

Na szyi nosiła cienki złoty łańcuszek, na którym wisiały trzy serduszka.

- Jaki ładny - powiedział, pokazując na łańcuszek. - To od Freda?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - spytała. Przyciskając do piersi książki, odsłoniła dłonie. Zauważył, że zdjęła obrączkę. No cóż, to rozumiała.

- Po co tu przyjechałeś? - spytała tonem, który nie był nieuprzejmy.
- Nie wiem. Chyba po prostu chciałem cię zobaczyć. Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego, po czym łagodnie, bardzo łagodnie odpowiedziała:
- Skoro tak, to mogę już iść. I tak jestem dziś spóźniona. Skinął głową.
- Uważaj na siebie.

Ale Margaret go nie słyszała. Patrzył jeszcze, jak dość gwałtownym krokiem zmierza do drzwi, a następnie w nich znika. Wtedy wyjechał z parkingu i skierował się na wschód, w stronę słońca.

„W tym miesiącu będzie dwadzieścia jeden lat, jak się pobraliśmy” - pomyślał.

Przed nim rozciągał się widok na rzekę z łukiem mostu sięgającym niskich skał po drugiej stronie. Tam opadał potężnymi cementowymi nogami, wbitymi w gigantyczne słoniowe stopy z betonu. Opony świstały na asfalcie w miarę, jak samochód, jadąc w dół, nabierał szybkości.

Dwadzieścia jeden lat - świstały i śpiewały. - Dwadzieścia jeden lat.

Teraz, na przełomie wiosny i lata, wszystko było zielone, oślepiająca zieleń i złoto. Drogę pod drzewami przecinały pasy cienia, chłodne i ciemne jak pomarszczona powierzchnia wody. Jak pięknie! Jak spokojnie! - myślał Adam, czując pulsowanie krwi w skroniach.

Dwadzieścia jeden lat!

Samochód pędził z góry coraz szybciej, frunąc nad drogą, pod niebem i celując w monstrualne szare nogi słoniowe. „Niech to się wreszcie skończy - pomyślał. - Niech to się, na miłość boską, skończy”. I z całą siłą nacisnął na pedał gazu.

Zmiażdżony metal, pogięty jak cienka puszka, lśnił w słońcu, zanim wóz holowniczy pozbiierał ostatnie szczątki i je wywiózł. Tłum gapiów zaczął się rozchodzić.

- Karetka pogotowia... - powiedział ktoś - po co? Przecież tam nie ma co zbierać...
- Takich to zabierają do kostnicy - dodał ktoś inny.

- Szybkościomierz zatrzymał się na stu czterdziestu kilometrach na godzinę.
- Czy facet był pijany?
- Co, o wpół do dziewiątej rano? Nie, po prostu chciał zginać.
- Niech go Bóg ma w swojej opiece - powiedział kierowca ciężarówki z brzuchem piwosza. - Biedaczysko.

### ***Rozdział 341***

Margaret miała wrażenie, że na pogrzebie byli wszyscy, których kiedykolwiek знаła. Sąsiedzi z dawnej ulicy, stare małżeństwo, mieszkające naprzeciwko ich obecnego domu, połowa grona nauczycielskiego ze szkoły, fryzjer Tony, który strzygł Danny'ego po raz pierwszy w życiu - dosłownie wszyscy. Zjawił się nawet Jenks, dawny wróg Adama, i uściskał jej obie dłonie.

- Zdajesz sobie sprawę, że ci ludzie przyszli wyłącznie ze względu na ciebie, prawda? - zapytała Nina.

Nie odpowiedziała. Odruchowo, choć dyskretnie, spoglądała na drugą stronę sali, starając się nie odwracać głowy. Wśród obcych ludzi siedziała Randi Bunting w widocznej ciąży i w ciężkiej żałobie. Kobiety minęły się, ledwie patrząc w swoją stronę, po czym szybko się odwróciły.

Na trumnie leżała ogromna wiązanka od Randi; koszyki kwiatów od dzieci stały prawie niewidoczne wśród masy wieńców i bukietów. „To nie ma znaczenia - pomyślała Margaret - to tylko jeszcze jeden pojedynek, tym razem na kwiaty”. A on tymczasem leżał - w samym środku tego wszystkiego. Ze zrozumiałych względów trumna była zamknięta, ale nawet gdyby Adam leżał w niej cały, nietknięty, z dłońmi złożonymi na piersiach i ze starannie uczesaną gęstą czupryną, to i tak nie zniosłaby tego widoku. Myśląc o jego włosach, przypomniała sobie, jak to miał zwyczaj - kiedy czytał lub w chwili skupienia - skręcać w palcach opadający na czoło cienki kosmyk.

Randi zaczęła wydawać głośnie krzyki i szlochy, dodatkowo jeszcze zwracając na siebie uwagę dużą chustką z czarną lamówką, którą zasłaniała twarz. Ludzie gapili się na nią z zainteresowaniem. Co o tym wszystkim myśleli? - zastanawiała

się Margaret. Na pewno niektórzy przyszli głównie z ciekawości, ale czy można im się dziwić? Sytuacja była nietypowa.

Margaret sama przecież spoglądała na twarz wyłaniającą się spoza chustki, na rozmazane oczy w czarnych smugach tuszu, na dołki w policzkach, na wydatny biust - na wszystkie te atrybuty kobiecości, którymi Randi zawróciła w głowie przyzwoitemu człowiekowi, słabemu i głupiemu, ale przecież aż do tamtej pory szczęśliwemu. Bo był szczęśliwy mimo swoich wad, które ma każdy z nas. Bóg jeden wie, co przeżył w dzieciństwie albo co takiego miał w genach, że był niepewny własnej wartości i dlatego zawistny, a często nielubiany przez innych. Ale był mimo wszystko porządnym człowiekiem, dopóki pani się nie pojawiła, Randi, i dopóki nie stracił poczucia przyzwoitości. Tak, byliśmy szczęśliwi, dopóki pani nie wtargnęła w nasze życie, wiedząc dobrze, co pani robi, i mogąc to robić bez przeszkód, bo trafiła pani na podatny grunt. Ale jeżeli ma pani sumienie, to niech pani popatrzy na tę trumnę, na swoją robotę.

Z pomieszczenia, połączonego z salonem pogrzebowym, wdarła się ponura muzyka, która w zamierzeniu organizatorów miała być religijna. Zaraz potem pojawił się równie ponury mężczyzna, który całkowicie zepsuł majestatyczną poezję psalmów.

Megan płakała. „Być może od samego początku doznała znacznie głębszego rozczarowania niż tamtych dwoje” - pomyślała Margaret. Jej jako najdojrzalszej z rodzeństwa przypadła w udziale większa gorycz i uraza.

- Ale ty nie płaczesz, mamo? - wyszeptała.

- Płacę, ale w środku.

Płacę... za dniem, w którym kupiliśmy dla mnie obrączkę, za czasami, kiedy chodziliśmy razem do opery w Nowym Jorku, za twoim współczuciem, kiedy poroniłam, za tymi dniami, kiedyśmy po naszej ulicy pchali wózki dziecinne. Ty podła kobieto, ty złodziejko. Przyszłaś nie wiadomo skąd i zniszczyłaś rodzinę. Ale zdziwiłabyś się na wiadomość, że jego myśli tego ostatniego ranka wcale nie były przy tobie, o nie, wcale.

Słuchając monotonnego głosu mężczyzny, Margaret zastanawiała się, co powiedziałby Adam wtedy na parkingu, gdyby została dłużej, by go wysłuchać. A może przyszedł mi po-

wiedzieć, że chce umrzeć? Albo zapytać, czy nie przyjąłabym go z powrotem? To wątpliwe w sytuacji, kiedy ona spodziewa się dziecka. Ale nawet gdyby zapytał, to i tak powiedziałabym mu, że jest na to o wiele za późno. Jakie to dziwne uczucie - kiedy ci już nie zależy - pamiętać, jak bardzo ci zależało, kiedy byłaś młoda. Wtedy było to dla ciebie wszystkim, czymś więcej niż życie. Przypomina mi się ten dzień - jak dawno już o tym nie myślałam - kiedy Izabela przyszła zmierzyć mi ślubną suknię, a ja się bałam, że mogę stracić Adama. Co za szczęście, że już jej nie ma i że nie musi patrzeć na to...

Kiedy zabierano trumnę, wszyscy wstali. Za trumną szła Randi. Tym razem Margaret spojrzała jej prosto w oczy. Dla ciebie - powiedziała w myślach - nie czuję nic, poza pogardą. A dla tego biednego życia, które się w tobie rozwija - litość, czego prawdopodobnie nawet nie jesteś w stanie zrozumieć. Biedne, nieświadome niczego stworzenie, które ma się wkrótce urodzić, jeszcze jedno amerykańskie dziecko bez ojca. Oto historia naszego kraju w tych zwariowanych czasach.

Z mroku wyszli w ostry słoneczny blask tam, gdzie stał karawan jak złowieszczy czarny żuk, który za chwilę zacznie pełznąć. Na ten widok Margaret ścisnęło coś za gardło, a w oczach błysnęły łzy.

- Chodź. - Nina delikatnie pociągnęła ją za rękę.

- Nie, poczekaj.

Nie zamierzali iść na cmentarz. Przyjaciele i rodzina, Nina, Fred i Stephen, wszyscy się zgodzili, że w tej sytuacji byłoby to nierozsądne. Bo to Randi kupiła grób i to ona zajęła się pogrzebem.

Czekali więc, Margaret i dzieci, w nastroju wielkiej powagi, aż grabarze postawią trumnę i mały kondukt ruszy na miejsce spoczynku. Margaret, oszołomiona, uniosła rękę w skromnym geście pożegnania i wyszeptała:

- Żegnaj, Adamie.

### ***Rozdział 30***

W kilka miesięcy później w kancelarii Stephena Larkina, na biurku, gdzie zwykle przed wizytą Margaret piętrzyły się papiery - kwestionariusze i odpowiedzi, propozycje i odmowy - dokumenty towarzyszące sprawie rozwodowej, leżał teraz już tylko jeden dokument: polisa ubezpieczeniowa Adama Crane'a.

- Pomyślałam o tym dziecku... - powiedziała Margaret - czy myślisz, że powinnam...
  - Nie - odparł Stephen tak zdecydowanie, że aż ją to zdumiało. - Pieniądze należą do twoich dzieci. Jej zachowanie było całkowicie nieodpowiedzialne i dlatego nie ma powodu, żebyś brała za nią odpowiedzialność.
  - Suma jest znaczna, ale sposób, w jaki nam przypadła, straszny...
  - Pieniądze pochodzące z ubezpieczenia na życie nigdy nie są pieniędzmi „szczęśliwymi”.
  - To znaczy, że będę mogła spłacać długi. Reszta zostanie bezpiecznie ulokowana.
  - Przypomniało mi się, że kiedyś chciałaś studiować medycynę.
  - Ach, owszem - odparła Margaret ze smutkiem - to było dawno, dawno temu...
  - Nie tak znów dawno. W dalszym ciągu jesteś młodą kobietą.
  - Stephen, ja mam czterdzieści jeden lat! Larkin się uśmiechnął.
  - Gdzieś ty się podziewała? Masz nieaktualny kalendarz. Dzisiaj kobieta w twoim wieku jest młoda.
- To dziwne, że taką uwagę usłyszała akurat w dniu, kiedy po raz pierwszy od dłuższego czasu miała jasną głowę i rze-



czywiście czuła się wypoczęta i młodsza. I najwyraźniej na taką wyglądała. Miała na sobie sukienkę z czarnego lnu, prezent od Niny, razem z „typowymi dla Niny” szmaragdowymi sandałami. Dzisiaj włożyła to wszystko po raz pierwszy.

- Tak się wystroiłaś na wizytę do kancelarii adwokackiej? -zapytała Julie.

- Jadę do miasta - odpowiedziała, niezbyt sensownie.

Ciekawe, co myślała, przypinając do włosów czarną aksamitną kokardkę? Trudno uwierzyć, ale żałowała, że idzie do tej kancelarii z ostatnią już wizytą. A co jeszcze ciekawsze, stanęła jej przed oczami scena sprzed dwóch lat, kiedy przyszła tu po raz pierwszy: śmiertelnie zraniona, nie mogąc się opanować, siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach i płakała. Była wtedy w całkowitej rozsypce. A on miał dla niej tyle cierpliwości... Zastanawiała się, czy Stephen kiedykolwiek pomyślał o niej jakoś szczególnie. Co prawda, podczas świątecznego przyjęcia u Freda zauważyła subtelne szacujące spojrzenia, jakie jej posyłał z naprzeciwka... Poza tym, ilekroć spotkali się w parku czy przy boisku bejsbolowym, to...

Ale przecież spojrzenie mężczyzny najczęściej nie znaczy nic więcej, poza chwilą aprobaty... Zresztą, co za różnica? Margaret jako niedoszła rozwódka, a od trzech miesięcy wdowa w dalszym ciągu przeżywała okres rekonwalescencji, swoisty stan zawieszenia.

Stephen wstał i przeszedł przez pokój.

- Parę dni temu byłem w księgarni - powiedział, wręczając jej ciężką paczkę. - I zobaczyłem coś, co mogłoby cię zainteresować.

Potężny ilustrowany tom był poświęcony historii medycyny. Przerzucała kartki - od Nefretete trzymającej korzeń mandragory do morowej zarazy i pierwszych zdjęć rentgenowskich -nie potrafiła ukryć zachwyty.

- Coś wspaniałego! Jaka fantastyczna książka!

- W pierwszej chwili pomyślałem, że będzie to jeszcze jeden prezent typu puchar przechodni, ale kiedy ją przejrzałem zmieniłem zdanie.

- Jak to miło z twojej strony! - powiedziała uradowana. -Naprawdę, naprawdę bardzo mi się podoba.

Stephen był wyraźnie zadowolony.

- Widzę. Mam nadzieję, że ta książka cię zainspiruje. Jeżeli

350

rzeczywiście kochasz medycynę, Margaret, to powinnaś na nią iść. - I dodał szybko: - Chyba, że masz inne plany?

- Moje dzieci - odpowiedziała bez namysłu. - Już się z tego podnoszą, jak wiesz, ale śmierć ojca była dla nich strasznym przeżyciem. Trudno wymagać, żeby takie głębokie rany szybko się zagoiły.

- Nigdy nie zagoją się całkowicie. Tyle że przestaną boleć. To wiem z własnego doświadczenia.

- Ciągle myślę o tym, co tamtego wieczora powiedziałeś o swojej matce. Zrozumiałam wtedy, dlaczego od samego początku tak łatwo czytałeś w moich myślach. Ach, jak bardzo potrzebowałam wtedy pomocy! Tonąłam. I chyba bym utonęła, gdyby nie życzliwość tylu tak wspaniałych ludzi - kolegów z pracy, przyjaciół, moich kuzynostwa, Freda... I twoja, Stephen. Nigdy nie zapomnę, co zawdzięczam ludziom.

Zaległa cisza, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć albo jakby Stephen miał coś powiedzieć, albo jakby jedno czekało na drugie. Ale sekundy mijały. Margaret wstała i podała mu rękę.

- Nie uważasz, że jest to dość niezwykle zakończenie sprawy? Wszystkie te papiery, te dokumenty, które tak pracowicie przygotowywałeś, są do wyrzucenia. I oto doszliśmy do końca...

- Ale przecież się nie żegnamy. Nie przestaliśmy być sąsiadami.

Uścisnęli sobie ręce. Margaret, lekko wytrącona z równowagi, wyszła i wsiadła do samochodu. Ich wzajemny stosunek wydawał się jej zaskakujący. Przekroczył zwykłą relację ad-wokat-klientka i wszedł w fazę miłej przyjaźni. W dziwny sposób czuła się skrepowana i onieśmielona w jego obecności, której mimo wszystko pragnęła.

Zaabsorbowana tymi myślami, przegapiła bank, w którym miała złożyć czek na sumę ubezpieczenia, i musiała skręcić w najbliższą przecznicę, żeby zawrócić.

W kilka dni później wybrała się z wizytą do Freda. Zapowiedziała się na sobotę. W torebce miała czek na sumę stanowiącą równowartość pożyczki, jaką u niego zaciągnęła. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy uwolni się od długu.

- Pragnąłbym bardzo, żebyś zatrzymała ten czek - powiedział Fred. - Miał to być prezent ode mnie dla Megan. Ostatecznie znałem ją jeszcze, zanim się urodziła.

- Rozumiem, ale przecież już to wszystko przerabialiśmy, prawda?

- Jesteś uparta jak muł - roześmiał się Fred. - Dlatego nawet nie próbuję.

Usiedli pod drzewami, które teraz, w sierpniu, okrywało bujne listowie. W powietrzu niesło się monotonne brzęczenie cykad. Ziemia jednak powoli odsuwała się od słońca, w czym była już zapowiedź jesieni.

Ta świadomość pory roku, upływu czasu, nadchodzącej nieuniknionej zmiany - zmiany, ale jakiej? - wzmagała tylko skrepowanie, jakie Margaret ostatnio, z nieznanых przyczyn, odczuwała.

Fred przyglądał się jej pilnie.

- Wyglądasz zupełnie jak dawna Margaret - elegancko ubrana, wytworne zielone pantofelki - wspaniale. I żadnych papierów rozwodowych, wszystko masz za sobą.

- Tak, wszystko mam za sobą, nawet kontakty z prawnikami.

Fred dalej nie spuszczał z niej oka. Spodziewała się, że coś powie, ale milczał. Czując tę dziwną niezręczność, ten niepokój niemal złowieszczy, przecucie zbliżającej się zmiany, podjęła:

- Stephen bardzo dobrze prowadził tę sprawę do chwili... do chwili,, kiedy stała się nieaktualna. Dobrze mi wybrałeś adwokata.

- Staralem się.

Nagle zdała sobie sprawę, że Fred jest zdenerwowany. Wstał, postawił na ziemi Jimmy'ego, który siedział obok niego na ławce, i podszedł do klombu róż, żeby wyrwać chwast.

- Tak - powtórzył - bardzo się starałem. To atrakcyjny mężczyzna. I bardzo wrażliwy. Byłem wzruszony jego rodzinną historią.

- Ja też.

- Wyprowadza się stąd. Dla Margaret był to wstrząs.

- Nie wiedziałam. A dokąd?

352

- Ja z nim nie rozmawiałem, ale agent mi mówił, że nie odnowił umowy najmu.
- Och, może po prostu potrzebne mu jest większe mieszkanie, chyba że... - Margaret zadbała o to, żeby jej ton zabrzmiał lekko, od niechcenia: - Jak sądzisz, może się żeni?
- Nie mam pojęcia. Dlaczego pytasz? Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

Uniosła brwi, jakby ją to pytanie zdziwiło.

- Dlaczego, na miłość boską, miałyby to mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?
- Niepotrzebnie się tak zaperzyłaś. Bo dla mnie na przykład ma. I to ogromne. Wiesz przecież, że zawsze cię kochałem.

Choć ogromnie poruszona, Margaret nie była jeszcze gotowa, by myśleć o czymkolwiek innym poza szykowaniem Megan na uniwersytet, powrotem do pracy czy pozbyciem się ze świadomości Adama i całej ich rodzinnej tragedii.

- Proszę cię - powiedziała łamiącym się głosem, jednocześnie wstając. - Proszę cię, Fred...

Stał przed nią, zaczerwieniony i drżący. Patrząc w jego twarz, szczerą, czerstwą i nie pozbawioną urody, dobrotliwą i tak dobrze znaną, na której teraz malował się błagalny wyraz, i ona poczuła, jak ogarnia ją fala miłości, chociaż... zupełnie innej.

Objął ją czule, a ona złożyła mu głowę na ramieniu. Całował jej włosy i szyję, tuląc ją jednocześnie do siebie.

- Mógłbym ci dać tyle szczęścia, Margaret. Znamy się przecież tak dobrze. I twoje dzieci byłyby szczęśliwe. To też powinnaś brać pod uwagę.

- Tak, tak - wyszeptala z płaczem. Uniósł jej głowę i spytał łagodnie:

- Dlaczego płaczesz?

- Dlatego, że ty jesteś taki dobry, a ja nie mogę...

- Nie możesz czego?

- Nie mogę tego odwzajemnić, nawet nie mogę o tym myśleć. - Próbowała się uśmiechnąć. - Może dlatego, że jeszcze się nie pozbyłem. Może dlatego płaczę, że właśnie zaczynam się rozluźniać. Podobno jest to typowa reakcja po wielkich kryzysach. Bo ja przez cały ten czas prawie nie płakałam, Fred. Prawie nigdy nie płakałam.

- Nie tłumacz się. - Delikatnie pocałował ją w usta.
- Jeszcze nie jestem gotowa... - Zawahała się. - Muszę wyprawić Megan na uczelnię.
- Nie mam zamiaru naciskać. Ale kiedy będziesz gotowa? I czy będzie ci wtedy zależało?
- Już teraz mi zależy, Fred. Naprawdę.

Nie wiadomo, czy był tą odpowiedzią usatysfakcjonowany, w każdym razie wypuścił ją z objęć, a ona odjechała z ciężkim sercem i mieszanymi uczuciami.

- Dzwonił Stephen - oznajmił Danny. - Chce cię zaprosić na kolację.
- O, wszystkich nas?
- Nie, tylko ciebie. Zapytałem go, czy ja też mogę przyjść, ale powiedział, że nie.
- Dan, nie zapytałeś go o to!
- Dlaczego nie? On jest moim przyjacielem. Prosił, żebyś oddzwoniła. Mówił coś o hotelu Bradley.

W kilka godzin później siedziała ze Stephenem w sali restauracyjnej, w której nie była od wielu lat, od czasu przyjęcia, jakie wydało tu biuro Adama. Czy zawsze będzie wracała myślami do przeszłości, czy w końcu przykre wspomnienia zbledną?

- Zaprosiłem cię w ostatniej chwili, ale myślę, że mi wybaczysz - powiedział Stephen. - Zwykle mam lepsze maniery. Naprawdę.

Ich niewielki stół stał we wnęce przy oknie. Niebo zachmurzyło się i widok na zewnątrz był dosyć ponury. Miło kontrastowało z nim przytulne wnętrze pokoju, z czerwonymi zasłonami, stołem i wazonem bławatków. Margaret poczuła miły dreszczyk - jakby w oczekiwaniu niespodzianki. Po raz pierwszy siedziała przy stole ze Stephenem, nie licząc tamtego świątecznego dnia u Freda, kiedy oprócz nich był cały tłum ludzi.

- Mówił mi Dan, że byłaś dziś u Freda.
- Oddałam mu pieniądze. Co za wspaniałe uczucie.
- Fred to fantastyczny człowiek.
- Tak, znamy się od zawsze.
- Przyjaciół rodziny?

- Właściwie kuzyn jak Gil. Pamiętasz Gila.

Margaret zaczęła paplać. Co to ma za znaczenie, czy Stephen pamięta Gila, czy nie? A jednak wiedziała, dlaczego tak paple - po to, by podkreślić, że Fred jest po prostu kimś z rodziny. Nikim więcej.

- Pamiętam Gila. Mam fotograficzną pamięć, pamięć polityka, co zresztą nie jest moją zasługą. Gil to przyzwoity człowiek, bez żadnych pretensji. Od razu mi się spodobał.

- Adam nim pogardzał - powiedziała Margaret.

Przyszedł kelner przyjąć zamówienie. Kiedy zniknął, Stephen zamilkł i patrzył przez okno na zaczynającą się właśnie mżawkę. Nagle ich rozmowa straciła cały impet i Margaret zastanawiała się, dlaczego tak się stało.

Wreszcie Stephen przerwał milczenie.

- Chciałem, żebyś była pierwszą osobą, która się dowie, że wyjeżdżam. Kończę z moją pracą, zamykam kancelarię.

- Mówił mi Fred, że nie odnowiłeś umowy najmu. - Margaret uświadomiła sobie, że ta wiadomość była dla niej wstrząsem, wewnątrznie się przed nią broniła. Poczucie radosnego oczekiwania minęło i zdała sobie sprawę, że zbyt mocno przyzwyczała się do jego obecności w budynku z czerwonej cegły na rogu ulic Elm i Main.

- Mam już dość, a nawet więcej niż dość spraw rozwodowych. Nie chcę mieć wciąż do czynienia z destrukcją i niszczeniem. Myślałem o tym, żeby się zaangażować w ochronę środowiska, walczyć o utrzymanie tego, co nam jeszcze zostało. Tu, w samym sercu kraju, jest tak wiele do uratowania: ziemia wyjałowiona na skutek rabunkowej gospodarki rolnej, tamy na rzekach, które z tego powodu wylewają, jest naprawdę bardzo dużo do zrobienia.

Stephen mówiąc, cały czas gestykulował. Jego dłonie były zwinne i pełne gracji. Zresztą wszystkie jego ruchy - czy biegał, czy tylko przewracał kartki książki - robiły wrażenie szybkich i lekkich.

- A dokąd się wybierasz? - zapytała.

- Na uniwersytet stanowy. Na prawie jest studium podyplomowe. Po jego skończeniu obejmę jakąś posadę rządową albo zacznę pracować w jednym z ruchów na rzecz ochrony środowiska. Będzie to dla mnie nowy start - robić wreszcie coś pożytecznego. Już się nie mogę doczekać.

350

- Ale dlaczego - zaprotestowała - uważasz swoją dotychczasową pracę za bezużyteczną? Bardzo mi pomogłeś pozierać się po tym wszystkim, stanąć na nogi, i nie wątpię, że jest więcej takich osób.

- Nie, Margaret. Sama się pozierałaś i sama stanęłaś na nogi. I to właśnie takie kobiety jak ty nie pozwalają człowiekowi zważyć we wszystko.

Osobisty charakter tego komentarza, tego znaczącego komplementu speszył Margaret, która nie odpowiedziała.

- Jesteś taka silna - podjął - że nawet po tym, co cię spotkało, nie ma w tobie za grosz cynizmu. Ale chyba nie straciłaś całkiem wiary w prawdziwą miłość, co?

- Oczywiście, że nie. Bo kim byśmy byli, gdyby nikt nie walczył o dobro małżeństwa?

- Ja ci powiem, kim byśmy byli. Rozejrzyj się dokoła. Jesteśmy na najlepszej drodze do tego, o czym mówisz.

Margaret dręczyło pewne pytanie, które już od dawna chciała mu zadać, ale do tej pory nie miała odwagi.

- Przepraszam cię za moje wścibstwo, Stephen. Wiem, że to nie moja sprawa, ale czy kiedykolwiek byłeś żonaty? Stephen się uśmiechnął.

- Zauważyłem, że nie pytasz, czy jestem żonaty, tylko czy byłem.

Potrząsnęła głową.

- Nie pytam, czy jesteś żonaty, bo przynajmniej tyle o tobie wiem. Gdybyś był żonaty, nie byłoby cię tutaj ze mną.

- To prawda. Nie, nie jestem żonaty i nigdy nie byłem. Nie mogę powiedzieć, że nie miałem kobiet; owszem, miałem, ale już dawno przysiągłem sobie, że nigdy nie podejmę zobowiązania ani nie złożę obietnicy, której nie mógłbym dotrzymać.

Mówiąc, tak intensywnie wpatrywał się w jej oczy, że odwróciła twarz i zaczęła oglądać swoje paznokcie. Przeszyło ją dziwne uczucie, ostre jak ból, czy może była to jakaś niebiańska radość?

Trwało milczenie.

- Chciałbym poznać cię lepiej - przerwał je wreszcie Stephen.

Podniosła głowę i w falującej mgle zobaczyła jego ciemne

ramiona, biały kołnierzyk, ciemne włosy... Była w nim zakochana.

- Ale przecież wyjeżdżasz - powiedziała.

- To nie ma znaczenia. Nie wyjeżdżam daleko.

Nad stołem wybuchł wesoły grzmot potężnego głosu Freda.

- Hej, co za niespodzianka! Przeniosłeś swoją kancelarię do hotelu Bradley? - Fred nachylił się i pocałował Margaret w policzek.

- Stephen mówił mi właśnie, że się przenosi - wyjaśniła speszona i zła, marząc tylko o tym, żeby Fred sobie poszedł. Ale Fred był wyraźnie zainteresowany.

- Kupujesz dom?

- Nie, wyjeżdżam z Elmsford.

- Naprawdę? Powiedz coś więcej. Chyba nie macie nic przeciwko temu, że się dosiadę?

- Proszę bardzo - powiedział grzecznie Stephen.

- Ja już jestem po kolacji. Przyjechało dwóch inwestorów z centrum stanu i zatrzymali się w tym hotelu. Zupełnie nieźle tu karmią. Dokąd jedziesz?

Rozczarowanie paliło Margaret żywym ogniem. Jadła mechanicznie, obserwując deszcz na szybach. Początkowo przysłuchiwała się odpowiedziom Stephena na pytania zadawane mu przez Freda, potem rozmowa mężczyzny dotyczyła głównie interesów Freda i gospodarki Elmsford. Po chwili ogień wygasł, pozostawiając tępe uczucie porażki, typowe dla ludzi, którzy stracili coś cennego albo spóźnili się na samolot.

- To znaczy, że wyjeżdżasz, tak? - powiedział wreszcie Fred. - A kiedy?

- W piątek. W poniedziałek zaczynam zajęcia.

- Zostawiasz tu po sobie wspaniałą opinię, Stephen. Mogę za ciebie ręczyć, tak samo jak i moja pani. - Położył rękę na dłoni Margaret, ciągnąc z emfazą: - Wiele razy mówiła mi, jak bardzo jej pomogłeś, z czego jestem ogromnie rad, bo przecież to ja was zetknąłem, prawda? Zgadza się, Margaret?

- Tak - odparła bezbarwnym głosem.

Fred mówił tonem oznajmującym i zachowywał się władczo, jego ręka w dalszym ciągu spoczywała na jej dłoni. „Żeby tylko Stephen nie zrozumiał tego opacznie - pomyślała Margaret przygnębiona, nie mogąc uwolnić ręki”.



Próbowała zwrócić na siebie uwagę Stephena, żeby przekazać mu jakąś wiadomość, ale był zajęty płaceniem, a zresztą jaką niby wiadomość miałyby mu przekazać?

W podziemnym garażu samochody obu mężczyzn stały w tym samym rzędzie.

- Jeśli już skończyliście swoje sprawy, to pozwól, że odwiozę Margaret do domu - powiedział Fred.

- Oczywiście - odparł Stephen i z tym się rozstali.

W samochodzie Margaret siedziała milcząca i patrzyła przez szybę na deszcz. Pomyślała, że jej twarz musi wyglądać jak z kamienia. Fred zdecydował o niej, jakby była paczką, którą należy doręczyć i która nawet nie ma wpływu na to, kto będzie doręczycielem. I jakim prawem, do licha, nazywa ją „swoją panią”? Ale ponieważ był to Fred Davis, nie mogła mu okazać złości.

W mieszkaniu paliły się światła; to dobrze, to znaczy, że dzieci są w domu. W przeciwnym razie Fred mógłby chcieć wstąpić.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem wam w niczym - powiedział. - Nie chciałbym być niegrzeczny.

- Wszystko w porządku. Moje sprawy z prawnikami już się skończyły.

^ Kiedy cię zobaczę?

- Ten tydzień będę miała bardzo zajęty. Zaczyna się szkoła, wyjeżdża Megan, a ledwie zaczęłam ją pakować.

- Rozumiem. Ale mam ci bardzo ważne rzeczy do powiedzenia.

Tak, Margaret wiedziała. Dopiero co, w ubiegłym tygodniu, Luiza, działając z jak najlepszych pobudek, udzieliła jej kolejnej macierzyńskiej rady.

- Naprawdę powinnaś uregulować swoje sprawy z Fredem. Powiedział Gilowi, że jest gotów w każdej chwili, kiedy tylko ty się zdecydujesz. Tyle przeszłaś, Margaret. Najwyższy czas, żebyś wreszcie pomyślała o sobie. Miałybyś solidnego człowieka i spokojny dom, a dzieci - ojca.

- Kobieta nie musi wychodzić za mąż, żeby mieć spokojny dom.

- To prawda. Ale ty potrzebujesz czegoś więcej niż tylko spokoju, Margaret. Jesteś za młoda na to, żeby żyć bez miłości.

Fred wyłączył silnik. Ogarnęła ich nagła cisza i ciemność; słyhać było tylko bębnienie deszczu o dach samochodu. Za chwilę przyciągnie ją do siebie i pocałuje. Jego szybkie, delikatne pocałunki nawet jej nie przeszkadzały, ale wzdragała się na myśl o czymś więcej. A teraz przyprze ją do muru i jakoś... jakoś będzie musiała temu pocziwemu, dobremu Fredowi, który ją tak zezłościł, powiedzieć „nie”.

- ...ważne rzeczy... - powtórzył. I zawiesił głos. - Ty mnie nie chcesz - wyrzucił z siebie nagle.

- Nie rozu...

- Nie rozumiem? Nigdy nie próbowałem zrozumieć i to był mój główny błąd. Powinienem widzieć. Przecież to było całkiem jasne.

- Fred, nie! - Lęk o siebie szybko przerodził się we współczucie dla upokorzonego przyjaciela. - Ja bym cię nigdy nie chciała skrzywdzić. Każdego, tylko nie ciebie! Jak bym mogła!

- Wiem - odparł spokojnie. - Czułem twoją niechęć, tylko nie chciałem tego sam przed sobą przyznać. Byłaś dziś na mnie zła. I nie mam do ciebie o to pretensji. Ośmieszyłem się.

- Nie, nic podobnego. Nie myśl o tym. To nie było nic ważnego.

- Owszem, było. Musimy być wobec siebie szczerzy, Margaret. Żadne z nas nie może już sobie pozwolić na dalsze błędy. Gdybyś miała się na mnie zdecydować ze względu na starą przyjaźń albo, co nie daj Boże, z wdzięczności - nie, nigdy!

- Zaslugujesz na coś lepszego - powiedziała bardzo cicho.

- Nie płacz, Margaret.

- Ja nie płaczę.

- Ale widzę, że ci niewiele brakuje. A ja nie chcę widzieć twoich łez. Uczucie jest albo go nie ma. I to wszystko.

- Zapalił silnik. - Deszcz prawie przestał padać. Idź do domu, zanim znów się rozpada.

- Fred, ja nie wiem, co mam powiedzieć. Zwykle coś mi przychodzi do głowy... - Uśmiechnęła się smutno. - Ale tym razem naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

- Nic nie mów. W przyszłym tygodniu lecę do Kanady odwiedzić rodzinę. A ty wracasz do pracy. I to wszystko.

Co noc Margaret przeżywała emocjonalne burze. Trwało to cały tydzień.

Najdotkliwszy był ból rozstania z najstarszym dzieckiem, dorosłą już teraz Megan, która wyjeżdżała po to, żeby -spójrzmy prawdzie w oczy - już nigdy nie wrócić.

Poza tym od czasu tamtego spotkania w hotelu Bradley, kiedy to Stephen najwyraźniej zegnał się z nią na zawsze, nie miała od niego żadnej wiadomości. Co jeszcze zamierzał jej powiedzieć, kiedy Fred im przerwał? Zresztą obojętne -przesłanie Freda było jasne - trzymaj się od niej z daleka.

Leżała, zastanawiając się, co z tym fantem zrobić, i odrzucając kolejne pomysły jako całkowicie bezsensowne. Bez względu na to, jak ostrożnych użyje sformułowań, zawsze będzie to forma narzucania mu swojej osoby, na czym się niewątpliwie bez trudu pozna. Ponadto niewykluczone, że na podstawie ich krótkiego spotkania zbyt wiele sobie wyobrażała. Zrobi z siebie idiotkę, a jego postawi w trudnej sytuacji.

A jednak nie miała wątpliwości, że jest w nim zakochana.

W dniu poprzedzającym wyjazd Megan na wschód pojawił się na ulicy wóz do przeprowadzek, który skręcił w stronę domu Stephena. Siedzieli właśnie przy śniadaniu, mimo to Margaret wstała i mówiąc, że zaraz wróci, poszła na ulicę sprawdzić, gdzie się zatrzymała ciężarówka.

Znalazłszy się na szczycie wzniesienia, przez gąszcz zieleni zobaczyła, jak mężczyźni wchodzą do domu i po chwili wynoszą z niego pierwsze sprzęty - regał na książki i biurko. Nagle zapragnęła tam pobiec, jednak opory okazały się zbyt silne, stara więc i patrzyła na to z ciężkim sercem i poczuciem bezsilności. Po chwili odeszła, ale nie chcąc wracać prosto do domu, w jego gwar i krzątanie, ruszyła w stronę parku.

Staw drzemał w porannym upale, a pływające po nim łabędzie zataczały jak zwykle niezliczone koła. Usiadła na swojej stałej ławce, jakby to ciche miejsce miało kojące właściwości. Nic z tego nie rozumiem - myślała. - Nigdy bym się nie spodziewała, że coś takiego przydarzy mi się jeszcze raz w życiu. Miała nieprawdopodobne poczucie straty. Ale jak można czuć stratę czegoś, czego się nigdy nie miało? Stephen po prostu wyjeżdżał, do czego miał przecież pełne prawo.

W Nowym Jorku, po Świącie Dziękczynienia, spędzonym u Gila i Luizy, Nina w dalszym ciągu usiłowała uzyskać informacje złożyć w jakąś spójną całość.

Po kolacji Luiza wzięła ją na bok i z ubolewaniem powiedziała, że Margaret odrzuciła Freda Davisa.

- Byłaby z nich wspaniała para, wszyscy tak uważali -jęczała. - Chyba że Margaret kogoś ma. Ale kogo?

Przy śniadaniu Megan zapytała o Stephena.

- Zawsze był dla mnie prawdziwym człowiekiem Renesansu - powiedziała ze swoją nową dorosłą powagą. Dla mamy był uczonym i prawnikiem, a dla Dana świrem bejs-bolowym. Pamiętacie tamtem wieczór, kiedy nam opowiedział, jak odszedł jego ojciec? Dziwne, że przestał się do nas odzywać. A wyglądało na to, że nas bardzo lubi.

- Och, on się bujał w mamie - oznajmił Dan.

- Co za głupie gadanie, prosiłam cię, Dan, żebyś nie gadał takich bzdur - powiedziała ostrym tonem Margaret.

Ponieważ rzadko się w ten sposób odzywała, wszyscy na nią spojrzeli - jej twarz była purpurowa.

Jeszcze tego samego dnia, tylko nieco później, Nina i Margaret poszły na spacer. Po dość chaotycznej rozmowie, dotyczącej głównie spraw Niny, padło z jej strony śmiałe pytanie:

- Dlaczego byłaś taka zdenerwowana, kiedy Dan powiedział o Stephenie Larkinie?

- Wcale nie byłam zdenerwowana. Po prostu Dan jest już za duży na takie głupoty.

- Och, ale im chyba naprawdę brakuje Stephena.

- Owszem, brakuje.

Spacerowały po szeleszczących liściach.

- Widziałam go tylko raz, ale istotnie robi wrażenie niezwykłej osoby.

- Bo nią jest.

Nagle Margaret zatrzymała się i powiedziała:

- Najlepiej przejdźmy od razu do rzeczy. Pewnie chciałabyś wiedzieć, czy między mną a Stephenem coś było?

- Owszem, chciałabym wiedzieć. Chociaż przyznaję, że to nie moja sprawa. No więc?

- Nie, nic nie było. Nawet myślałam, że mogłoby być, ale do niczego między nami nie doszło. I to jest cała historia.

Nina siedziała u siebie nad filiżanką herbaty i myślała.

I to jest cała historia. Ale przecież musiało być w tym wszystkim coś głębszego, bardziej skomplikowanego. Margaret miała łzy w oczach. Ninie chyba na zawsze pozostanie w pamięci tamten obrazek - Margaret stojąca na listopadowym wietrze, piękna w swojej spokojnej godności. Jej wspaniałe włosy powiewają w podmuchach wiatru, a po policzku spływa wielka łza.

Czy okaże się wścibską idiotką? - zapytywała sama siebie Nina. - I tylko narobię kłopotu?

Po chwili zdecydowała, że przecież w samej próbie nie może być nic złego, a to, czy okaże się wścibską idiotką, czy nie, w gruncie rzeczy nie ma dla niej żadnego znaczenia. Dlatego po telefonie do informacji międzymiastowej zadzwoniła do Stephena Larkina i powiedziała mu, co wiedziała.

- Po prostu pomyślałam, że mogłoby to pana zainteresować - zakończyła.

- To ona naprawdę nie była... nie jest już z Fredem Davisem? - zapytał.

- Nie jest i właściwie nigdy nie była.

- Ale ja myślałem... wydawało mi się... i dlatego...

- Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za wścibską, bezczelną idiotkę; po prostu uznałam, że warto zaryzykować i panu o tym powiedzieć. Ale jeśli kiedykolwiek zdradzi mnie pan przed Margaret, to przysięgam, zamorduję pana z zimną krwią.

Stephen wybuchnął śmiechem.

- Nie będzie pani musiała mnie mordować, obiecuję. Będę panią za to, kochał do grobowej deski. A teraz... proszę odłożyć słuchawkę, żebym mógł załatwić pilny telefon.

## *Epilog*

1995

Dom Williego i Erniego na East Side był oświetlony od góry do dołu. Na parterze okno wystawowe sklepu w dalszym ciągu jeszcze zdobiła gwiazdkowa dekoracja - fotel przy kominku, złote świece na antycznym gzymsie, bukiet z suszonych kwiatów w wielkim mosiężnym wazonie - wszystko to razem jakby żywcem wzięte z dziewiętnastowiecznej powieści.

Był ostatni wieczór 1995 roku i na trzech piętrach nad sklepem trwała wesoła zabawa. Po białych marmurowych schodach, a także w prywatnych apartamentach - z ochotą udostępnionych przez gospodarzy - paradowali goście w eleganckich strojach, pozdrawiając znajomych, przedstawiając się nieznajomym, oglądając obrazy i zatrzymując się przy bufecie na lampkę szampana. Nad tym wszystkim królowała muzyka.

- Wspaniały widok - zauważył najwyraźniej zachwycony Stephen.

- Czy to możliwe? - dziwiła się Margaret. - Wszędzie białe marmury, nawet na ścianach, a mimo to wcale nie jest tego za dużo.

- Pewnie dlatego są sławni. Byłaś może w małej czerwonej bibliotece na pierwszym piętrze? Już widzę siebie, jak w zimowy wieczór leżę wyciągnięty na sofie pod Winslowem Homerem<sup>2</sup> z książką albo z kieliszkiem koniaku.

- Żałuję, że nie mogę zostać dłużej, żeby z wami poroz-

358

---

<sup>2</sup>Winslow Homer, 1836-1910, urodzony w Bostonie malarz amerykański, znany z akwarel przedstawiających sceny rodzajowe i krajobrazy (przyp. tłum.).

mawiać - powiedziała Nina - ale skoro dostałam awans i podwyżkę, czuję się szczególnie zobowiązana wobec moich pracodawców. Willie i Ernie spodziewają się tu dziś wieczorem klientów lub co najmniej potencjalnych klientów, trzeba będzie koło nich skakać. Ale był to dla mnie cudowny tydzień urlopu, dzięki temu, że mogłam go z wami spędzić. Połączenie urlopu z zabawą. Mam nadzieję, że w przyszłym miesiącu zdołam wziąć udział w waszych uroczystościach.

- Uroczystości będą skromne - odparła Margaret. - Żadnej ślubnej pompy. Będziemy zbyt zajęci przeprowadzką do nowego domu.

- Skończą się ukradkowe noce po hotelach - dodał Stephen.

- Ja wam urządzę dom - zaofiarowała się Nina.

- Tylko błagam, bez marmurowych ścian. Ale Winslow Homer byłby mile widziany - zażartował Stephen.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- A dom jest naprawdę ładny i dobrze położony. Niedaleko zarówno mojej pracy, jak i uniwersytetu Margaret. Już zresztą prawie się wprowadziliśmy. W ubiegłym tygodniu przywieźli pianino Julie. Jest nastrojone i gotowe.

- Tak - dodała Margaret - no i cudownie, że mogliśmy odzyskać Rufusa. Teraz zajmują się nim sąsiedzi.

- To fantastycznie, strasznie mi było wtedy żal Dana. Przepraszam, ale muszę iść na dół. Zajmijcie mi miejsce przy stole.

W- długim korytarzu, przed serwantką wypełnioną starym srebrem, stał młody mężczyzna. Domyślając się w nim klienta, Nina zatrzymała się i przedstawiła.

- Jestem żeńskim Piętaszkiem Williego i Erniego. Jeśli interesuje pana srebro, to może mogłabym w czymś pomóc?

- Dziękuję bardzo, po prostu się przyglądam. Owszem, interesuję się srebrem, ale głównie dziewiętnastowiecznym, chodzi mi o stare przedmioty Tiffany'ego.

Mężczyzna od razu wydał się Ninie ciekawy, kulturalny i o zainteresowaniach najwyraźniej wykraczających poza sprawy pieniędzy i sportu.

- Sklep będzie otwarty zaraz po przerwie świątecznej - wyjaśniła. - Jeśli jest pan kolekcjonerem...

- Nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Po prostu od czasu do czasu kupuję coś ładnego.

Nieznajomy miał ładny uśmiech i robił wrażenie skorego do śmiechu. Jego bezpośredni sposób bycia i miły, łagodny głos zrobiły na Ninie wrażenie, kiedy więc zaprosił ją na drinka, nie odmówiła.

- Jestem tu sam - wyjaśnił. - Przyszedłem wprawdzie z przyjacielem, ale on poszedł na inne przyjęcie, a ja chciałem się rozejrzeć i też zamierzałem iść, kiedy pani się zjawiała. Ale teraz z całą pewnością nigdzie się stąd nie ruszę.

Przez chwilę stali z drinkami w dłoniach, po czym znaleźli wolną kanapkę i usiedli.

- Jeśli cię dobrze zrozumiałem, Nino, pracujesz tu, tak?

- Tak, i kocham tę pracę. Ubóstwiam przebywać w otoczeniu pięknych obiektów.

- Sama jesteś pięknym obiektem.

W tym komplementcie, tak jak i w samym mężczyźnie, nie było nic bezczelnego ani taniego. Rozmawiali dłuższą chwilę, dzięki czemu Nina się dowiedziała, że jej nowy znajomy jest importerem kawy i doskonale zna Amerykę Południową z jej sztuką, przestępczością i polityką.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy się w tym tygodniu wybrali gdzieś na kolację? Ty wybierz dzień.

- Mam wolną rękę? - spytała. - To może w środę?

- O, to właściwie jedyny wieczór, kiedy nie mogę. Mamy bilety do teatru. Moja żona...

Nina zaczerpnęła tchu. Spokojnie, tylko spokojnie - sama siebie upominała w duchu, a głośno powiedziała:

- Twoja żona? Ja ją chyba znam.

- Och, nie sądzę. Ona jest... - skrzywił się z niesmakiem -nie taka...

- Nie taka jak ja? Oczywiście, że nie. Jest stara jak świat. I do tego bardzo brzydka, prawda? I od lat z nią nie sypiasz?

Wiem o niej wszystko.

Mężczyzna gapił się na nią, jakby nie wierzył własnym uszom. Ale kiedy uwierzył, poczuł się obrażony.

- Przepraszam bardzo! Widzę, że z ciebie lepszy numer, ty mała...

Ale Nina była już jakieś dziesięć kroków od niego.



- Tak - zawołała - może i jestem lepszy numer, ale z pewnością nie jestem łatwym podrywem dla żonatych facetów! Kiedy wróciła na górę, gdzie wszyscy już na nią czekali przy stole, była zła, ale śmiała się przy tym serdecznie.

- Szukałam cię - powiedziała Margaret - ale robiłaś wrażenie bardzo zajętej, więc nie chciałam ci przeszkadzać. Musiał być miły, prawda?

- Bardzo miły. A jego żona jest na pewno jeszcze miłsza.

- Och - skrzywiła się Margaret.

Kobiety spotkały się wzrokiem i jednocześnie się uśmiechnęły. „Wspomnienia - pomyślała Margaret. - Mamy je, i Nina, i ja”.

Po czym rozejrzała się dokoła, jak zwykle, kiedy przy stole siedziała cała rodzina.

Była Megan, studentka drugiego roku i stypendystka, ale już nie odludek; miała poważnego chłopaka, także przyszłego lekarza. Ale Margaret nie musiała się obawiać, Megan nie zamierzała się wiązać, w każdym razie nieprędko. Wiedziała swoje.

I była Julie, w niebieskiej sukience; opowiadała właśnie Ninie o swojej nowej nauczycielce muzyki.

- Wiesz, mam nową nauczycielkę, tam gdzie się już wkrótce przeprowadzamy. Powiedziała, że wcale nie tak dużo straciłam. I że po college'u mogłabym iść nawet do konserwatorium.

Dan miał policzki wypchane jedzeniem i wielkie porcje na talerzu.

- Cói to jest, o to? - zapytał.

- Kawior - odparł Stephen.

- Nigdy tego nie jadłem. Fantastyczne.

- Widzę, że jesteś *gourmet* - powiedział Stephen. - To najlepszy kawior, jaki istnieje.

- A ja myślałem, że to się mówi *gourmand*.

- Nie, *gourmand* to ktoś, kto je za dużo.

- Mieszczę się i w tej kategorii - roześmiał się Danny. Nagle spoważniał i dodał już innym tonem: - Tata był *gourmet*, prawda, mamo?

- Prawda - potwierdziła Margaret, wymieniając spojrzenia ze Stephenem.

- Tata wiedział bardzo dużo rzeczy.